

A photograph of a man from the waist up, wearing a white tank top and dark jeans. He is holding a light-colored electric guitar. The background is black. The text is overlaid on the image.

Ona jest jego siłą,
on jej słabością.
Tym razem
nie pozwoli jej
znów odejść...

Oczekiwanie

Muzyka
Gwiazd

A.L. Jackson

Tom 5

Oczekiwanie

Muzyka
Gwiazd
Tom 5

A.L.
Jackson

Przeład
MAŁGORZATA STEFANIUK



Prolog

Cztery lata wcześniej

Cii... – szepnął w moje włosy i przyciągnął mnie bliżej. Strach po koszmarzym śnie zniknął. Zlana potem, zachłysnęłam się szlochem, który próbowałam tłumić.

Płakałam cicho i w ukryciu.

On jednak usłyszał.

Jednym ramieniem otoczył moje plecy, drugie podniósł, żeby zawiesić nad naszymi głowami małą obręcz.

Mój wzrok przystosował się do ciemności i rozpoznałam koło obciążone brązowym zamszem, obwieszane paciorkami i kolorowymi piórkami, środek utkany był w zawiłą sieć.

Wpatrywałam się w nie, jak się kołysze, oczarowana tym ruchem, spokojem jego głosu, który mruczał tuż przy moim uchu.

– Cii... – powtórzył, obsypując moje czoło drobnymi pocałunkami.
– Widzisz. Nie musisz się bać. To... to przechwyci twoje sny. One nie mają nad tobą władzy. Nie mogą cię skrzywdzić.

W sercu poczułam ból, wczepiłam palce w jego koszulę i mocno zacisnęłam.

Całą władzę miało to, co zakopałam głęboko w sobie. Ale kiedy byłam z nim, w jakiś sposób traciło to swoją moc.

Potał nosem miejsce za moim uchem, szepcząc cicho.

– Możesz mi zaufać, Edie. Zaufaj mi. Cokolwiek to jest, zrozumieć. Zrozumieć. – Jego głos stał się jeszcze cichszy. – Porozmawiaj ze mną.

Zaufać.

I tak zrobiłam.

Zaufałam temu poranionemu chłopakowi.

Wyjawiałam mu szeptem swoją tajemnicę.

Podarowałam mu ją.

Żeby ją zachował.

Chronił.

Do dnia, w którym zmiażdżył ją w swoich dłoniach.

Rozdział 1

Austin

Żółtawe blade światło wsączało się do środka z góry. Mrużąc oczy, walczyłem z atakiem paniki zmuszającej moje serce do dwukrotnie szybszego bicia i czytałem słowa starszego brata nagryzmolone w liście.

Trzy lata, Austin. Minęły trzy lata. Oddałem ci swoje życie, a potem dałem ci przestrzeń, o którą prosiłeś. Teraz cię potrzebuję. Musisz wrócić.

To nie tak, że nie znałem go na pamięć. Ten pognieciony list czytałem chyba tysiąc razy. Po prostu nie wiedziałem, czy mam siłę, żeby coś z nim zrobić.

– Gotowy?

Zaskoczony głosem, który przyplął z za moich pleców, wciągnąłem ostro powietrze, zanim się ogarnąłem, szybko złożyłem list i wepchnąłem do tylnej kieszeni.

– Tak – odpowiedziałem. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Damiana. Stał w drzwiach przebieralni, która tak naprawdę była ulepszonym magazynkiem.

Ale hej, jak brzmi to stare powiedzenie o żebraku, który nie powinien wybrzydzać?

Jego uśmiech był promienny.

– To dobrze. Bo tam dzisiaj jest totalny dom wariatów.

Ogarnął mnie niepokój.

Dom wariatów.

Wydawało się to szaleństwem, że część mnie zawsze tego pragnęła. Ta część, która chciała stać na tej samej scenie co mój brat, Sebastian, i jego kapela Sunder. Która chciała być częścią tamtego życia. Ożywiać hard rock dla fanów, dawać ujście ich emocjom, dawać im głos.

Ale wiedziałem, że tak naprawdę nigdy nie będę pasował do tego świata ani nie będę potrafił odgrywać tego rodzaju roli.

To był czysty idiotyzm... głupota, ten pomysł, że mógłbym stać się częścią czegoś tak wielkiego. Czegoś tak ważnego.

Bóg wie, że nawet w przybliżeniu nie byłem tego godzien.

A jednak nie potrafiłem pozbyć się tej potrzeby, która ugniatała mi żołądek, błagając o ekstremalny haj. Haj, którego nigdy nie miałem dosyć.

Był lepszy od każdego narkotyku i nałogu.

Wrodzone pragnienie grania i ta gorączka, jaka mnie ogarniała, gdy ulegałem impulsowi.

Tak więc zadomowiłem się w tych małych lokalach, gdzie było bezpiecznie i daleko od blasku jupiterów i sławy świata mojego brata.

Ale im dłużej tu grałem, z każdym tygodniem widownia zdawała się powiększać.

– Chłopie... nie rób takiej przerażonej miny. Tłumy to dobry znak. Chyba rozumiesz, że właśnie o to chodzi w tym całym koncertowaniu, no nie?

Dupek miał czelność podnieść palce i przy słowie „koncertowanie” wykonać znak cudzysłowu.

Sapnąłem z rozdrażnieniem.

Uśmiechnął się jeszcze promiennie, chwytając się zarazem rękoma zewnętrznych brzegów framugi, pozwalając, by ta go podtrzymywała, gdy odchylił się w tył na piętach, tak luzacko jak tylko można.

– Cory kończy ostatni kawałek i potem wchodzisz ty.

Tak naprawdę granie w Latarni nie było aż taką złą fuchą. Wyciągałem z tego tyle, że dawało się przeżyć i nie musiałem dłużej przyjmować kasy od brata.

Przestałem pozwalać mu się sobą opiekować z chwilą, gdy trzy lata temu opuściłem jego dom.

Ale ważniejszy od tego był ten dreszcz, jaki towarzyszył wychodzeniu na tę małą scenę. Wolność, jaką znajdowałem w śpiewaniu.

I gdybym miał być szczery... Może... może częściowo nazwa baru przypominała mi ją. Latarnia rzucająca światło na mętne niebezpieczne wody. Nawołująca zagubionych w sztormie.

– W porządku. Daj mi tylko zebrać graty.

Poszedłem po starą akustyczną gitarę i wyjąłem ją ostrożnie z futerału wyłożonego bordowym filcem. Gdy dotknąłem chropowatego wytartego drewna, poczułem ulgę.

Tę gitarę dostałem na piętnaste urodziny od Sebastiana, lub Baza, jak go wszyscy nazywali. Powiedział mi, że muzykę mam we krwi. Że ona w jakiś sposób nas ze sobą łączy. I nieważne, jak daleko bym od tego uciekał, wiedziałem, że miał rację.

Że on i ja byliśmy w jakiś sposób związani.

Tak samo jak związany byłem z morzem.

Damian podniósł brodę.

– Pisziesz się na sobotę?

W odpowiedzi skrzywiłem się.

– No weź, chłopie. Nie bądź pieprzonym nudziarzem. Mógłbyś wybrać się ze mną przynajmniej ten jeden raz. Wiem, że to nie Hawaje, ale fale tutaj są zabójcze. Woda jest zimna jak diabli, to prawda, ale da się znieść.

Z ust wymknął mi się ponury cichy śmiech.

– Dlaczego sądzisz, że cokolwiek się zmieniło? Mówiłem ci wcześniej, nie jestem zainteresowany.

Pokręcił głową.

– Właśnie tego nie rozumiem. Zjeździłeś całe wybrzeże, trzymałeś się go przez cały pieprzony czas, bo nie chciałeś pojechać nigdzie indziej, ale założę się, że nie zamoczyłeś w wodzie nawet palca u nogi. Nawet raz. Boisz się czy co? – Zadał to pytanie z cwany uśmiechem i kpiąco, jakby to mogło zmusić mnie do zmiany zdania.

Strach.

To słowo nawet w przybliżeniu nie opisywało tego, jak działała na mnie myśl o wejściu do morza, tej dezorientującej męki, która ciągnęła mnie do wody i od niej odpychała.

Wzruszyłem ramionami, jakby to nie miało znaczenia, chociaż miało większe niż cokolwiek. Jakby Damian nie rozdrapał właśnie rany tak głębokiej, że nie miała się nigdy szans zbliznić.

– Po prostu nie jestem zainteresowany.

Starłem się mówić tak ogólnie, jak tylko się da, nie dopuszczając do żadnych bliższych zwierzeń z Damianem Rodriguezem. Nie dlatego,

że mu nie ufałem. Dlatego, że na świecie nie było ani jednej osoby, która mogłaby naprawdę zrozumieć. Ani jednej, która pojęłaby, dlaczego musiałem stać na brzegu, przykuty do morza jak więzień.

Tak samo jak nie wolno mi było do niego wejść, jak wyrzutkowi.

Jedyna osoba, która potrafiła to zrozumieć, odeszła.

Zaczęło się we mnie budzić poczucie winy, niczym najczarniejszy sztorm. Wysłany, żeby połykać i pochłaniać.

Zaciskając zęby, zdusiłem to uczucie.

Od wyjazdu z Los Angeles stałem się w tym całkiem niezły.

W ugniataniu, dławieniu na siłę.

I udawaniu, że nie spalają mnie wspomnienia tego, co zrobiłem. Tego, co zniszczyłem. Wspomnienia każdego pieprzonego błędu, jaki od tamtej pory popełniłem.

Bóg wiedział, że było ich zbyt wiele, żeby dało się je policzyć.

Można by pomyśleć, że czegoś mnie to nauczyło. Że wiedziałem już, co robić, żeby nie niszczyć wszystkich dobrych rzeczy, jakie otrzymywałem od życia.

Ta wydrążona dziura próżni w mojej klatce piersiowej zapulsowała kurewsko boleśnie.

Ciekawe, ile dziur można sobie narobić w duszy, jak bardzo poharatać serce, żeby w końcu nie zostało już nic, co trzymałoby to wszystko w kupie.

Damian jęknął, ale bez cienia frustracji. Stęknęcie przepełniała raczej cała masa beztroskiego luzu.

Nawet odrobiny przejęcia się.

Gdybym nie lubił tego gościa tak bardzo, zwyczajnie bym się w tym momencie wkurzył.

– Słowo daję, chłopie, dobrze się składa, że ta twoja pieprzona melancholia tak ci pasuje, bo inaczej powiedziałbym, że jesteś beznadziejny. Tam do diabła, założę się, że to tylko gra. Wszędzie, gdzie się pokazujemy, dziewczyny obsiadają cię jak muchy. Doprowadziłeś do perfekcji odgrywanie wysokiego, mrocznego i tajemniczego. Chyba zacznę prosić cię o porady.

Zerknąłem na niego z wymuszonym, złośliwym uśmiechem.

– Hej, nic na to nie poradzę, że panie mnie kochają.

– To totalnie niesprawiedliwe. Siedzisz i nic nie mówisz, a one krążą wokół ciebie, jakbyś był cholernym słońcem albo innym gównem. A ja, żeby któraś na mnie spojrzała, muszę wyłazić ze skóry.

Powstrzymałem drwiące prychnięcie.

Nie słońcem, tylko raczej czarną dziurą.

Ale nieważne.

To, że jestem samotnikiem, nie znaczy jeszcze, że od czasu do czasu nie lubię mieć towarzystwa.

W życiu pozbyłem się wielu nałogów. Z tego akurat nie zamierzałem rezygnować.

Bo przekonałem się o tym boleśnie na własnej skórze – na dłuższą metę przywiązanie się do kogoś kończy się tym, że dostajesz po dupie.

Albo po prostu sam wszystko niszczysz.

Miażdżysz te przebłyśki radości, bo nie można ci zaufać, że zadbasz o związek.

Że zadbasz o nią.

Bo jesteś nieudacznikiem i wszystkie twoje dobre intencje zamieniają się w gówno.

Dlatego tylko prześlizgujesz się przez życie, udając, że nie cierpisz i nie tęsknisz, i marzysz o tym, żeby wrócić i zacząć wszystko od początku. Żeby zrobić to jak należy. Chociaż przez cały czas wiesz, że prawdopodobnie i tak wszystko znowu byś schrzanił.

Damian zastukał knykциями w ścianę na zewnątrz.

– Zrób mi tę uprzejmość i przynajmniej zastanów się nad sobotą, okej? Zamienisz się w wampira albo w coś równie straszego, jeśli każdego wieczoru będziesz gnił w tej norze.

Cofnął się na korytarz i zaczął odchodzić, ale po chwili wrócił i znowu wetknął głowę do pokoju.

– Och, ziom, o mało nie zapomniałem ci powiedzieć. W tym lokalu u mojego kuzyna w San Francisco totalnie cię chcą. Możesz przyjechać i zagrać tam w przyszłym miesiącu. Czternastego sierpnia. To całkiem odlotowe miejsce. I dobrze płacą. Wchodzisz w to?

Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby się nie skulić w reakcji na to pytanie. Zrobiłem, co mogłem, żeby zignorować uczucie, że list, który miałem wetknięty do tylnej kieszeni, nagle zaczął ważyć tonę.

Trzy lata.

Trzy lata, odkąd ostatni raz widziałem twarz Baza. Trzy lata, odkąd widziałem ziomków z kapeli.

Tak wiele się zmieniło w ich życiu od czasu mojej wyprowadzki.

I Boże, ja też chciałem się zmienić, ale byłem prawie taki sam. To znaczy, przecież właśnie o to chodziło w tym całym wyjeździe.

O odnalezieniu siebie.

O stanie się kimś lepszym.

Kimś silniejszym.

Ale choć zewnątrz się zmieniło, to w wielu momentach zupełnie nie czułem, że jestem inny niż ten ośmioletni chłopiec skulony w kryjówce na plaży.

To był dzień, w którym rozdarłem sobie duszę na pół.

Ten sam, w którym Sebastian po raz pierwszy skłamał ze względu na mnie.

Dzień, w którym zaczął się mną opiekować, bo wiedział, że w żaden inny sposób nie dam sobie rady.

Nie sądziłem, by ktokolwiek mógł zrozumieć, jak bardzo pragnąłem być dla niego w ten sposób, w jaki mnie potrzebował.

Po prostu nie wiedziałem, czy mam cokolwiek do dania, co ostatecznie nie kosztowałyby zbyt wiele nas obu.

– Nie wiem – odpowiedziałem.

Damian potrząsnął głową.

– Oni muszą wiedzieć, stary. Nie mogę ci trzymać miejsca przez wieczność.

– Coś mogłoby mi wypaść.

– Coś mogłoby ci wypaść? – Powtórzył moje słowa przeciągając je, pytająco, potem spoważniał i zniżył głos. – Wiesz, że nie możesz tego robić bez końca?

– Robić czego?

– Uciekać.

Skrzywiłem się.

– Ja nie uciekam.

– Jesteś o tym przekonany?

– A co z tobą? – odgryzłem się. – To ty spakowałeś się w minutę i

wyjechałeś z kompletnie nieznanym. Skąd mogłeś wiedzieć, że nie jestem jakimś mordercą z toporem?

Odkąd trzy lata temu wyjechałem z LA, przez cały czas jeździłem w górę i w dół wybrzeża Pacyfiku. Kiedy sondowałem północne wybrzeże stanu Waszyngton, kilka razy zagrałem w małym klubie w mieście, z którego pochodził Damian. Zakolegowaliśmy się i kiedy przyszedł moment, że spakowałem swoje graty, żeby pojechać na południe, on też się spakował i oznajmił, że jedzie ze mną.

Wyszczерzył się.

– Eee tam... ponurak z ciebie, to prawda, ale zabójcę bym rozpoznał, gdybym go zobaczył. – Uniósł brwi i pomachał palcami przed twarzą. – Mam superzmysł.

Ale w tym cała rzecz. Tak naprawdę mnie nie znał. Zupełnie mnie nie znał.

– Poza tym – ciągnął. – Może i się z tobą zabrałem, ale to wcale nie znaczy, że nie wiem, dokąd zmierzam.

– No niby dokąd?

Rozpostarł ręce.

– Gdzieś, gdzie jest zajebicie. Tam, gdzie nie będę musiał gnić w małym miasteczku na zadupiu. Będę wiedział, że to jest to, kiedy tylko tam dotrę.

Gdyby tylko to było takie proste.

Od ścian echem odbił się odgłos braw. Damian kiwnął brodą.

– Zbieraj tam tyłek, zanim Craig zacznie się zastanawiać, czy jego gwiazda znowu nie zaginęła. Och, i koniecznie musisz wykopać tę bluzę z kapturem, ziom. Dziewczyny chcą zobaczyć, co jest pod nią.

Powstrzymałem się i nie wywróciłem oczami, ale bluzę zdjąłem, chociaż walczyłem z uczuciem niepokoju, że to robię. Ukrywanie się za bluzą było, cholera, po prostu o wiele łatwiejsze.

– Taa, taa, idę już, idę.

Zarzuciłem pasek gitary na ramię i ruszyłem za Damianem ciemnym korytarzem. Tak bardzo podobnym do tych, w których mnóstwo czasu spędzałem jako dzieciak, w których żyłem na obrzeżach kapeli brata, zagubiony w muzyce, wibracjach i wyuzdaniu rządzącym tamtym światem.

Te katastrofy, które wywoływaliśmy.

Nieustające problemy, w jakie się pakowaliśmy.

Teraz rodzaj muzyki, który grałem i miejsca, w których występowałem, to był zupełnie inny świat. Nie do końca go czułem, ale mimo wszystko byłem do niego przykuty.

Przyciągany i odpychany.

Powinienem był przewidzieć, że nie zajdę daleko.

Na sali panował półmrok. Ekskluzywny bar w Santa Cruz w Kalifornii wypełniały okrągłe stoliki ustawione na otwartej przestrzeni przed sceną zajmującą prawą stronę lokalu. Na obrzeżach stały oddzielne boksy i po lewej długi drewniany bar. Cała tylna ściana była ze szkła, za zsuniętymi na boki składanymi panelami rozciągało się patio, z którego za dnia widać było morze.

Teraz, gdy rządy przejęła noc, świeciły się tam zawieszane na ożebrowaniu kratowego zadaszania sznury lampek.

Szum rozmów przycichł, gdy wszedłem na scenę i usiadłem na niewysokim taborecie. Ułożyłem sobie gitarę na kolanach i przyciągnąłem bliżej statyw z mikrofonem.

Od rozpierającej mnie energii serce waliło mi jak oszalałe. Przeląła się przeze mnie miazdząca fala strachu, żalu i czegoś w rodzaju bolesnej radości.

Od tego chaosu w moim wnętrzu zakręciło mi się w głowie.

Bo tak naprawdę nie byłem tam dla nikogo z tych ludzi tłoczących się przed sceną.

Byłem tam, bo po prostu, tak jak każdego wieczoru, ku temu miejscu wyciągała ręce ta poszarpana część we mnie. Szukająca tego, co straciłem. Tej części mnie, której nie mogłem odzyskać.

Mimo to wiedziałem, że całą resztę życia spędzę w pogoni za nią.

Mój słuch nastawił się na dopływający z oddali odgłos rozbijających się o brzeg fal.

Pozwalając powiekom opaść, zagrałem cichy, miękki akord i przycisnąłem wargi do mikrofonu. Wraz z oddechem wypłynęły spomiędzy nich słowa, mój głos wypełnił najdalsze zakamarki pogrążonego w ciszy klubu.

I sącył się dalej w ciemność.

Kiedy śpiewałem... zawsze czułem się tak straszliwie samotny.
Tak jak na to zasługiwałem.
Ponieważ ten cowieczorny hołd był niczym innym jak pokutą.
Popieprzoną zapłatą.
Odkupieniem, którego nigdy nie zdołam wypełnić.
Jednak tego wieczoru, chociaż zwykle czułem się, jakby mój duch
był oddzielony, jakby unosił się gdzieś daleko... dziś czułem, że jestem
tutaj, na miejscu.
Skrepowany kajdanami wyciszonego obłędu.
Przywiązany do tętniącego wściekłością spokoju.
Po skórze chodziły mi dreszcze, gardło miałem zaciśnięte, gdy fala
za falą uderzała we mnie powaga, z której nie mogłem się otrząsnąć. To
było coś głębokiego i zniewalającego, coś nieosiągalnego.
Z trudem przedzierałem się przez słowa piosenki. Te tak dogłębnie
osobiste, choć niewiele znaczące dla kogoś z boku.
Przypuszczam, że zwykle znajdowałem w tym pocieszenie.
Że byłem tylko kimś obcym, przyjezdnym, który śpiewał swoją
niewartą zapamiętania pieśń. Tę, której on sam nigdy nie zapomni.
Nie mógłby nigdy zapomnieć.
Ale dzisiaj czułem się nagi.
Odsłonięty i rozłożony na części.
Podświadomość dobijała się do świadomości. Zaczęła gęstnieć,
nabrzmiwać. Jakby napędzała mnie jakaś podskórna energia, łomocząca
w uszach, dudniąca w sercu.
Nie potrafiłem z tym dłużej walczyć, otworzyłem więc oczy,
starając się zarazem śpiewać dalej – jego piosenkę.
I nie miało znaczenia, że wpatrywałem się w mrok, w przyćmione
światła, w twarze tonące w cieniach, w ciała osnute tajemnicą.
To było niezaprzeczalne.
Przerażenie i ból, patrzące na mnie z miejsca, w którym podniosła
się na chwiejne nogi przy jednym z wysokich okrągłych stolików.
Ręce zaciskała na brzuchu.
Jakby chciała się osłonić przed moim atakiem.
Przed moją obecnością.
I to było jak tortura i jak przeznaczenie.

Gardło ostatecznie całkowicie mi się zatrzasnęło, piosenka dobiegła do poszarpanego końca.

Wypuściła znękany oddech, który ja, przysięgam, wciągnąłem w siebie.

Te jasnoniebieskie oczy błyszczały w świetle.

Edie.

Rozdział 2

Edie

Czy wiesz, co się czuje, gdy się stoi nad otchłanią życia?
Chwieje na krawędzi „tu i teraz”?
Instykt podpowiada, że od upadku dzieli cię tylko jeden niepewny
krok.

Od stoczenia w dół, dół, dół.
Od czołowego zderzenia z przeszłością.
Chociaż zrobiłeś wszystko, co mogłeś, żeby pozostała za tobą.
Tak bardzo uważałeś, żeby nie chodzić tymi samymi drogami.
Drogami zaśmieconymi błędami, rozpaczą, nieznośnym bólem.

Ale one znowu się przed tobą pojawiały.
Znowu cię otaczały.
Stawiając twarzą w twarz z przeszłością, o której za wszelką cenę
chciałeś zapomnieć.

Stawiając przed wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłeś i przed
tą jedną rzeczą, której nigdy nie będziesz mógł mieć.

Zalana falą słabości, chwiejąc się na tej poszarpanej skalistej
krawędzi, czułam, że nogi uginają się pode mną.

Że świat usuwa mi się spod stóp.
Żeby się nie przewrócić, chwyciłam się oparcia krzesła.
Żeby się go przytrzymać, abym nie upadła tak nagle i tak twardo,
jak już raz mi się to zdarzyło.

Tyle że teraz wiedziałam, jak bardzo to będzie bolało, gdy uderzę
w dno.

Dźwięki jego gitary płynęły przez duszne powietrze.
Ale to jego głos... ten niezapomniany, obmywał mnie dokładnie
tak samo jak kiedyś.

Pocieszał, napawał radością i bolesną nadzieją.
Ale zarazem brzmiał tak inaczej.
Głębiej.

Mroczniej.

Ostrzej.

Głos, który mnie paraliżował. Jakby ktoś włączył pauzę, jakbym utknęła w czasie i przestrzeni, które zastygły w bezruchu.

Przestrzeni, która mieściła w sobie tylko jego i mnie, i tę zapierającą dech w piersiach piosenkę, którą śpiewał.

– Edie. – To Jed próbował przedrzeć się przez trans, przez jego głos, jego piosenkę, przez łoskot serca i krwi w moich uszach. Wychylił się ze stołka, na którym siedział, starając się ustawić na linii mojego wzroku. – Edie, powiedz, co się dzieje. Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Źle się poczułaś?

Prawie się roześmiałam.

Bo Jed miał rację.

Stałam u stóp zjawy.

Ten chłopak, otoczony aureolą światła, cały błyszczał; jego melodyjne słowa otulały mnie kosmkami tęsknej otuchy.

W ten sam sposób jak zawsze.

Kojąco. A ja wpadałam w jego sidła.

Nie widziałam go od tamtej nocy, gdy ten poraniony chłopak zmiażdżył kruchą cząstkę mnie, którą mu podarowałam.

Tylko że Austin Stone nie był już chłopcem.

Pożądanie, którego nie miałam prawa odczuwać, zapłonęło jaskrawym płomieniem w moim podbrzuszu i zatętniło w żyłach.

Jak wrzenie grzechu.

Zakazanego i niemądrego.

Jako nastolatek Austin był wysoki i patykowaty.

Jakby mu się spieszyło, żeby dorosnąć.

I o Boże, to było wręcz okrutne, jak on dorósł. Jakby ktoś zesłał go na ziemię tylko po to, by mnie dręczył, bym przez niego podważała swoje decyzje.

Chudy chłopak, który już wtedy nade mną górował, musiał urosnąć jeszcze z jakieś pięć centymetrów. Jego jasnobrązowe włosy wciąż były krótkie po bokach i z tyłu, dłuższe na górze. Tak jak kiedyś sugerowały, że sfrustrowane palce szarpały i pociągały za nie przez większą część dnia.

Ale to sposób, w jaki wypełniły się jego ramiona, teraz ukryte pod obcisłym T-shirtem, krzyczał, że jest już w pełni mężczyzną.

Sposób, w jaki jego szeroka klatka piersiowa przeżyła się przy każdym oddechu.

Pociągający grymas pełnych warg i ostra linia szczęki.

Sposób, w jaki te duże silne dłonie obejmowały gitarę.

Nie wspominając zawiłego tatuażu, który teraz pokrywał odsłoniętą skórę ramion.

Ten jego wygląd, bijąca od niego siła, uderzyły we mnie niczym mroczny cyklon.

Groźny. Złowieszczy. Niebezpieczny.

Sala znowu zawirowała. Albo może to mnie zakręciło się w głowie.

Minęły cztery lata.

Cztery lata cierpienia, ukrywania się, żalu.

A tu nagle przede mną siedział jedyny chłopak, którego kiedykolwiek kochałam, zaledwie kilka kroków ode mnie.

– Edie... do cholery... przerażasz mnie. Powiedz, do diabła, co się dzieje.

Jed nagle znalazł się przy mnie, gotowy przepędzić wszelkie zagrożenia. Zaopiekować się mną, tak jak to zrobił, gdy przyczołgałam się do tego miasta.

Ale to nie miało znaczenia.

Jedyną rzeczą, którą widziałam, był on.

Wiedziałam to już w chwili, gdy mnie poczuł. Było tak, jakbym siłą otworzyła mu oczy samą swoją obecnością. Te ziemiste, poetyckie oczy, które nie umiały się zdecydować, czy chcą być zielone, czy szare.

Na ułamek sekundy rozszerzyły się szokiem, zanim chwila minęła i przyszło uświadomienie.

Nawet z daleka i w ciemności ta burzliwa szarość krzyczała o tysiącu tajemnicach, skrywała tony żalu.

Poczułam ucisk w piersi. Wywołany pożądaniem, nienawiścią, przerażeniem.

Jak to możliwe, że wciąż sprawiał, że czułam się w ten sposób?

Chwyciłam się za brzuch i dałam chwiejny krok do tyłu.

Żeby się odsunąć od krawędzi.

Akurat gdy jego piosenka dobiegła do poszarpanego końca.

– Edie. – Usłyszałam, jak moje imię wymyka się jak oddech spomiędzy warg Austina, niesione echem mikrofonu rozbrzmiewającym z głośników.

Przez bar przetoczył się szmer zdeorientowanych głosów, kiedy jego taboret zaskrzypiał, gdy go odepchnął, żeby się podnieść.

To był sygnał dla mnie.

Musiałam stamtąd wyjść.

Ochronić się w jedyny sposób, jaki znałam.

Odwróciłam się i uciekłam.

Bo uciekanie to było to, co robiłam najlepiej.

Przepchnęłam się przez grupę ludzi tłoczących się przy wysokich okrągłych stolikach u stóp sceny i uciekłam przez składaną ścianę okien w noc.

Zimne powietrze uderzyło mnie w twarz, gdy wybiegłam na drewniane deski. Łapiąc oddech, sapałam głośno i zarazem starałam się ignorować spojrzenia tych, którzy próbowali napawać się ciszą, relaksując się przy odosobnionych stolikach ustawionych na zewnątrz.

Sznury kulistych lampek były rozwieszone pod kratowym zadaszeniem patia wychodzącym na skłębione morze.

Morze.

Bolesne współczucie, jakie żywiłam dla tego chłopca, uderzyło mnie mocno, równie mocno co zrozumienie.

Te stare, stare rany, które związywały mu język, ale które wciąż były tak rażąco oczywiste.

Boże, jak ja pragnęłam je wymazać. Wypełnić tę wydrążoną w nim, ziejącą pustką dziurę, stać się jego balsamem w ten sam sposób, w jaki on pragnął uleczyć mnie.

Ale to było, zanim wykonał pełny zwrot i całe moje cierpienie rzucił mi w twarz.

Nade mną sznury światełek migotały i tańczyły, jakby stanowiły jedność z iskrzącymi się na niebie gwiazdami.

Pod nimi czułam się taka mała.

Odsłonięta.

– Edie.

Desperacja w jego głosie przeszła mnie niczym ognista strzała. Sapnęłam i zaczęłam się przedzierać szybciej. Obeszłam bok tarasu i wyszłam na chodnik prowadzący do parkingu na froncie.

Dokąd szłam?

Naprawdę nie wiedziałam.

Jak najdalej stamtąd.

Właśnie tak.

Po prostu chciałam uciec.

– Zaczekaj.

Pełne udręki zawołanie trafiło mnie w plecy.

Zaczekaj.

Och, Boże.

Przełknęłam ślinę, próbując walczyć z wilgocią zbierającą mi się w oczach. Z bezradnością, która mną zawładnęła, gdy podjęłam próbę tej niemożliwej do zrealizowania ucieczki.

Powinno być wiedzieć. Powinno być wiedzieć, że kiedyś to wszystko znowu mnie dopadnie.

– Edie... proszę... po prostu... zaczekaj.

Chwyciłam się poręczy, jakby mogła mi pomóc iść dalej. Ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Zwolniłam. Stałam, nie patrząc na niego, i wyprężyłam się, gdy poczułam za sobą jego spalającą obecność.

– Proszę. – Tym razem to był szept. Błaganie.

Szczerze.

Odwróciłam się wolno.

Przyciągana.

Zawsze był moją słabością.

Austin stał na końcu chodnika, tam, gdzie nie sięgało już światło, jego postać była niewyraźna w mroku.

Wydawał się jeszcze większy, niż gdy go widziałam na scenie.

Taki obcy.

Taki znajomy.

Serce zacisnęło mi się bólem. Bo patrzyłam na chłopaka, który był moim najlepszym przyjacielem. Jedyłą osobą, która, jak sądziłam, rozumie mnie w pełni. Jedyłą, która nie będzie osądzała ani nie sprawi,

że będzie bolało bardziej, niż już bolało.

Był moim bezpieczeństwem.

Moim rajem.

Zanim z powrotem wciągnął mnie do piekła.

– Dlaczego tu jesteś? – Głos mi się łamał. – Jak... jak mnie znalazłeś?

Dostrzegłam przeczący ruch głowy, dał jeden krok w przód, wyszedł z cienia w blask pojedynczej lampki zamontowanej wysoko na zewnętrznej ścianie dla oświetlenia drogi.

Jej światło zalało go jak blask jupiterów.

Ten chłopak był taki piękny.

Ale to był niebezpieczny rodzaj piękna – kłęb tajemnicy i bólu, ostre linie i naprężone mięśnie.

Ten widok prawie zwałił mnie z nóg.

Opuszczone po bokach dłonie zacisnął w pięści. Nasiąknięte napięciem pytanie z trudem przecisnęło mu się przez wargi.

– Wierzysz w przeznaczenie, Edie?

Stare cierpienie, które tak długo w sobie tłamsiłam, eksplodowało. Wytrysnęło w formie maniakalnego okrzyku. Przepelnionego zdumieniem. Ociekającego niedowierzaniem.

– Po tym wszystkim, co się stało... o to właśnie chcesz mnie zapytać?

– Edie... ja...

– Czy ty masz pojęcie, jak bardzo mnie zraniłeś? – przerwałam mu i sama też zaciskając pięści, dałam ku niemu krok. – Jaką krzywdę mi wyrządziłeś? Bezmyślne słowa, Austin. Pieprzone bezmyślne słowa, rzucone bez pomyślenia o reperkusjach, bez zastanowienia, jak na mnie wpłyną. Jak zmienią moje życie. Obiecałeś. – Moje brwi ściągnęły się w wyrazie oskarżenia. – A teraz masz czelność stać tam i pytać, czy wierzę w przeznaczenie?

Ciężko przełknęłam ślinę, potrząsnęłam głową.

– Niech cię piekło pochłonie, Austinie Stonie.

Kiedy miałam czternaście lat, przysięgłam sobie, że już nigdy więcej nie zrzeknę się kontroli. Nigdy nie postawię się w sytuacji, w której będę bezbronna. Bezsilna. Nigdy więcej nie pozwolę sobie nie

mieć wyboru.

I Austin Stone tak mnie urobił, że w końcu odpuściłam to wszystko dla niego.

Zaufałam mu.

Roześmiał się, ale w tym śmiechu nie było radości.

– No proszę, Edie. Tylko na tyle cię stać? Musisz się bardziej postarać. Zważywszy, że wiesz, że cały czas jestem w piekle, ty i ja, oboje wiemy, że zasługuję na coś o wiele gorszego. I tak... te słowa były bezmyślne, ale dobrze wiesz, że nie powiedziałem ich, bo mi nie zależało. Nie mogłaś oczekiwać, że będę tam po prostu stał. Nie z nim. Nie, gdy mówił takie rzeczy. Nie mogłem. – Ostatnie słowo padło z łamiącą się emfazą.

Czułam się tak, jakby każda komórka mojego ciała była miażdżona. Ściszana tak mocno, że nie istniała inna możliwość, tylko że wszystko we mnie imploduje.

– I dlatego, że puściły ci nerwy, ja straciłam wszystko. Ciebie. Dom. Przyszłość.

Jego duże dłonie znowu się zacisnęły.

– Wiem... Spieprzyłem sprawę, Edie. Ostrzegałem cię, że tak będzie. Że to zrobię.

Ale o czym nie omieszkał wspomnieć, to że obiecał, że ze mną niczego nie speprzy.

Nie potrafiłam powiedzieć, czy mi ulżyło, czy się przeraziłam, gdy nagle zza rogu wyłonił się Jed. Blaire, jego siostra, szła tuż za nim.

Znając ją, wiedziałam, że będzie próbowała go powstrzymać, żeby dać mi chwilę, której wyraźnie potrzebowałam.

– Edie – sapnął Jed z ulgą, gdy mnie zobaczył. Zatrzymał się gwałtownie kilka kroków za Austinem.

Jakby wkroczył w obszar naładowany kłującą energią i wybiło go to z rytmu.

Impas.

Wojna.

Wiedziałam, że do tego dojdzie.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – spytał. W jego głosie pobrzmiwały groźne nuty. Spojrzał wściekle na tył głowy Austina,

potem jego zaniepokojone spojrzenie przeskoczyło do mnie, twardniejąc, gdy z powrotem przeniósł je na Austina.

Blair pociągnęła brata za rękę.

– Jed... mówiłam ci, żebyś dał jej chwilę. Czasami trzeba pozwolić ludziom, żeby sami poukładali sobie swoje sprawy.

Jed tylko warknął i strząsnął jej dłoń.

Nie zamierzał się wycofać.

Austin przekręcił głowę, żeby spojrzeć za siebie. Kiedy to uczynił, jego twarz przesunęła się w bok – te wszystkie twarde, piękne linie odsłonięte w profilu. Skrzywił się w szyderyczym gorzkim uśmiechu.

– Nie denerwuj się tak, stary. Nie dzieje się nic złego. Po prostu witam się ze starą znajomą. Prawda, Edie?

Między nimi zakotłował się kłęb agresji.

Pulsującej, wściekłej.

Jed był krzepkim, umięśnionym facetem. Gęsta broda pokrywała większą część twarzy, kasztanowe włosy były krótkie po bokach i dłuższe na górze.

Gdybym kiedykolwiek wcześniej wyobrażała sobie, że mieliby ze sobą walczyć, wszystkie pieniądze postawiłabym na Jeda.

Teraz nie byłam taka pewna.

Jed podniósł brodę, jakby na moment ustępował. Odwrócił się do mnie, ton jego głosu złagodniał.

– Wszystko w porządku, Edie?

Kiwnęłam głową.

– Taa, w porządku.

Kłamstwo. Kłamstwo. Kłamstwo.

Byłam wstrząśnięta do samej głębi.

– Chcę tylko wrócić do domu. – Wypłynęło to ze mnie na zdesperowanym wydechu.

Chciałam stamtąd uciec.

Chciałam się ukryć.

Bo nie wiedziałam, jak mam sobie z tym poradzić.

Te wszystkie wspomnienia. Ból, jaki mi sprawił. Nadzieja, którą zmiażdżył.

Miłość, która nigdy nie przygasła.

To wszystko teraz wpatrywało się we mnie z głębin tych wzburzonych oczu, które zawsze widziały zbyt wiele.

Jed przepchnął się obok Austina i ruszył ku mnie.

– W porządku, zabieramy cię stąd.

Mijając Austina, Blaire rzuciła w jego stronę zaciekawione spojrzenie. Potem jej uwaga spoczęła na mnie; przez jej twarz przesuwało się tysiące przepelnionych niepokojem pytań.

Pytań, na które nie wiedziałam, czy mam siłę odpowiedzieć.

Jed otoczył mnie ramieniem i odwrócił, wyrrywając spod zaklęcia Austina, potem przyciągnął do swojego boku.

Żeby mnie ochronić i osłonić.

Zaczął mnie wyprowadzać po deskach, w kierunku jego samochodu stojącego na parkingu na froncie.

Z każdym krokiem, który stawialiśmy, czułam gorąco spojrzenia Austina. Tę parzącą intensywność, przed którą nie byłam pewna, czy kiedykolwiek ucieknę.

Przepelnioną bólem i nienawiścią.

Nie potrafiłam tylko ustalić, w co ta nienawiść była wycelowana.

W niego, we mnie, w resztę świata, który groził, że zadusi nas na śmierć.

Świata, z którym mieliśmy mierzyć się razem.

W chwili gdy skręcaliśmy za róg, zatrzymałam się, bo nie mogłam się powstrzymać. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na mężczyznę, który stał tam wpatrzony we mnie.

Emocje pochwyliły w ucisk jego twarz tak samo mocno, jak mocno zaciskał pięści.

Twardy i cierpiący.

Jakbym to ja byłam tą, która zadawała mu ból.

Zdławiłam żal, który poderwał się we mnie jak cyklon. Który wirował i wirował, rozbudzając starą miłość tęskniącą za tym, aby ten ciepły, wyrozumiały chłopak wziął mnie w objęcia i zaśpiewał do ucha.

Niebezpieczne.

Poszukałam w sobie tego miejsca, kryjówki, która chroniła moje serce. Tej cienkiej osłony, którą na sobie nosiłam i która ledwie utrzymywała mnie w całości. Zmusiłam się do wypowiedzenia słów, o

których wiedziałam, że go przepędzą, chociaż były czystym kłamstwem.

– I tak dla twojej wiadomości, Austin... nie, zdecydowanie nie wierzę w przeznaczenie.

Rozdział 3

Austin

Sukinsyn.

Moje pięści okładały worek. Cios za ciosem. Pot nabłyszczyl mi skórę, serce łomotało.

Po drugiej stronie Damian trzymał worek i popychał go do mnie.

Wbiłem się w niego z całą siłą. Waliłem i waliłem. Jakbym chciał wyrzucić z siebie całą frustrację, cały chaos skręcający mi bebechy.

– Prr, stary, nie wiem, co się z tobą dzieje, ale tak dla twojej wiadomości... za chwilę skopiesz mi tyłek, a to totalnie nawet w przybliżeniu nie jest celem tego treningu. To sport niekontaktowy, co oznacza, że powinienem tu po mojej stronie mieć ciepłą bezpieczną miejscówkę. Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, pomyślałabym, że jesteś na mnie wkurzony. Ale zważywszy na to, że mnie uwielbiasz, obaj wiemy, że nie o to chodzi.

W odpowiedzi tylko warknąłem.

Łup. Łup. Łup.

Moje oklejone taśmą pięści grzmociły winyl.

No więc tak...

Może rzeczywiście przez ten cały przeklęty czas wyobrażałem sobie, że to jest ta wielka i zarośnięta gęba tamtego sukinsyna.

Podajcie mnie do sądu.

Walnąłem mocniej.

Damian odepchnął worek. Silnie.

– Kończysz powoli?

Przywaliłem w worek ostatni raz i cofnąłem się, dysząc jak pies. Szarpnąłem za taśmę na nadgarstkach.

– Dobra, koniec.

Zacząłem krążyć po garażu przerobionym na prowizoryczną siłownię, zasysając głęboko powietrze w ściśnięte płuca.

Damian przeszedł na środek, na twarzy miał ten uśmieszek, który

zdradzał, że wie zbyt wiele.

– Zaryzykuję i zgadnę, że ten twój nastrój nadętej cipki, który hodujesz od dwóch dni, ma coś wspólnego z tą laską z Latarni. Z tą, przez którą rozwaliłeś wtorkowy koncert. I tak przy okazji, Craig nie jest zachwycony. Masz u niego wyrok w zawieszeniu. Powiedział, że jeszcze raz dasz dupy, to wylecisz.

Jakby mi na tym zależało.

Skrzywiłem się w odpowiedzi.

– Wygląda, że dawanie dupy to moja mocna strona.

– Jak wolisz, ziom. Jak chcesz, możesz się nawet tak tłumaczyć.

No wiesz, że nie potrafisz nad sobą zapanować. Albo coś w tym stylu.

– No taa, jasne.

Potrząsnął głową.

– Boże, czasami naprawdę potrafisz być strasznym dupkiem, wiesz? Tylko że chyba zdajesz sobie sprawę, że wyzywanie się na mnie niczego nie zmieni?

Spuściłem głowę i oparłem ręce na biodrach, próbując zdusić jakieś kretyńskie emocje, które próbowały na siłę wyrwać się na wolność.

Bo Damian miał rację.

Nic z tego wszystkiego nie miało związku z nim.

Sam wszystko zjebałem.

Jego głos stał się cichszy, ostrożniejszy.

– To co, powiesz mi wreszcie, kim ona jest?

Przełknąłem ślinę, żeby pozbyć się grudy, która pojawiła się nagle w moim gardle. I rosła. Rozpychała się. Zastanawiałem się, ile czasu minie, zanim eksploduje.

– Starą znajomą.

Nazywanie jej tak? To było jak kolejna przeklęta zdrada.

Bo ona była wszystkim.

Tylko że zdradzanie? Ono wychodziło mi najlepiej.

– Znajomą? – W głosie Damiana słychać było wszelkie możliwe odcienie niedowierzania. – Jak dla mnie, wyglądało to na coś zupełnie innego. – Rzucił to jak oskarżenie, jego słowa były jak strzałki przyszpilające mnie do ściany.

Odwróciłem się do niego gwałtownie. I w geście bezsilności rozłożyłem ręce.

– Dobra. Chcesz wiedzieć, kim jest? To ktoś ważny. Ktoś, kogo zraniłem. Dwa dni temu widziałem ją po raz pierwszy od wielu lat.

Nie widziałem Edie od czasu, gdy spakowała swoje rzeczy i uciekła. To było tego wieczoru, gdy tajemnicę, którą mi powierzyła jak podarunek, wyrzuciłem, jakby to była wczorajsza gazeta.

Miałem jej strzec.

Miałem strzec Edie.

A jedyne, co mi się udało, to ją zawieść. Ujawniłem coś, o czym on miał się nigdy nie dowiedzieć.

Cała вина leżała po mojej stronie.

Byłem tego świadom. Bo dałem się ponieść pieprzonym emocjom.

I nie istniały żadne słowa, którymi mógłbym uciszyć jej panikę, którymi mógłbym przekonać ją, żeby została.

„Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłeś. Po wszystkim, z czego ci się zwierzyłam. Po prostu... nie wtrącaj się więcej. Nie wtrącaj się do mojego życia i do moich spraw, bo nie mogę ci ufać. Nie pogarszaj tego bardziej, niż już ci się udało to zrobić”.

Z tym właśnie mnie zostawiła, ze słowami wypowiedzianymi w szlochu, przerażenie w jej oczach błyszczało poprzez łyzy leżące się po twarzy.

Potem zniknęła, odchodząc w ciemność. Dni zmieniały się w tygodnie, tygodnie w miesiące.

To lata, które minęły, przekonały mnie, że straciłem ją na zawsze. Byłem tak cholernie nieostrożny. Postąpiłem tak bezmyślnie z czymś tak kruchym. Sądząc głupio, że jeśli to upuszczę, nie zbije się.

Jej pożegnalne słowa kłębiły się we mnie.

Nie wtrącaj się.

Ogarnął mnie nagły niepokój. Zemdliło mnie.

Może powinienem tego żałować. Żałować, że zignorowałem jej ostatnią prośbę. Że wetknąłem nos w jej sprawy bardziej, niż kiedykolwiek chciałbym się do tego przed nią przyznać.

Ale nie mogłem.

Nie potrafiłem wzbudzić w sobie cienia skruchy za to, że zmusiłem

tego sukinsyna, żeby zapłacił.

Oczywiście ona nie miała pojęcia, że to byłem ja.

Że to ja za to odpowiadałem.

To by ją zraniło jeszcze bardziej. Ta dziewczyna była zbyt uczciwa i zbyt dobra, żeby zrozumieć, że czasami właściwą rzeczą, jaką należy zrobić, jest ta, którą ludzie uznaliby za złą.

Znacie tę starą zasadę.

Oko za oko, ząb za ząb.

Jedyne, czego żałowałem, to że nie zabrałem mu więcej.

Bóg wie, że o mało jej nie zniszczył.

Damian, zmieszany, nie wiedząc, czy powinien drażnić temat, przestąpił z nogi na nogę. Jakby chciał dotrzeć do sedna, nie mówiąc o tym na głos. Jakby się bał, że mnie wkurzy.

Bystry gość.

Bo prawda wyglądała tak, że byłem o krok od wpadnięcia w szal.

– Jest bardzo ładna.

W mojej piersi zadudnił obłąkańczy śmiech.

Ładna.

Nie, to zupełnie nie tak.

Jest, kurwa, prześliczna.

Ta dziewczyna była jak stworzona pode mnie. Była repliką każdej mojej fantazji.

Ale to jej wewnątrz zwałało mnie z nóg.

Bezinteresowne, dobre.

Ta dziewczyna była jedyną osobą, która rzucała światło na tyle silne, żeby wyciągnąć mnie z mroków. Tą, która posiadała moc wyrwania mnie z ciemnych wód, w których tonąłem, na granicy poddania się.

Dokładnie tam, gdzie było moje miejsce.

Ale ta dziewczyna... ona wlała we mnie oddech.

Dzięki niej mogłem choć na chwilę oderwać się od swojego bólu.

Przeciągnąłem drżącą dłońią przez włosy. Kurwa, już na samo wspomnienie o niej, stojącej tam w Latarni, prawie mi stawał, i to powinno być wystarczającym ostrzeżeniem.

Znowu to robiłem. Marzyłem o przedarciu się przez te wszystkie

bariery, których nie wolno mi było przekraczać.

Świerzbiło mnie, żeby jej posmakować. Dotknąć. Posiąść.

Aż mnie skręcało, gdy myślałem o tym, jak wyglądała, kiedy ją zobaczyłem we wtorek.

O tym, jaki wciąż miała na mnie wpływ.

Kutas mi stwardniał, podczas gdy te wszystkie skamieniałe, najeżone, pokiereszowane miejsca we mnie chciały zmięknąć.

Roztopić się pod tą słodyczą i niewinnością.

Mrowiły mnie palce, gdy sobie wyobrażałem, że mógłbym zanurzyć je w te fale, teraz dłuższe niż wcześniej, w tę gęstwinę pięknych włosów, tak jasnych, że były prawie białe.

Do ust napłynęła mi ślina na myśl, że mógłbym jeszcze raz skosztować tych miękkich warg, zawsze uwodzicielsko nadąsanych.

Pewnie nie powinienem być zaskoczony, kiedy ten dupek doskoczył do niej jak jakiś rycerski wyzwoliciel. Roszcząc sobie do niej prawo. Biorąc to, co należało do mnie.

Ale to ja byłem dupkiem. Aż takim, że pozwoliłem jej odejść.

Z początku poczułem zazdrość. Ale nie chciałem, żeby to się więcej powtórzyło.

Co nie znaczy, że patrzeć, jak ją tuli pocieszająco, nie bolało.

Czy miał ją w ten sposób, w jaki ja ją miałem?

Pozwoliła mu na to?

Czy wiedział?

Zastanawianie się nad tym budziło niepokój, palce świerzbiły chęcią wyrwania sobie wszystkich włosów, mój masochistyczny umysł przyłgął do wyobrażenia innego mężczyzny dotykającego Edie.

Boże, jaki ze mnie był samolubny fiut.

Ale byłem taki przez całe pieprzone życie.

Brałem coś dobrego i niszczyłem to.

Cholera.

Nie chciałem taki być.

Nie chciałem dłużej być nieudacznikiem, sprawcą nieszczęść, niszczycielem czyjś życia.

Tylko że naprawienie tych wszystkich krzywd, które wyrządziłem, wydawało się niemożliwe.

Już zawsze miałem żałować, że zrujnowałem życie Edie i zniszczyłem ostatnie dobro w swoim.

– No co ty, chłopie, po prostu idź do niej... i z nią pogadaj. – Damian wzruszył ramionami, jakby rozwiązanie było proste i oczywiste.

Sapnąłem z rozdrażnieniem.

– Mam z nią pogadać? Przecież jasno dała do zrozumienia, że nie chce mnie widzieć, a co dopiero rozmawiać. Poza tym nie znam numeru jej telefonu, nie mogę do niej zadzwonić.

Damian podrapał się za uchem palcem wskazującym i wbił oczy w podłogę. Tak jak zawsze, gdy czuł się winny. W końcu spojrzał na mnie.

– Wiesz, że Deak ją zna, prawda?

Zamarłem. Twarz skurczyła mi się grymasem wściekłości, gdy ta myśl wsiąkła.

– Co to znaczy, że ją zna?

Deak był właścicielem domu, w którym mieszkaliśmy. Trzy miesiące temu Damian i ja przyjechaliśmy do Santa Cruz z planem, że nie zatrzymamy się tu dłużej niż tydzień czy dwa, tak jak zawsze. Ale tego wieczoru, gdy pierwszy raz zagrałem w Latarni, Damian i Deak wdali się w rozmowę. I szybko się okazało, że obaj są uzależnieni od morza i od surfingu; Deak dorastał na wielkich falach Australii, podczas gdy Damian mierzył się bohatercko z lodowatymi wodami wybrzeża stanu Waszyngton.

Tamtego wieczoru Deak zaproponował nam, żebyśmy u niego zamieszkali. Twierdził, że szukał kogoś, komu mógłby wynająć pokoje w domu, który odziedziczył po dziadkach. Mieszkał w nim sam przez ostatnie dwa lata, od czasu przyjazdu do Stanów.

Odpowiedziałem, że nie wiem, na jak długo chcemy się tu zahaczyć, nie zamierzałem dać się przywiązać do jednego miejsca.

Nie w sytuacji, gdy nie wiedziałem, gdzie jest to moje właściwe ani dokąd zmierzam.

Mimo to siedzieliśmy w Santa Cruz już trzy miesiące.

Dom stał na klifie nad oceanem. Co noc uszy wypełniał mi odgłos fal, który mnie przyzywał i jednocześnie odpychał, jego obecność była silna i namacalna. Tak jak zawsze w pobliżu morza.

Właśnie z tego powodu nigdy nie udało mi się odjechać dalej.

I pewnie dlatego czułem się tak niesamowicie przywiązany do Santa Cruz.

Chociaż w tym przywiązaniu było coś jeszcze, coś, czego do końca nie pojmowałem.

Aż do teraz.

Aż pojawiła się ona.

I niech mnie szlag, jeśli to nie wyglądało na przeznaczenie.

Ze ściągniętymi brwiami Damian przechylił głowę na bok i zaczął wyjaśniać.

– Ten gość? Ten, którego chciałeś rozerwać na strzepy?

Kiwnąłem głową.

Jakbym mógł zapomnieć.

– Ma sklep surfingowy, w którym Deak czasami pomaga. Ma na imię Jed. Okazuje się, że twoja dziewczyna też tam pracuje, jako kasjerka. Mieszka z tym Jedem i jego siostrą w małym domku kilka kilometrów stąd. Wygląda, że Jed wspomniał coś Deakowi o tym, że dziewczyna spanikowała z powodu jakiegoś chłopaka, który grał w Latarni. Deak dodał dwa do dwóch i dzisiaj rano spytał mnie, czy wiem, skąd znasz Edie Evans. Mówił coś, że to urocza dziewczyna, której nie są potrzebne dodatkowe problemy.

W żyłach zapłonął mi gniew.

Mieszka z nim.

Może jeszcze sypia?

Odwróciłem się i przeciągnąłem ręką po karku, rozmasowując ściągnięte mięśnie. Nie byłem pewny, czy mam siłę myśleć o tym, co ten fakt oznaczał.

Może cholerne przeznaczenie jednak się spóźniło.

– Nigdy cię nie widziałem takiego nakręconego, stary. Ona jest inna niż reszta? – spytał Damian.

Wiedziałem, co miał na myśli. Pytał, czy chodzi tylko o mnie i o chęć zamoczenia fiuta. Czy Edie była jak te inne dziewczyny, które dmuchałem w każdym mieście, w którym się zatrzymywaliśmy.

Pragnąc, by ktoś lub coś zapełniło próżnię.

Mimo że wiedziałem, że to niemożliwe.

Ale przynajmniej na kilka napędzanych seksem chwil mogłem

zapomnieć.

Z Edie nigdy o to nie chodziło. Chociaż właśnie przez to na koniec wszystko spierdoliłem.

Zacząłem jej pożądać aż tak, że straciłem głowę. Nie myślałem jasno. Przez to wdeptałem w ziemię to, co mieliśmy.

– Taa, człowieku. Jest inna.

Bardzo inna.

Inna, doskonała, porządna.

Zbyt doskonała dla mnie.

Ale to nie oznaczało, że za nią nie tęskniłem każdą popieprzoną częścią siebie.

Damian westchnął.

– Wygląda, że masz do naprawienia kilka błędów.

Poczucie winy zatętniło w moim sumieniu, ciężkie i twarde, duszące. Spojrzałem na sufit, słowa wyznania przeciskały się przez moje usta z bólem.

– Popełniłem tyle błędów, że nigdy nie zdołam ich naprawić.

Są błędy, których nie da się cofnąć.

Damian mógł mnie uważać za porządnego gościa.

Ale mylił się.

– W takim razie zabieraj się lepiej do roboty, przyjacielu, bo siedząc tu i zachowując jak skończony dupek, nie zarobisz żadnych punktów.

W głowie usłyszałem jej łamiący się głos. Poruszający mnie tak samo jak kiedyś jej dłonie wczepione błagalnie w moją koszulkę.

Kiedy jestem z tobą, to nie boli tak bardzo.

W tym ciemnym, ciemnym miejscu zapłonęła iskierka nadziei.

W miejscu, do którego dotrzeć mogło tylko jej światło.

Popełniłem tyle błędów, błędów, których nigdy nie zdołam naprawić.

Ale może... może... w tym jednym przypadku uda mi się coś zrobić.

Rozdział 4

Austin – lat siedemnaście

Wierciłem się i rzucałem. Skopywałem z siebie kołdrę. Gapiłem w ciemny sufit.

Wszystko mnie parzyło, krępowało. Skórę miałem śliską od potu, cholerne serce waliło o wiele za szybko.

Na dnie żołądka rozlewał się niepokój, gdy tak się wsłuchiwałem w odgłos cichego płaczu przesączający się przez ścianę łączącą mój pokój z sąsiednim.

Strach i smutek.

Czułem to. Rozpoznawałem.

Nawet pomimo, że szloch był zagłuszany poduszką.

Ścianami i odległością.

Rozpoznawałem.

Ześliznąłem się z łóżka. Szarpiąc włosy, krążyłem po pokoju i słuchałem jeszcze przez chwilę.

Co, do diabła, powinienem zrobić?

To była dziewczyna, która nie miała śmiałości nawet na mnie spojrzeć, gdy stanęła w drzwiach wejściowych, podczas gdy jej brat u jej boku szczyrzył się jak idiota, cały zachwycony, że może oznajmić, iż jego siostra zostanie z nami na lato. Zespół miał wtedy przerwę w koncertach.

Boże. Chociaż głowę miała spuszczoną i tak była najcudowniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Dziewczyny pojawiały się w tym domu i znikwały.

Przez cały cholerny czas.

Seksowne i grzeszne.

Kurewsko łatwe.

Nikommu nie zdawało się to przeszkadzać, że ja też z nich korzystałem, jakbym był jakimś pokreconym, popierdolonym członkiem ich grupy.

Te laski zawsze były chętne.
Zadowolone, że mogą dostać cokolwiek.
Nawet jeśli to byłem tylko ja.

Outsider, marzący o tym, by był wystarczająco dobry, żeby wyjść na scenę.

Ale ta dziewczyna? Kompletnie mnie zignorowała, chociaż czułem, że po raz pierwszy w życiu oczy mam otwarte i w końcu widzę.

Bo czułem je. Kurwa, czułem. Te szybkie spojrzenia. Ukradkowe zerknięcia napędzane dziwną ciekawością, z której żadne z nas nie potrafiło się otrząsnąć.

Jasne. W przeszłości, kiedy byliśmy jeszcze tylko dzieciakami, kilka razy ją widziałem.

Wtedy?

Nie robiła na mnie żadnego wrażenia.

Teraz?

Piorunujące.

Teraz wiedziałem, że ponagla mnie coś potężnego. Przywołując z tamtego pokoju.

Pokoju, którego granic nie miałem prawa przekraczać.

Kolejny zduszony szloch, który rozdarł mi serce niczym sztylet. Więcej nie mogłem znieść. Nawet nie dałem sobie czasu na zastanowienie się, nagle decyzja zapadła gdzieś w głębi podświadomości, gdy opadłem na kolana, żeby móc dogrzebać się na tył szafy.

Wyciągnąłem stamtąd to, co trzymałem ukryte w małej skrzyneczce, i zacisnąłem w dłoni, z wdzięcznością witając ulgę, jaką mi to przyniosło. Na ułamek sekundy pozwoliłem pieścić się głosowi babci, tak jak pieścił mnie on, gdy babcia dawała mi ten podarunek, kiedy miałem osiem lat.

Podarunek, który przyjąłem, udając, że na niego zasługuję.

„Trzymaj to przy sobie, słodki chłopcze. Gdy będziesz się bał albo będziesz miał koszmary, to je zatrzyma. Uspokoisz się, poczujesz się bezpieczny. Kiedykolwiek będziesz tego potrzebował, pomyśl o mnie i przypomnij sobie to, co ci teraz mówię”.

Wiedziałem każdą częścią siebie, że ta dziewczyna tego

potrzebuje.

Że na to zasługuje.

Wymknąłem się za drzwi i z plecami przy ścianie skradałem się wolno korytarzem, kryjąc się w cieniu.

Jak jakiś węszący po domu zboczony skurwiel.

Jakaś część mnie krzyczała, że robię coś złego.

Przekraczam niewidzialną linię narysowaną przed jej drzwiami.

Ale reszta mnie zwyczajnie miała to gdzieś – wolno, cicho przekręciłem gałkę i wśliznąłem się w mrok pokoju gościnnego.

Do środka wsączało się światło księżycy obmywające jej białe włosy miękkim mlecznym blaskiem, skórę miała niemal alabastrową.

Niech mnie diabli, jeśli mnie nie przytknęło. Żołądek zawiązał mi się w tysiące supłów.

Dałem ostrożny krok przed siebie.

Podłoga zaskrzypiała, a ja o mało nie zemdlałem.

Jej drobne ciało zeszywniało, bez wątpienia wyczuła moje nadejście, chociaż była odwrócona plecami. Zobaczyłem, że szczelniej zasłoniła twarz kołdrą.

Wyglądała na taką cholernie przerażoną. Poczułem, że moje kruche poharatane serce znowu zaczyna pękać.

Wydawało się to niemożliwe, że ta zupełnie obca dziewczyna może wzbudzić we mnie tak silne współczucie.

A jednak nie potrafiłem zdusić wewnętrznej potrzeby przyniesienia jej ukojenia. Usunięcia jej bólu.

Wszystko inne rozmywało się, mój wzrok skupił się na jednym celu.

Nie mogłem zapanować nad palcami, żeby nie drżały, gdy czule przeciągnąłem nimi przez jej włosy, nie mogłem zignorować przyływu fali energii, która zapulsowała mi w żyłach.

– Cii... jestem z tobą.

Sapnęła pod moim dotykiem. I choć prawdopodobnie oboje byliśmy zszokowani, nie ulegało wątpliwości, że jej spięte ciało rozluźniło się, że odetchnęła drżąc z ulgą.

Jakby może rozumiała, że przyszedłem ją utulić.

Nigdy skrzywdzić.

To wystarczyło, żebym wdrapał się na łóżko i położył za nią.
I przyciągnął w objęcia.

W reakcji na ten kontakt ostro wessałem powietrze w płuca.
Jakbym nabierał pierwszy prawdziwy oddech od dnia, w którym ukradłem go jemu.

Światłość.

Odbijała się od ciemności spowijającej moje serce.

Boże. Kim ona jest, ta dziewczyna?

Z wahaniem odwróciła się do mnie.

Turkusowe oczy, cierpiące i zdumione, popatrzyły na mnie w przyćmionym świetle.

Mimo to te oczy błyszczały jak mocno wyszlifowane diamenty.

Wszystko drżało i trzęsło się.

Moje serce, moja dusza, mój umysł.

Strach i zachwyty.

Przeływały między nami jak obraz w dwóch lustrach odbijających się w sobie w nieskończoność.

Przez wieczność.

Gardło miałem zaciśnięte. Przytuliłem ją bardziej, moje usta wycisnęły ocean pocałunków na jej zmierzwionych włosach, na miękkiej skórze czoła. Podniosłem obręcz z zawiłą siecią nad nasze głowy i zduszonym szeptem powiedziałem:

– Widzisz. Nie musisz się bać. To... pochwyci twoje sny. One nie mają nad tobą władzy. Nie mogą cię skrzywdzić. Trzymaj to przy sobie, to zyskasz spokój i będziesz bezpieczna.

Miałem nadzieję, że mnie też pozwoli, bym jej to zapewnił.

Rozdział 5

Edie

Fale uderzały o brzeg i odpływały. Odgłos, jaki temu towarzyszył, brzmiał jak odgłos odległej burzy. Znajomy rytmiczny szmer oceanu wpadał do środka przez otwarte okno, obramowujące je zasłony wydymała delikatna bryza.

Spokój.

To jedyna rzecz, której wszyscy łakniemy. Mamy wrodzoną potrzebę czucia się bezpiecznym i chronionym przed szalejącymi wokół nas sztormami.

Ja jednak czułam, że już dawno nie byłam taka niespokojna.

Przycisnęłam kóldrę trochę mocniej do piersi i drżąc, zwinęłam się w łóżku w kulkę.

Nadal pozostawałam więźniem nocy.

Koszmarów, które przez wieczność będą mnie trzymały w swoim uścisku.

Czaiły się tam zawsze. Ale odkąd Austin znowu pojawił się w moim życiu, uaktywniły się. Jakby szydziły ze mnie w zemście za te chwile spokoju, jakie mi kiedyś podarował. Ze współczuciem i czułością, które tylko on mógł mi okazać.

Jakby macki jego pocieszenia wyciągały swoje wrzecionowate palce, wijąc się i szamocząc, będąc tuż na wyciągnięcie ręki.

Kiedy się obudziłam?

Nigdy nie czułam się taka samotna.

Zadławiłam się szlochem, który tłumiłam, żeby swoje cierpienie zachować w tajemnicy. Poczucie straty uderzyło we mnie jak nieme gradobicie.

Serce dudniło gwałtownie.

Rozdzierane w każdą stronę.

Stęsknione za połączeniem.

Z jedyną osobą, która kiedykolwiek naprawdę rozumiała.

Wiedziałam, że nie powinnam podążać tym torem – nie powinnam się tak torturować – ale mimo wszystko wyplątałam się z poskręcanej pościeli i z zaczerwienionymi oczami nachyliłam do szafki nocnej. Otworzyłam dolną szufladę i zaczęłam w niej grzebać, wiedząc dokładnie, gdzie to jest, zważywszy, że tuliłam to do siebie prawie każdej nocy. W sekundzie, w której zamknęłam to w dłoni, łzy popłynęły swobodnie.

Niepohamowane, ale jednak tamowane przez te wszystkie mury, które musiałam na siłę wznieść z powrotem, żeby ochronić tę jedną rzecz, która zawsze będzie znaczyła dla mnie najwięcej.

Biorąc drżący oddech, przekręciłam się na plecy i podniosłam to w górę.

Pozwalając mu wisieć w powietrzu niczym milcząca obietnica.

Piórka tańczyły poruszane bryzą, a kolorowe błyszczące paciorki nanizane na skórzane paski mieniły się w promieniach słońca wdzierających się do pokoju przez okno.

Obręcz ważyła tak niewiele. Wydawało się, że jest utkana ze światła.

Wspomnienia zaczęły wirować, zupełnie jak ta sieć, która miała łapać moje sny.

„Jesteś bezpieczna. Jesteś bezpieczna. Nic nie może cię skrzywdzić. Nie pozwolę na to”.

Ile razy to obiecywał?

Serce zacisnął mi stary ból. Zawsze wiedziałam, że nigdy nie będę mogła zostawić tego za sobą. Że będzie mnie nawiedzało jak duch. Tylko że nigdy nie sądziłam, że te duchy kiedyś mnie dogonią.

Ktoś zapukał do drzwi. Przez chwilę czepiałam się wspomnień, nadziei, która wydawała się co najwyżej marzeniem sennym, zanim wetknęłam łapacz snów pod poduszkę.

Potem szybko odepchnęłam od siebie rozpacz, tak jak to robiłam zawsze, udając, że wszystko jest w porządku. Ocierając łzy, których istnienia nie akceptowałam, oszukiwałam samą siebie, że nie istnieją.

Tak długo właśnie to wydawało się właściwym postępowaniem. Nakładanie maski dzielności i przybieranie fałszywego uśmiechu. Spychanie tego wszystkiego w przeszłość i zapominanie. Tak jak

obiecowała matka, że pewnego dnia się stanie.

Że zapomnę.

Ale zaczynałam się zastanawiać, czy usiłowanie pokonania tego dystansu nie było z mojej strony zwykłą naiwnością. Bo ta odległość była nie do pokonania. Nieprzekraczalna. Ja, zwykła dziewczyna, patrząca na wysoką górę, której nigdy nie zdoła pokonać.

Drzwi się otworzyły.

Do środka wetknęła głowę Blaire, posyłając mi radosny uśmiech niewiniątka, za którym w rzeczywistości kryły się całe tony przebiegłości.

Weszła do pokoju.

Bez zaproszenia.

Nie żebym była zaskoczona czy cokolwiek.

Wbijanie bez zaproszenia to był jej modus operandi.

Śmieszne, bo tylko jeszcze bardziej ją przez to lubiłam.

Przywdziałam promienny uśmiech, który nigdy nie wydawał się aż tak wymuszony, gdy byłam ze swoją najlepszą przyjaciółką. Ona po prostu już tak miała, z łatwością wyciągała ze mnie uśmiech i radość.

Gęste kasztanowe włosy miała związane w skołtuniony kok na czubku głowy i była ubrana w stary znoszony podkoszulek z podartym dekoltem. Podkoszulek spadał z jednego ramienia, a spodenki były tak krótkie, że wyglądały, jakby ich w ogóle nie było.

– Hej – rzuciłam i odchrząknęłam, bo łamał mi się głos. Robiłam, co mogłam, żeby wyglądać normalnie, mając nadzieję, że nic po mnie nie widać. Bo ostatnią rzeczą, jaką chciałam, to wzbudzić w Blaire niepokój. Jeszcze zaczęłaby kopać i zaglądać w miejsca, do których nie mogłam pozwolić jej wejść.

Usiadłam i skrzyżowałam nogi.

I poczułam się trochę nieswojo. Totalnie rozpoznawałam to spojrzenie.

Blaire wskoczyła na łóżko i usiadła twarzą do mnie, w tej samej pozycji co ja.

– Gadaj – rozkazała.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach. Miałam nadzieję, że wygląda to jak gest obronny, chociaż w rzeczywistości próbowałam powstrzymać

się przed rozpadnięciem.

– Nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi.

Jej oczy zwęziły się.

– Gówno prawda. Kłamiesz jak z nut, Edie Evans. A wiesz, jak nienawidzę, kiedy ktoś mnie okłamuje.

Roześmiałam się krótko, potrząsając głową. Kłamałam od bardzo, bardzo dawna.

– Po prostu nie ma o czym mówić.

Ściągnęła brwi.

– Wiesz, że jesteś najgorszą kłamczuchą w historii świata?

Przekrzywiła głowę i przysunęła się trochę bliżej, żeby mi się przyjrzeć, jakby próbowała rozwikłać jakąś zagadkę.

– Nie kłamię – wymamrotałam.

Usta zdrzały mi leciutko w kąciku. Tylko trochę.

– Widzisz. – Wycelowwała we mnie palcem wskazującym. – To. Właśnie. Tutaj. – Machnęła mi dłonią przed twarzą, jakby przedstawiała dowód rzeczowy. – Ten mały tik masz zawsze, ilekroć to, co wychodzi z twoich ust, nie jest do końca i całkowicie prawdą. W sumie to nawet urocze.

– Nieprawda.

Znowu drzenie kącika.

– Ha! – Ponownie pokazała na moje usta, cała szczęśliwa, że przyłapała mnie na gorącym uczynku.

Przygryzłam dolną wargę.

Mocno.

Boże. Kiedy ona zaczęła mnie widzieć na wylot?

Prychnęła, to też wyłapując.

– Szczerze wątpię, żeby to coś pomogło. Daj już spokój i po prostu mów, co się dzieje. Znam cię lepiej, niż sądzisz i widzę, że paradujesz tu z przyklejonym uśmiechem, udając, że jesteś najszcześniejszą osobą na świecie, chociaż to oczywiste, że czegoś ci brakuje. Masz świetną pracę. Mieszkasz nad samym morzem. Że nie wspomnę o cholernie fajnej przyjaciółce.

Okej. Skromność może nie była jej szczególnie mocną stroną.

Mówiła dalej.

– I nie zapominajmy o Jedzie. Wiesz, ten mój duży braciszek, który zakochał się w tobie od pierwszego wejrzenia, a ty nie posunęłaś się nawet do tego, żeby rzucić biedakowi ogryzioną kość? I zważywszy, że niemal każda dziewczyna w promieniu stu kilometrów prawdopodobnie zrobiłaby wszystko, żeby się do niego dorwać, a ty unikasz go, jak tylko możesz... – Palcem wskazującym obrysowała moją twarz. – Wiem, że coś się dzieje w tej twojej małej główce.

– Lubię moją pracę.

Zero drzenia ust. Można to było uznać za małe zwycięstwo.

Prawda była taka, że uwielbiałam swoją pracę.

Co z tego, że generalnie zignorowałam pozostałe jawne insynuacje Blaire? Te o jej bracie i mojej udawanej radości?

Nie byłam w nastroju do poruszania tych tematów.

Do Santa Cruz przyjechałam przed czterema laty.

Zagubiona.

Ze złamanym sercem.

Przestraszona, samotna, bezbronna.

Znowu byłam dokładnie w miejscu, w którym obiecywałam sobie, że już nigdy się nie znajdę.

Ale przynajmniej miałam wybór i mogłam odejść. Miałam wybór, mogłam ochronić tę małą resztkę, która mi jeszcze została.

Nigdy więcej nie pozwolę nikomu ukraść sobie wyboru.

Jed zatrudnił mnie od razu, gdy po zobaczeniu na drzwiach jego sklepu kartki z napisem, że szukają pomocy, weszłam i zapytałam, czy mnie przyjmą. Blaire i ja zaprzyjaźniłyśmy się i wkrótce potem wynajmowałam trzeci pokój w nadbrzeżnym domku rodzeństwa.

Blaire prychnęła drwiąco.

– Nie powiedziałam, że nie lubisz swojej pracy. Ale przez ostatnie dwa dni łazisz z grobową miną, zupełnie jak te laski emo. A wcale ci to nie pasuje, serio. To znaczy, no błagam, nie masz nawet czarnych włosów.

Och, sarkazm.

Blaire cmoknęła.

– Coś mi wygląda, że w głowie i w majtasach zawrócił ci ten superprzystojny wokalista.

Na to jawne pomówienie o mało się nie udławiłam.

Widząc moją reakcję, Blaire złagodziła ton.

– Od tamtego wieczora nie jesteś sobą, Edie. – Wygięła jedną brew. Nie potrafiłam ocenić, czy w wyrazie zrozumienia, czy oskarżenia.

– A może właśnie wreszcie jesteś, bo odnalazłaś brakującą część.

Tym razem już się zadławiłam.

Czasami Blaire bywała nadmiernie spostrzegawcza.

Tylko że w tym tkwił cały problem. Brakujących części było tak wiele, że została ze mnie jedynie pusta skorupa.

– I przy okazji, totalnie kupuję te tatuaże. Wygląda z nimi tak... niebezpiecznie.

Nie miała pojęcia.

– I te usta... widziałaś te usta? – jęknęła z przesadą i powachlowała się dłonią, jakby dostała uderzeń gorąca. – Żaden facet nie powinien mieć takich ust. To niesprawiedliwe.

Taa. Widziałam te usta. Czułam je, gdy muskały mój policzek, kiedy usypiał mnie cichym śpiewem. Czułam ich delikatną, miękką fakturę na swojej skórze.

Wolno pokręciłam głową.

– Mówiłam ci już... to tylko ktoś, kogo znam z LA. Nie spodziewałam się, że go zobaczę. Nie rozstaliśmy się w szczególnie dobrej atmosferze.

– Kochanek? – Miała czelność powiedzieć to z nadzieją w głosie.

Westchnęłam.

– Nie.

To było, niestety, o wiele bardziej skomplikowane.

– Przyjaciół? – dążyła.

Zrezygnowana, spojrzałam na nią, przełknęłam grudę tak wielką, że byłam pewna, że za chwilę odetnie mi dopływ powietrza do płuc. Bóg wiedział, że potwierdzenie spowodowało, że zakręciło mi się w głowie.

– Najlepszy.

Blaire wygięła brwi.

– To znaczy, że powinniście dać sobie buzi i się pogodzić.

Fuj.

Coś takiego mogła powiedzieć tylko Blaire.

Pokręciłam głową.

– Nie powinnaś raczej stać po stronie brata?

Wzruszyła jednym ramieniem, nonszalancko.

– Och, daj spokój, Edie. Mój brat może sobie łązić za tobą jak zakochany szczeniak, ale żadna z nas nie potrzebuje udawać, że ma do ciebie jakiegokolwiek prawo, gdy wszyscy wiemy, że tak nie jest.

Poczułam ukłucie wyrzutów sumienia, zamrugałam szybko.

– Zawsze byłam wobec Jeda tylko i wyłącznie szczerą.

Brutalnie szczerą.

Robiłam, co mogłam, żebyśmy nie wychodzili poza sferę przyjaźni. Mimo to on naciskał i naciskał, choć nie nachalnie. Sądząc, że któregoś dnia mnie zmęczy.

Po prostu nie chciał przyjąć do wiadomości, że ten dzień nigdy nie nastąpi.

Blaire pokazała na drzwi.

– Co noc mój brat śpi po drugiej stronie korytarza, ale ja ani razu nie przyłapałam żadnego z was wymykającego się z pokoju drugiego. Założę się, że nawet nie zgrzeszyłaś z nim, co?

Skrepowana, odwróciłam wzrok, spojrzałam za okno na wzburzone morze za nim, wiedząc, że Blaire tylko mnie podpuszcza. Próbuje sprawić, żebym się otworzyła. Wyznała prawdę do końca.

Bo nie była głupia i chociaż bardzo się zaprzyjaźniłyśmy, doskonale sobie uświadamiała, że nie dopuściłam jej do wszystkich swoich tajemnic.

Ściągnęłam brwi na znak urazy.

– Dobrze wiesz, że tego nie zrobiliśmy.

Zadarła brodę, wyrzucając z siebie oskarżycielsko:

– A dlaczego nie?

Nie odpuszczała.

Potrząsnęłam głową i spojrzałam na nią.

– Już ci mówiłam. Nie wdaję się w przelotne przygody. – Tyle że to zrobiłam.

Kiedyś, raz.

I ta przygoda była moją zgubą.

Potem, gdy kilka lat później szukałam schronienia w domu Sunder,

pozwoiliam sobie na szaleństwo. Spróbowałam swojej ręki w miłości. Otworzyłam się i podarowałam Austinowi te rozbite części, które jeszcze zostały, ufając, że utrzyma je razem.

Niestety jedyne, co zdołał zrobić, to wysadzić to rumowisko w powietrze, zamieniając je w pył.

Blaire wyrzuciła ręce w górę.

– Och, przestań, Edie. – Wyraz jej twarzy przemienił się w coś poważnego. – Wiem, że nie trzymasz mojego brata na dystans, bo jesteś cnotką. Inaczej miałabyś już obrączkę na palcu i żylibyście razem długo i szczęśliwie. Sama wiesz, że mój brat na sto procent pisałby się na coś więcej niż tylko przelotną znajomość. Więc równie dobrze możesz się przyznać i powiedzieć prawdę, bo wiem, że ten nedorzecznie słodki chłopak z gitarą nie jest jakimś przypadkowym facetem, z którym miałaś małe sprzeczkę i się rozstaliście.

Milcząc, wykręcałam dłonie.

Blaire, zawiedziona, potrząsnęła głową.

– Jesteś moją przyjaciółką, a ja nawet cię nie znam. Nie wiem, kim jesteś, skąd jesteś ani dlaczego na widok jakiegoś chłopaka kompletnie ci odbiło. Ale za to wiem, że się ukrywasz i że tak jest od chwili, gdy tu przyjechałaś. I pomimo tego wszystkiego, naprawdę mi na tobie zależy. Ale nie mogę ci pomóc, jeśli nie będę wiedziała, z czym się mierzymy.

Zaufanie.

Niełatwo mi było je okazywać komukolwiek.

Nie okazywałam go nikomu od dawna.

Od czasów Austina.

Lęk opadł na mnie niczym całun. Po krzyżu zaczęły mi chodzić zimne dreszcze. Zdusiłam jednak ten strach i siłą wypchnęłam słowa na wyschnięty język. Bo może Blaire miała rację. Może to była właściwa pora, żebym wyjawiała jej coś więcej niż tylko drobne szczegóły ze swojej przeszłości. Bo Bóg mi świadkiem, że nie wiedziałam, jak mam poradzić sobie sama z tą katastrofą.

– On ma na imię Austin. Austin Stone.

Poraniony chłopak, który stał się moim życiem. Moją osłoną.

Tylko że powinnam była wiedzieć, że czasami zniszczenia są nieodwracalne.

To był pokiereszowany chłopak, zaplątany w tego rodzaju problemy, które trzymają cię na smyczy jak psa, a potem ciągną na dno drogą destrukcji. Chłopak, który napychał sobie żyły, żeby zdławić ból. Zdławić cierpienie, które nosił na sobie jak drugą skórę, a wszystko po to, żeby mógł udawać, że jego własne demony nie istnieją.

Mroczne demony.

Wtedy, gdy go spotkałam?

Miałam już wymyślone swoje własne.

Powinłam była wiedzieć, że to połączenie się zemści, zniszczy te ostatnie resztki, jakie nam zostały.

Przy następnym wyznaniu mój głos przeszedł w szept.

– Jest młodszym bratem Sebastiana Stone’a.

Przez chwilę Blaire wyglądała na skołowaną, potem szeroko rozdziawiła usta.

– Chwila. Mówisz o tym Sebastianie Stonie? Wokaliście Sunder?

Z rezerwą kiwnęłam głową.

Pacnęła się dłonią w czoło.

– O mój Boże. Jak mogłam go nie rozpoznać? Tak mi się zdawało, że wygląda jakoś znajomo. To znaczy, oni są do siebie podobni jak dwie krople wody. I ten głos, i to jak gra na gitarze? Och. Mój. Boże.

To była prawda.

Byłam trochę speszona, strwożona tym, że Austin tak się zmienił i teraz był tak bardzo podobny do starszego brata. Chociaż zarazem jakoś zupełnie mnie nie zaskoczyło, że mój piękny poraniony chłopak zamienił się w dewastująco cudownego mężczyznę.

Mojego.

Ból okładał mnie z każdej strony.

Miał być mój.

A wylądowałam tutaj.

Samotna, chociaż nie musiało tak być.

Blaire uśmiechała się, ledwie jej się udawało hamować ekscytację. Jakby momentalnie zupełnie zapomniała o moich problemach.

– Ja cię kręcę. To dopiero news. Naprawdę bomba. Gdzie ty, do cholery, spotkałaś Austina Stone’a? Chciałam powiedzieć... znasz jego brata? – Podskoczyła na łóżku jak jakaś napalona fanka. – O mój Boże,

powiedz, że poznałaś resztę zespołu.

Znowu, szykując się do kolejnego wyznania, ze zdenerwowania zeszywniałam, czułam, że mam sucho w gardle.

Zbierałam odwagę na to, żeby wpuścić Blaire do miejsc, do których nigdy nikogo nie wpuszczałam.

Tak wiele już straciłam.

Każdą pojedynczą rzecz, którą kochałam.

Wszystkich, których kochałam.

Rodzinę, nadzieję i marzenia.

Wszystko zależne od jednego błędu.

Jedynego, który popełniłam, gdy miałam czternaście lat.

Gdy byłam naiwną, głupią, nierozsądną małą dziewczynką.

Ash był kolejną ofiarą tej brzemiennej w skutki nocy.

Która ścigała mnie niczym lawina pochłaniająca po drodze wszystko, co było dla mnie ważne.

Wyznanie wydusiłam niepewnym głosem.

– Blaire... Ash Evans to mój brat.

Wybałuszyła na mnie oczy. Zszokowana i zraniona.

– Co takiego?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi. Do środka zajrzał Jed. Uśmiechający się niepewnie.

– Mogę wejść?

Przełknęłam z trudem ślinę, mając nadzieję, że głos nie będzie mi się łamał. Wymusiłam na sobie uśmiech.

– Jasne.

Wszedł. Podszedł do mnie i wycisnął na moim czole niewinny całus, trochę dłuższy niż to było potrzebne, jego kciuk musnął mój policzek. Zawsze był dla mnie taki czuły. Niewinny, ale zawsze mający nadzieję na więcej.

– Jak się dzisiaj miewają moje dziewczyny? – spytał.

Wokół mnie zafalował smutek.

Każda dziewczyna byłaby dumna, mogąc nazwać się „dziewczyną Jeda”.

Ale myślę, że wiedziałam to już w tej sekundzie, gdy zobaczyłam

Austina siedzącego na tej scenie.

Potrząsnęłam głową, odrzucając swoje własne przekłete kłamstwo.

Bo wiedziałam to już od chwili, gdy wdrapał się na moje łóżko i zaczął mi szeptać do ucha. Od momentu, gdy jego dusza zatopiała się w mojej.

Nawet jeśli miałabym nigdy z nim nie być, na zawsze należałam do Austina Stone'a.

Rozdział 6

Austin

Płomienie wzbijały się ku ciemniejącemu niebu. Gałęzie w ognisku trzeszczały i strzelały iskrami. Zmierzch przywarł do firmamentu niczym ognisty koc czerwieni przeplatanej fioletami i błękitami, zachodzące słońce zanurzało się w wodzie na ostrej srebrzystej krawędzi oceanu. Fale były łagodne i ciche. Jakby uległy spokojowi wieczoru.

Przymknąwszy oczy, wziąłem głęboki wdech i poddałem się cały temu uczuciu. Pozwoliłem, by nade mną zapanowało. Drżałem wewnątrz i szamotałem się. Jakbym dzielił ten moment z nim. Jakby ta łączność nie została zerwana na zawsze.

Wszystko przeze mnie.

Prawie słyszałem jego unoszący się na falach śmiech.

Był inny niż mój.

Łagodniejszy. Miłszy. Niewinny.

Dobry.

Pierś mi się zacisnęła i ta pusta przestrzeń jęknęła w męczarniach.

Tak straszliwie mi przykro, Julianie. Tak przykro.

Z transu wyrwało mnie brzęczenie mojej komórki w kieszeni. Nagle, gdy już powróciłem do tu i teraz, dotarły do mnie otaczające mnie beztroskie głosy.

Obok na kawałku wybielałego pnia siedział Damian. Razem z Deakiem śmiali się i pili piwo.

Telefon zabrzączał ponownie.

Potem jeszcze raz.

Westchnąłem i wyciągnąłem go.

Przypuszczam, że wiedziałem już, kto dzwoni. Przez lata dawał mi przestrzeń. Czas na dorosnięcie i poukładanie sobie tego całego szajsu na własną rękę. Ale wyglądało, że cierpliwość mu się kończyła.

Z wahaniem dotknąłem kciukiem ikonkę przychodzących wiadomości.

„Wiem, że nie jesteś już dzieckiem. Cholera... nie widziałem cię od trzech lat. Pewnie nawet bym cię nie rozpoznał. Ale znam cię, Austin.

I wiem, że jesteś tam gdzieś i nadal się okładasz, obarczasz odpowiedzialnością, chociaż wina jest moja. Zawsze była. Zrozumiałeś to wreszcie? Bo cię potrzebuję”.

„To dla mnie ważne, Austin. Wracaj do domu. Wracaj do LA. Bo tu jest twoje miejsce”.

Ale właśnie tego mój starszy brat nigdy nie rozumiał.

To ja byłem winny.

Baz nie zgasił jego ostatniego oddechu.

Ten straszliwy ciężar znowu mnie przytłoczył. Ciężar, który, jak naiwnie sądziłem, zniknie, jeśli tylko oddzielę się od chłopaków, od brata.

Jakby odległość mogła zappełnić tę próżnię.

Ale powinienem był wiedzieć, że ta czeluść jest bezdena.

Wahałem się, co mam odpowiedzieć. Bo chciałem odpowiedzieć rzetelnie. Przestać być cipą i wziąć sprawy we własne ręce.

Jak zwykle wybrałem wyjście tchórza. Wystukałem odpowiedź.

„Próbuję układać swoje sprawy. Naprawdę, Baz. Przysięgam”.

Śmieszne, bo moja sytuacja wydawała się teraz bardziej skomplikowana niż kiedykolwiek.

Zamierzałem schować telefon z powrotem do kieszeni, ale on znowu się odezwał.

Domyśliłem się, że to odpowiedź od brata.

Ale nie.

Moje serce załomotało.

Na skórze poczułem mrowienie.

Ash.

Basista Sunder.

Starszy brat Edie.

Opadły mnie wyrzuty sumienia.

Zawsze tak było, gdy o nim myślałem.

Przez te tajemnice, które znałem i ukrywałem.

Przez to, że to ja byłem odpowiedzialny za to, że Edie odeszła w taki sposób.

Że łągałem na całego, gdy o nią pytał, chociaż szybko się zorientował, że byłem w to zaangażowany bardziej, niż się przyznawałem.

Czy wiedział, że ona tu jest? Czy się zastanawiał, martwił? Przewracał nocami we śnie niespokojnie, nie wiedząc, czy u niej wszystko w porządku?

„Kapela cierpi, człowieku. Twój brat cię potrzebuje. Myślę, że pora na rewanż, nie sądzisz?”

Oślepiające poczucie winy.

Ostro wciągnąłem powietrze w płuca.

– Kto to? – spytał Damian.

– Nikt – odparłem i szybko wetknąłem telefon do kieszeni. Na razie najlepiej było nie iść tą drogą. Nie wiedziałem jeszcze, jak mam rozmawiać z Ashem.

Nie, gdy była tu Edie, o której myślałem nieustannie.

Damian na ułamek sekundy zmarszczył czoło, potem wzruszył ramionami, porzucił temat i oddał się nastrojowi zabawy unoszącemu się w chłodnym powietrzu.

– No to, jakie to uczucie dojść do tego punktu? Zwłaszcza że niedługo dotrzesz na sam szczyt. – Damian z drugiej strony ogniska naigrywał się z Deaka.

Wcierając sól w ranę.

Jakby to, że ktoś kończy dwadzieścia siedem lat, oznaczało, że jest stary.

– Ano racja, chłopie – odrzekł Deak z mocnym australijskim akcentem, którego nie potrafił się pozbyć, ale który był niczym mniej, tylko przynętą. Gdziekolwiek się pojawił, gdy tylko otworzył usta, kobiety obsiadały go jak muchy.

Brunetka wisząca na jego ramieniu, którą poznał pięć minut wcześniej, stanowiła tego niezbity dowód.

Loki piaskowych włosów, które nosił do ramion, założył sobie za uszy. Gość był surferem na wskroś – szczupły, dzięki czasowi spędzonemu w morzu, opalony. Ubrany w zapinaną na guziki koszulę z krótkimi rękawami, szorty, stopy bosc.

Sponad brzegu puszek z piwem uśmiechnął się do Damiana.

– Powinieneś już chyba widzieć. Ten chłopak tutaj jest tylko coraz przystojniejszy, a panie coraz bardziej za nim szaleją. Niektóre rzeczy z wiekiem stają się po prostu lepsze i już.

Ja siedziałem na innym kawałku drewna przyciągniętym do tej części ustronnej plaży, przy której stało zaledwie kilka domów, w tym dom Deaka. Jego przyjaciółka brunetka zajęła miejsce obok mnie.

Siadając, posłała mi z ukosa nieśmiały uśmiech.

Miesiąc temu pisałbym się na to.

Ale nie teraz.

Nie, gdy była tu Edie.

Chociaż nie mogłem jej mieć, to jednak uczucie oddania sięgało głęboko.

Właśnie szykowałem się do wymyślenia jakiegoś sposobu na pozbycie się tej dziewczyny, gdy nagle zamarłem.

Bo poczułem nagły wzrost napięcia.

Duszącego.

Jakby ktoś przywalił mi w bebechy.

Zerwał się wiatr.

Podsycając ogień. Gorąco zapulsowało, parząc mi skórę.

Wzięłem głęboki oddech, chcąc się uspokoić. Poszukując kontroli, chociaż ona zawsze sprawiała, że chciałem ją stracić.

Obejrzałem się powoli, żeby spojrzeć przez ramię, wiedząc już, co zobaczę.

– Ach... jednak przyszliście, stary. – Głos Deaka ledwie do mnie docierał.

– No jasne, stary. Wiadomo było, że za nic bym tego nie przegapił.

Znajomy Deaka, Clay, zmierzając ku nam, rozkopywał piasek. Szczerzył się jak idiota, nie mając pojęcia, że sprowadza na mnie mój całkowity, absolutny koniec.

Pokazał kciukiem w bok.

– Pomyślałem, że przyprowadzę kilku znajomych, żeby było weselej. W końcu to twoje urodziny.

Tuż obok Claya kroczyła ta dziewczyna, która, jak się dowiedziałem, miała na imię Blaire.

Siostra tego dupka.

I ten dupek szedł tuż za tą dwójką.

Ale to widok osoby u jego boku sprawił, że oddech uwiązał mi w zaciśniętych płucach.

Cała ta gęstwina włosów powiewała wokół niej jak białe płomienie.

Światłość. Światłość. Światłość.

Czy ona wiedziała?

Czy miała choćby cień pojęcia, co ze mną robiła?

Jak wtargnęła w moją duszę niczym nabrzmiące fale. Wciągając pod powierzchnię. Ciągnąc w najmroczniejsze głębiny rozświetlone jej obecnością.

Jak promienie słońca, które przedarły się w otchłań.

Gdzie pocieszała i krzyżowała.

Ta dziewczyna była moją osobistą torturą.

Cienie tańczyły i igrały na jej twarzy, która była równocześnie szczupła i aksamitna. Wysoko osadzone wyraźne kości policzkowe schodzące ukośnie ku jej słodkim, pełnym ustom.

Te słodkie, słodkie usta, które pragnąłem pochłonąć.

Kutas mi drgnął, dłonie zacisnęły się w pięści.

Każda racjonalna część mnie szarpała się w poszukiwaniu jakiegokolwiek rodzaju hamulca, podczas gdy wszystkie inne wyrwały się, żeby po nią pójść.

Wsunąć dłonie w gęste, miękkie włosy.

Pocałować dziko.

Odebrać to, co zawsze powinno być moje.

Kurwa. Przez nią traciłem głowę. Szalałem z pożądania, wpadałem w obłąd.

Tak cholernie piękna.

Ale to, co rozrywało mi wnętrzości, to widok tłumionego przerażenia na jej twarzy, choć starała się je ukryć.

Jakby może przymusiła się, żeby przyjść i świętować urodziny Deaka, jakby może chciała przekonać samą siebie, że nie ma nic do udowodnienia, a zarazem, że ma.

W jej oczach migotało milion różnych emocji. Stare, stare rany, otwarte na nowo, bolesne. I ciepła, ciepła czułość, której wolałaby nie

odczuwać, oddałaby za to wszystko.

Jej oczy były jak kawałki potłuczonego szkła odbijające blask płomieni z ogniska.

Diamenty.

Przezroczyste.

Przysięgam, że mogłem przez nie zajrzeć bezpośrednio w głąb jej duszy.

I wydawało się, że to moje wygłodniałe spojrzenie nie mogło paść nigdzie indziej, bo ona nie była w stanie odwrócić wzroku.

Tak jak i ja.

Bo Boże... ta dziewczyna była jedyną rzeczą, którą widziałem.

Jed położył jej rękę na karku.

Zaborczo.

Przez moje ciało przewaliła się fala agresji. Nadziemskim wysiłkiem zmusiłem się do pozostania na miejscu. Do powstrzymania się, żeby się nie poderwać, nie podejść i nie zerwać tej ręki. Wszystkie te nieracjonalne, głupie miejsca we mnie domagały się wysłuchania.

Może to było nieładne. Ale nie potrafiłem pohamować drgnienia satysfakcji, gdy zobaczyłem, że skuliła się w sobie.

Ruch był ledwie zauważalny.

Ale uwierzcie mi.

Ja go, kurwa, zauważyłem.

I mogłem się założyć, że Jed też.

Zazdrość to paskudna bestia.

I ten potwór się budził, wczepiając mi się pazurami we wnętrzności. Popychając do działania.

Kiedy podeszli, kolana trzęsły mi się jak galareta. Jed wymienił uścisk dłoni z Deakiem i złożył mu życzenia.

Clay i Blaire zrobili to samo.

Potem Edie wyszła na przód i objęła Deaka. Jej głos był jednocześnie najgorszą i najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszałem. Czują melodia poruszająca we mnie te wszystkie części, które zarówno uspokajały się, jak i cierpiały z tęsknoty za jej dotykiem. Ten głos tak sympatyczny. Tak łagodny i dobry.

Kłuł i szturchał te wszystkie miejsca, które pociemniały, gdy

odeszła z mojego życia.

Miejsca, które tylko ona rozświetlała.

To było w pewnym sensie chore, jak bardzo pragnąłem, żeby ten głos szeptał mi do ucha.

Jak bardzo chciałem, by wykrzykiwał moje imię.

Damian szturchnął mnie i podając kolejne piwo, posłał mi wymowne spojrzenie, nieme ostrzeżenie.

Panuj nad sobą.

Odkręciłem kapsel i wziąłem spory haust. Zimny napój przepłynął mi przez gardło i opadł do żołądka – szokujący kontrast ze spalającym wnętrzością ogniem.

Równie gorącym, co ten pełzający, tańczący i strzelający iskrami ogień przed nami.

Edie usiadła najdalej, jak się dało. Dokładnie po przeciwnej stronie skwierczących płomieni.

Naprawdę myślała, że może się ukryć?

Obserwowałem ją przez nie. Sposób, w jaki oświetlały jej śnieżną cerę, jak na niej migotały...

Piekło.

Właśnie tam się znajdowałem.

Nie mogąc jej dotknąć.

Zmuszony do milczenia.

Wiedząc, że mnie nienawidzi i że ma do tego pełne prawo.

Wiedząc, że mimo to mnie pragnie.

To było kurewsko męczące.

Jakby była moją przyjaciółką, z którą dawno się nie widzieliśmy, Blaire klapnęła na pniu obok mnie, po przeciwnej stronie blondyny, której imienia nie zdążyłem jeszcze zapamiętać.

Uśmiech Blaire zabłysnął promiennie. Jej brązowe oczy tańczyły, gdy mnie lustrowała z góry do dołu.

Bez wątplenia знаła jakieś szczegóły z przeszłości mojej i Edie i zamierzała zgłębić temat.

– A więc to ty musisz być tym niesławnym Austinem Stone'em.

Oparłem przedramiona na kolanach, zacisnąłem dłonie i pochyliłem głowę.

- Niesławnym? – spytałem, zerkając na nią.
- Trochę o tobie słyszałam.
- Domyślam się, że pewnie same złe rzeczy?

Jej głowa przekrzywiła się na bok pytająco. Jakby szukała odpowiedzi w wyrazie mojej twarzy.

- Nie jestem tego taka pewna.

Nachyliła się i konspiracyjnym szeptem powiedziała:

– Muszę przyznać, że jest mi bardzo miło cię poznać. Każdy przyjaciel Deaka jest też moim przyjacielem. Deak jest super, nie uważasz?

Swoje zmieszanie wyraziłem krótkim śmiechem zaskoczenia. Ta dziewczyna była stuknięta. Bo to oczywiste, że tak naprawdę nie mówiła o Deaku; byłem szczerze zdziwiony, że nie puściła do mnie porozumiewawczo oka.

Potrząsnąłem głową, starając się grać w jej grę.

– Nasz obecny tu kolega to bardzo miły osobnik. No wiesz... dał nam zamieszkać w swoim domu nad samym morzem i w ogóle.

– Takie rzeczy tylko w Santa Cruz – rzuciła. – Musisz być szczęśliwy, że tu trafiłeś. – Sarkazm rozszerzył jej oczy. – Bo tyle tu wspaniałych niespodzianek, nieprawdaż?

Zachichotałem.

– Całe tony. Naprawdę niespodziewanych wspaniałych niespodzianek.

Spojrzałem na Edie i szybko powróciłem spojrzeniem do Blaire, i uśmiechnąłem się wymownie.

Jasno okazując intencje.

Zamierzałem odzyskać swoją dziewczynę.

Zaczerpnąłem ostro powietrza, bo nagle zrobiło mi się gorąco.

Zalało mnie jakieś intensywne uczucie, sięgające głęboko.

Które żyło.

Odbijało się między nami. Mecz ping-ponga, w którym wszystkie chwytaki były dozwolone.

Przerzucanie się wymagające serwów w tę i z powrotem.

Walka.

Poddanie.

Przyciąganie i odpychanie.

Totalnie ulegałem przyciąganiu.

Odwróciłem głowę i z powrotem całą uwagę skupiłem na Edie.

W tym momencie ona spuściła wzrok i szybko podniosła się na chwiejne nogi. Jakby coś ją obciążało.

Nachyliła się do Deaka i coś wymamrotała, jakby ujawniała mu jakiś mroczny, brudny sekret.

– Muszę skorzystać z łazienki.

Uciekała.

Bo właśnie to miała w zwyczaju robić moja dziewczyna.

Deak pokazał dom na szczycie pagórka widoczny za moimi plecami.

– Jest cały do twojej dyspozycji, piękna. Tylne drzwi są otwarte. Czuj się u mnie jak w domu.

Dom.

To słowo mnie uderzyło.

Właśnie tak czułem się przy Edie.

Jakbym był w domu.

Spoglądając na nią z miejsca, w którym siedział, Jed dotknął jej ręki.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł?

Pokręciła głową. Niemal gwałtownie.

– Nie, dam sobie radę sama. Zaraz wracam.

Obeszła ognisko. Wiedziałem, że przy każdym kroku walczyła ze sobą, żeby na mnie nie spojrzeć.

Czułem to.

Zamęt.

Przyciąganie i odpychanie.

Oboje byliśmy tak cholernie przerażeni tym, w co możemy się wpakować.

Zawsze tak było.

Nie potrafiłem znaleźć w sobie sił, żeby się przejąć tym, jak oczywiste było to, że się na nią gapiłem, gdy odchodziła. Nawet nie próbowałem ukrywać, że się za nią obejrzałem. Oczy wbite w to słodkie ciało, idące wolno po piasku, podczas gdy każdy milimetr mnie zwijał

się z pożądania. Mięśnie naprężyły się i mrowiły, wzywały do działania. Moje spojrzenie wygłodniałe, podążające jej śladem, gdy dotarła do wytartej ścieżki prowadzącej na tył domu.

Kurwa.

Chciałem dotykać.

Smakować każdy centymetr. Zbadać każdą krzywiznę. Zanurzyć się w ekstazie, która bez cienia wątpliwości – wiedziałem to – czaiła się za nieufnością i strachem.

Była ubrana w sięgające do kostek obcisłe džinsy, akcentujące jej długie, zgrabne nogi, obejmujące krągłości bioder i pośladków, i w zwiewną białą koszulę, która miała być skromna, ale mimo to kleiła się do tych perfekcyjnych piersi.

Ona zawsze emanowała tym czymś, co wywoływało wrażenie zarówno stoickiej elegancji, jak i niedostępnej bezbronności.

Krucha forteca.

Ale teraz była silniejsza.

Wiek odarł ją nieco z nieporadności.

Odslaniając ukrywającą się pod nią siłę, wcześniej niewidoczną.

Jakby nie mogła się powstrzymać, obejrzała się i spojrzała.

Na mnie.

We mnie.

Miałem wrażenie, jakby za pomocą samego tego spojrzenia mogła sięgnąć do wewnątrz i dotknąć te wszystkie miejsca, które zawsze należały tylko do niej.

Były jej.

Byłem jej od tak cholernie dawna.

Czy już to rozumiała? Czy wiedziała, że zawsze będzie należała do mnie?

Z całą pewnością zamierzałem zrobić wszystko co w mojej mocy, żeby jej o tym przypomnieć.

Zamrugła gwałtownie, ta dziewczyna robiła, co mogła, żeby mnie zablokować. Potknęła się o wystający korzeń. Wytrącona z transu, szybko się odwróciła i przyspieszyła. Uciekła na szczyt pagórka.

Tam rozsunała drzwi na patio – jej ciało, tylko zarys sylwetki w oddali – zanim zamknęła je za sobą.

Wokół ogniska toczyły się rozmowy. Swobodne, głośne.
Celebryujące urodziny Deaka.

We mnie piętrzyły się emocje. Intensywne, płomienne, napastliwe.
Rozpętywała się burza.

Mijające minuty były udręką.

Jed napotkał moje spojrzenie. Podniósł brodę. Wyzywająco.
Kipiący ostrzeżeniem.

Pierdolę to.

Wstałem.

Żeby udać się za tym, czemu po pierwsze nie powinienem był
nigdy pozwolić odejść.

Szedłem przez ciemność.

Wzywany ku światłu.

Z jednym celem w myślach.

Z jednym zakończeniem w sercu.

Nie miałem pojęcia, czy Jed pójdzie za mną, czy nie.

Jeśli miał choć trochę rozumu.

Powinien.

A może już zaakceptował tę nieuchronność.

Wspiąłem się po wytartej ścieżce i wszedłem w ciszę domu. W
kuchni paliło się jaskrawe światło sprawiające, że reszta domu wydawała
się pogrążona w kompletnej ciemności. Skręciłem w prawo i poszedłem
mrocznym korytarzem prowadzącym do pokoi sypialnych. Minąłem
swoją i szedłem dalej.

Po lewej znajdowała się sypialnia dla gości. Drzwi były zamknięte.
Ze szpary u dołu sączyła się wąska strużka światła.

Serce waliło mi nieopanowanie. Pędziło sto kilometrów na minutę.
Desperacko pragnąc wykorzystać szansę.

Szansę na usunięcie cierpienia, które tak bezmyślnie zadałem.

Oboje byliśmy poranieni.

Rozbici.

Ale to nasza niepewna więź w jakiś sposób utrzymywała te rozbite
kawałki razem.

Krążyłem po korytarzu przed drzwiami.

Czekając.

Zaskrzypiał metal, gdy zamek się przesuwiał.

Mniej więcej w tym samym momencie, gdy serce utknęło mi w gardle.

Wspomnienie o tym, jak cholernie zależny byłem od tej dziewczyny.

Zakochany na zabój dzieciak z motylami w brzuchu i z nadzieją w sercu po raz pierwszy w życiu od tamtego dnia, gdy odebrał je jemu.

Siedemnaście lat.

Miałem już wtedy na swoim koncie całą masę błędów. I byłem boleśnie świadomy, że czeka mnie jeszcze cała reszta życia z poczuciem winy.

A jednak Edie udało się jakoś załagodzić mój ból.

Tak samo jak za jej zgodą ja załagodziłem jej.

Drzwi otworzyły się wolno. Okrzyk przerażenia, gdy mnie zobaczyła, stojącego w mroku. Cofnęła się, zaskoczona. A potem chciała wyminąć.

Uciec.

Zbyt przerażona, żeby stanąć twarzą w twarz z tym, co miała przed sobą.

– Edie, zaczekaj. – Mój głos był ochryply. Niski i zdesperowany.

Przełknęła zduszony jęk i na ułamek sekundy zawahała się, zanim znów rzuciła przed siebie.

Zdażyłem chwycić ją za rękę.

Natychmiast po ramieniu przebiegł mi ogień, wywołując wstrząs w całym ciele.

Jasna cholera.

Prawie zapomniałem. Zapomniałem, że potrafiła tak na mnie działać. Że gdy mieliśmy kontakt, te martwe części mojej duszy gwałtownie ożywały.

Sapnęła i zatrzymała się. Jej ciało wciąż było zwrócone w przeciwną stronę, głowa skierowana ku ziemi. Ramiona unosiły się i rozszerzały z każdym ciężko nabieranym oddechem.

Bez wątpienia nie była obojętna.

– Zaczekaj – powtórzyłem, tym razem łagodniej.

Lekko uściśnałem jej rękę.

Zaczekaj.

Czułem, jak się poddaje. Jej spięte ciało rozluźniło się. Zalała mnie ulga, gdy odwróciła się ostrożnie, żeby na mnie spojrzeć. Kiedy to uczyniła, nasze dłonie na ułamek sekundy otarły się o siebie, ale kontakt zerwał się, gdy dała niepewny krok w tył.

Stała tam.

Tak wyraźnie bezradna.

Rozdarta.

Na jej niezapomnianej twarzy igrała setka różnych emocji, przetaczały się przez nią niczym szalejąca wichura.

Okładając, chłoszcząc, jątrząc.

Miałam ochotę sięgnąć i je uspokoić.

– Zaczekaj – szepnąłem ponownie. Pochyliłem się, żebyśmy byli na tym samym poziomie. Przysunąłem się. Bo nic na świecie nie mogłoby mnie utrzymać z dala od niej.

Jej oczy zacisnęły się, głos był ochrypły.

– Nie rób tego.

– Czego? – spytałem, podchodząc jeszcze bliżej, zmuszając ją, żeby przesunęła się pod ścianę. Nachyliwszy się, pozwoliłem sobie zagubić się w woni słońca i ciepła. Pomarańczy i światła, i czegoś tak cholernie słodkiego i odurzającego, że miałem ochotę zanurzyć nos w jej włosach.

W skórze.

Wpaść i zniknąć.

Na zawsze.

Pod jej powiekami zebrały się łzy. Zamrugła i otworzyła oczy.

– Nie rób tego.

– Nie wiem, o czym mówisz – zaprotestowałem ochrypłym szeptem.

Zdołała prychnąć i potrząsnąć lekko głową.

– Owszem, wiesz. Zawsze wiesz, jak na mnie działasz. Jaką masz nade mną władzę. Nie igraj ze mną, Austin.

– Wydaje mi się, że tylko to ciągle robimy. To ty uciekłaś, Edie, i gdy to zrobiłaś, zabrałaś ze sobą to, co zostało z mojego serca.

– Nie mów tak.

Nie mów tak, nie rób tak. Nie, nie, nie.

To było jak nasza pieprzona mantra.

Nie podchodź zbyt blisko.

Nie mów tego głośno.

Nie dotykaj.

– Zrobiłeś to. – Wypowiedziane przez nią szeptem oskarżenie zawisło między nami, brutalny strzał we wrzącym powietrzu.

Poczucie winy zatarasowało mi przętyk, język zrobił się suchy.

– Nie zostałeś wystarczająco długo, żebym zdążył cię przeprosić.

Odwróciła głowę, broda jej drżała, ale potem zebrała chyba siły, odwagę, aby z powrotem na mnie spojrzeć.

– Wiesz, że to i tak nie miałyby znaczenia. Musiałam odejść. Wiedziałeś, że nie mogłam zostać. Nie, kiedy on wiedział.

Gniew zapulsował. Zacisnąłem zęby, zduszając wściekłość na tego sukinsyna.

Skupiony na tym, co było ważne, a nie na tym, nad czym nie miałem kontroli.

Na niej.

Podszedłem bliżej, a ona się cofnęła. Przykleiła do ściany, jakby miała nadzieję, że ta się rozstąpi i pochłonie ją w całości.

Musnąłem ją palcami po policzku, takim miękkim. Stałem milimetry od niej. Słodkie napięcie pulsowało w powietrzu, tak gęste, że, słowo dając, spowalniało nasze ruchy.

– Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

Pochwyciła zębami dolną wargę. Wokół nas wirował bezład emocji.

– Ale to zrobiłeś. – W jej płaczliwym wyznaniu słysząc było echo bólu. – Skrzywdziłeś mnie. Tak bardzo.

– Edie.

Żal.

Tęsknota.

Smutek.

Wirowały wokół jej imienia, jak huragan, który wywołała.

Potrząsnęła głową.

– Dlaczego tu jesteś, Austin? W moim mieście. Szukałeś mnie? –

W ostatnim pobrzmiwały nuty niepokoju.

Prawie żałowałem, że nie mogłem potwierdzić.

Bo tak brzmiałaby poprawna odpowiedź, do diabła.

Bóg wiedział, że moje serce jej szukało.

Odchrząknąłem, żeby oczyścić gardło.

– Nie, Edie. Wyjechałem z LA trzy lata temu. Od tamtej pory jeździłem po całym wybrzeżu.

Popatrzyła na mnie niepewnie. Badawczo. Zrozumienie, czego szukała, zajęło mi tylko sekundę. Próbowwała zajrzeć mi pod skórę, chciała sprawdzić, jakie świństwo krąży w moich żyłach. Chciała odkryć moje demony.

To nie był temat, do którego lubiłem wracać.

Ale to była część mnie.

Tego, kim byłem.

Część, z którą zawsze będę się zmagać.

Słowa padły przez zaciśnięte gardło.

– Jestem czysty od ponad trzech lat, Edie.

Przez jej twarz przetoczyły się emocje. Szybkie zaskoczenie i głęboka ulga.

A potem to zobaczyłem. Dostrzegłem isierkę tej młodej miłości, którą ta cudowna dziewczyna kiedyś mnie obdarzała.

Jej język wystrzelił z ust i oblizwał aksamitną dolną wargę.

Kurwa.

Chciałem ją pocałować.

– Tak bardzo się o ciebie martwiłam. – Powiedziała to cicho, bezradnie. Jakby to wyznanie było jej największą tajemnicą. Jej największym problemem.

Pożądanie wczepiło się w moje zmysły. Walczyłem ze sobą desperacko, żeby nie porwać jej w objęcia. Żeby nie ulec instynktowi i nie przyciągnąć jej ciała do swojego.

Objąć, wziąć całą.

Westchnęła, kąpiąc mnie w swym ciepłym oddechu.

W bezlitosnym blasku.

Mój głos stał się chropowaty. Zbliżyłem się, usta miałem milimetry od jej ust.

– Ja też się o ciebie martwiłem. Za dużo. Codziennie. Co noc. Tęskniłem za tobą tak strasznie, że prawie mnie to zabiło. Zastanawiałem się, co się z tobą dzieje. Dokąd pojechałaś. Czy jesteś cała i zdrowa.

Smutek zmarszczył kąciki jej oczu.

Pływaliśmy w nich. Czarne, niebezpieczne wody podchodziły nam pod brodę. Zagrożając, że wciągną nas pod powierzchnię. Jej światło walczyło z moim mrokiem. Tym ciemnym, ciemnym sztormem, który przybierał na sile.

Edie zdołała wyrwać się z jego uścisku i z ulgą, ale też z wyraźnym bólem zmieniła temat. W jej głosie pojawiła się nowa nuta desperacji.

– Czy ty... czy masz kontakt z moim bratem?

Westchnąłem ciężko i skinąłem głową.

Szlag. Myślała, że ten temat będzie łatwiejszy?

– Tak.

– Co u niego słychać?

– Chyba wszystko w porządku. Ale tak szczerze, to do końca nie wiem. Mówiłem ci, wyjechałem z domu trzy lata temu. Kontaktuję się z nimi głównie przez SMS-y i listy, najczęściej z bratem. Ale wiem, że wiele się zmieniło. Kapela jest w sytuacji... no, czyste szaleństwo.

Kiwnęła smutno głową.

– Pewnie mnie nienawidzi.

Zmarszczyłem brwi i prawie warknąłem:

– On cię nie nienawidzi, Edi. Jak możesz tak mówić?

Z tych ślicznych ust wydarło się gorzkie prychnięcie, kontrastujące z łagodnością twarzy.

– Jak mógłby mnie nie nienawidzić? Ja... wyjechałam bez słowa.

Tym razem już jej dotknąłem, chwyciłem twarz w obie dłonie, zmuszając ją, żeby na mnie spojrzała.

Bijące od niej gorąco wywołało szok w moim sercu.

Energia i światło.

Zarzęziłem.

Jej twarz zastygła w zdumieniu.

Wydusiłem z siebie zapewnienie przez zaciśnięte zęby.

– Nikt cię nie nienawidzi, Edie. Jasne, przestraszył się jak cholera,

kiedy zniknęłaś, nie wiedząc, co zaszło.

– Czy ty...

– Czy mu powiedziałem? – Pokręciłem głową z poirytowaniem. Starając się nie poczuć obrażonym. W końcu zasłużyłem sobie na to, że mi nie ufała. – Oczywiście, że nie, Edie. Udawałem, że nic nie wiem, gdy domagał się wyjaśnień. Było jasne, że wiedział, że spotkało cię coś złego i dlatego tak uciekałaś, ale nie obwinił cię.

Może Ash o tym nie wiedział, ale to mnie należało obwinać.

I jej matkę za to, że zachowywała się, jakby rozumiała, chociaż nie miała o niczym najmniejszego cholernego pojęcia.

Ale prawdziwa wina?

To trofeum należało się Paulowi.

Pierdolonemu skurwysynowi.

Zalała mnie wściekłość.

Powinienem być z nim skończyć.

Poświęcić wszystko dla usunięcia tej plamy z Edie.

Uwolnić ją wreszcie od nękającego ją lęku.

Teraz jedyną rzeczą, jaką mogłem zrobić, to mieć nadzieję, że ten łobuz nadal gnije w więzieniu jak szumowina, którą był.

Usta zadrżały jej w kącikach.

– To okropne, że zostawiłam go z tak wieloma pytaniami. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co musi o mnie myśleć.

Roześmiała się, ale to był śmiech z samej siebie.

– Napisałam do niego jeden list. Ze stekiem niejasnych wyjaśnień, że tak zniknęłam bez śladu. Napisałam, że próbuję się odnaleźć.

– I zrobiłaś to, Edie? Odnalazłaś się?

Ostro wciągnęła powietrze i z rozchylonymi ustami wpatrywała się we mnie w mroku; ta słodka, dobra szczerłość sączyła się z niej bez ograniczeń.

– Tylko się jeszcze bardziej pogubiłam.

Ta. Dziewczyna.

Pragnąłem wczłgać się w obręb strefy bezpieczeństwa, jaką tworzyła. Wypełnić ją swoją.

Między nami rozciągnęła się cisza, bezruch naszpikowany wszystkim, co nie zostało powiedziane.

Co było niedokończone.

Napięcie rosło i nabrzmiewało. Drżało w rozedrganym powietrzu. Szarpiąc nas, ciągnąc i popychając z każdej strony.

Spalając.

Takie zespolenie odczuwałem tylko z nią.

Przez jej twarz przemknął strach. Byłem pewien, że to wtedy zdała sobie sprawę, że nic się nie zmieniło.

Nadal byliśmy ze sobą związani.

Połączeni w niewytłumaczalny sposób.

– Uciekłaś. – To był ponury pomruk. Moje palce podniosły się, żeby przebiec po ostrym zarysie jej szczęki.

Bo, Boże, po prostu musiałem jej dotknąć.

Jej brwi zeszyły się razem niepewnie, słowa zabrzmiały ciepło i smutno.

– Odnoszę wrażenie, że ty też uciekłeś.

– Taa. Uciekłem. – Zacisnąłem palce na jej brodzie trochę mocniej.

– I nie wierzę, że to, że cię znalazłem, to tylko przypadek.

Skrzywiła się.

– Wiesz, że dla nas jest już za późno.

Przysunąłem się. Odmawiając poddania się. Przysunąłem się do mojej dziewczyny tak blisko, że znalazła się w pułapce. Jej słodkie, słodkie ciało przyszpilone do ściany, ja umierający z pragnienia, żeby do niej przylgnąć.

Zaczerpnąć pełny oddech w wypełnione wodą płuca. Pełny oddech, którego nie mogłem nabrać, odkąd zniknęła z mojego życia.

Oddech przepelniony czymś dobrym. Czymś czystym.

I tym razem uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby tego nie zbrukać.

Przycisnąłem jej obie dłonie nad jej głową do ściany i zamknąłem ją w obrębie swojego ciała. Musiałem się przekonać, czy mam o co walczyć. Bo nie zamierzałem skrzywdzić tej dziewczyny bardziej, niż już to uczyniłem. Nie chciałem niszczyć tego, co znalazła, jeśli przywoływało to uśmiech na jej twarz i budziło spokój w sercu.

– Kochasz go?

Skrzywiła się w wyrazie niezrozumienia, spojrzała na mnie

pytająco.

Kiwnąłem głową w stronę drzwi wejściowych.

Dotarło do niej, co mam na myśli, i szybko potrząsnęła głową.

– Jeda? Tylko się przyjaźnimy – zapewniła.

– Mnie to wygląda na coś więcej.

No więc może i zabrzmiało to nieco ostro, jakbym był wkurwiony.

Nie mogłem nad tym zapanować. Zaborczość rozsadzała mi żebra, sprawiała, że czułem się, jakbym za chwilę miał wybuchnąć. Rozpychany od środka szaleńczą żądzą posiadania jej.

– Nie masz prawa domagać się ode mnie odpowiedzi, Austin.

Nagle odniosłem wrażenie, że korytarz, w którym staliśmy, zmałał. Jakby ściany i sufit zaczęły się zapadać.

A Edie i ja?

Zbliżaliśmy się do siebie coraz bardziej i bardziej.

Nieważne, jak mocno próbowała mnie odepchnąć.

To było przemożne.

Coś żarliwego i żywego.

Coś, co wzywało, popychało, poganiało.

– Masz rację, Edie. Nie mam. Ale muszę wiedzieć... muszę wiedzieć, do cholery, co on dla ciebie znaczy.

Zawahała się, potem odwróciła wzrok.

– Jesteśmy przyjaciółmi, Austin. Nic więcej.

Uderzyła we mnie fala żądy. Szturm wściekłych strzałek przesywających mnie wszędzie, każda pompująca w żyły przytłaczające pożądanie.

Do ust napłynęła mi ślina. Język wyrwał się na zewnątrz, żeby oblizać dolną wargę.

Chciałem ją pocałować.

Ale jakoś rozumiałem, że to nie jest dobry moment, żeby na nią naciskać. Dzielące nas mury nigdy nie były wyższe, mury, za którymi się ukryła, zbudowane z cegieł mojej zdrady.

Czy kiedykolwiek będę wystarczająco dobry?

Wystarczająco odważny?

Wystarczająco mądry dla niej?

Chciałem taki być. Chciałem tak cholernie bardzo, że to było

prawie namacalne.

Niczego bardziej nie pragnąłem niż być tym mężczyzną, którym chciałem się stać, gdy opuszczałem dom brata.

Kiedyś powiedziałem mu, że chciałem, żeby jakaś dziewczyna patrzyła na mnie w ten sposób, w jaki patrzyła na niego Shea.

Ale nie mówiłem o byle jakiej dziewczynie.

Mówiłem o tej.

Czy mogłem być tym mężczyzną?

Przewinęła się przeze mnie spirala zwątpienia, gruba gruda niepewności zatarasowała mi gardło.

Prawda brzmiała tak, że nie wiedziałem.

Przełykając z trudem ślinę, podjąłem decyzję.

Że się powstrzymam.

Tak jak robiłem to wcześniej.

Jak to robiłem zawsze.

Bo jakakolwiek część Edie Evans była lepsza niż nic.

– Mnie też przydałaby się przyjaciółka – powiedziałem.

Oboje wiedzieliśmy, że nawet w przybliżeniu nie to miałem na myśli.

Nawet w przybliżeniu nie tego oboje chcieliśmy.

Ale Edie i ja mieliśmy doświadczenie, byliśmy ekspertami w braniu tego, co mogliśmy dostać.

Zmarszczki wyżłobiły wgłębienia na jej czole, głos zabrzmiał ochryple.

– A ja odniosłam wrażenie, że masz ich całkiem sporo. Ta blondynka wisząca na tobie tam przy ognisku była wyjątkowo urocza.

Zazdrość.

Była tam.

Jawna i zuchwała.

I mnie się to, kurwa, podobało, karmiłem się tym. I nie było nic na całym świecie, co mógłbym zrobić, żeby się powstrzymać. Moje palce zawirowały nagle w pasmach miękkich fal obramowujących jej olśniewającą twarz.

– Zawsze lubiłem blondynki – wymamrotałem cicho.

– Austin... – ostrzegła.

Nie musiała tego mówić.

Już to usłyszałem.

Nie rób tego.

– Przyjaciele? – Zrejenterowałem, zmuszając się do opanowania. Żeby dać jej czas, mimo że chciałem zażądać, żeby oddała mi się cała.

Zamrugła i przełknęła z trudem ślinę.

– Jak ci się udaje zawsze mi to robić?

– Co robić?

– Sprawiać, że czuję się, że jestem tu, gdzie powinnam być.

– Bo jesteś.

Strzeliła oczami w stronę wyjścia z korytarza, jakby nie ufała sobie, stojąc tam ze mną.

Przycisnąłem usta do czubka jej głowy i, kurwa, wręcz błagalnie wyszeptałem w jej włosy:

– Nie uciekaj, Edie. Zawsze byłaś moją najlepszą przyjaciółką. Czas i odległość tego nie zmieniły. Nic tego nie zmieni.

Ociągała się, jej wahanie było namacalne, oddech miała przyspieszony. Wypełniał powietrze, przestrzeń, moje serce. Przycisnęła do niego dłoń, do łoskotu i dudnienia roznoszących się echem w mojej klatce piersiowej. Mamrocząc, z nadzieją i przestrawieniem spytała:

– Jak możesz oczekiwać, że znowu ci zaufam?

Otoczyłem ją ramionami. Zacząłem wolno kołysać. Pocieszająco.

To było takie naturalne.

Takie cholernie dobre.

Jakbym został stworzony do tego, żeby ją obejmować.

– Nie oczekuję tego, Edie. Nie oczekuję. Ale proszę cię, żebyś spróbowała.

– Nie wiem, czy cokolwiek się zmieniło, Austin. Czy jestem kimś innym niż ta dziewczyna w ciemnym pokoju.

Powiedziała to jak błagalne ostrzeżenie.

Ale tamta dziewczyna w pokoju była tą, w której się zakochałem.

– Wiem, Edie. Myślę, że do tej pory już to rozgryzłem. Nie boję się ciebie.

To było jawne kłamstwo.

Ta dziewczyna mnie przerażała.

Rzeczy, których przez nią pożałowałem.

Kim przez nią chciałem się stać.

Lęk utraty tego wszystkiego ponownie, gdybym to schrząnił, tak jak zawsze chrząniłem.

Staliśmy tak bardzo długo. Kołysząc się łagodnie i wolno.

Musiałem użyć całej siły woli, żeby nie zaprotestować, gdy w końcu wyplątała się z moich objęć.

– Muszę wracać.

Wiedziałem, że na razie musiałem pozwolić jej odejść.

– Okej.

Ruszyła wolno korytarzem. Drapiąc paznokciami ścianę, jakby to pomagało jej utrzymać się na uginających się pod nią nogach.

– Edie – zawołałem.

Przystanęła na samym końcu i obejrzała na mnie przez ramię.

– Zaczekam. Będę na ciebie zawsze czekał – powiedziałem.

Błękitne oczy wpatrywały się we mnie. Ich głębia szokowała.

Pływały w smutku.

Przepełnione nadzieją.

Uśmiechnęła się. Wolno i ostrożnie. Potem się odwróciła i wyśliznęła za drzwi.

Nabierając drżący oddech, podniosłem twarz do niskiego sufitu, jakbym w tej pobrużdżonej, podziurawionej powierzchni mógł odnaleźć opanowanie pozostające poza moim zasięgiem. Cierpliwość, która wydawała się ulotna i fałszywa.

Ale powiedziałem prawdę.

Zaczekam.

Tak długo, jak długo będzie trzeba.

Wróciłem korytarzem do kuchni, zajrzałem do lodówki i wyciągnąłem piwo. Nie byłem pewien, czy wytrzymam dłużej na tym milusim przyjęciu nadal toczącym się na plaży.

Nie byłem przekonany, czy zdołam zapanować nad zawrotami głowy i waleniem serca wywoływanymi myślą o rysujących się możliwościach, co do których, choć starałem to zdusić, żywiłem wielkie nadzieje.

Odwróciłem się na pięcie i ostro wciągnąłem powietrze,

zaskoczony cieniem samotnej postaci stojącej na środku mrocznego salonu. Gdy zdałem sobie sprawę, że to Deak, odetchnąłem z ulgą.

– Cholera. Stary. Przestraszyłeś mnie jak diabli – powiedziałem, przeciągając nerwowo ręką przez włosy.

– Taa? Lepiej ja niż Jed.

Prychnąłem i westchnąłem jednocześnie.

– A co to ma znaczyć?

– Doskonale wiesz co. Jesteś tu nowy, a Jed mieszka tu od bardzo, bardzo dawna. To dobry facet i z tego, co się zorientowałem, ona jest dobrą dziewczyną. Słodką. Żadne z nich nie potrzebuje, żebyś się tu zakradał i bruździł im w życiu. Widziałem cię w akcji, kolego. Ona zasługuje na coś lepszego.

– Tylko się przyjaźnimy, stary.

Pierdolone kłamstwo.

Ale co innego, do diabła, miałem powiedzieć? Że zdążyłem już przycisnąć Edie i że zapewniła, że tam się nic nie dzieje?

Prychając, wygiął wymownie brew.

– Może się starzeję, ale daleko mi do ślepoty.

Sapnąłem, wbiłem wzrok w podłogę, zbierając odwagę, żeby na niego spojrzeć.

– Jest wiele rzeczy, cała historia, której nie znasz, Deak. I masz rację. To dobra dziewczyna. A ja nie mam żadnego zamiaru jej skrzywdzić.

Nigdy więcej.

Ale za to zamierzałem ją odzyskać.

Moja.

Rozdział 7

Austin – lat siedemnaście

Oszalałeś? Przyłapią nas. – Ale jej uśmiech świadczył o tym, że to było jedyne miejsce, w którym chciała być. Resztę drogi do jej pokoju pokonałem na palcach i cicho zamknąłem za sobą drzwi.

Fala czegoś dobrego pchała mnie przed siebie, gdy kładłem się do jej łóżka.

Kiedy dotknęła mnie tymi drobnymi dłońmi, odetchnąłem z ulgą.

Bo ta dziewczyna... ona oznaczała początek czegoś dobrego. Czegoś, co wydawało się tak bardzo właściwe.

Nie miało znaczenia, że zakradałem się tutaj przez większą część minionych trzech tygodni, oboje w ciągu dnia najlepiej, jak umieliśmy, udawaliśmy obojętnych, jakby to nie wydarzało się co noc.

Zresztą między nami nie działo się nic zdrożnego, ale wątpiłem, żeby Ash szczególnie przychylnie przyjął fakt, że sypiałem z nią w jej łóżku.

Położyła mi głowę na ramieniu, westchnęła, zaciskając dłoń na mojej koszuli.

– Zaśpiewaj mi coś.

Usta zadrgały mi w nieśmiałym uśmiechu. Moje słowa utonęły w pasmach jej włosów.

– Co chcesz, żebym ci zaśpiewał?

– Coś czułego i słodkiego.

Takiego jak ona.

Wycisnąłem całusa na jej skroni, jej serce stukało – puk, puk, puk – tuż przy mojej piersi.

– Nie znam niczego słodkiego.

Znałem tylko muzykę chaotyczną, ciężką. Brzmienie Sunder, ich klimaty były tak bardzo częścią mojej duszy, ich piosenki płynęły mi w żyłach, jakby były niezbędne do podtrzymania tego mojego szczątkowego życia.

W mroku zerknęła na mnie, jej oczy błyszczały zaufaniem.

– Dla mnie ty jesteś słodki, Austinie Stonie. Cały.

Tym razem w żyłach zatętniła mi miłość. Obce uczucie, ale dobre.
Brakujące ogniwo.

Westchnąłem, przełożyłem rękę nad jej głowę i przyciągnąłem ją bliżej, tę dziewczynę, której w jakiś sposób udało się mnie scalić, chociaż byłem tak cholernie rozwalony.

Odchrząknąłem, żeby oczyścić gardło. Zacząłem śpiewać. Miękko. Ledwie wydając z siebie głos. Tekst piosenki uderzył mnie mocno, gdy tak tuliłem tę drobną dziewczynę w ramionach. Marząc, by to naprawdę było jej miejsce.

Śpiewałem cicho, ale słowa zdawały się przesywać powietrze. Wagą ich znaczenia. Intensywnością, bezwarunkowością.

Rozpadam się, duszę

Ze złamanym sercem, które jeszcze bije.

Te słowa były takie prawdziwe dla nas obojga.

I gdy tak śpiewałem, aby ją pocieszyć, a jej dotyk robił to ze mną, dotarło do mnie...

Oboje ledwie utrzymywaliśmy się na powierzchni.

Gdy piosenka dobiegła końca, zamilkłem, prawie się dławiąc blokującymi mi gardło emocjami.

Edie przytuliła się do mnie, zanurzając twarz w mojej bluzie, a potem odsunęła się trochę i popatrzyła na mnie tak, jakby to ona była tą, która patrzyła na światło. W oczach miała łzy.

– Masz najpiękniejszy głos na świecie.

Wszystko się zacisnęło, te głupie nadzieje rozpalone jej wiarą.

– Nieprawda.

Nawet w przybliżeniu nie byłem tak utalentowany jak mój brat. Jak reszta chłopaków.

Nie byłem wart nawet tego, żeby przebywać w ich przestrzeni.

Wszystko spieprzyłem. Zniszczyłem.

Pokręciła lekko głową w wyrazie oczywistego sprzeciwu, poirytowania, podziwu.

– Nie widzisz tego, Austin? Jaki jesteś wspaniały? Jaki masz talent? Czy ty masz pojęcie, co robi ze mną twój głos?

Przyciągnąłem ją do siebie jeszcze bardziej. Boże, doprowadzało mnie to do szaleństwa, że jednocześnie chciałem naciągnąć na głowę ten cholerny kaptur od bluzy, żebym mógł się skulić, ukryć, i zarazem chciałem wyciągnąć się na łóżku, tak żeby ta dziewczyna mogła obnażyć mnie do końca.

– Kiedy tu jesteś, to nie boli tak bardzo – wyznała szeptem. Miękkie, miękkie palce z drzeniem przesunęły się po kolumnie mojej szyi i przejechały lekko po ustach.

Zduśłem jęk, mój głos stał się ochrypły, oboje wtuliliśmy się w siebie mocniej niż kiedykolwiek dotąd. Jakby każda pojedyncza warstwa oddzielająca nas od siebie powoli zniknęła.

– Co nie boli tak bardzo?

Czy wreszcie to powie? Zaufa mi na tyle, żeby otworzyć się przede mną w pełni?

Powstrzymywały ją wątpliwości i strach. Czułem to, czułem, że blokują jej gardło, ale że chce to z siebie wyrzucić.

– Wszystko – wyszeptęła w ciszę pokoju. – Ja... nie czuję się już taka samotna. I te sny... one mnie nie dręczą, gdy wiem, że niedługo przyjdiesz.

Odchrząknąłem i wychrypiałem:

– Tak samo jest ze mną.

Może właśnie to było najbardziej przerażające. Że wypełniała te wszystkie puste miejsca we mnie. Kojąc ich ból dotykiem. Kiedy była blisko, nagła potrzeba wypełnienia sobie żył, stopienia cierpienia, odsunięcia poczucia straty, zagłuszenia jego głosu – to wszystko cichło.

Łagodniejąc.

Jakby to sobą przykrywała.

– A tobie, co się śni? – spytała niepewnie, choć zarazem niemal błagalnie.

Te ziejące pustką otchłanie zapulsowały.

– On. Jego śmiech. – Zamrugąłem, wpatrzony w sufit. Obrazy były takie wyraźne. – A przede wszystkim jego oczy. Każdej nocy jest tak, jakby na mnie patrzył.

Jej uśmiech był ciepły, wypełniony zrozumieniem. Oparła się na łokciu i popatrzyła na mnie uważnie. Dotknęła twarzy.

– Bo może... rzeczywiście patrzy. To byłoby aż takie złe?

Smutek ściągnął mi kąciaki ust, skazana na kołatanie się po studni mojej duszy nienawiść zacisnęła mi serce. Bo ona nie wiedziała. Nie miała pojęcia, że to była moja wina.

– Takie mam wrażenie... gdy się budzę i sobie uświadamiam, że to nie jest realne. Że on naprawdę odszedł.

Współczucie wyźłobiło zmarszczki na jej czole.

– Byłeś tam?

Prześliznęło się przeze mnie widmo wspomnień, czułem, jak jego ciało dygocze w moich rękach.

– Taa, byłem.

Zanurzyła mi twarz w zagłębienie szyi.

– Tak mi przykro.

Po kilku chwilach odsunęła się i spojrzała na mnie. Te błękitne oczy były takie szczerze, takie cholernie słodkie.

Diamenty.

Światłość, światłość, światłość.

Ta dziewczyna, która jakimś cudem zdołała wyrwać mnie z szalejących fal trzymających mnie pod powierzchnią.

Pożądanie uderzyło we mnie z mocą dwutonowej ciężarówki.

Która się roztrzaskała od impetu zderzenia.

Pragnąłem jej.

Chciałem ją pocałować, dotknąć.

Zapomnieć się w niej.

Zagubić w jej ciele, jej umyśle, jej duszy.

Tulić ją.

Kochać.

Ta szalona energia przybrała na sile, która budziła się za każdym razem, ilekroć ta dziewczyna wchodziła do pokoju.

Ale tamtej nocy rozrosła się w coś innego.

W coś więcej.

Kurwa. Chciałem czegoś więcej.

Do ust napłynęła mi ślina. Położyłem jej dłoń na policzku. Wargi miała rozchylone, a ja się do niej nachylałem.

Jej oczy rozszerzyły się strachem.

Odwróciła twarz.

Zrywając kontakt.

To odtrącenie zabolęło. Bardzo. Tak bardzo, że prawie cofnęło mnie dwa lata wstecz. Do czasów mojego upadku.

Do najmroczniejszych głębin.

Żyły zapchane trucizną.

Zacisnąłem zęby, czując, że muszę stamtąd uciec. Ale ona złapała mnie za rękę, za tę, którą trzymałem na jej policzku, i przycisnęła ją do rozgrzanej skóry, a potem szeptem zaczęła prosić:

– Nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj mnie.

Jej oczy zrobiły się wilgotne, mieniły się jak powierzchnia morza, twarz skurczona bólem. Prawdziwa i szczerą.

– Ja... po prostu nie mogę tego zrobić, Austin. To za bardzo boli. Ale gdybym mogła, wybrałabym ciebie. Przysięgam.

Rozdział 8

Edie

Podrzuciłam słodką małą dziewczynkę na niski murek oddzielający plażę od drogi. Uśmiechnęłam się do niej ciepło i pomogłam ujarzmić dziką grzywę ciemnobrązowych włosów. Zebrawszy na jedną stronę, rozdzieliłam je na trzy części i uplotłam z nich gruby warkocz.

Od morza wiał przyjemny wiaterek, słońce przedarło się przez chłodne powietrze, żeby złożyć całus na naszej skórze.

Postukałam małą po nosku.

– I już, słoneczko. Skończone.

Podniosła do mnie twarz i uśmiechnęła się tak promiennie, że poruszyło mnie to gdzieś w samej głębi. Dwa stałe zęby już się wyrzywały, na dole brakowało dwóch mleczaków.

– Czy wyglądam bardzo ślicznie? Tatuś powiedział, że jestem najśliczniejszą dziewczynką na całym świecie.

Przetoczyła się przeze mnie fala czułego śmiechu. Ujęłam małą pod pachy i zestawiałam na ziemię.

– Zdecydowanie.

– Billy tak nie uważa. Mówi, że jestem wstrętna.

– Kim jest Billy? – zapytałam.

– To kolega ze szkoły. Tata mówi, że Billy to łobuziak. Billy Łobuz. Tak go nazywam. On jest zawsze taki niemiły. Ciągle kłamie i ciągnie mnie za włosy.

Ze zmarszczonym czołem wzięłam ją za rękę i ruszyłyśmy ścieżką prowadzącą do przejścia dla pieszych.

– Cóż, nie jest to szczególnie miłe.

Dziewczynka, idąc obok mnie, podskakiwała.

– Nie. Nie jest. Ale pani Montez mówi, że powinniśmy być mili, dlatego ja zawsze jestem miła, nawet jeśli on nie jest.

– To ładnie z twojej strony. Ale powiedz mi, jeśli będzie ci bardzo dokuczał, dobrze?

Wystarczająco dobrze wiedziałam, że między droczeniem się a znęcaniem jest cienka granica.

– Tak... ale najpierw muszę powiedzieć tacie. Obiecał, że złoży „małą wizytę” w mojej klasie, jeśli Billy będzie mi się dalej naprzykrzał. A ja bardzo lubię, gdy tata odwiedza mnie w klasie.

Zdusiłam chichot.

Mogłam się założyć, że odwiedziny na pewno doszłyby do skutku.

Heidi była córką Kane’a, głównego instruktora surfingu w sklepie. Jej mama zniknęła bez słowa, zostawiając tylko krótki liścik napisany na skrawku kartki przyklejonej magnesem w kształcie serca do lodówki. W liściku napisała, że nie zniesie bycia matką sekundy dłużej. Miało to miejsce na dwa tygodnie przed drugimi urodzinami Heidi.

Kane na skutek tego wydarzenia został samotnym ojcem z ogromną pretensją do życia i jeszcze większą miłością do tej małej dziewczynki, z którą nie zawsze potrafił sobie poradzić.

W mojej duszy zawirował stary smutek.

To było coś, czego nie potrafiłam zrozumieć.

Nie umiałam sobie wyobrazić ani pojąć.

Żeby z własnej woli opuścić tę cudowną dziewczynkę.

Może właśnie przez to ja i Heidi byłyśmy ze sobą tak związane.

Od pierwszego dnia mojej pracy w sklepie, ilekroć Heidi tam była, przez cały czas za mną chodziła i nie przestając paplać, deptała mi po piętach i ciągnęła za bluzkę, spragniona kobieciej uwagi.

W jej niewinnym szczerym uśmiechu było coś, co zapełniało bezkresną próżnię we mnie. Jej śmiech roznosił się i tętnił w obrębie ścian pustej pieczary wykutej w samym środku mojej duszy. Heidi kończyła sześć lat, tryskała energią, radością i niewinną nadzieją.

Dlatego Kane nie musiał się specjalnie starać, żeby mnie namówić, abym zaopiekowała się jego córką w sobotnie popołudnia. Miał wtedy kilka lekcji surfingu, Blaire w ten dzień pracowała w sklepie, żebym tylko mogła wziąć wolne.

– To co chcesz dzisiaj robić? – spytałam, gdy czekałyśmy na zmianę światła.

Heidi zatańczyła na palcach stóp.

– Chcę pójść do parku i do tej restauracji, gdzie mają te śmieszne

frytki z buźkami, i chce zjeść lody. Och, i chcę iść do sklepu, bo tatuś dał mi dziesięć dolarów. Chodźmy tam najpierw!

Hm, łał.

To dziecko było jak mała trąba powietrzna.

Ale oczywiście uśmiechnęłam się, bo uwielbiałam każdą sekundę spędzaną z Heidi.

Po chaosie, który wdarł się do mojego bezpiecznego raju, burząc wszystkie mury, potrzebowałam dnia takiego jak ten.

Odskoczni.

Celu.

– No dobrze. Zobaczymy, ile zdążymy zaliczyć przed wyjściem taty z pracy.

Trzymając się za ręce, poszłyśmy chodnikiem, przy którym z jednej strony rosły palmy i między nimi rozgałęzione drzewa dające dużo cienia, a z drugiej ciągnęły się sklepiki dla turystów i oryginalne barwne restauracje z dużymi szklanymi witrynami w białych framugach.

Ten sam płynący od morza kojący wiaterek deptał nam po piętach.

– Co powiesz na ten? – spytałam, zatrzymując się przed małym sklepem z zabawkami.

Heidi puściła moją rękę, podeszła do szyby i zaglądając do środka, przycisnęła do niej dłoń i czoło.

Pozostawiając po sobie ślady.

Ale kilka odcisków paluszków małej dziewczynki to przecież jeszcze nie zbrodnia.

Popatrzyła na mnie z szerokim uśmiechem, jej oczy iskrzyły się ekscytacją.

– O tak, o tak! Oni tu mają lalki, Edie! Mają lalki!

Uśmiechnęłam się do niej, pogłaskałam po policzku.

– W takim razie lepiej wejdźmy do środka.

Otworzyłam drzwi i Heidi pognęła przede mną między regałami, do lalek wystawionych na ekspozycji.

Skrzywiłam się. Już po jednym spojrzeniu wiedziałam, że nie ma szans, żeby Heidi było stać na zakup którejs.

– Edie... zobacz! Zobacz! Ta wygląda zupełnie jak ja. – Heidi skakała przy mnie i ciągnęła za rękę, pokazując na niedorzecznie drogą

lalkę z włosami i oczami w takim kolorze, że mogłam się założyć, iż każda sześciolatka umierałaby, żeby taką mieć.

– Och, przykro mi, cukierczku, ale masz zdecydowanie za mało pieniążków.

Oczywiście z wielką radością kupiłabym dla niej tę lalkę.

Gdyby tylko później jej ojciec mnie za to nie zabił.

Naburmuszyła się, ale nawet w tym było coś słodkiego.

– Ojej. To na co mam wystarczająco dużo pieniążków?

Serce załała mi czułość. Uczucie, któremu zawsze towarzyszył smutek. Uścisnęłam jej rączkę.

– Cóż, może je zaoszczędzisz i następnym razem będziesz miała więcej do wydania?

Wiecie... nie ma nic złego we wrzucaniu życiowej lekcji, gdy nadarza się okazja.

– Ala tata powiedział, że mam sobie za nie kupić jakiś prezent.

No dobrze.

– Może w takim razie kupisz jakąś ładną sukienkę dla lalki, którą już masz?

I proszę bardzo.

Odwrócenie uwagi.

Kompromis.

Heidi podskoczyła na słodkich pomalowanych różowym lakierem paluszkach.

– To znaczy, że możemy też pójść na lody?

– Tak, ale po lunchu. – Pociągnęłam ją lekko za koniuszek warkocza. – Podoba ci się taki plan?

– Tak! Tak!

Poszło dość łatwo.

Obeszłyśmy alejki, poszukując dodatków dla lalek. Całą drogę modliłam się, żeby nie okazały się równie drogie co lalki wystawione na froncie, bo ojciec Heidi musiałby zmyć mi głowę, że rozpuszczam mu córkę, ponieważ nie miałabym serca odmówić małej po raz drugi.

I zesztyniałam.

A ziemia usnęła mi się spod stóp.

Stałam w miejscu jak wryta. To się stało błyskawicznie. To, w

jaki sposób oczarował mnie widok tego pięknego chłopaka stojącego na przeciwległym końcu alejki. Niebezpieczny, groźny mężczyzna, który zatrzęsł szybko się kruszącymi posadami mojego świata. Jakby jego ciało wysłało ku mnie falę uderzeniową, a ta rozeszła się po posadzce, która pokryła się poszarpanymi, ziejącymi pustką szczelinami.

Fala uderzyła we mnie.

Zapierając mi oddech, odbierając rozum.

Poczułam mrowienie w palcach pragnących wsunąć się w tę gęstwinę potarganych na czubku kasztanowych włosów. Twarz z profilu, zarys silnej szczęki ciemnej od zarostu, którego najwyraźniej nie miał czasu rano zgolić. Obcisła szara koszulka odsłaniała rozległe tatuaże wijące się w dół po ramieniu. Tatuaże, które tak bardzo chciałabym obejrzeć z bliska.

Tej jego części nie znałam.

Była tajemnicą.

Zagadką.

Stałam tam oszołomiona.

Rozdarta.

Będę czekał na ciebie zawsze.

Tylko w jego przypadku chciałam, aby to była prawda.

Heidi pociągnęła mnie niecierpliwie za rękę.

– No, chodź, Edie. Musimy się pospieszyć, inaczej tata wejdzie do domu i będzie zupełnie sam, i nie zdążymy wtedy pójść do parku.

Na dźwięk jej dźwięcznego słodkiego głosiku Austin popatrzył w naszym kierunku.

I też doznał szoku, gdy spojrzenie jego szarych oczu spoczęło na mnie.

Czułam to, czułam, jak jego ciało przechyliło się w moją stronę.

Przyciągane.

Zamrugął, te ziemiste oczy takie ciemne i głębokie.

Heidi ciągnęła mnie, żebyśmy szły. Mała była zupełnie nieświadoma tego, jak przesunęła mi się oś świata. Wszystkie kierunki się pozmieniały i skupiły na jednej osobie.

Byliśmy jak dwa magnesy. Obracające się. Wirujące. Przyciągające się i odpychające.

Austin ruszył przed siebie, każdy jego krok był wymierzony. Zdumienie jeszcze chwilę temu wyraźnie rysujące się na jego twarzy zniknęło i te cudowne usta ułożyły się do jeszcze bardziej wspaniałego uśmiechu.

Satysfakcja i pożądanie.

Po plecach przeszedł mi dreszcz.

Zimny jak lód i ostry jak sztylet.

Boże, musiałam się zebrać do kupy. Zapanować nad sobą.

Zbliżając się, przeciągnął niedbale ręką przez włosy, głowa przechylona na bok, błysk w oku.

Mogłabym mu zarzucić, że mnie śledzi. Tylko że pod jedną pachą wetkniętego miał dużego złotobrazowego pluszowego miśka, a obok książeczkę z rysunkami z modą dla dziewczynek.

Byłam zdezorientowana.

Co on tu na Boga robił?

– Edie – rzucił na wydechu. Ciepłe oczy obiegiły moją sylwetkę, od stóp do głowy i z powrotem, jakby odczuwał ulgę na mój widok.

Przestąpiłam z nogi na nogę i podniosłam rękę do włosów, żeby wetknąć na miejsce pasmo, które wyrwało się z warkocza.

– Cześć – szepnęłam.

Po tym, co się wydarzyło przed dwoma dniami, nie byłam pewna, jak mam się zachowywać w jego obecności. Moja słabość do niego była oczywista.

Zaufanie.

Nie było tajemnicą, że nieczęsto nim kogokolwiek obdarzałam.

Ale w tym momencie osobą, której nie ufałam, byłam ja sama.

Zerknął w dół na małą dziewczynkę uśmiechającą się u mojego boku. Na czole pojawiła mu się zmarszczka zaciekawienia, usta ułożyły się do lekkiego uśmiechu.

– A to kto? – spytał.

Heidi wierciła się niespokojnie, odwracając głowę, jakby była zawstydzona. Najwyraźniej na nią też działał czar tego chłopaka.

Biedna mała.

Nie dziwiłam się jednak.

– Mam na imię Heidi.

Zerknął na mnie pytająco.

– Tata Heidi... Kane... pracuje w sklepie surfingowym. Pomagam mu i opiekuję się Heidi w soboty, bo są wakacje, a w weekendy nie ma w szkole zajęć letnich.

Uśmiech, jaki mi posłał, był ostrożny. Badawczy. Jakby ten chłopak wiedział i bez słów pytał, czy to jest w porządku.

Czy ja czuję się z tym w porządku.

Z całego serca wołałabym, żeby to miejsce, jakie dla niego zachowałam w swojej duszy, miejsce, które chroniłam niczym bezpieczny raj, nie tętniło tak dawnymi uczuciami.

Wołałabym nie chcieć do niego podejść, żeby się przytulić i tak jak kiedyś zaciągnąć jego zapachem i wyznać, że czasami to nadal boli. I to bardzo.

A najbardziej wołałabym nie wiedzieć, że gdyby mnie przytulił i zamknął w swoich objęciach, część tego bólu na pewno by zniknęła.

Zamiast tego wymusiłam na sobie niepewny uśmiech i uścisnęłam rączkę Heidi.

Nie do końca wiedząc, kogo tak naprawdę staram się podnieść na duchu.

Austin, który z powrotem przeniósł całą uwagę na małą, przyklęknął przed nią.

– Witaj, piękna. Miło cię poznać. Ja mam na imię Austin.

Zadrżałam w środku. Ta swobodna, pewna siebie strona tego cudownego tajemniczego chłopaka była dla mnie zupełną nowością. Miałam przed sobą mężczyznę, który zrzucił swą nieśmiałość, niepewną skórę.

Heidi zachichotała i znowu wstydliwie pokręciła całym ciałkiem. Sama słodycz.

– Mnie też jest miło – odpowiedziała, zerkając na mnie, żeby sprawdzić, czy się zgadzam.

Widząc, że jej nie odciągają, pogłaskała futerko pluszowego misia.

– Dla kogo to? – spytała. – Jest bardzo duży. To prezent na urodziny? Lubię urodziny.

Na jego pełnych ustach pojawił się ciepły uśmiech. Choć zarazem był trochę smutny, zbolały.

– Pytasz o misia?

Heidi z zapalem pokiwała głową.

– Dla mojej bratanicy. Ma na imię Kallie. Trochę mi ją nawet przypominasz, z czasów gdy była w twoim wieku. Bardzo dawno jej nie widziałem, dlatego postanowiłem coś jej wysłać, żeby wiedziała, że o niej myślę.

Bratanica?

Mój mózg próbował przetrwać to, co mówił, pytanie wymknęło się samo, zanim zdążyłam je zatrzymać.

– Masz bratanicę?

Przez głowę przebiegało mi tysiące pytań. Jak to? Kiedy? Czy to w ogóle możliwe?

Austin wyprostował się. Widać było, że kiedy zobaczył zdezorientowanie, które z pewnością wyraźnie malowało się na mojej twarzy, poczuł się nieswojo. Jakby rozumiał, że poruszył temat, który dla mnie był bardzo trudny.

Jakby wiedział, jak trudno było mi tu stać i mierzyć się z przeszłością, od której próbowałam uciec tak daleko. Teraz tkwiłam w niewiedzy, byłam kimś obcym dla swojej rodziny i przyjaciół. Pokręcił smutno głową.

– Kiedy ostatnio kontaktowałeś się z kimś z domu, Edie?

Uśmiechnęłam się niepewnie.

– Przecież wiesz, że z nikim się nie kontaktowałam.

Po wyjeździe wysłałam jedną patetyczną namiastkę listu do Asha. Celowo nie wpisując adresu zwrotnego z nadzieją, że to utnie ostatnie połączenie z przeszłością, z którą nie mogłam się dłużej mierzyć.

W efekcie odciąłam od siebie brata.

Rodziców.

Dom.

Austina.

Ale musiałam to zrobić, bo zerwanie z nimi oznaczało zerwanie ostatniej nici łączącej mnie z nim. Nie wyobrażałam sobie, że dalej mieszkamy w tym samym mieście. Nienawiść zacisnęła mi żołądek, ale ją zdusiłam, bo ostatnią rzeczą, której chciałam, to dać mu więcej czasu antenowego w swoich myślach.

On już tyle mi ukradł.

To przez niego porzuciłam tych, których kochałam.

I nawet nie próbowałam się do nich odezwać. Oglądanie się za siebie za bardzo bolało, poza tym wiedziałam, że nie byłam już częścią ich świata, który zresztą wspiął się na niewyobrażalne wyżyny.

Sunder odniosło sukces, gdy ja ukrywałam się w tym bezpiecznym ustronnym mieście w północnej Kalifornii.

Po prostu było mi łatwiej zostawić to wszystko w przeszłości i udawać, że za nią nie tęsknię. Za nimi. Jakby w mojej duszy nie było ziejącej dziury, przypominającej o wszystkim, co straciłam.

Żal ściągnął w dół jeden kącik ust Austina, także w wyrazie jego własnej straty. Mimo to w jakiś sposób nadal były one piękne, przepelnione miłością. Już sama tęsknota malująca się na jego twarzy wystarczyła, żeby zmiękły mi kolana, żeby osłabło moje zdecydowanie, skruszyła się forteca, którą z taką zaciętością budowałam wokół serca.

Boże.

Owładnęło mną uczucie rozdarcia. Chciałam uciec i zostać. Chciałam trzymać się krzywdy i zdrady, którymi Austin wypalił mi duszę, i zarazem osunąć się na kolana i zaoferować mu te wszystkie poszarpane fragmenty, które tam jeszcze zostały.

Zresztą one zawsze należały do niego.

Potrząsnął głową.

– Baz się ożenił.

– Żartujesz sobie. – Powiedziałam to na przydechu i potem z całych sił próbowałam udawać, że ta nowina nic mnie nie obeszła. Jakby łzy nie kłuły mnie w oczy. Stałam przed tym chłopakiem, który znał mnie najlepiej, i udawałam, że to nie ma znaczenia, że ci ludzie, którzy stanowili większą część mojego życia, rozwijali się, dorastali, zmieniali.

Podczas gdy ja pozostałam taka sama.

Zablokowana.

Zastygła.

Unieruchomiona.

Jego przeszywające spojrzenie wszystko to wyłapało. Ja też dostrzegłam jego smutek i to, jak próbuje pokryć go paplaniną.

– Dasz wiarę? To się stało tuż przed moim wyjazdem z LA. Poznał

byłą gwiazdę country, która miała już małą córeczkę.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Spadło to na nich jak grom z jasnego nieba, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować. Teraz mają też synka, Connora. Niedługo skończy dwa latka.

Poczułam nagły ucisk w gardle, ciężar napierający na moją klatkę piersiową był nie do zniesienia. Uścisnęłam rączkę Heidi i wymusiłam na sobie promienny uśmiech.

– To wspaniale. Bardzo się cieszę ze względu na nich.

– Taa. Ja też. Baz zasługuje na szczęście bardziej niż ktokolwiek inny.

Przyglądałam mu się uważnie, dostrzegłam, że gwałtownie przetyka ślinę.

– Jeszcze go nawet nie poznałem – przyznał cicho.

Czując, że zarazam się jego zakłopotaniem, uważałam, żeby głos mi nie drżał. Wiedząc, że wtykam nos w nie swoje sprawy. Skacząc na głęboką wodę, chociaż nie miałam pewności, że będę potrafiła w niej pływać.

– Dlaczego go nie poznałeś, Austin?

Mówił, że wyjechał z domu trzy lata temu. Zdaje się, że nie pojęłam w pełni, co to oznaczało ani jakie były tego koszty.

Przez twarz przebiegł mu cień jego własnych demonów, maska furii i wstydu. Ten promienny, piękny chłopak spadał na samo dno cierpienia, które, byłam tego pewna, jego też wyrzuciło z tamtego świata.

Inaczej utonąłby w nim na dobre.

Ten chłopak, który pozwolił mi zamoczyć palce w lodowatych wodach swojego bólu. Nigdy nie wpuszczając głębiej.

Tam, gdzie krył własne przytłaczające tajemnice i ogromny wstyd.

– Nie wiem, Edie. To jest... trudne.

Usta wygięły mi się same w tęsknym grymasie.

– Wiem. Nie musisz tłumaczyć.

Czas tańczył dokoła nas. Czuliśmy, że za chwilę wciągnie nas w przeszłość lub rzuci w przyszłość.

Bo koniec końców Austin i ja zawsze byliśmy tak bardzo tacy

sami.

Otrząsnęłam się, mruganiem odpędziłam łzy.

– Opowiedz mi o reszcie.

Roześmiał się i szeroko otworzył oczy, wyraźnie szykując się do ujawnienia najlepszej plotki, jakby ten temat był dla niego wytchnieniem od cierpienia.

– No więc, nie uwierzysz... Lyrik? Koleś ma żonę. I dziecko w drodze.

Opadła mi szczeka.

– Nie gadaj.

Lyrik West był największym, najgorszym babiarzem, jakiego znałam. Może za wyjątkiem mojego brata.

Austin pokiwał głową.

– Taa, słowo. Możesz w to uwierzyć?

– Nie. Nie mogę. – Zmusiłam się i przywołałam na usta najbardziej głupkowaty uśmiech, udając, że dobrze się bawię, udając, że to, co słyszę, nie jest ostatnią kroplą przepełniającą dzban mojego rozpadu. – I może jeszcze powiesz, że Ash też się ożenił?

Szare oczy zabłyśły. Zrozumieniem, życzliwością, zaciekawieniem.

Jakbym kiedykolwiek potrafiła cokolwiek przed nim ukryć.

– Nieee... o ile wiem, twój brat nadal jest wolny i zdobywa szturmem każde miasto, które odwiedza. Biedne dziewczyny nie wiedzą, co je trafiło. Chłopak po prostu uwielbia szerzyć miłość na świecie.

Przycisnęłam żartobliwie dłoń do serca.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Te oczy przemknęły po mnie. Ciepłe, uwodzące, słodkie. Boże. Patrzyłam na swoją zgubę.

– Taa, masz rację, Edie. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Heidi zachichotała, wyrywając mnie spod uroku Austina Stone'a.

– Muszę znaleźć sukienkę dla mojej lalki... pamiętasz?

Uścisnęłam jej rączkę, głos miałam ochrypły.

– Taa, kochanie, pamiętam. – Spojrzałam na Austina. – No to... my... eee... już lepiej pójdziemy. Heidi chce zrobić zakupy, potem zjemy jakiś lunch i lody... i może nawet zajrzemy do parku, jeśli starczy

nam czasu, prawda, Heidi?

Usiłowałam zawrzeć w swojej wypowiedzi nieco ekscytacji.

– Tak! Tak! Lody lubię najbardziej, i jeszcze czekoladę. Będę mogła zjeść czekoladę, prawda?

– Oczywiście – odpowiedziałam szeptem.

Austin zmienił się na twarzy. Widać było, że zastanawia się, co ma powiedzieć. Widziałam to, rozpoznałam po tym, jak poruszały mu się mięśnie szczęki i że patrzył w podłogę.

Napięcie zgęstniało. Wypełniając powietrze.

Ten działający na mnie jak magnes chłopak oślepił mnie swoją mrocznością.

Dał ostrożny krok przed siebie.

– Wybierz się ze mną na kolację, Edie.

Przez żyły prześliznął mi się niepokój, oblizalam wyschnięte wargi.

– To nie jest najlepszy pomysł.

Zaledwie tydzień temu uciekałam od niego, jakbym zobaczyła ducha. Mroczna, mroczna obsesja.

I teraz... on stawiał ku mnie kolejny krok. Zbliżając się, osaczając.

A ja mu na to pozwalałam.

Cholera. Cholera. Cholera. Jak on mógł mi to zrobić?

– A niby dlaczego? – spytał przekornie.

O mało nie prychnęłam.

Mogłam wymienić tysiące powodów, ale on znał każdy.

– Wiesz dlaczego, Austin. Nie jestem...

Gotowa.

Boję się.

Chcę ci zaufać. Tylko nie wiem, czy mogę.

Oczy mu pociemniały, głos się pogłębił.

– Ja tylko chciałbym od nowa cię poznać. Brakuje mi cię.

– Mnie ciebie też – odpowiedziałam, czując przeszywający mnie dreszcz.

Boże. Czy właśnie przyznałam się do tego na głos? Ale czy naprawdę byłam aż tak zaskoczona tym, że ten zagadkowy mężczyzna potrafił wyciągnąć ze mnie prawdę bez mojego przyzwolenia?

– No, daj się namówić, Edie. To tylko kolacja dwójki przyjaciół.
Taa, jasne.

Na twarz wypłynął mu wyraz lekkiego rozbawienia – pewna siebie strona tego chłopaka, której nie znałam – i zwrócił się do Heidi, przestępującej u mojego boku z nogi na nogę.

– Heidi, powiedz Edie, że musi iść ze mną na kolację. Powiedz jej, że złamię mi serce, jeśli odmówi. Moje kruche ego tego nie zniesie.

Heidi popatrzyła na mnie z przerażeniem.

– Nie łam mu serca, Edie. To nie jest miłe. A my powinniśmy być mili. Pamiętasz?

Przycisnęłam dłoń do czoła i poczułam gorąco, ten niegasnący pożar, który rozpalał mi żyły i drażnił całe ciało.

Pchał mnie ku temu chłopcu, który był moją największą słabością.

Austin zerknął na mnie z ukosa, wcześniejsza powaga zupełnie zniknęła. Jej miejsce zajął wyraz przebiegłości i najniebezpieczniejsza kombinacja arogancji i słodyczy.

– Ona ma rację, Edie. Powinniśmy być mili.

Dlaczego sprawiał, że tak się czułam?

Oszołomiona, pełna nadziei, podekscytowana.

I do głębi i straszliwie przerażona.

Z głośnym rykiem w moim sercu obudził się ten sam konflikt, który Austin zawsze we mnie wywoływał.

– Nie powinnam.

Znowu dał ku mnie krok. Stał teraz tak blisko, że mogłam się zaciągnąć jego zapachem.

Coś męskiego.

Korzennego, z lekką nutą słodyczy.

Odurzającego.

Zapragnęłam przytknąć nos do jego szyi. Albo do kołnierzyka koszuli.

Zaatakowały mnie wspomnienia.

Cały pachniał świeżością.

Ciepłem.

Bezpieczeństwem.

Zakręciło mi się w głowie.

Jego ochryply głos spowił mnie całą.

– Ależ wręcz przeciwnie, jak najbardziej powinnaś.

Pokręciłam głową. Tylko że tym razem ogłaszając przegraną.

Austin też to wiedział.

Przykląkł przed Heidi i wyciągnął do niej dłoń zaciśniętą w pięść.

– Punkt dla nas. Tworzymy doskonały zespół, maleńka.

Heidi też zrobiła piąstkę, przybiła z Austinem żółwika i wesoło zawołała:

– Punkt dla nas!

Och, Boże.

Na co ja się zgodziłam?

I dlaczego?

Austin wyprostował się do pełnej wysokości.

Dominujące pokrzepienie.

– Przyjadę po ciebie o siódmej – oznajmił.

– Austin.

To była błagalna prośba.

Którą on zupełnie zignorował i posłał mi arogancki, pewny siebie uśmiezek.

– Siódma.

Cofnął się, z pluszowym miśkiem pod pachą, uśmiechnięty od ucha do ucha, mnie natomiast serce waliło bez kontroli jak młotem.

Co ja robię? Co ja robię? – pytałam się w myślach.

To była chyba najbardziej lekkomyślna decyzja w moim życiu.

Przede wszystkim dlatego, że mu zaufałam.

Zasalutował krótko przed Heidi, po czym okręcił się na pięcie i zaczął odchodzić. Na końcu alejki skręcił, ale zanim zniknął zupełnie z widoku, na sekundę się zatrzymał. Odchylił się i przechwycił moje spojrzenie.

– Och i jeszcze jedno, Edie.

– Tak?

– Dopilnuję, żebyś tego nie pożałowała. Nie tym razem.

Przełknęłam grudę w gardle. Mogłam się tylko modlić, żeby to była prawda.

Rozdział 9

Austin

Przejdziemy się? – spytałem.

Przygryzła nerwowo dolną wargę, zastanawiając się, po czym zerknęła na mnie i nieśmiało kiwnęła głową.

– Chętnie.

Skęciliśmy. Szliśmy szerokim chodnikiem z restauracji, w której jedliśmy kolację. Minęła nam ona w dziwnej krępującej błogości. Jak byśmy dawali sobie czas na oswojenie się z faktem, że tam byliśmy.

Razem.

Rozmawialiśmy swobodnie, choć zarazem ostrożnie. Śmialiśmy się, ale tylko dlatego, że poruszaliśmy wyłącznie bezpieczne tematy. Te, które nie były trudne i nie dotyczyły naszych porażek i obaw.

Teraz szliśmy w milczeniu, oboje pochwyceni w kleszcze tego dziwnego napięcia.

Żadne nie wiedziało za bardzo, na czym stoi.

Bez wątpienia oboje stąpaliśmy po grząskim gruncie.

Co nie oznaczało, że nie czułem mrowienia na całym ciele przez to, że szła obok, lekko ocierając się o mnie ramieniem.

Mrowienie dotarło do palców dłoni.

Cholera.

Wziąłem ją za rękę.

Zaskoczona, drgnęła, potem znowu na mnie zerknęła, a następnie spojrzała na nasze dłonie, z lekkim przestraczeniem.

Poczułem, że przeszedł ją dreszcz. Całą, od stóp do głowy.

Wypuściłem z ulgą wstrzymywany oddech, serce zabiło mi jak oszalałe.

Cholerna panika w mojej piersi.

Nie miałem pojęcia, jak Edie zareaguje, gdy jej dotknę. Mogła mnie odepchnąć. Albo nawet uciec.

Bo ta dziewczyna miała pełne prawo wysłać mnie prosto do piekła.

Tam, gdzie było moje miejsce.

Zamiast tego wyglądało, że gryząc wargę, zastanawia się. A potem się poddała i przytuliła do mojego boku.

Boże, jakie to było przyjemne.

Szliśmy deptakiem, jakbyśmy byli po prostu kolejną parą z wielu. Nad naszymi głowami migotały sznury światełek. Tego wieczoru stare drewniane deski promenady były wypełnione ludźmi, powietrze niesione znad morza przenikał chłód, w oddali widać było pierwsze oznaki nadciągającej burzy.

Edie przytuliła się do mnie jeszcze bardziej i westchnęła. Naprawdę głęboko, jakby wstrzymywała oddech od zawsze. Owiała mnie nim, wypełniając moje zmysły całą swoją słodyczą i ciepłem.

Nie mogąc się oprzeć, puściłem jej dłoń i objąłem ramieniem plecy. Przyciągając ją do siebie mocno, czując, że za chwilę stracę nad sobą kontrolę.

A ona... ona, kładąc mi rękę na brzuchu, tylko się we mnie wtuliła.

– To takie miłe uczucie. – Powiedziała to niepewnie. Jakby bała się tego wyznania.

Przycisnąłem usta do czubka jej głowy.

– Najlepsze w świecie.

– To szaleństwo. Coś niemożliwego – szepnęła, prawie jakby mówiła do samej siebie, jakby nie wierzyła w to, co się dzieje.

– Jest idealnie – odparłem.

I potem oplotła mnie w pasie ramionami. Mocno je na nim zaciskając. Przywarła do mnie, jakbym był kołem ratunkowym.

Milcząc, zeszliśmy z promenady i skierowaliśmy się w dół w stronę plaży.

Jakbyśmy byli ze sobą w pełni zsynchronizowani.

Przyciągani.

A ja pod tymi wszystkimi przeklętymi gwiazdami na niebie modliłem się o otrzymanie drugiej szansy.

O to, abym mógł zrobić coś, czym wynagrodziłbym tę cholerną krzywdę, jaką jej wyrządziłem.

Żebym był dobry dla tej dziewczyny, która w oczywisty sposób została stworzona właśnie dla mnie.

Edie, biorąc głęboki oddech, podniosła tę swoją oszalamiającą twarz do nieba, do tego samego, do którego właśnie wznosiłem modlitwy.

Całej siły woli wymagało ode mnie, żebym nie przycisnął twarzy do szczupłej kolumny jej szyi, aby poczuć tętnienie pulsu bijącego pod tą śnieżnobiłą skórą.

Podbrzusze zacisnęło mi się pożądaniem. Nagle i szybko.

Tak bardzo jej pragnąłem.

I to był mój problem.

Zawsze jej pożądałem.

Zaczekaj.

Ale cierpliwość nie była moją najmocniejszą stroną.

Kiedy dotarliśmy na plażę, nasze stopy zapadły się w miękkim piasku. Oboje zdjęliśmy buty i niosąc je, ruszyliśmy brzegiem. Szliśmy i szliśmy, aż znaleźliśmy się przy wyludnionej zatoczce. Było coraz ciemniej, niebo zdawało się rozciągać w nieskończoność.

Fale rytmicznie uderzały o brzeg. Spokój, wrażenie szalonego osamotnienia niesionego z wiatrem.

Przeszedł mnie dreszcz, bo poczułem jego obecność.

Jak zawsze, gdy podchodziłem aż tak blisko.

Groźne, mętne wody wzywały, abym wszedł w te same głębiny, na jakie skazałem jego.

Edie wyplątała się z moich objęć, odwróciła w stronę morza i splotła ręce na piersiach. Jej luźny, cienki sweterek opływał jędrne drobne ciało dokładnie tak, jak powinien, pieszcząc każdą krzywiznę. Jedno delikatne ramię było odsłonięte, tak jak i długie szczupłe nogi, bo była w krótkich postrzępionych džinsach.

Opadłem na mokry piasek, palce stóp zatopiłem głęboko, ramionami otoczyłem kolana i przyglądałem się mojej dziewczynie od tyłu.

– Tu jest tak pięknie – powiedziała z zachwytem, ta zdumiewająca twarz uniesiona do nieba.

W oddali między coraz gęstszymi chmurami błysnął zygzak błyskawicy, silny podmuch wiatru zmarszczył wodę zasnutą nisko wiszącą mgłą.

– Czasami nie mogę uwierzyć, że tu jest tak spokojnie. Człowiek czuje się w takich miejscach tak cholernie mały.

Spokój i udręka.

Spokój i cierpienie.

Walczyłem z uciskiem w piersi.

Zbliżyła się do wody, tak że powolne fale zalewały jej stopy.

Weszła krok głębiej i obejrzała się na mnie przez ramię.

– Dołączysz do mnie?

Wplotła ostrożność w to pytanie, głowę przechyliła na bok, przyglądając się mi uważnie.

Ledwie mogłem to z siebie wydusić, gardło miałem zaciśnięte, wyschnięte.

– Nie, Edie, nie dołączę.

Przez jej wyrazistą twarz przemknął cień bólu. Białe, białe włosy powiewały wokół niej, błyszczały w blasku księżyca w pełni.

Blask ognia.

Odwróciła wzrok, żeby zebrać się w sobie, potem znowu popatrzyła na mnie, teraz już współczująco, z przytłaczającą czułością. Pochyliła się i przeciągnęła palcami po grzywie małej fali obmywającej jej nogi aż po łydki.

– To tutaj czujesz, że jesteś najbliżej niego?

Spuściłem wzrok, wbijając go w migoczące w białym piasku kamyczki, po czym zmusiłem się do udzielenia odpowiedzi.

– Taa. Nad morzem zawsze czuję go najbardziej.

Nic na to nie odpowiedziała, poważna, czekała na moje dalsze słowa.

Przeciągnąłem gwałtownie ręką przez rozsypane wiatrem włosy.

– To jest tak, że nie mogę podejść zbyt blisko... ale on nie pozwala mi też odejść zbyt daleko.

Na jej twarzy pojawił się błysk zrozumienia.

– I dlatego podróżowałeś wzdłuż wybrzeża.

To nie było pytanie.

Ona po prostu czytała we mnie jak w książce.

Znowu mnie poznawała po latach.

Ta dziewczyna zastanawiała się, czy się zmieniłem. Czy

wyleczyłem się z bólu, czy raczej nadal tkwiłem w okowach rozpacz.

Trochę mocniej zacisnąłem ręce na kolanach.

– To jest szalone... bo nie ma znaczenia, nad jakim oceanem wyląduję. On zawsze tam jest. Tak samo mocno przywiązany do niego czułem się nad Atlantykiem, kiedy mieszkałem w Savannah, gdzie Sebastian poznał swoją żonę. W chwili, gdy zaczynam oddalać się w głąb lądu? Zaczynam się czuć, jakbym wylaził ze skóry, i muszę wrócić nad morze.

Spomiędzy moich warg wytoczył się ponury chichot. Pozbawiony cienia humoru i wesołości.

– Potem, kurwa, tylko zamarzam na brzegu. Nie mogąc dotknąć wody, bo nie da się dotknąć czegoś, co zginęło na zawsze.

W tamtym momencie zapragnąłem wyznać wszystko. Wylać to z siebie. Podarować jej moją tajemnicę, tak jak ona podarowała mi swoją.

Wiedziałem, że potraktowałyby ją z szacunkiem.

Nie wyrzuciłaby jak śmiecia, jakby nic nie znaczyła, tak jak ja to zrobiłem.

Zamiast tego potrząsnąłem głową z odrazą.

– Nie jestem pewien, czy wiele się różni od tego dzieciaka z tamtego pokoju w LA.

Powtarzałem jej afirmację.

Ostrzeżenie.

Prośbę.

Przeciągnąłem oczyma po jej długich nogach. Zgrabnych, umięśnionych. Po jędrnych ramionach.

Zewnętrznie stała się silniejsza. Trochę jak ja. Lata odarły ją z nastoletniej gibkości.

Jednak wiedziałem, że wewnątrz wciąż nosi te wszystkie pokiereszowane części.

Moje lustro.

Zacząła się cofać, wychodząc z wody.

Patrzyła na mnie, kiedy wolno szła plażą w moją stronę.

Jej włosy – aureola poszarpanych płomieni.

Niczym biała wiedźma, rzucająca na mnie swój czar.

Hipnotyzując.

Oczarowując.

Przełknąłem grudę w gardle. Walcząc z jej władzą nad sobą. Serce szalało od pragnienia zanurzenia się w jej pocieszającej bliskości.

Zatrzymała się dwa kroki przede mną.

Patrząc na mnie tak, jakby widziała moje wnętrze na wylot, tak jak ja widziałem jej.

I znowu cofałem się do fazy bezradnego dziecka.

Tęskniąc za przekłętą bluzą z kapturem, żebym mógł się pod nim ukryć.

Wiedziałem, że ona wiedziała.

Wiedziałem, że to czuła.

Nawet nie знаła wszystkich szczegółów, a mimo to była jedyną osobą, która to naprawdę rozumiała.

Opadła przede mną na kolana. Te słodkie, wydęte usteczka wykrzywione współczuciem i zdumieniem.

– Jak ty to robisz, że jednocześnie łamiesz mi serce i je uzdrawiasz?

Dotknąłem jej policzka.

– Nie chcę cię złamać.

Zamrugła, wpatrzona we mnie tymi zamglonymi błękitnymi oczami, jej głos ociekał poruszeniem.

– Złamałeś mnie już dawno temu.

– I tak cholernie tego żałuję, Edie. Wiem, że wszystko zaprzepaściłem. Zaprzepaściłem nas. Przez ostatnie cztery lata budziłem się codziennie, żałując tego. Zasypiałem z pragnieniem cofnięcia wszystkiego. Ale to właśnie tutaj... ze mną... to tutaj powinnaś być. Bo to jest twoje miejsce.

Przeznaczenie.

Poczułem, że oboje wirujemy, jakbyśmy byli na orbicie krążącej wokół słońca.

Do jej spojrzenia zakradł się smutek.

– Kiedyś uważałam... od tej pierwszej nocy, gdy do mnie przyszedłeś, wierzyłam, że gdziekolwiek jesteś, tam powinnam być i ja. W jakiś sposób wydawało mi się to... właściwe. Sprawiałeś, że czułam, że nikt inny nie zrozumie mnie jak ty. Nie zobaczy mnie tak jak ty mnie

widziałeś.

W jej oczach zamigały łzy. Błysk diamentu w ciemności nocy. Bezcennego, drogocennego. Z jej głosu sączył się żal.

– Wierzyłam w to, aż do tej nocy, gdy rzuciłeś mnie na pożarcie wilkom.

I te wilki natychmiast się na nią rzuciły z zamiarem zniszczenia.

Ogarnął mnie żal. Dławiący. Skutecznie niszczący wszelkie przebłyski nadziei.

– A teraz? – spytałem, bo takim właśnie byłem masochistą.

Wpatrywałem się w drżące falowanie jej gardła, gdy przełykała ślinę.

– A teraz... jestem bardziej dezorientowana... bardziej rozdarta wewnętrznym konfliktem... niż kiedykolwiek.

Przed kolejnymi słowami uciekła ode mnie wzrokiem.

– Kiedy zobaczyłam cię na tej scenie... Wiedziałam, że muszę uciekać. Że muszę uciec od ciebie, jak najdalej się da.

Zwilżyła usta językiem i w tej samej chwili uderzył w nas podmuch silnego wiatru.

Chłoszczący.

Jątrzący.

Wywołujący niepokój.

– I co zrobiłam? Odwróciłam się i pobiegłam prosto do ciebie.

Jej słowa przeszyły mnie jak strzała wbita w serce. Strzała Amora. Trafiła tam, gdzie puls walił niczym wibracje bębnów. Nie myślałem o niczym innym tylko o tym, że chcę, żeby znów była moja.

To było nieuchronne.

Nieuniknione.

Bo Edie i ja...? Nam to było pisane.

Przeciągnąłem palcami przez długość jej włosów.

Tak cholernie miękkich.

Przyciągnąłem ją bliżej.

Wraz z westchnieniem rozchyliła usta.

Zaciągnąłem się jej oddechem.

Subtelna nuta pomarańczy.

Słoneczność i niewinność, i coś jeszcze, coś rozkosznie słodkiego.

Światłość.

Światłość.

Światłość.

Zamrugnęła, jakby próbowała wyciągnąć jakiś sens z tego wszystkiego.

– Jak to możliwe, że masz nade mną taką władzę? – wymamrotała cicho. – Przecież nawet ze sobą nie... – umilkła, niedokończone zdanie zawisło drażniąco w powietrzu.

Tylko że Edie wszystko pokręciła.

To ona mnie oczarowała.

To ona rzuciła na mnie najsilniejsze zaklęcie świata.

Przysunąłem usta do jej ucha.

– To, że nigdy ze sobą nie spaliśmy, nie oznacza, że nie byliśmy kochankami.

Sapnęła i odsunęła się, oczy miała rozpalone.

Boże. Nie mogłem tego znieść nawet sekundy dłużej, znowu się do niej przysunąłem.

Bliżej.

Ona zrobiła to samo.

Serce prawie wyskakiwało mi z piersi.

Ale w ostatniej chwili lęk zwyciężył. Jej oczy zrobiły się wielkie. Spuściła brodę, chociaż wciąż się do mnie nachylała.

Moje usta wylądowały na jej czole.

I zostały tam przez chwilę.

Żebym mógł nasycić się zapachem tej dziewczyny.

Jej słodyczą i czystością.

Nie zgadzając się na zaliczenie tego, co się wydarzyło, do porażek.

Opadła na mnie i pozwoliła się objąć.

I siedzieliśmy w tej pozycji minuty albo godziny, nie wiedziałem.

Aż w końcu wyszeptałem w jej włosy:

– Czy czujesz to, Edie Evans?

– Co? – wymamrotała z twarzą wciśniętą w moją pierś, jakby mówiła bezpośrednio do mojego serca.

– Mnie.

Rozdział 10

Austin – lat siedemnaście

Siłowaliśmy się. Dziewczyna zdusiła śmiech, chichot brzmiący jak dzwoneczki.

Łaskoczący w uszy.

Przygwoździłem ją do podłogi, z rękami nad głową, słodki, słodki uśmiech, taki nieskrępowany.

– Puść mnie – poprosiła cicho.

Zalotnie.

Serce zabiło mi mocno i pokój zawirował.

Światło dotykało mnie wszędzie.

Ogrzewając te wszystkie zimne martwe miejsca.

Życie.

Czułem je.

Po raz pierwszy, od kiedy skończyłem osiem lat.

Czułem, że żyję.

Jakbym wreszcie mógł zaczerpnąć pełny oddech.

– Nigdy.

Rozdział 11

Austin

Cierpiałem, że muszą ją odwiedzić do domu. Ale powiedziała, że potrzebuje trochę przestrzeni. Czasu, żeby pomyśleć. Przez resztę drogi niewiele rozmawialiśmy. Żadne z nas nie wiedziało, na czym staliśmy.

Wrażenie było takie, że się spieszymy, ale oboje wiedzieliśmy, że zrobiliśmy tysiąc kroków wstecz. Bo bez wątpienia bylibyśmy w zupełnie innym miejscu, gdyby nie ta jedna cholerna noc.

Noc, która zepchnęła mnie z powrotem w dół śliskiego zbocza.

Noc, która wykradła Edie rodzinie. Bratu. Z domu.

Teraz wracała do swojego prowizorycznego poczucia bliskości. Które odnajdowała przy ludziach poznanych po drodze.

Nie obwiniałem jej ani ich.

Cała wina spadała na mnie.

Oczywiście to w żadnym razie nie oznaczało, że nie poczułem się, jakby ktoś przekręcał mi tępy nóż w brzuchu, gdy otworzyła drzwi frontowe domu, który teraz nazywała swoim.

Przystanąwszy, pozwoliła sobie na powtórne zerknięcie na mnie z werandy – jej sylwetka stanowiła jedynie cień w mrokach nocy – zanim otworzyła drzwi do końca i zniknęła w środku.

Z westchnieniem zmusiłem się do wrzucenia biegu w samochodzie pożyczonym od Deaka i odjechałem.

Do domu.

Do ścian mojego własnego prowizorycznego schronienia, w którym wciąż czułem się zupełnie osamotniony.

Ale dzisiaj?

Dzisiaj czułem, że coś mnie wzywa.

Czułem, że morze woła do mnie.

Stracona i odnaleziona.

Pobiegłem szybko do swojego pokoju i przekopałem szufladę nocnej szafki, potem zwolniłem i wyszedłem tylnym wyjściem na

wytartą ścieżkę. Tam straciłem buty, pozwalając, by moje stopy zanurzyły się w miękkim, zimnym, mokrym piasku.

W oddali zbierał się sztorm. Nadciągał. Zbite chmury iskrzyły się błyskami piorunów.

Zerwał się wiatr.

Niski, głęboki pomruk.

Wycie.

Ruszyłem w tej wichurze w stronę oceanu, potem osunąłem się na piasek jakieś sześć kroków od wody.

Tak jak mówiłem Edie.

Nigdy nie aż tak blisko, żeby dotknąć.

I nigdy aż tak daleko, żebym zdołał uciec.

W domu na wzgórzu za mną paliło się światło, ciemność pochłonęła mnie całego, spienione białe czapy fal wtaczających się na plażę były ledwie widoczne.

Przycisnąłem obszarpaną szarą pluszową małąkę do piersi. Przystawiłem ją do nosa.

Przyklepałem dłuższe włosy na czubku głowy, które szarpały się na wietrze zupełnie tak, jak moje serce szarpało się w piersi.

Towarzystwa dotrzymywały mi tylko wycie morza i ta przekłeta małąka, poza tym byłem zupełnie sam.

Nie licząc jego.

– Czy wiesz, że ona do mnie wróciła? – szepnąłem w rozpędzony wiatr.

Za gardło chwyciła mnie rozpacz.

– Czy to źle, stary, że kogoś Kocham, gdy ty nigdy nie będziesz miał na to szansy? Gdy to ja ci tę szansę odebrałem?

Morze w odpowiedzi zagrzmiało. Żalonym okrzykiem, a moja dusza pulsowała, cierpiała, rzucała się.

Wyciągając ręce po niego.

– Nie mogę tego znowu spieprzyć, Julianie. Nie mogę. Nie przeżyłbym, gdybym to znowu zniszczył. Powiedz, że wszystko dobrze się skończy.

Zamknąłem oczy. Za powiekami zobaczyłem, jak biegnie brzegiem tuż przy wodzie jak linoskoczek. Promienie słońca odbijały się od bieli

jego włosów, bo takie mieliśmy, gdy byliśmy dziećmi, wiecznie wyglądający jak ośmioletni chłopiec, chłopiec, który nie miał okazji się postarzeć. Wydorośleć, pociemnieć, zaliczyć kilku blizn.

Wszystkie nosiłem ja.

Prawie widziałem, jak się odwraca i uśmiecha do mnie.

Taki wolny.

Ból chwycił i szarpał i w jakiś sposób pocieszał.

Niczym lina ratunkowa przerzucona do zaświatów.

To... to z nimi byłem połączony.

I może przez to byłem trochę chory.

Miałem pochrzanione w głowie.

Może dlatego pakowałem w żyły wszystko, co możliwe – żeby to ukryć.

Zabrzączał mój telefon. Przeszedłem do wiadomości.

Sebastian.

„Wracaj do domu, stary. Tu jest twoje miejsce”.

Czytając te słowa od starszego brata, zacząłem się dławić.

Spojrzałem w bezkresne niebo.

Kurwa. Nie byłem pewien, czy gdziekolwiek było moje miejsce. Czy kiedykolwiek będę godzin wrócić, stać się częścią ich życia, nie pogarszając go.

Czy miałem coś więcej do zaoferowania niż to moje szaleństwo, które zawsze jedynie ściągało ich w dół?

Baz zawsze się obawiał, że kiedyś w końcu runę w przepaść. Zrobię sobie jakąś krzywdę, bo straciłem część siebie.

Część, której nigdy miałem nie odzyskać.

Ogarnęło mnie nieznane uczucie. Subtelne, ale jednak przytłaczające.

Może zawsze znałem powód. Przyczynę, dla której się tu znalazłem.

Przywiązany, związany w zupełnie inny sposób.

I wiedziałem... wiedziałem.

Tym powodem była ona.

Rozdział 12

Edie

Odchodzenie zawsze było najtrudniejsze.

Przystanęłam przy drzwiach naszego domu i zerknęłam za siebie na chłopaka, który siedział w samochodzie, jego olbrzymia sylwetka w mroku widoczna była tylko w zarysie. Ale wiedziałam, jak wygląda. Że zaciska ręce na kierownicy i wpatruje się we mnie poprzez ciemność.

Powstrzymując się.

Czułam to jak jakąś moc, kiedy wszedł do samochodu i patrzył.

Powstrzymując się, żeby nie wyskoczyć i nie pobiec za mną.

Dreszcz, nad którym nie mogłam zapanować, prześliznął się wolno po powierzchni mojej skóry. Oddychałam krótko i urywanie.

Poprosiłam go, żeby za mną nie szedł.

Potrzebowałam czasu.

Przestrzeni.

Jasności.

W głowie miałam bezładny chaos, emocje w kompletnym zamęciu.

Dlatego poprosiłam, żeby przystopował.

Zaczekał.

Dał mi chwilę na to, żeby moja głowa dogoniła serce.

Po prostu musiałam się upewnić, że ten rebeliancki organ wie, w co się pakuje.

Że był wystarczająco silny, żeby znieść sztorm w postaci Austina Stone'a.

Że moja popękana krucha skorupa była jeszcze w stanie nabrać wody i nie utonąć.

Bo w przypadku Austina moje decyzje zawsze były wypaczone.

Znowu przeszedł mnie dreszcz, gdy te przesywające oczy błysnęły w strumieniu światła reflektorów przejeżdżającego auta.

Wbite we mnie, jakbym była tarczą strzelniczą.

Celem.

Między nami przebiegał rozpalony do czerwoności prąd elektryczny. Czuło się, że za chwilę dojdzie do zwarcia i wszystko wybuchnie.

Był zakotwiczony we mnie tak głęboko, że miałam wrażenie, że przyciągał mnie ze wszystkich stron.

Byliśmy dwoma biegunami magnesu.

Podrygującymi w wodzie przynętami.

Odbywało się między nami zaciekle przeciąganie liny, niewidoczne, ale intensywne. Lina, która nas łączyła, była rozciągnięta do granic możliwości. Tylko kwestią czasu było, kiedy pęknie, a my się zderzymy. Tak ze sobą spleceni, że nie potrafiliśmy określić, gdzie kończyła się jedna dusza, a zaczynała druga.

Pozostawanie w takim miejscu jest ryzykowne.

Twój oddech zależy od oddechu drugiej osoby.

Bicie twojego serca uzależnione jest od tego, kto trzyma je w swoich dłoniach.

Serca, które tak trudno uleczyć, a zarazem tak łatwo zmiażdżyć.

Zmusiłam się do zerwania tego połączenia i weszłam do pogrążonego w ciszy i ciemności domu. Było późno. Stąpając na palcach, poszłam korytarzem do swojego pokoju, oświetlonego słabym blaskiem światła dochodzącego z sąsiadującej z pokojem łazienki.

Na mojej twarzy igrał uśmiech, na obrzeżach świadomości czaiło się jakieś nowe radosne uczucie.

Odłożyłam telefon i torebkę na szafkę nocną, ściągnęłam sweter i w samej koszulce wśliznęłam się pod kołdrę.

Byłam zbyt podniecona, żeby zasnąć. Zbyt rozdarta, żeby podjąć jakąś decyzję.

Zamiast tego więc wpatrywałam się w okno, w nadciągającą za nim burzę.

Przywołując ją.

Zapraszając.

Ten chaos, bezład i zamęt.

Niebo rozświetlił błysk pioruna. Poczułam szczypanie na całym ciele, starcie strachu i pożądania.

Boże, wiedziałam, że stałam niebezpiecznie blisko krawędzi.

Nachylałam się nad przepaścią, żeby móc zajrzeć w te nieznane głębiny.

Najgorsza była świadomość, że ciemność w dole ucieszy się z mojego przybycia. Obejmie mnie swymi ramionami.

Pozostawałam w tym stanie nie wiem jak długo, aż zabrzączał mój telefon.

Głupkowaty uśmiech na mojej twarzy powiększył się.

Austin.

Podeksytowana, żeby sięgnąć po telefon, podczołgałam się do brzegu łóżka.

I przeciągnęłam kciukiem przez ekran.

Nadawca nieznany.

To nie Austin.

Poczułam ukłucie niepokoju, mimo to otworzyłam wiadomość.

Mój wzrok przemknął po tekście.

Umysł przetwarzał to, co czytałam.

Zdezorientowanie.

Strach.

Przerażenie.

Całą sekundę zajęło mi przejście przez te wszystkie stadia.

Potem uderzyła mnie tak silna fala mdłości, że opadłam na podłogę na kolana.

Łzy zamazywały mi wzrok, gdy czytałam wiadomość raz za razem.

Kręcąc głową.

Nie.

Jak on mnie znalazł?

Nie.

„W końcu to rozgryzłem. To ty to zrobiłaś. Naprawdę myślałaś, że się wywiniesz? Że się nie wyda? Że cię nie znajdę?”

Przycisnęłam telefon do piersi, jakby ten mógł zapobiec, żeby moje serce nie wydarło się ze swojego miejsca i krwawiąc, nie spadło na podłogę. Strach mieszał się z nienawiścią tak intensywną, że aż się we mnie gotowała. Bulgocząc i przelewając się. Nasycając każdą komórkę.

Nie.

Jak on mnie znalazł?

Było szaleństwem, że to pytanie wydawało się ważniejsze niż to

drugie, wirujące dokoła mnie.

O czym on mówił?

Co ja takiego zrobiłam?

Co takiego się wydało?

Och Boże.

Czego on chciał? Nie wystarczało mu to, co już mi zrobił?

Próbowałam je zatrzymać. Ale nie mogłam. Wspomnienia były tak wyraźne, wbijały się w umysł, przeszywały duszę.

Potworny ból.

Zacisnęłam oczy. Próbując się od nich odciąć. Ale tylko odtwarzały się z jeszcze większą intensywnością.

Po drugiej stronie drzwi bębnił heavy metal, krzyki i śmiechy przenikały przez cienkie ściany domu, w którym nigdy wcześniej nie była.

Błagała swojego starszego brata Asha, żeby ją ze sobą zabrał. Uśmiechała się do niego przymilnie, tłumacząc, że będzie tak strasznie za nim tęskniła, gdy ona i reszta rodziny przeniosą się do Ohio w przyszłym miesiącu. Powiedziała, że nie będą się przez to mogli często widywać. Dzielili ich osiem lat i dwóch braci, a Ash już dawno temu wyprowadził się z domu, podczas gdy ona w tamtym roku miała dopiero rozpocząć liceum. I jak się teraz okazywało, prawie po drugiej stronie kraju, ponieważ ich ojciec przyjął posadę w Cleveland.

Kiedy Ash początkowo odmówił, błagała, przekonując, że prawie go już nie zna.

To była prawda.

Ale teraz zastanawiała się, czy znała samą siebie.

Strach zbił się w kącikach jej oczu, przycisnęła plecy mocniej do ściany, żałując, że ta nie może jej pochłonąć.

Była naga.

Włosy splątane i skołtunione, grube pasma przyklejone do poplamionej łzami i smarkami twarzy.

Między udami czuła tępy pulsujący ból, wymiociny paliły żołądek, podchodząc w górę, parząc język.

– Co ty na to, żebyśmy to nasze małe party zachowali dla siebie, co? – rzucił beztrosko, podskakując w trakcie podciągania

postrzępionych džinsów na biodra. Rozporek miał rozpięty, kiedy przeciągał przez głowę starą zużytą koszulkę z logo zespołu. – Bo raczej wątpię, żeby twój brat był zachwycony naszym zejściem. – Zarechotał, jakby nie odarł jej właśnie z niewinności. – Chociaż ten dupek pewni tkwi teraz po jaja w tej lasce Casey. Ale wiesz, jak to jest, rób, co mówię, a nie to, co robię.

Przeciągnął dłonią przez tłuste kasztanowe włosy, przez policzek pokryty ostrym zarostem, jego mętne orzechowe oczy błysnęły lekko, kiedy posłał jej szyderczy uśmiezek.

Ona próbowała jeszcze bardziej zbić się w sobie.

Czuła się taka zbrukana.

Wykorzystana.

Spalał ją wstyd. Dławiąc się szlochem, szybko kiwnęła głową.

– Dobrze.

Jego prychnięcie było zjadliwe.

– Będiesz tam tak siedziała i udawała, że było aż tak źle? Dwadzieścia minut temu błagałaś o moją uwagę, a teraz kurczysz się tam, jakby było strasznie czy coś takiego. Niezły sposób na podniesienie chłopakowi poczucia wartości. Zerznąć go, a potem płakać.

To była prawda.

Domagała się jego uwagi.

Flirtowała z nim.

Chciała pasować do tych innych dziewczyn, które były od niej o wiele starsze. Ci chłopcy pijący piwo i grający muzykę w zrujnowanym domu tak naprawdę byli mężczyznami.

Ale ona chciała poczuć, jak to jest być pożądaną.

Ładną.

Dorosłą.

Tylko że nie zakładała, że to zajdzie tak daleko. Zbyt głupia i naiwna, żeby się zorientować, dokąd to prowadzi, kiedy zaciągnął ją do swojego pokoju. Co zamierzał. Zbyt niedoświadczona i wystraszona, żeby wydusić z siebie słowo zakleszczone w jej gardle.

Nie.

Mogła to powiedzieć.

Ale leżała tam, drżąc, trzęsąc się, a on ją rozebrał, a potem bez

cienia skrępowania pozbył się własnych ubrań. Nie rozumiała, co się dzieje nawet wtedy, gdy jednym ruchem przekręcił ją na brzuch, złapał za biodra i podciągnął na ręce i kolana.

Wbił się w nią od tyłu.

Krzyknęła i to wtedy zaczęła płakać.

Czy mogła go winić? W końcu prosiła się o to. Sama postawiła się w tej sytuacji. Oddała mu kontrolę.

Jej matka ją ostrzegała. Mówiła, żeby uważała, nie oddawała się zbyt łatwo.

Bo wszystko ma swoje konsekwencje.

Przyczyna i skutek.

I tej nocy następstwa były większe niż jej czternastoletni umysł mógł przewidzieć.

Głupia.

Kiedy nie odpowiedziała, pokręcił głową, posłał jej kpiący uśmiešek przez ramię i wyszedł, zostawiając samą w zapuszczonym pokoju. Podźwignęła się ciężko na nogi. Krzywiła się, kiedy się ubierała. Potem wysliznęła się tak cicho, jak tylko mogła.

Znalazła się sama na ciemnej, opustoszałej brudnej ulicy, palce trzęsły jej się tak bardzo, że ledwie mogła wystukać wiadomość do brata.

„Poszłam do domu. Nie martw się o mnie”.

Bo Edie nie mogła znieść myśli, że jej starszy brat będzie się o nią martwił.

Nie po tym, co zrobiła.

Jedna noc.

Jeden błąd.

Przyczyna i skutek.

Tylko że nie miałam pojęcia, jak bolesne mogą być konsekwencje.

I nienawidziłam. Nienawidziłam. Nienawidziłam. Nie wiedząc, czy nienawidzę jego, czy siebie.

Byłam zdezorientowana.

Pogubiona.

Wystraszona.

Łykałam powietrze, którego nie mogłam znaleźć.

Ból zacisnął mi płuca.

Tonęłam.

Właśnie to musiało się ze mną dzieć.

Jakbym fizycznie została wciągnięta pod czarną powierzchnię ze szkła.

Gdzie byłam sama, bałam się.

Pławiłam się w wyrzutach sumienia za przewiny, których nie mogłam niczym odkupić.

Do oczu napłynęły mi łzy, w drżące od uderzeń wiatru szyby zaczął bębnić deszcz.

Sięgnęłam do szafki nocnej i zaczęłam po omacku szukać łapacza snów.

Zacisnęłam na nim palce.

Z desperacją napędzaną smutkiem.

Przyciskając go do piersi, kołysałam się.

Z moich ust wypłynęły ledwie zrozumiałe słowa:

– Kocham cię. Kocham cię. Przepraszam.

I to bolało.

Och, Boże. Bolało. Okrutnie, brutalnie, bezlitośnie.

Zalewając się łzami, chyba nawet nie zauważyłam, że podźwignęłam się na nogi. W gorączce naciągnęłam na siebie bluzę, założyłam skarpety i buty.

Na zewnątrz deszcz zamienił się już w prawdziwą ulewę. Nad ziemią gęstymi kłębami przetaczała się mgła.

Pobiegłam do samochodu, po drodze wciskając pilota, trzęsłam się cała, kiedy opadałam na siedzenie kierowcy. Gdy uruchomiłam silnik, mój mały czerwony fiat z rykiem obudził się do życia. Wycieraczki wyznaczały smugi przejrzystości na przedniej szybie, wszystko inne ginęło we mgle.

Światła reflektorów wcięły się w otaczającą mnie ze wszystkich stron ciemność. To tylko pogłębiało wrażenie, że zaraz się uduszę.

Jedynę, czego pragnęłam, to zaczerpnąć oddech.

Życ.

Poczuć ten spokój, odprężenie i zrozumienie.

On był jedynym, który mógł mi to dać.

Wytałam oczy i zmusiłam się do skupienia uwagi na rozmazanym

widoku przede mną. Nadepnęłam na pedał gazu.

I ruszyłam przez noc, po krętej drodze na klifie.

Wokół szalała burza. Jaskrawa eksplozja pioruna rozświetliła ziemię.

Ułamek sekundy bieli.

Przymrużyłam oczy, dławiąc się szlochom zbierającym mi się u podstawy gardła.

A potem tam dotarłam. Zaparkowałam przed uspionym domem.

Pięć minut.

Te wszystkie lata, a moja pociecha znajdowała się w odległości pięciu minut drogi. Moje panaceum na zamęt, od którego nigdy nie miałam uciec.

Powinnam była wiedzieć, że to zawsze będzie on.

Zgasiałam silnik i otworzyłam drzwi. Potem wyszłam w burzę siekącą ziemię ciężkimi zasłonami lodowatego deszczu.

Serce dudniło mi w piersi.

Nieprzerwane bum, bum, bum, które pchało mnie przed siebie.

I znowu poczułam, że stoję nad przepaścią. Chwiejąc się na krawędzi. I jedyne, czego chciałam, to skoczyć.

Niebo przecięła błyskawica.

Moje dłonie drżały niekontrolowanie, gdy je wyciągałam do drzwi. Dwukrotnie zastukałam w nie pięścią.

Lampa na werandzie zabłysła już po kilku sekundach.

Zalewając mnie przyćmionym blaskiem.

Zazgrzytał metal, kliknęła zapadka.

Potem drzwi otworzyły się i za nimi stał ten niszczycielsko piękny chłopak.

Mój zbawca.

Poczułam, że miękną mi kolana.

Ten cudowny mężczyzna patrzył na mnie ze zdumieniem. Szok w jednej chwili przepędził całą senność z tych szarych, głębokich, mądrych oczu. Był bosy, silne nogi zakryte jasnymi wypłowiałymi dżinsami, podkoszulek przyklejony do muskularnej klatki piersiowej, pognieciony i porozciągany, włosy na czubku głowy w kompletnym nieładzie.

Chaos i spokój.

Konflikt i ukojenie.

Przez skurczone gardło szeptem wypowiedział moje imię.

– Edie.

Rozdział 13

Austin

Pierś zacisnęła mi się strachem.

Edie.

W moich drzwiach w środku nocy.

W samym środku szalejącej burzy.

Tak cholernie nieszczęśliwa.

Zaszczuta.

Zagubiona.

Poczułem ucisk w gardle.

W środku tego wszystkiego ona przysłała do mnie.

– Edie. – Wypowiedziałem jej imię jak przepelnione udręką błogosławieństwo.

Była przemoknięta do suchej nitki. Bluzę miała kompletnie mokrą. Pasma białych loków kleiły się do jej niezapomnianej twarzy.

Szybko szerzej otworzyłem drzwi, głos łamał mi się od miażdżącego niepokoju.

– Edie, maleńka, co ty tutaj robisz? Jesteś przemoczona. Wchodź do środka z tego deszczu.

Zadrżała, ale nie ruszyła się z miejsca, ramiona zwisały jej bezradnie.

– Ja... ja... przepraszam. Ja tylko... nie mogę... nie dam rady sama. Nie chcę tego przechodzić sama.

Uderzenie czułości i uczucie ulgi prawie zwały mnie z nóg. Wyciągnąłem ręce do mojej dziewczyny i wciągnąłem ją do środka, w swoje objęcia.

– Edie.

Mój nos znalazł się w jej włosach. Wziąłem głęboki oddech, taki, jaki mogłem zaczerpnąć, tylko kiedy ona była blisko.

Serce miałem zaciśnięte.

Współczuciem, bólem, żalem.

– Cii... – wymamrotałem. Pocałowałem ją delikatnie w czubek głowy. – Cii... nie przepraszaaj. Obiecałem, że zawsze będę dla ciebie. Tu jest twoje miejsce.

Z jej gardła wydarł się stłumiony szloch. Przycisnęła usta do mojej szyi. Jakby chciała zrobić wszystko, żeby tylko zagłuszyć ten odgłos.

Ukryć cokolwiek ją tu przysłało.

Współczucie przesiąkało każdą komórkę mojego ciała. Porwałem ją na rękę i nie kontrolując się, powiedziałem:

– Kurwa, Edie. Dziecino. Nie płacz. To mnie zabija.

Odetchnęła z ulgą i długie, szczupłe ramiona zarzuciła mi na szyję. Twarz wciąż miała wtuloną we mnie, moje usta wciąż znajdowały się w jej włosach, szeptały słowa pocieszenia.

– Wszystko będzie dobrze. Trzymam cię. Trzymam cię.

Trzymam cię.

Ta dziewczyna całkowicie mi się poddała.

Oddawała mi swoje ciało, swoją duszę, udrękę, która nie chciała jej opuścić.

W tamtym momencie wszystko w tej popękanej fortecy wydawało się takie kruche.

Bezbronne.

Potrzebujące.

Za nic nie chciałem jej zawieść.

Już nigdy więcej.

Zaniosłem ją korytarzem do swojej sypialni. Oświetlała ją tylko przyćmione światło sączące się z dołączonej do pokoju łazienki.

Jęknęła cicho, gdy kładłem ją na środku łóżka. Łzy nadal spływały po jej słodkiej, niewinnej twarzy.

Może to dlatego, że nie chciałem przerwać kontaktu.

Że chciałem, żeby trwał.

Wiedziałem, że jest bezpieczna, tam, w moim łóżku. Mimo to obejmowałem ją jedną ręką w pasie, podczas gdy drugą odkładałem na bok zeszyt, w którym zapisywałem słowa piosenki, gitarę oparłem o ścianę.

Potem z powrotem się odwróciłem. I nachyliłem nad nią.

Byliśmy tak cholernie blisko siebie.

– Jestem mokra – wymamrotała. Z tonu jej głosu słychać było, że jest straszliwie skrępowana.

– Wiem – odpowiedziałem. Odchyliłem się nieco i ściągnąłem z jej nóg przemoczone buty.

– Co robisz? – spytała z niepokojem.

– Troszczę się o ciebie.

Jej drobnym skurczonym ciałem wstrząsnęły dreszcze.

Była tak cholernie pociągająca.

Zacisnęła mocno oczy, jakby się przygotowywała, zbierała odwagę na ten moment.

Na moment, w którym zwracała mi część swojego zaufania.

W którym pozwalała, żebym się nią zajął.

Zadbał o nią.

Tak jak kiedyś.

Tak jak zawsze miałem to robić.

Moja kryształowo niewinna, odważna dziewczyna.

Ściągnąłem jej skarpetki.

– Nigdzie się stąd nie ruszaj – ostrzegłem.

Pobiegłem do łazienki i chwyciłem duży miękki ręcznik. W drodze powrotnej zatrzymałem się przy komodzie, żeby wyciągnąć szeroki T-shirt.

Kiedy wróciłem, leżała tam.

Na środku łóżka.

Klatka piersiowa jej falowała, oczy miała dzikie.

Puls mi przyspieszył, krew pędziła przez żyły, dudniące pożądanie wydzierało się na wolność.

Oparłem na łóżku jedno kolano.

– Chodź tu – szepnąłem.

W ciszy pokoju narastało napięcie.

Intensywne, przeszywające, kłujące.

Wziąłem ją za rękę, żeby pomóc jej usiąść.

Robiąc, co w mojej mocy, żeby nie zdrzeć, gdy się dotknęliśmy.

Ogień i lód.

Oślepiające.

Kurwa.

Cichy niepewny jęk rozchylił jej pełne usta. Zrozumiałem, że to niemożliwe, żeby ta dziewczyna też tego nie czuła.

Wspiąłem się cały na łóżko.

Kłęczałem na nim, patrząc w dół na moje światło.

Przyglądałem się jej uważnie, okrywając rącznikiem ramiona. Te błękitne oczy wpatrywały się we mnie równie bacznie.

– Już dobrze – wymamrotałem. – Trzymam cię. – Zebrałem końce rącznika i pociągając za nie, przyciągnąłem ją do siebie bliżej. Z czułością wytarłem twarz. Oszłamiającą linię podbródka, pełne, drżące wargi.

Rozchyliły się, gdy to robiłem, i wypłynęło z nich zduszone westchnienie.

Boże.

Poczułem pulsowanie w podbrzuszu.

Zacisnąwszy zęby, zdławiłem budzącą się falę pożądania.

Musiałem nad tym zapanować.

Chodziło przecież o Edie.

Lekko się podniosłem i przechodząc wyżej, zacząłem wycierać włosy. Odchyliła głowę w tył, zęby przygryzały dolną wargę. Jęknęła niepewnie. Ta dziewczyna patrzyła na mnie, jakby odnalazła sens swojego życia.

Tego właśnie pragnąłem.

Być sensem jej życia.

Rzuciłem rącznik na podłogę i sięgnąłem po brzeg bluzy, z wahaniem, upewniając się, że to rozumie.

Że nie zamierzałem zrobić jej krzywdy.

Nigdy więcej.

– Trzymam cię, okej? – wydusiłem.

Zamrugła, potem lekko skinęła głową i ostrożnie podniosła ręce.

Musiałem wstrzymać przekłęty oddech, gdy wolno podciągałem bluzę, uwalniając ją od niej centymetr po centymetrze. Kiedy ściągałem ją przez głowę, w pokoju zaskwierczało wyładowanie ognistej energii.

Potok białych loków opadł wokół niej, całując szczupłe ramiona, spływając na przezroczysty biały koronkowy biustonosz.

Coś jak trzęsienie ziemi zarzuciło moim ciałem.

Była tak cholernie cudowna.

Anioł.

Czy to źle, że tak myślałem?

Źle, że widziała, jak na nią patrzę?

Wolno naciągnąłem na nią swoją koszulkę, mój głos przypominał warczenie.

– Oszalamiające, Edie. Najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Pomyślałem tak, gdy zobaczyłem ją pierwszy raz.

Teraz byłem tego pewny.

W reakcji na moje słowa wciągnęła powietrze do płuc z głośnym świstem.

Zakrywając ją, ostrożnie obciągnąłem koszulkę w dół.

– Połóż się – nakazałem ochryple.

Zrobiła to, jej błękitne spojrzenie mieniło się jawnym strachem i trwożliwym zaufaniem. Gdy wsunąłem dłonie pod koszulkę, jej pierś zafalowała gwałtownie.

Drżała i trzęsła się.

Rozpiąłem guzik w dzinsach, rozpiąłem suwak.

Przez cały czas serce waliło mi jak oszalałe.

I czułem, że jej też tak wali.

Głośno. Grzmiący chaos w ciszy mojego pogrążonego w ciemności pokoju.

Ściągnąłem z niej mokre dzinsy, odsłaniając kilometry szczupłych, zgrabnych nóg. Bezczesna płaszczyzna miękkiej alabastrowej skóry.

Zgrzytnąłem zębami i odwróciłem oczy.

Umierając z pragnienia, żeby dotknąć.

Posmakować.

Zgłębić.

Posiąść ją w sposób, w jaki wiedziałem, że nie powinienem.

Nie mogłem.

Już nie płakała.

Łzy zastąpiło dławiące napięcie.

Wspinało się po ścianach i nacierało na nas z góry.

Nerwowe pożądanie. Nieposkromiona żądza.

Dżinsy dołączyły do sterty na podłodze. Ześliznąłem się z łóżka i zacząłem ściągać kołdrę. Zatrzymałem się w miejscu, gdzie była przygnieciona jej ciałem.

– Włóż pod spód.

Podciągnęła się na ręce i kolana i przeczołgała, nie kwestionując mojego polecenia.

Z wrażenia przełknąłem ślinę.

Zaufanie.

Właśnie to mi podarowywała.

Wsunąłem się pod kołdrę obok niej.

Zajrzała mi w twarz.

– Kładziesz się w ubraniu?

Prawie się roześmiałem.

Prawie.

– Myślę, że tak będzie lepiej w tej chwili, nie sądzisz?

Policzki zapłonęły jej rumieńcem zawstydzenia.

– Och, racja... tak – zgodziła się pospiesznie, jakby nie miała najmniejszego pojęcia, jak na mnie działała. Odwróciła wzrok.

Zmieszana. Słodka. Czarująca.

– Niech to szlag, Edie. – Podciągnąłem kołdrę i przyciągnąłem jej głowę do swojej piersi.

Tak jak to robiłem kiedyś.

Oplotłem jej plecy ramieniem i przytuliłem ją, nachylając się, żeby obsypać jej czoło gradem pocałunków. Mamrocząc przy tym cicho w tę delikatną skórę na skroni tętniącej rozgorączkowanym rytmem pulsu.

– Myślisz, że nie działasz na mnie wciąż tak samo? Że patrząc na ciebie, nie jestem bliski szaleństwa? Wiem, gdzie stawiasz granice, Edie. Szanuję je. Ale przecież musisz wiedzieć, że nigdy nie pragnąłem niczego... nikogo... tak, jak pragnę ciebie.

Miałem nadzieję, że to wyznanie jej nie wystraszy.

Zacisnęła swą drobną piąstkę na mojej koszuli i trzymała się jej, jakby to było koło ratunkowe. Jakbym miał siłę, żeby ją utrzymać. Ochronić.

Cisza wokół nas rozrastała się, a we mnie wypełnienia zaczęły się domagać te wszystkie szpetne puste przestrzenie.

Ponieważ ta dziewczyna poruszała mnie w sposób, w jaki nikt inny nigdy nie mógłby mnie poruszyć.

– Co się stało? – spytałem w końcu. Mówiłem cicho. Bo to, że dziękowałem tym wszystkim gwiazdom, pod którymi się modliłem, żeby do mnie wróciła, nie oznaczało wcale, że negowałem jej ból. Usłyszałem, że wstrzymała oddech.

– Paul napisał do mnie SMS-a.

Wściekłość.

Natychmiastowa.

Ciemność wieszcząca moją zgubę. Pragnienie niszczenia.

Eliminacji.

Uścisnąłem ją. Prawdopodobnie zbyt mocno. Tak mocno, jak mocno zaciskałem zęby.

– Co? – Mdlący strach w otwartej wojnie z ognistą spalającą duszę nienawiścią. – Ten sukinsyn... przecież on gnije w więzieniu.

Edie odsunęła się. Jej błękitne udręczone cierpieniem oczy wyrażały zaskoczenie.

– W więzieniu?

Kurwa mać.

Nie wiedziała nawet tego.

Zdobyłem się na odpowiedź pomimo mdłości.

– Siedzi już od kilku lat.

Od czterech.

Mocniej zacisnęła dłoń na mojej koszuli.

– Za co?

– Przymknęli go za to, za co zwykle zamykają takich gości jak my.

Ten pierdolony samozwańczy rockowiec, zawsze wszędzie się wkręcający. Mój brat miał więcej talentu w czubku małego palca niż ten dupek w całym sobie. Czający się. Myślący, że uszczknie kawałek ze sławy.

Oczywiście on i Ash się kumpłowali, chociaż niekoniecznie nazwałbym ich przyjaciółmi. Zastanawiałem się, jak tego fiuta określiłby Ash, gdyby wiedział.

Głos jej drżał. Zamrugła, próbując wyłuskać sens z tego, czego nie wiedziała.

– Narkotyki?

– Taa.

Gardło zacisnęło mi się poczuciem winy. Pominięcie prawdy to nic więcej, tylko zwykłe kłamstwo.

Ale co miałem zrobić?

Bo gdybym powiedział, z pewnością nie zarobiłbym żadnych punktów. Jej też by to nie pomogło. Mogłoby ją tylko zranić. A ja nie mógłbym jej chronić, gdyby mnie odtrąciła.

Mdłości się nasiliły, ale je zwalczyłem.

– Co napisał?

Ściągnęła brwi i przygryzła dolną wargę.

– Że wie, co zrobiłam. Pytał, czy sądziłam, że się o tym nie dowie.

– Wyrzucała z siebie wszystko gorączkowo. – Ale ja nie wiem, o co mu chodzi. Ani jak mnie znalazł.

Jej twarz nagle znowu znalazła się w zagłębieniu mojej szyi, jej mowa stała się niewyraźna.

– Przeraza mnie, że tak jest.

Wie, co zrobiła?

Ta myśl wirowała wokół mnie, po czym wsiąkła w głąb jak toksyczny odpad.

Myślał, że to ona.

Cholera.

Uważał, że to Edie była za to odpowiedzialna.

Dlaczego ja zawsze potrafię wszystko spierdolić?

Wszystkie dobre intencje obracają się w zło.

Nie pozwolę na to.

Nie po raz kolejny.

Moje usta znajdowały się przy jej uchu, moje własne zdesperowanie skapywało mi z warg, gdy składałem milion niemych obietnic.

Nie pozwolę mu cię skrzywdzić.

Ochronię cię.

Dopilnuję, żebyś była bezpieczna.

– Co mu odpisałaś, maleńka?

Potrząsnęła głową.

– Nic. Nie odpowiedziałam. – Chciałem zacząć krzyczeć.
Wyrwać sobie włosy.

Zamiast tego wypuściłem na wolność nienawiść.

– Zabiję go, Edie. Zabiję i nie pozwolę mu cię więcej tknąć.

Czułem, że zaczyna drzeć. Szybko więc poskromiłem furie.
Przyszła do mnie, żebym ją wsparł, a nie żeby patrzyła, jak wychodzę z siebie z wściekłości.

Tak jak tamtej nocy.

– Chciałabym tylko, żeby to się już skończyło. Żeby mnie zostawił w spokoju. Nie rozumiem, czego on ode mnie chce.

Wydawało się, że wokół nas narosły całe hałdy tego gówna, które zapaskudzało życie moje i jej. Grożące śmiercią, grożące zniszczeniem.

– Nie pozwolę cię nikomu skrzywdzić, Edie. Nie pozwolę.

Odwróciła głowę, przycisnęła mi usta do piersi.

– Wierzę ci.

Zapadła długa chwila milczenia. Naszpikowanego wszystkimi tymi pytaniami, które pozostawały bez odpowiedzi.

– Czy nadal dręczą cię koszmary? – spytała w końcu szeptem.

Otwierając się.

Zabierając nas z powrotem do miejsca, w którym zaczynaliśmy.

Pogłaskałem ją po głowie i zsunąłem dłoń na szyję.

Jak to możliwe, że po tym, jak ten dupek się z nią skontaktował, ona martwiła się o mnie?

– Myślę, że już zawsze będą mnie dręczyć – przyznałem. – A co z tobą?

Wprawdzie znałem odpowiedź, chciałem jednak dotrzeć do samego jądra tego kruchego serca. Do siły, która utrzymywała je w całości.

Wystukała na mojej piersi opuszkami palców niepewny rytm.

– Śnią mi się prawie co noc. Budzę się i czuję się taka samotna.

Pusta.

Odsunąłem się lekko, żeby zobaczyć jej twarz. Dolną wargę zassała do środka, walcząc ze zbierającymi się w oczach łzami. Przeciągnąłem kciukiem po jej brodzie, zachęcając tym gestem, żeby kontynuowała.

Mówiła teraz szeptem, jakby wyjawiała jakąś tajemnicę.

– Budzę się roztrzęsiona. Zagubiona. Z taką wielką potrzebą zapelnienia pustki. Zagłuszenia bólu. I absolutnie przerażona, że mogłabym jeszcze raz kiedyś zaryzykować.

Przełknęła ciężko ślinę, wyraźnie poruszona.

– Mówi się, że lepiej kochać i stracić miłość, niż nie kochać nigdy. Chcę się z tym zgodzić, Austin. Chcę w to wierzyć. Tylko nie jestem pewna, czy wiem, jak to zrobić.

Dawne niepewności nakręciły mnie jak mechanizm w antycznym zegarze.

– Czy ty...

Boże. Wyglądało, że straciłem zdolność mówienia. O tamtych czasach. Siedemnastolatek. Głupi i naiwny. Mimo to wiedzący całym sobą, że w końcu znalazł to, czego mu brakowało. Głos miałem ochrypły.

– Czy ty nadal to czujesz?

Na jej słodkie usta wypłynął smutny uśmiech. Leciutko kiwnęła głową.

Ciężko przełknąłem ślinę.

– Myślisz o mnie czasem?

Jej odpowiedź była cicha, niepewna. Raczej ją poczułem, niż usłyszałem.

– Bez przerwy. Jak mogłabym cię kiedykolwiek zapomnieć?

Ciepłe uczucie rozepchnęło mi żebra. Przyciągnąłem ją bliżej, zanim przeszedłem do własnych zwierzeń.

– Nigdy nie zapomnę tego dnia, gdy Ash cię przyprowadził... gdy powiedział, że zostaniesz z nami na lato, wtedy gdy Sunder miał przerwę w koncertach.

Sunder właśnie odniósł wielki sukces i mój brat i chłopaki kupili dom w Hollywood Hills. Przeprowadziliśmy się z gównianego burdelu do luksusów, do których żaden z nas nie był przyzwyczajony.

Rozmyślając na głos, bawiłem się pasmami jej włosów.

– Pamiętam cię z dzieciństwa... ale zniknęłaś na tak długo. A potem nagle się pojawiłaś, najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałem. Byłaś taka nieśmiała i niepewna siebie.

W mojej piersi zadudnił tęskny śmiech.

– A ja? Ledwie miałem śmiałość na ciebie spojrzeć, taki byłem pogubiony. Ale później, tamtej nocy, usłyszałem, że płaczesz. Szczerze mówiąc, byłem przerażony. Rozglądałem się po pokoju i zastanawiałem, co mam, kurwa, zrobić. Nie miałem pojęcia, jak ci pomóc w tym, przez co przechodziłaś. Ale mimo to wiedziałem, że powinienem być przy tobie. Że mnie potrzebujesz.

Zamrugalem w ciemności zasnuwającej mój pokój, serce tej dziewczyny biło do rytmu mojego. Na kilka chwil uspokojone w tej nigdy niekończącej się gorączce.

– To było wariactwo... chwyciłem łapacz snów, tak naprawdę bez zastanowienia. Ale to było jak instynkt. Pierwsza rzecz, jaka wpadła mi do głowy.

Edie przeciągnęła miękkimi palcami po zagłębieniu w mojej szyi. Zadrzałem. To było kojące i prowokujące zarazem.

Przytuliłem ją mocniej.

– Dostałem go od babci, Edie. Kiedy miałem osiem lat. Kilka miesięcy po tym, jak straciliśmy Juliana.

Straciliśmy.

Co za chrzaniecie.

Rozpacz toczyła walkę w samym centrum mojej klatki piersiowej.

– Poza Bazem była jedyną osobą, która rozpoznała, że umieram w środku.

Dokładnie tak jak na to zasługiwałem.

– Przez jakiś czas mieszkała z nami i dzień przed wyjazdem przyszła do mnie w środku nocy. Usłyszała, że płaczę. Wcisnęła mi go w rękę, szepcząc, jakby to był największy sekret świata. Powiedziała, żebym zawsze miał go przy sobie. Powiedziała, że zapewni mi spokój i bezpieczeństwo.

Przycisnąłem usta do jej włosów, modląc się, żeby mnie zrozumiała.

– I właśnie tego chciałem dla ciebie. Żeby tobie też to zapewnił.

Oczywiście prawda była taka, że to ja chciałem być tym dla niej.

Spokojem i bezpieczeństwem.

A nie jej zgubą.

Wysunęła język, żeby oblizać wyschnięte wargi, oczy powędrowały do kołnierzyka mojej koszulki, który ugniatała w palcach, jakby potrzebowała czegoś, co rozpraszałoby jej uwagę.

– Dokładnie tak się dzięki niemu zawsze czuję, Austin. Zawsze, kiedy go trzymam. Kiedy tęsknię, cierpię i jestem sama. Biorę go i myślę o tobie. O tym, jak mnie pocieszałeś. O nadziei.

Kurwa. Czuję, że się zaraz rozpłaczę.

To ja odpowiadałem za te zniszczenia.

Za wzięcie czegoś dobrego i zmiżdżenie tego.

– Powinienem był tam być przez cały czas, Edie. Sprawiać, żebyś czuła się bezpieczna. Ale nigdy nie zapomniałem. Nigdy nie przestałem tęsknić za tym, co mieliśmy.

– Ja też za tobą tęskniłam – odpowiedziała cicho w moją koszulę, wstrzymując szloch.

Przytuliłem ją mocniej i mając nadzieję, że starczy mi sił na jej dotrzymanie, złożyłem obietnicę.

– Będzie dobrze, Edie. Obiecuję ci, że będzie dobrze.

– Ale jak to możliwe? – spytała szeptem.

– Razem. Będzie dobrze, jeśli zrobimy to razem.

– Kiedy przyjechałam... nie spałeś jeszcze?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mogłem zasnąć.

Przeciągnęła palcami po mojej piersi. Czule.

– Dlaczego?

Wyrwał mi się cichy krótki śmiech. Pozbawiony radości.

– Bo wiele dzisiaj przeżyłem, Edie. Spotkanie z tobą. Myślałem o bracie. Ja... – Umilkłem, czując nienawiść do siebie, do tej części, której, nie wiedziałem, czy kiedykolwiek będę w stanie się pozbyć.

Bezwartościowej.

Popieprzonej.

Tej, która niszczyła każdą dobrą rzecz, jaką dostawałem od życia.

Edie znieruchomiała, potem położyła mi rękę na sercu. Napełniając mnie bezgraniczną wiarą.

Jesteś dobry. Jesteś dobry. Czuję to tutaj.

To właśnie miała zwyczaj do mnie mówić w te noce, gdy mi się

zdawało, że poddaję się ciemności. Ta dziewczyna nasycala swoim światłem moją czarną duszę, jej dłonie zawsze tak pewne i spokojne, kiedy je przyciskała do mojego rozedrganego serca.

To miejsce na zawsze należało do niej.

Zaczerpnąłem drżący oddech.

– Nie poddałem się, Edie. Nie mogę. Nie chcę się poddać. Dlatego wymyśliłem sobie, że lepiej spożytkuję tę energię, jeśli napiszę nową piosenkę.

Jeden kącik jej ust podniósł się lekko w górę w delikatnym uśmiechu, który zawsze wzbudzał we mnie taki zachwyt.

– Zawsze się zastanawiałam, czy zaczniesz występować. – Powróciła do pieszczony palcami mojej piersi. Rozpalając mnie. Przez sposób, w jaki to robiła. – Boże, byłam taka zaszokowana, kiedy cię zobaczyłam na tej scenie w Latarni. Ale nie mogę powiedzieć, że byłam zaskoczona. Wydawało mi się to takie... właściwe.

– To jest takie dziwne... to moje granie. Rodzaj piosenek, które piszę, i miejsca, w których występuję. Kiedyś snułem te szalone fantazje, że pewnego dnia stanę na scenie obok mojego brata. Że będę z nim grał.

Ale to były tylko głupie mrzonki.

– Może tam właśnie powinieneś być. Myślisz, że kiedyś do nich wrócisz?

– Do LA? Możliwe. Żeby uporządkować sprawy z bratem. Powiedzieć mu, że u mnie wszystko w porządku, żeby nie musiał się już o mnie martwić. Poza tym? Nie. Wiesz równie dobrze jak ja, że tam nie pasuję.

Tego rodzaju świat nie był dla mnie. Pieniądze, sława i ten styl życia. Ludzie patrzący na ciebie, jakbyś był kimś, chociaż całym sobą wiesz, że jesteś nikim.

Najprawdopodobniej jedyne, co bym zrobił, to pojawił się i znowu zawiódł Baza.

Nie zamierzałem do tego dopuścić.

Już nigdy.

– Ale przed muzyką też nie mogę uciec. Przez tak długo czułem się kimś obcym w świecie Sunder. Walczyłem z potrzebą grania tak cholernie długo. Ale muzyka... ona chyba jest częścią mojej duszy.

– Dlatego grasz w małych, odludnych miejscach. – Powiedziała to jak stwierdzenie. Ze zrozumieniem. Bez oceniania.

– Czasami człowiek musi się ustatkować, Edie.

W ton jej głosu wpleciony był smutek.

– Taa, czasami musi.

Moje zwierzenia zdawały się wprowadzać zupełnie nowy rodzaj zamieszania do naszego chaosu.

– A co z tobą, Edie? Zamierzasz wracać?

Przeczący ruch jej głowy był stanowczy.

– Nie. Nigdy. LA to ostatnie miejsce, w którym chciałabym być. Nie, kiedy jest tam Paul. Zwłaszcza teraz.

Wspomnienie o jej stracie zapłonęło parzącym płomieniem na środku mojego ciemnego pokoju.

Edie przysunęła się bliżej. Jej głos był niebezpiecznie zdławiony.

Przesycony wstydem.

Poczuciem zhańbienia.

– Tęsknię za bratem. Tak bardzo. Czy on... czy on o mnie pyta?

W gardle poczułem ostrą grudę, jakby zebrały się tam poszarpane kamienie. Przełknąłem ciężko ślinę.

– Mówiłem ci, że już bardzo dawno nie byłem w domu. A kiedy tam byłem, działo się mnóstwo gównianych rzeczy, tak więc raczej nie nadawałem się do rozmowy. Myślę, że to, że odeszłaś, tak jak odeszłaś, zabolowało go. Był zdezorientowany. W tych kilku razach, gdy ktoś o tobie wspomniał, wyrażał zdziwienie, że mogłaś tak wyjechać.

Nie zamierzałem jej oszukiwać.

Ash nie wspominał jej zbyt często. A jeśli już, to raczej robił to mimochodem i szybko zmieniał temat.

Był albo największym egoistycznym dupkiem świata – co, jestem przekonany, potwierdziłaby pewnie każda laska, która miała z nim do czynienia – albo myślenie o siostrze po prostu wywoływało w nim zbyt wielki ból.

Ja stawiałem na to drugie.

– Nie chciałam sprawić mu bólu – szepnęła przegranym głosem.

Zamrugąłem mocno.

– Gdyby wiedział, Edie... zrozumiałby. Zapewniam cię, że by

zrozumiał.

Ale to był największy problem ze wszystkich.

Edie nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział.

Wstydziała się i była przekonana, że tak będzie lepiej.

I dlatego uciekła, bo nie da się zapobiec, żeby sprawy z przeszłości nie wyszły na jaw.

Jej głos zadrżał jak cienka wstążka i oplótł mnie swym ciepłem.

– Dziękuję ci, Austinie. Dzięki tobie wszystko wydaje się znośniejsze. Zawsze tak było.

Delikatna i szczerą.

Niewinna i czysta.

Ta anielska dziewczyna, której jedyną zbrodnią było to, że raz w życiu pewnej nocy uległa złu.

Nie wiedziałem tylko, jak ją uwolnić od tego wstydu.

Przekonać, że była wyłącznie ofiarą.

Wtulila się we mnie. Każdy jej oddech czułem na sercu, każdy niewinny dotyk palił mi skórę pożądaniem.

Boże, jak ja jej pragnąłem.

Ale na razie...

Na razie...

Po prostu ją przytulałem, żeby czuła się bezpieczna.

– Śpij, piękna dziewczyno, śpij.

Rozdział 14

Austin – lat siedemnaście

Przez ścianę niosło się echo stłumionego płaczu.

Tylko że tej nocy... tej nocy był on inny.

Strach zacisnął mi serce, spalała mnie potrzeba pójścia do niej i ukojenia jej bólu, cokolwiek go wywołało. Cokolwiek dręczyło te błękitne oczy.

Szybko wyśliznąłem się ze swojego pokoju i zakradłem do jej sypialni.

Leżała na środku łóżka, twarzą do mnie, skulona, łzy płynęły strumieniami.

Ale wiedziałem, że tym razem nie obudził jej koszmar.

Położyłem się obok niej, objąłem, desperacko pragnąc ulżyć w jakiś sposób jej cierpieniu.

Usunąć go z jej duszy, z jej serca.

Ale ta rozpacz?

Ona była nią przesiąknięta na wskroś.

Wiedziałem z doświadczenia, że tego rodzaju bólu nie da się tak łatwo wymazać.

Zanurzyłem twarz w jej włosach, usta przysunąłem do ucha i szeptałem pocieszająco:

– Możesz mi zaufać, Edie. Zaufaj mi. O cokolwiek chodzi, zrozumiem. Zrozumiem. – Przyciągnąłem ją jeszcze bliżej i cicho poprosiłem: – Porozmawiaj ze mną.

Wahanie spięło jej ciało, zanim przywarła do mnie mocniej. Jej głos był najcichszym z możliwych błaganiem.

– Obiecuj mi, Austinie... przyrzeknij, że jeśli ci powiem, zachowasz moją tajemnicę dla siebie. Nie zdradzisz jej nikomu. Bo ja potrzebuję, żebyś wiedział.

– Nigdy jej nie zdradzę. – Przysięga padła bez wahania.

Czego się nie spodziewałem, to że ta tajemnica, gdy

wysłuchiwałem jej zwierzeń, zupełnie mnie rozwali.

Gniew.

Nie byłem pewny, czy kiedykolwiek czułem coś takiego.

Chyba wcześniej nigdy.

Jak najczarniejszy sztorm urosło we mnie pragnienie chronienia jej.

Pochłaniająca destrukcja, piętrząca się, narastająca.

Nienawiść.

Do tego gówna, Paula.

Nie widziałem go od jakiegoś roku. Od czasu przeprowadzki do nowego domu w Hills. Ale znałem go. Obłeśny sukinsyn, który zawsze kręcił się za kulisami, jakby był częścią kapeli. Próbujący wziąć sobie to, co do niego należało. Chciał należeć do świata Sunder, nie mając w zamian do zaoferowania zupełnie nic.

Ale tym razem?

Tym razem wziął zbyt wiele.

Tuliłem Edie tak mocno, jak tylko mogłem, i uspokajałem ją szeptem:

– Trzymam cię. Trzymam. Jestem przy tobie.

I pomiędzy tymi wszystkimi słowami złożyłem w duchu przysięgę. Paul zapłaci za to, co zrobił.

Rozdział 15

Austin

Obudziłem się w blednącej ciemności zapowiadającej nadejście świtu.

Moje serce galopowało jak koń czystej krwi, każdy pojedynczy mięsień miałem napięty. Były skurczone, gotowe do akcji.

Gdy sobie uzmysłowiłem, co mnie wyrwało ze snu, wezbrało we mnie pragnienie uwolnienia przepełnionego żądzą warknięcia. Zdusiłem jednak tę chęć i zgrzytnąłem zębami.

O co chodziło?

Leżałem płasko na plecach, a jej słodkie, delikatne ciało tuliło się do mojego boku. Ta dziewczyna znajdowała się stanowczo zbyt blisko, żebym mógł, kurwa, zachować spokój. Jedną nogę przerzuciła mi przez brzuch, dłoń zaciskała na koszuli.

Czułem, że płonę. A satynowe majtki, w których była, w żaden sposób nie pomagały ukryć faktu, że jej cipka w zasadzie wciskała się w moje biodro.

Taa.

Cudownie. Nie ma co.

Jęknąłem, nienawidząc się. Tylko mi na to pozwolić, a moje myśli od razu powędrują ku deprawacji i zgorzeniu.

Niemniej prawda wyglądała tak, że kutasa miałem twardszego niż pieprzony kamień.

Naszła mnie przemożna chęć walnięcia głową w ścianę.

Zamiast tego walnąłem nią w poduszkę.

Cholera. Cholera. Cholera.

Kurwa.

Gdy to nie podziałało, wcisnąłem sobie pięść w oko. Z nadzieją, że bolesny ucisk uciszy atak przytłaczającej żądy. Tej wszechogarniającej potrzeby zatopienia się w tych wszystkich słodkościach i miękkościach.

Zagubienia w ciepłe przytulonym do mojego boku.

Ciche, zduszone jęknięcie.
Z tych wydętych usteczek.
Byłem przekonany, że zaraz umrę.
Wiedziałem, że nie ma szans, żebym mógł tam leżeć jak jakiś święty.

Bo przecież byłem tylko mężczyzną.
Modląc się, żeby jej nie obudzić, wyplątałem się z jej cudownego ciała, wyśliznąłem spod kołdry, wessałem w płuca oczyszczający oddech z nadzieją, że nad nim zapanuję, i na palcach uciekłem do łazienki, a tam cicho zamknąłem za sobą drzwi.

Potrzebowałem przestrzeni.
Dystansu.
Albo może pieprzonego muru z kajdanami i łańcuchami.
Przetarłem twarz obydwoma dłońmi i spuszczać z siebie trochę napięcia, ciężko westchnąłem.

Co, u diabła, miałem ze sobą zrobić?
Boże, przez tę dziewczynę byłem zbity w jeden sztywny kłębek.
Tak bardzo jej pożądałem. Ale wiedziałem, że nie powinienem na nią naciskać. Wiedziałem, że potrzebuje czasu i szacunku.

Mój wzrok powędrował w prawo.
Prysznic.
Tak.
Prysznic.

Ukryty w tym maleńkim pomieszczeniu z nią po drugiej stronie ściany... zimny prysznic to mógł być mój jedyny ratunek.

Odkręciłem kurek i gnany pośpiechem, wszedłem pod zimną wodę w ubraniu.

– Cholera – syknąłem, kuląc się pod strumieniem lodowatych odłamków bębniących we mnie z głowicy.

Wciągnąłem powietrze ze świstem i wypuściłem przez zaciśnięte zęby, a potem zmusiłem się do wejścia pod strumień do końca.

Ze spuszczoną głową i ciężko falującą piersią pozwalałem, by lodowata woda spływała mi po barkach i plecach.

Ale to nie pomogło zdusić pożądania. Nie pomogło odzyskać rozsądku i spokoju.

Bo jedyne, o czym mogłem myśleć, to ta dziewczyna po drugiej stronie drzwi.

Moja dziewczyna.

W moim łóżku.

Ubrana tylko w majtki i mój podkoszulek.

Anioł, którego chciałem zbrukać.

Zawsze tego chciałem.

Miłość to jeden wielki chaos.

Całe moje opanowanie rozpierzchło się. Chwyciłem się za fiuta. Zacisnąłem u podstawy. I aż mi szczęka opadła, gdy poczułem, jak mocny jest nacisk mojej ręki.

Byłem naiwny, sądząc, że to może wystarczyć.

Cholera.

Boże, to było skurwysyństwo z mojej strony, ale nie mogłem nic zrobić, musiałem się poddać. Pochyliłem się i dla równowagi założyłem rękę nad głowę.

Woda lała się na nią i na plecy, a ja waliłem konia.

Starając się być cicho, chociaż jedyne, czego pragnąłem, to jęczeć. Wbijałem zęby w dolną wargę i wyobrażałem sobie tę dziewczynę rozpostartą pode mną, dla mnie.

Mój oddech był coraz krótszy.

Dyszałem.

Zacząłem sobie wyobrazać dźwięki, jakie będzie wydawała, gdy kiedyś w końcu zatopię się w jej ciele.

Miękkie, miękkie sapnięcia.

Zwolniłem, próbując przekonać samego siebie, że ten gardłowy odgłos rozbrzmiewał jedynie w mojej głowie.

Jako kolejna część fantazji.

Aż usłyszałem ciche stukanie w ścianę.

Cholera. Cholera. Cholera.

Zacisnąłem oczy, jakbym w ten sposób mógł się ukryć.

Skryć niegodziwość tego, co robiłem, po tym jak zaledwie kilka godzin wcześniej ją pocieszałem.

Załamany, odwróciłem się i przesunąłem, żeby wyrzeć z za zasłonki, w miejscu, gdzie była lekko odsunięta.

To był tylko maleńki kawałek.

Ale wystarczył. Kiedy wyjrzałem, ujrzałem moją dziewczynę przyciskającą się do ściany.

Patrzyła na mnie.

Chciałem poczuć przerażenie, umysł usiłował znaleźć choćby najgłupszą wymówkę. Byłem gotowy czołgać się przed nią, żeby tylko znowu nie uciekła.

Bo właśnie tego się spodziewałem – że ucieknie.

Ale jej mina... wyraz jej twarzy... Poczułem, że zaciska mi się serce i że tracę resztki przytomności umysłu.

Czerwone soczyste wargi były rozchylone, dłoń przyciśnięta do szyi, źrenice tak rozszerzone, że te lazurowe oczy wydawały się czarne. Ze słodkich ust wydobywał się urywany oddech jak odgłos pociągu towarowego.

Granice małej łazienki rozpychało pęczniejące pożądanie.

Tętniące życiem.

Przycisnęła się do ściany jeszcze mocniej, jakby się bała, że nie utrzyma się na mięknących nogach. Głowę odchyliła w tył. Uda miała ściśnięte.

Kurwa mać.

Oparłem się ręką o ścianę, żeby nie upaść.

– Ostrzegam cię, Edie, musisz stąd wyjść. Natychmiast.

– Ja... ja... – Słowa utykały jej w gardle, wypuściła drżący oddech.

– Ja cię usłyszałam.

– Edie. – Kolejne ostrzeżenie przez zaciśnięte zęby.

– Austinie... ja... – To było błaganie.

Gdybym był mądry, zasunąłbym zasłonkę. Wypędziłbym ją krzykiem z łazienki, zanim oboje zrobilibyśmy coś tak głupiego, że skończyłoby się wbiciem między nas klina tak głęboko, że już nigdy nie udałoby się nam go usunąć.

Ale nie.

Jak idiota odsłoniłem zasłonkę. Metalowe kółka zazgrzytały na drążku. Ta część mnie, która pragnęła tej dziewczyny zdawałoby się że od zawsze, zdołała mnie przekonać, że to będzie w porządku, jeśli powrócę do pompowania kutasa.

Mokry, z wodą spływającą po barkach i piersi cienkimi stróżkami.
Słowa ostre. Gorzkie.

– To właśnie usłyszałaś?

Nie odpowiedziała.

Zamiast tego jej oczy błędziły po mnie.

Wygłodniałe.

Zdesperowane.

Przesuwały się po tych partiach mnie, których nigdy wcześniej nie widziała.

– Edie – jęknąłem, nie odwracając wzroku, kiedy sięgnąłem do kurków, żeby je zakręcić. A ona stała tam w blasku budzącego się poranka.

– Jesteś taki piękny. – Wyszepiała to tak, jakby sprawiało jej to ból.

– Nie... Edie... to ty. To ty mi to zrobiłaś. Zawsze mi to robiłaś.

Sapnięcie pożądania i przycisnęła się do ściany jeszcze bardziej.

Błagając.

Wszedłem spod prysznicą.

Ruszyłem ku niej.

Poczułem to w chwili, gdy to zobaczyła, gdy wzór wyryty na mojej skórze stał się wyraźniejszy w bladych promieniach porannego światła.

Dreszcz przetoczył się przez nią jak grom, napięcie stało się wręcz bolesne.

I wciąż narastało.

Moc, która nas łączyła, przybrała gwałtownie na sile.

Zupełnie nagi, dałem kolejny krok i kolejny, aż zatrzymałem się tuż przed nią.

Przed burzą z piorunami.

Światłość.

Wysunęła drżącą dłoń i przeciągnęła palcami po tym, co miałem wyryte na sercu. Z szacunkiem i zachwytem dotknęła miejsca, które zawsze należało do niej.

To był pierwszy tatuaż, jaki sobie zrobiłem.

Moją pierś pokrywał rysunek. Jakbym demony z wnętrza uwiecznił na skórze.

A w środku tkwił łapacz snów.

Powiewał na wietrze, jaskrawe pióra dziko młóciły powietrze, sięgając aż do brzucha. Całość wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozpaść pod wpływem tornad rządzących naszym życiem, skórzane paski czepiały się pajęczynowatego korpusu trzymającego je razem.

Ten niekończący się okrąg pieczętował miejsce tuż nad sercem.

A w samym jego centrum migotał diament.

Moja na zawsze.

Wyciągnąłem rękę i objąłem nią bok jej szyi, kciuk musnął szczękę.

– Teraz już rozumiesz, maleńka? Ile dla mnie znaczysz?

Wyrzuciłem to z siebie na przydechu, ostro, stojąc tam przed nią zupełnie nagi.

Fizycznie.

Emocjonalnie.

– Nie miałam nigdy nic znaczyć.

Położyłem sobie jej rozpostartą na płask dłoń na sercu.

– Nieważne. Byłaś tutaj, przez cały czas.

Jej broda drżała, kiedy ją podniosła i przechwyciła moje spojrzenie.

– Sprawiasz, że zaczynam pragnąć rzeczy, których nie mogę mieć.

Chciałem jej powiedzieć, że mogę dać jej wszystko.

Że jej granice są przy mnie bezpieczne. Że będę je szanował. Nie przekroczę ich, zanim nie będzie gotowa.

Zanim nie będzie pewna.

Zamiast tego nachyliłem się i musnąłem lekko ustami kącik jej ust.

Najdelikatniejsza obietnica.

Trzymam cię.

Jej ciało zadygotało tak mocno, że aż się zachwiała.

Tym razem powiedziałem to na głos, czule.

– Trzymam cię. I nigdy cię nie skrzywdzę.

Nawałnica szalała, szarpała się.

– Austin.

Wstrzymywały nas te wszystkie wątpliwości, potrzeba i pożądanie pchały przed siebie.

– Znam cię – szepnąłem, składając delikatne jak piórko pocałunki na jej szczękę.

I wiedziałem, że mnie zrozumiała.

Rozpoznała, że nadal wiem, gdzie stawia granice.

Nie zamierzałem naciskać. Nie zamierzałem jej ścigać, aż do zapędzenia w pułapkę.

Zawsze zachowa kontrolę do momentu, aż będzie gotowa sama się jej dla mnie wyrzec.

Podniosła brodę i załkała.

– Nie.

– Nie co? – Powiedziałem to przez zęby, prawie warcząc.

– Nie skrzywdź mnie. Nie zostawiaj samej.

Nie.

Nie.

Nie.

Ale tym razem to było poddanie.

To słowo jeszcze bardziej podniosło napięcie.

Jeszcze bardziej nas nakręciło.

Jeszcze bardziej spięło nam mięśnie.

Aż oboje nie mieliśmy wyboru i musieliśmy pęknąć.

Ona zarzuciła mi ręce na szyję, ja nachyliłem się do miażdżącego pocałunku.

Do zawojowania ust, o których zawojowaniu tak marzyłem. Były takie cholernie miękkie i słodkie. Wessałem je między swoje, najpierw dolną wargę, potem górną.

Rozkoszując się.

Smakując.

Biorąc, co moje.

Odchyliła głowę w tył i wysunęła czubek języka.

Niepewnie.

Ale tylko do chwili, gdy musnął go mój język.

Ogień.

Było po nas.

Nie widzieliśmy nic poza sobą.

Rozpalone dłonie wciśnięte w moją pierś. Wspięła się na palce, szokując mnie tym, że to ona pogłębiła pocałunek.

Domagając się więcej.

Głęboko w moim gardle zadudnił niski pomruk, wsunąłem dłonie w długie loki jej włosów.

Tak cholernie miękkich.

Pociągnąłem je lekko w tył, żeby mieć lepszy dostęp.

I całowałem ją, całowałem.

Tańczące języki, kęsające zęby i rozpalone serca.

Mój nagi kutas wciskał się w jej brzuch.

Jęknęła, ta dziewczyna osuwała się w moje ramiona, bo zmiękły jej kolana.

Przyspiliłem ją do ściany, żeby nie upadła. Jej ciało wydawało się takie kruche pod moim.

– Trzymam cię – wymamrotałem, biorąc ją na ręce i zanosząc z powrotem do sanktuarium mojego pokoju.

Tam jasne promienie poranka zalewały białe ściany ciepłem.

Łóżko było skąpane w ich migoczącym blasku.

Położyłem ją na jego środku. Popatrzyłem na tę jedyną, która zmieniła wszystko. Moje serce, moje nastawienie i wszystkie te popieprzone myśli, które rządziły moją głową.

Stojąc tam z dłońmi zaciśniętymi w pięści, poddając się lustracji jej spojrzenia, które biegało po każdym centymetrze mojego ciała, pragnąłem być kimś lepszym.

Odszedłem z domu brata, mając nadzieję, że znajdę tę osobę. Że znajdę w sobie siłę, żeby stać się tym, kim chciałem być.

Odszedłem, wiedząc całym sobą, że mam kogoś, kto potrzebuje mojej siły. Dziewczynę, która potrzebowała kogoś, kto się za nią ujmie.

W ten sam sposób, w jaki ona ujmowała się za mną.

Napełniając wiarą.

Dzieląc się nią ze mną.

Czy mogłem stać się tym kimś teraz?

Czy poradzę sobie z czymś tak delikatnym, nie miażdżąc tego ponownie?

Edie niespokojnie się poruszyła.

– Austin... proszę.

Cholera, z pewnością zamierzałem spróbować.

Moje ruchy były ostrożne, kontrolowane, kiedy wspinałem się na

łóżko. Stopy miała wbite w materac, wczółgałem się na jej długie nogi.

I zawisłem nad nią, a potem patrzyłem.

Taka piękna.

Dotknąłem policzka.

– Zapiera mi dech, kiedy na ciebie patrzę.

– A mnie na twój widok robi się słabo – odwdzięczyła się.

Opuściłem się na łokcie, ona wygięła się w łuk.

Nasze ciała spotkały się w środku.

Energia tętniła.

Wypuściła drżący oddech, kiedy się na niej położyłem cały, uważając, żeby jej nie zmiażdżyć.

Nigdy.

Przeciągnąłem palcami przez jej włosy.

– Nie... Edie. Ja będę twoją siłą. Twoją odwagą. Będę stał za tobą, gdy będziesz potrzebowała wsparcia. Złapię cię, gdy się będziesz przewracała. A kiedy będziesz w uniesieniu, to ja będę patrzył, jak fruniesz. Nigdy nie ściągnę cię w dół ani nie będę cię hamował. Powiedz, że mi ufasz.

W kącikach jej oczu zebrały się łzy, językiem przeciągnęła po wargach. Jej rozpalone spojrzenie powędrowało do moich ust, a potem do oczu. Przejrzyste i czyste.

– Wiesz, że nie byłoby mnie tutaj, gdybym ci nie ufała.

Uczucie ulgi zapało mi dech, nadzieja nie była już tylko mrzonką. Była oślepiającym światłem. Rażącym, palącym, pochłaniającym. Ze ściśniętym z zachwytu sercem pochyliłem się, żeby pocałować moją dziewczynę.

Na początku wolno.

Rozkoszując się, jakbym stanął w słońcu.

Ona przywarła do moich nagich barków i szczupłymi udami oplotła mi biodra.

Przycisnąłem się do niej bardziej.

Całą swoją twardością do jej najmniejszej miękkości.

Jęknęła.

Otarłem się mocniej.

I mocniej.

I to było zbyt wiele.

I zarazem nawet w przybliżeniu niewystarczająco.

Gdy zwiększyłem tempo, nacisk, zaczęła dyszeć. Pocałowałem ją namiętniej, głębiej.

Traciła nad sobą kontrolę.

Popatrzyła na mnie, jakby błagała, żebym ją uratował.

– Czuję cię – wymamrotała niewyraźnie.

W reakcji moje serce rozpalila gorączka.

Przeniosłem ciężar na kolana i jedną dłoń oparłem obok jej głowy. Opuszki palców drugiej skradały się po materiale mojej koszuli, w którą była ubrana. Przemknęły po krągłości piersi o nabrzmiąłych sutkach i zsunęły się niżej.

Kiedy dotarłem do brzucha, wstrząsnął nią dreszcz.

Musnąłem satynę majtek.

Sapnęła.

Odsunąłem majtki w bok, zacząłem delikatnie pieścić. Zachęcające jęknięcie, wsunąłem więc dwa palce w głębiny jej rozpalonego ciała.

Och, kurwa. Taka gorąca i ścisła.

Edie sapnęła, wygięła plecy.

– Błagam.

Boże.

Gorąca i mokra.

Przeciągnąłem palcem po łechtaczce.

Tak cholernie rozpalona.

Tam i z powrotem zacząłem pieprzyć ją palcami.

To wystarczyło. Krzyknęła głośno i z moim imieniem na ustach zacisnęła się cała, pochwycona skurczem ostrego orgazmu.

Oniemiałem na widok błogości na jej słodkiej twarzy.

Sapiąc, poderwała biodra z łóżka. Palce wbiła mi w ramiona. Czepiając się ich, gdy się rozpadała.

Piękno.

To było tak cholernie piękne patrzeć, jak dochodzi, całe moje ciało szalało z pragnienia połączenia się z nią.

A ona jęczała i wiła się pod wpływem wstrząsających ją druzgoczących dreszczy.

Moja dłoń, do tej pory pieścżąca jej krągłości, znalazła się z powrotem na kutasie. Zacisnąłem go mocno, ale z wahaniem, zastanawiając się, ile Edie zniesie, zanim się wystraszy. Potem poddałem się, bo patrzyła na mnie, jakbym był światłem w otaczającym ją mroku.

Robiłem sobie dobrze brutalnie i ostro. Nasze twarze były tak blisko, ocieraliśmy się nosami.

A ja patrzyłem w nieskończoność.

W te bezdenne głębiny, które prowadziły prosto do jej duszy.

Rozdziawiłem usta, każdy mięsień miałem spięty. Ta dziewczyna była moją całkowitą zgubą.

Wreszcie przeszły mnie rozpalone do białości dreszcze ekstazy i nachylony nad Edie, dochodząc, zeszywniałem.

Jej dłonie natychmiast poderwały się do mojej twarzy. Objęła ją i nie ukrywając wzruszenia, powtarzała raz za razem:

– Czuję cię, czuję cię, czuję cię.

W niewoli rozkoszy, z trudem chwytając ustami powietrze, padłem przed siebie, jej głowę przycisnąłem ramieniem do swojej szyi.

Bo Edie Evans była moją pierwszą.

Pierwszą dziewczyną, która zdołała poruszyć coś we mnie. Wtedy, gdy byłem zupełnie martwy w środku.

Błysk światła w ciemności.

Który budził. Inspirował. Który zaszczerpił tę płonąca w moim wnętrzu palącą nadzieję.

Zachęcającą, bym się podźwignął.

Od tamtego mrocznego dnia, gdy go zabiłem, była pierwszą, która sprawiła, że coś czułem.

Rozdział 16

Austin – lat szesnaście

Pocałowała mnie. Nieśmiało. Język poruszał się wolno.

Pozwoliłem jej prowadzić się.

Pozwoliłem jej palcom ostrożnie badać moją twarz.

Pozwoliłem jej oddechowi zlać się w jedno z moją duszą.

Pozwoliłem jej zadrzeć.

Pozwoliłem westchnąć.

Pozwoliłem jęknąć.

Pozwoliłem powoli wtulić się we mnie.

Rozdział 17

Edie

Dzień dobry – zabrzmiał niski, ochryply głos, który mnie obudził.
Zamrugałam i otworzyłam oczy.

I załomotało mi serce.

Mój cudowny chłopak nachylał się nade mną. Kiedy napotkałam jego spojrzenie, jego zmysłowe usta ułożyły się do uśmiechu graniczącego niemal z uwielbieniem.

Jak kuglarska sztuczka. Nieprawdziwy. A jednak całkowicie, totalnie zniewalający.

Do pokoju wpadały smugi złotego światła. Poranne ciepło wyciągało palce, chcąc dotknąć nimi wszystkiego po drodze. Całując jego twarz i rozświetlając nieskończone mroki, jakie mnie przywitały.

Chciałam w nich utonąć.

Poetyczne oczy obiegiły moją twarz, płomienna szarość nieco zmiękła, mieniła się radością i tajemnicą. Intrygowała.

Zadrżałam w środku, moje przeładowane serce zabiło nierówno.

– Dzień dobry – odpowiedziałam szeptem.

Och, jak bardzo się zapadaliśmy.

Ale powinnam była wiedzieć, że im usilniej z nim walczyłam, tym szybciej mogłam się spodziewać przegranej.

Jak na ruchomych piaskach.

Im bardziej się szamotałam, tym głębiej się zakopywałam.

I nie chciałam się z tych piasków nigdy wygrzebać.

Posłałam niepewny uśmiech do jego twarzy, na której, w kąciaku pełnych czerwonych ust, też taki błędził.

Boże.

Byłam przez niego szczęśliwa.

– Jak ci się spało? – zapytał.

Radość wyraziła się chichotem, którego nie zdołałam zdusić.

Lepiej niż od wielu lat. Naprawdę musiał pytać?

– Czyżby Edie Evans właśnie zachichotała? – Nachylił się bardziej, zalewając mnie falą tej energii, która zawsze wokół nas wirowała. Uśmiechał się trochę drapieźnie. – No, tego dźwięku nie słyszałem już cholernie dawno. Gdzie mam się zapisać, żeby słyszeć go codziennie do końca życia?

Wyszczrzyłam się wbrew woli.

Nadzieja.

Radość.

Ten chłopak jeszcze raz rozbudził je na nowo.

Zmarszczyłam brwi, udając oburzenie.

– Do końca życia? Trochę się chyba zagalopowałeś, Stone.

Pokręcił głową łobuzersko i zawisł nade mną, opierając się na rękach i kolanach.

Więząc mnie z miną, jakby nigdy nie zamierzał wypuścić.

I Boże.

Podobało mi się to.

Że otaczał mnie ze wszystkich stron.

Opuścił głowę niżej. Przybliżając się.

– Cały czas galopuję. Po prostu tylko czekałem, aż w końcu mnie dogonisz.

Poczułam gorąco na policzkach. Palił je jak płomienie papier.

Poruszyłam się niespokojnie i moje ciało zawrzało wspomnieniami minionej nocy.

Miniona noc.

Przeszły mnie dreszcze. Próbując nad sobą zapanować, przygryzłam dolną wargę.

Austin jednak zauważył moje pobudzenie.

Najwyraźniej doskonale wiedział, w jakim kierunku wędrowały moje myśli.

Gorąco nasiliło się.

Powiększyło.

Dziesięciokrotnie.

Może nawet tysiącrotnie.

Boże, płonęłam.

Leżałam tam, przyszpilona przez tego pięknego mężczyznę.

Spragniona rzeczy, których chyba nie potrafiłam dawać. Pragnąca zanurzyć dłonie w tych mrocznych wodach, chcąc się napić.

Na tym polegał problem z Austinem. Moja dusza i serce rozpoznawały, że to powinien być on. Ale traumy z przeszłości powstrzymywały mnie przed sięgnięciem po to, czego pragnęłam.

Przeszedł mnie dreszcz niepokoju, powróciłam myślami do wiadomości, którą dostałam poprzedniego wieczoru.

Czego on mógł ode mnie chcieć?

Co dobrego mogło z tego ewentualnie wyniknąć?

Zduśiłam w sobie strach. Nie chciałam psuć tej chwili. Nie chciałam, żeby Paul ukradł mi – nam – więcej niż już ukradł.

Zresztą chodziło o coś więcej. Pamiętałam gwałtowną reakcję Austina, gdy wymieniłam imię Paula. Nie byłam pewna, czy da sobie radę z niepotrzebnym niepokojem o człowieka, przed którym ostatecznie chciał mnie tylko chronić.

Na obojczyku poczułam delikatną pieśczość jego palców, które wolno przemieszczały się do zagłębienia w szyi. Uniosłam podbródek. Pod tym czułym dotykiem wszystko we mnie drżało.

Westchnęłam i rozchyliłam usta.

W niemej prośbie o więcej.

– Cudowna – wymamrotał. Przesunął palce wyżej, a mnie przebiegały dreszcze, gdy zaczął wodzić opuszkami po obrysie mojej szczęki. – Tak cholernie cudowna. Gdy na ciebie patrzę, tracę rozum. A może wreszcie go odzyskuję.

Jęknęłam cicho, bo jego palce znalazły się na moich ustach.

Niepewnym ruchem, zaglądając mi w oczy, wsunął je powoli między wargi.

Musnęłam je leciutko językiem.

Ten chłopak kruszył mnie kawałek po kawałku.

Przechyliwszy głowę, przyglądał mi się.

– Czy ty masz pojęcie, jakie to wspaniałe uczucie budzić się u twojego boku?

Odpowiedziałam głosem przepelnionym zachwytem.

– Na pewno nie wspanialsze niż budzić się obok ciebie.

– I tu się mylisz, Edie. Na całym świecie nie ma miejsca, w którym

chciałbym być bardziej niż przy tobie. Dlatego oceniam, że to uczucie plasuje się gdzieś pomiędzy magią a cudem.

Ze wzruszenia poczułam, że się dławię.

– A co jest ponad cudem? – spytałam, wpatrując się wyczekująco w tę oszalamiającą twarz.

Wolno pokręcił głową.

– Ponad cudem nie ma już nic.

Och, Boże.

Jego przeszywające spojrzenie zabłysło czymś znaczącym.

Czymś odważnym i silnym.

Zalała mnie fala emocji.

Oczekiwanie.

Pożądanie.

Nadzieja.

Nie było we mnie cienia wahania, gdy przycisnął usta do moich.

To...

To była pieśczoła, którą czułam w samym jądrze siebie.

Przez chwilę całował mnie spokojnie, potem pogłębił pocałunek, który stał się wręcz żarłoczny, nienasycony.

Język miał mokry. Gorący i słodki zarazem.

Szybkie, stanowcze liźnięcia.

Wolne, miękkie muśnięcia.

Zaborcze i pożądliwe.

Hipnotyzujące.

Świat zawirował, zakręciło mi się w głowie.

Poczułam, że się unoszę, oddalam od agonii tej dziewczyny, którą nie chciałam być.

Że ulatuję do sfery, gdzie byłam kobietą, jaką chciałam być dla niego.

Dla siebie.

Przycisnęłam płasko dłoń do jego serca. Bo potrzebowałam poczuć to dudniące łomotanie. Silne uderzenia, pompujące życie z powrotem do diamentu w centrum.

Austin miał stuprocentową rację.

Budzenie się przy nim plasowało się gdzieś pomiędzy magią a

cudem.

Nieprawdopodobne i doskonałe.

Sfrustrowany, ale i rozbawiony, warknął cicho w moje usta, po czym z powrotem przeniósł ciężar ciała na rękę.

– Tak dla jasności, chciałbym, żebyś wiedziała, że cały czas nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. W moim łóżku. Jeszcze tydzień temu nawet nie śmiałybym sobie tego wyobrażać. I chciałbym też dla jasności oświadczyć, że mi się to bardzo podoba. Bardzo.

Wyciągnęłam dłoń i drżącymi palcami przejechałam po obrysie tej odważnej, szokująco pięknej twarzy.

– Nie jestem pewna, czy będę stąd chciała kiedykolwiek wyjść.

Jego czerwone usta uniosły się lekko w kącikach.

– Więc nie rób tego.

Nie rób tego.

Ja też się uśmiechnęłam, leciutko.

– Brzmi to jakoś znajomo, nie uważasz?

Przygryzł lekko moje palce, którymi muskałam jego pełne usta.

– Coś mi się zdaje, Edie Evans, że chyba coś sugerujesz.

Znowu wyrwał mi się radosny chichot, ale już po chwili przeszedł w najczulszy uśmiech.

– Nawet nie wiesz, jak wspaniale to brzmi. Ale muszę iść. Mam pracę.

Ściągnął brwi z dezaprobatą.

– Kiedy znowu się zobaczymy?

– A kiedy chcesz mnie znowu zobaczyć?

Roześmiał się, lekko i beztrąsko, bawiąc się odruchowo puklem moich włosów.

– Cóż... zważywszy, że chciałbym cię widzieć bez przerwy, powiedziałbym, że tak szybko, jak to tylko możliwe. Co ty na to, żebyś wpadła wieczorem do Latarni? Na mój występ?

Wyraz jego twarzy wyrażał nadzieję. Jakby nie do końca potrafił ukryć swoją bezbronność. Bardzo mi w tamtej chwili przypominał tego pokiereszowanego chłopaka, którego kiedyś znałam.

Objęłam tę wyrażającą niepewną nadzieję twarz czułym spojrzeniem.

Ten mężczyzna był tak bardzo inny, a jednak zarazem tak bardzo ten sam.

Zawahałam się, szukając odpowiednich słów.

– Czy... my...

Ujął moją dłoń, przeplótł palce z moimi i przyciągnął sobie moją rękę do piersi, tam gdzie widniał tatuaż z łapaczem snów.

Niezmywalny znak, który w jakiś sposób naznaczył też mnie.

– Czy istnieje jakieś „my”, Edie? O to chcesz zapytać?

Zalało mnie uczucie wstydu, a wraz nim pojawiło się wspomnienie tych obietnic, jakie sobie składałam. O tym, że zostanę sama.

Ale nie chciałam być sama.

Nie wtedy, gdy to, czego pragnęłam, znajdowało się tuż przede mną.

Niepewna, ale też w jakiś sposób pewna, przygryzłam dolną wargę.

– Czy my...?

Natychmiast spowaźniał. Był taki prawdziwy i szczery. Minę miał nieubłaganie zawziętą.

– Zawsze byliśmy „my”, Edie. Teraz tylko wpadliśmy na pomysł, jak to „my” utrzymać razem.

– Razem?

– Taa. Co ty na to?

Może powinny opaść mnie stare lęki. Może powinnam trzymać się przeszłości, która nie chciała mnie opuścić.

Ale czułam jedynie nadzieję.

Wiarę w Austina.

On mnie rozumiał. Bariery, granice, moje lęki.

Szanował to wszystko.

Ciężko przełknęłam ślinę.

– Tylko... bądź ze mną ostrożny.

Krzyknęłam z zaskoczenia, kiedy przekreślił mnie na siebie, co zrobił tak szybko, że zorientowałam się, co się dzieje, dopiero, gdy już siedziałam mu na brzuchu.

A potem patrzyłam w dół na tego zapierającego dech w piersiach chłopaka, który skradł mi serce.

Uśmiechnął się, tak pięknie i tak buńczucznie.

Przeszedł mnie dreszcz wywołujący gęsią skórkę.

Położyłam mu ręce na silnej, silnej piersi. Żeby zachować równowagę.

Na nierównym gruncie, chociaż bez cienia wątpliwości wiedziałam, że tak naprawdę pode mną nie było żadnego gruntu.

Spadłam.

I płynęłam przez fale najczarniejszej czerni.

Oczekująca w dole ciemność pochłonęła mnie całą.

Powinno być mi zimno.

Powinnam być przerażona.

Ale czułam się bezpieczna w gwarantującym ochronę uścisku jego ramion. W objęciu pewności jego uczuć i jego intencji.

Austin wsunął obie dłonie w moje włosy spływające mi na ramiona i chwycił mnie czule za głowę.

– Myślę, że to ty będziesz musiała być ostrożna ze mną.

Złapałam go za nadgarstki. Czułam się taka wolna.

Wolna pod jego dotykiem.

Wolna z jego wiarą w nas.

– Austin.

Jego spojrzenie błędziło po mojej twarzy, wpatrywał się we mnie z uwielbieniem.

– Edie.

Nagle jego mina zmieniła się. Na rozbawioną. Radosną, a nawet trochę figlarną. Przyciągnął mnie bliżej i wyszeptał w usta:

– Pocałuj mnie, zanim wyjdiesz.

– To zabawne... bo właśnie miałam nadzieję, że ty to zrobisz.

Uśmiechnął się, a ja wysunęłam język i oblizałam nim wargi. Nachyliłam się do niego, oczekując na pocałunek.

Objął moją głowę rękoma. Zamykając mnie w ich objęciu. Sprawiając, że poczułam się bezpieczna.

Uwielbiana.

Jego pocałunek był długi i powolny, przepelniony wyraźnie wyczuwalną desperacją.

To samo zawsze czułam i ja, gdy z nim byłam.

Desperację.

O mało nie umarłam, gdy to zostawiłam.

Gdy zostawiłam jego.

Kolejna częśćka oderwana.

Przeszedł mnie lekki dreszcz. Myśl, że mogłabym znowu go stracić, była prawie nie do zniesienia.

Nie byłam aż tak głupia, żeby nie zdawać sobie sprawy, że oboje tkwiliśmy w chaosie. Byliśmy jedną wielką gmatwaniną pokruszonych, potłuczonych kawałków, które się rozsypały i zmieszały ze sobą.

Mogłam się tylko modlić, że tym razem uda nam się je jakoś wspólnie dopasować.

Ociągając się, odsunęłam się od niego. Moje usta musiały być spuchnięte i przekrwione, włosy potargane przez jego palce.

Nie obchodziło mnie to.

Nie wstydziłam się ani nie żałowałam tego, co dawałam temu chłopakowi.

Ta część, która zawsze należała do niego.

– Naprawdę muszę już iść.

Skinął głową, ale niechętnie.

– Okej.

Wyśliznęłam się spod niego.

Po minionej nocy wydawało się to głupie, że kiedy wstałam, poczułam potrzebę obciągnięcia dołu koszulki na uda. Żeby się skromnie zakryć.

Najwyraźniej jednak stare przyzwyczajenia rzeczywiście nie dają się tak łatwo wykorzenić, bo to zrobiłam i zerknęłam na Austina, czując, że się czerwienię, kiedy się do mnie uśmiechnął szeroko. Było oczywiste, że myślami krążył przy wydarzeniach z wczesnego poranka.

Pobiegłam do łazienki, wciąż rozpalona, bo wspomnienia przeniosły mnie do tego, co wznieciło ten ogień, który zapłonął między nami zeszłej nocy.

Szybko się odświeżyłam i wróciłam do sypialni, posyłając Austinowi zawstydzony uśmiech. Wciąż leżał na środku łóżka na plecach w skotłowanej pościeli.

Pokazując swoje piękne ciało.

Zbyt piękne.

Robiłam, co mogłam, żeby się nie gapić.

Boże, jak on mnie kręcił.

Znowu czułam, że wszystko się we mnie zacisnęło.

Wciągnęłam dzinsy, trochę sztywne po tym, jak po zmoczeniu wyschły na stercie na podłodze.

– A tak przy okazji, zatrzymuję sobie tę koszulkę – rzuciłam, zakładając buty.

Roześmiał się i wstał z łóżka. Był tylko w bokserkach, a ja starałam się na niego nie patrzeć, chociaż wyglądał tak niedorzecznie dobrze.

Sięgnął dłonią do włosów, żeby je przyklepać.

– Uwierz mi, Edie, nie musisz nawet pytać. Ta koszulka należy do ciebie.

Znowu zalałam się gorącym rumieńcem. Ze spuszczoną głową, utykając włosy za uszy, odnalazłam na podłodze kluczyki do samochodu, które tam rzuciłam w nocy.

Austin poszedł za mną korytarzem, przez salon i kuchnię.

Przy drzwiach pocałował mnie jeszcze raz.

– Widzimy się wieczorem, piękna.

I wiedziałam, że jestem w poważnych tarapatach.

Bo już teraz nie mogłam się doczekać.

Rozdział 18

Austin – lat osiemnaście

Miękkie palce przesunęły się po długości mojego kręgosłupa.

Wzdrygnąłem się, zbiłem w sobie jeszcze bardziej i dalej się kołysałem.

Musiałem się od tego odciąć.

Usunąć jakoś ten miazdzący ból.

Zatrzymać go.

Kurwa, potrzebowałem coś wziąć. Dać sobie w żyłę. Wciągnąć kreskę, połknąć jakieś prochy. Nadawałoby się cokolwiek.

– Austin... co się dzieje? – Mówiła tak ostrożnie. Tak niepewnie. Była taka wystraszona.

Szarpnąłem się za włosy i chowając twarz między kolana, zacząłem kołysać się mocniej.

– Odejdź, Edie.

Skąd ona, kurwa, wiedziała w ogóle, że tu jestem? Na dachu, oświetlonym jedynie przez blade światło księżyca. Moje ciało było wychylone w stronę morza, które prawie słyszałem, prawie czułem jego smak w ustach, chociaż dzieliło mnie od niego ponad dwadzieścia kilometrów.

– Austin... proszę. Powiedz mi, co się dzieje, zwierz mi się.

To było takie pokręcone. Postawione na głowie. To, że tak się zakradłem. Do jej serca, umysłu, do jej tajemnic.

I nie wiedziałem, jak dopuścić ją do swoich. Były zbyt intensywne. Zbyt osobiste. Zbyt popieprzone.

Ja byłem zbyt popieprzony.

W tym tkwił problem.

Nie mogłem znieść tego, że patrzy na to zepsucie.

– Proszę – powtórzyła.

Staralem się z tym walczyć, ale jednak uległem. Tylko trochę.

– Dziś są jego urodziny.

Moje urodziny.

Tylko że ich nie obchodziliśmy, ja i Sebastian. Ten dzień był, kurwa, zbyt trudny, żebyśmy potrafili go świętować.

A tu proszę, zrobiłem to.

Powiedziałem to na głos.

Bo ta dziewczyna... ta dziewczyna. Stale była coraz bliższej. Kopała coraz głębiej.

To ja miałem służyć jej wsparciem. Ja miałem jej pomagać.

A nie odwrotnie. Jednak była tu, patrzyła na mnie. Moje lustro. Zmuszające mnie, żebym patrzył na rzeczy, których nie chciałem oglądać.

– Och – westchnęła ze zrozumieniem. I tę swoją słodką, słodką twarz przycisnęła do moich pleców, obejmując mnie od tyłu ramionami.

– Powiedz, co mogę zrobić, Austin. – Ta dziewczyna z całego serca pragnęła mi ulżyć, chociaż na to nie zasługiwałem.

Tylko że ona tak naprawdę nie rozumiała. Tak naprawdę nie wiedziała.

Nie byłoby jej tutaj, gdyby wiedziała.

Gdyby wiedziała, jak bardzo jestem odrażający.

Można by sądzić, że do tego czasu czegoś się nauczyłem. Znalazłem sposób na to, żeby nie być egoistycznym dupkiem.

A jednak proszę, sięgałem po trochę więcej tego, po co nie miałem prawa sięgać.

– Tylko... proszę. Nie zostawiaj mnie – wymamrotałem przez zaciśnięte zęby. Walcząc z potrzebą zażycia czegoś. Z desperacją.

Nie odchodź.

Nigdy.

Bo to w niej znajdowałem całą swoją siłę.

Rozdział 19

Austin

Patrzyłem za nią, gdy odjeżdżała.

Wyszczierzony od ucha do ucha, jak jakiś cholerny głupek.

Z napęczniałym sercem i dziko walącym tętnem.

Kiedy zniknęła z widoku, przeciągnąłem dłonią po twarzy, jakbym w ten sposób mógł usunąć mgiełkę nienasyconej żądz, tego słodkiego, słodkiego zaklęcia, jakie na mnie rzuciła. Potem, zamykając za sobą drzwi, wszedłem z powrotem do domu.

I z zaskoczenia o mało się nie udławiłem.

– Cholera jasna, Deak. Co jest z tobą nie tak, do diabła, że się tak ciągle zakradasz, jak jakiś zboczony podglądacz. Wystraszyłeś mnie na śmierć.

Deak siedział przy małym owalnym stole, tuż po drugiej stronie barku oddzielającego salon od kuchni. Stopę miał opartą na kolanie drugiej nogi i z kubkiem kawy w połowie drogi do ust bujał się na krześle. Tors miał nagi, faliste ciemnoblonde włosy skołtunione.

– Co? To człowiekowi nie wolno już napić się kawy z rana? W swoim własnym domu?

Powiedział to, jakby chodziło tylko o przyjemne spędzenie poranka. O relaks. Ale sposób, w jaki na mnie patrzył, był daleki od pokojowego. Szok, jaki mi zafundował, szybko zamienił się w dreszcz niepokoju.

Deak uniósł jedną brew i przekrzywił głowę na bok.

– Chociaż coś mi się wydaje, że ty dzisiaj rano raczyłeś się daniem z zupełnie innego menu.

Taa.

Pewnie mogłem się tego spodziewać. Co nie znaczyło, że się nie wkurzyłem.

– To żaden twój interes, stary.

– Nie? A mógłbym przysiąc, że ty i ja nie dalej jak kilka dni temu

w tym samym miejscu przeprowadziliśmy pewną rozmowę. Zdaje się, że mówiłeś w jej trakcie coś o tym, że dajesz słowo, że nie masz zamiaru skrzywdzić tej dziewczyny.

– Dokładnie tak powiedziałem i dokładnie to miałem na myśli.

– To dlaczego wykradała się stąd o brzasku? Co tu robiła?

Wypuściłem powietrze, mając nadzieję, że to nieco złagodzi rozdrażnienie buzujące w moim brzuchu.

Deak nie miał zielonego pojęcia o moich intencjach.

Przeciągnąłem ręką po włosach i przeszedłem do kuchni.

– Powiedziałem ci też, że łączy nas pewna historia z przeszłości, której nie znasz.

– Taa, stary? I co to za historia, jeśli można wiedzieć?

Historia całego życia.

Wieczności.

Wyciągnąłem kubek z szafki, nalałem sobie kawy i nonszalancko wzruszyłem ramieniem.

– Edie jest moją dziewczyną.

Takie to było proste.

I zarazem tak cholernie skomplikowane, że zakręciło mi się od tego w głowie.

Ale Deak nie musiał znać szczegółów.

Zarechotał z niedowierzaniem i usiadł prosto.

– Czyżby?

– Taa, stary, czyżby.

Z korytarza nagle wyłonił się człapiący Damian. Tarł twarz i wyglądał na tak samo poirytowanego jak ja.

– Co tu się, kurwa, dzieje, dupki? Czy ktoś tu kiedykolwiek słyszał o czymś takim jak szacunek dla współlokatorów? Bo właśnie śni mi się najlepszy cholerny sen świata, a tu nagle budzą mnie jakieś wrzaski. Nieładnie, koledzy. Nieładnie.

Wsypałem sobie do kawy porcję śmietanki w proszku, rozmieszałem i posłałem Damianowi kpiący uśmiezek.

– Cieszę się, słysząc, że przynajmniej we śnie coś zaliczyłeś, przyjacielu.

– Hej... korzystam z tego, co dostaję. A uwierz mi, było tego

sporo.

Podniósł obie ręce i szeroko rozczapierzył palce.

Zbrukane, bez wątpienia.

Upijając łyk kawy, zdusiłem śmiech.

– Jesteś beznadziejny, Dam.

– Nie, bracie. Ten chłopak tutaj nie może na nic liczyć, jeśli straci nadzieję. Dlatego muszę ćwiczyć.

Można było pomyśleć, że Damian miał dwanaście lat, a nie dwadzieścia cztery. Ale on się niczym nie przejmował, niczego nie wstydził. Zamiast tego szczerzył się jak pajac. Po wcześniejszym niezadowoleniu nie było już śladu, nalewał sobie kawy i klepał mnie po plecach.

– No to co tam mamy dzisiaj na tapecie?

Deak pokazał na mnie.

– Nasz chłoptaş tutaj opowiadał mi właśnie o swojej dziewczynie, nieprawdaż, Austin?

Damian zmarszczył brwi i zerknął na mnie z ukosa.

– O której?

Dupek doskonale wiedział o której.

Tej, przez którą szalałem z pożądania. Tej, która tak mnie kręciła, że traciłem rozum. Tej, która zeszłej nocy w końcu pozwoliła mi odlecieć.

– O Edie.

– A, o tej.

Widzicie, Damian kapował.

Deak?

Nie za bardzo.

Patrzył na mnie, jakby wyobrażał nas sobie na ringu bokserskim.

– Pracowałem z nią przez kilka ostatnich lat, stary – oznajmił. – Mówiłem ci już wcześniej, to porządna dziewczyna. Nie są jej potrzebne problemy, a ty lubisz je ściągać. I jestem prawie pewien, że chłoptaş Jed już dawno ją sobie zaklepał. Czeka na nią cholernie długo.

Cóż, ja czekałem dłużej.

Deak kontynuował.

– Z mojego punktu widzenia wygląda to tak, że prosisz się o

kłopoty.

Kłopoty.

Taa.

Ta dziewczyna była kłopotem i idealnym rodzajem chaosu.

Słodka jak grzech.

Światłość.

Westchnąłem, zmuszając się do zachowania zimnej krwi. Nie chciałem pokłócić się z przyjacielem.

– Ja za to jestem prawie pewien, że Jed nie miał co zaklepywać. Edie to człowiek, a nie jakaś pieprzona zabawka.

Deak uśmiechnął się kpiąco.

– No, no, no... ktoś się tu wkurza o dziewczynę. Nie wierzyłem, że to może kiedykolwiek nastąpić. – Oparł się o krzesło, jakby wszystko było już jasne. – Rozumiem cię, stary. Tylko pilnuj się, bo uważam ją za swoją przyjaciółkę i nie zawaham się skopać ci tyłka, jeśli zrobisz jej coś złego. Zresztą mogę się założyć, że Jed też się nie zawaha.

– Nie będzie takiej potrzeby.

Lepiej, cholera, żebym tej akurat obietnicy dotrzymał.

Rozdział 20

Edie

Wieczorem Latarnia była zapakowana. Gwar zmieszanych głosów konkurował o uwagę z dudniącą z głośników puszkową muzyką, wypełnionym puszczone między występem kapeli, która grała wcześniej i tej, której występ przegapiliśmy, a występem Austina, który miał grać za piętnaście minut.

Za spóźnienie obwiniałam Blaire.

Wnętrznoci zaciskało mi niespokojne oczekiwanie.

Nie mogłam się doczekać, kiedy znowu go zobaczę z jego gitarą.

W blasku jupiterów.

Tam, gdzie było jego miejsce.

Blaire wspięła się na palce i rozejrzała po tłumie ludzi.

– Ugh – jęknęła. – Chyba nie znajdziemy żadnego wolnego miejsca do siedzenia.

Też się rozejrzałam, szukając wzrokiem osoby, którą tak chciałam zobaczyć.

– To może po prostu... spróbujmy podejść jak najbliżej sceny?

– Zgoda. Ale najpierw zamówimy drinki.

Złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Bez litości i cienia skrupowania przepychała się ostro w stronę baru między stojącymi w zbitych grupach gośćmi.

Krzyknęłam, bo ktoś niespodziewanie złapał mnie za łokieć.

Tak silnie, że aż się cofnęłam.

Obejrzałam się. Nadal byłam zdenerwowana po wiadomości z poprzedniego wieczoru i walczyłam całą sobą o to, żeby Paul już nigdy więcej nie miał wpływu na moje życie.

Wypuściłam ostro wciągnięte powietrze, kończąc wydech patetycznym, rozmarzonym westchnieniem. Jak zakochana na zabój nastolatka.

Ale kto by mi się dziwił?

Te poetyczne oczy migotały w blasku sufitowych świateł. Miałam wrażenie, jakby ktoś włączył pauzę – staliśmy i patrzyliśmy na siebie, podczas gdy bar buzował wokół nas.

Boże. Jego twarz hipnotyzowała. Spojrzenie przeszywało.

Dłoń zamknięta na łokciu puściła go i niesamowicie delikatnie ześlizgiwała się w dół, aż w końcu przeplótł swoje palce przez moje. I przyciągnął mnie bliżej, a potem musnął ustami po kostkach palców.

Och, Boże.

Moje serce.

Zamieniło się w totalną papkę, roztopiło i po prostu... mdlało.

To było takie dziwne, być tą dziewczyną. Radosną, rozchichotaną, lekkomyślną.

Ale właśnie tak czułam się zawsze przy tym chłopaku.

Trochę sfrustrowana i o wiele silniejsza.

Wykręcona spodem na wierzch.

Odsłaniająca to, co czekało w środku na ujawnienie.

Przypominał mi, że mimo błędów istniała nadzieja.

Myszę, że kłopot tkwił w tym, że nigdy nie rozgryzłam, w którym momencie ta nadzieja mnie opuściła. Nie zastanowiłam się, co miała nam do zaoferowania, co to oznaczało, zanim Austinowi i mnie skończył się czas.

Nie byłam pewna, czy potrafię odnaleźć tę nadzieję sama, na własną rękę.

Chociaż tak po prawdzie to zawsze przeczuwałam, że ona gdzieś tam jest. Czai się w mroku, którego się bałam. Teraz czułam się, jakbym wychodziła naprzeciwko niej. Witając nadarżającą się okazję z szeroko rozpostartymi ramionami. Ale zarazem przez cały czas się modliłam, żebym nie była głupia i nie oddawała się tak łatwo.

Zastanawiałam się, czy te wszystkie emocje odzwierciedlały się na mojej twarzy, bo Austin uśmiechnął się ciepło, nieomal poważnie, i przyciągnął mnie do tego rozkosznego ciała, które było takie duże i takie ciepłe.

– Nie rób tego – wymamrotał cicho, trzymając usta tuż przy moim uchu.

– Czego mam nie robić? – spytałam figlarnym tonem, co chyba

zaskoczyło nawet mnie samą.

– Nie świruj – odparł. Czułam, że się lekko uśmiechnął.

– Aha.

Oboje się wzdrygnęliśmy i zobaczyliśmy Blaire stojącą za nami z rękoma wspartymi na biodrach.

– Halo. – Pomachała wymownie ręką przed twarzą. – Przyjaciółko? Coś ci to mówi? Żadnego porzucania mnie dla chłopaka, Edie.

Austin przyciągnął mnie do boku, zarazem odwracając się, tak że oboje staliśmy teraz twarzami do Blaire.

– Wybacz, Blaire, ale musisz się podzielić. Ja i Edie przyjaźnimy się od bardzo, bardzo dawna.

Blaire potrząsnęła głową.

– Ha. To zupełnie zmienia sytuację, no nie?

Austin przechylił głowę na bok.

– Cóż, mam taką nadzieję.

Trzepocząc rzęsami, wykrzywiła usta tak, jakby szykowała się do zadania ostatecznego ciosu.

– Jesteś o tym przekonany, muzykancie? Bo większość chłopaków, których znam, uznałoby to za bonus. Jeśli masz ochotę, to ja totalnie w to wchodzę.

Byłam zaszokowana.

– Blaire – warknęłam. – To obrzydliwe. Co się z tobą dzieje?

Wzruszyła ramionami.

– No co? Tylko się z nim drocę. To zadanie najbliższej przyjaciółki. No wiesz, sprawdzanie, czy nowy superprzystojny chłopak nie jest pospolitym draniem.

Austin roześmiał się i przeciągając ręką przez włosy, zerknął na mnie.

– Przypomnij mi, że mam na nią uważać – powiedział. Patrzył na nas, przerzucając wzrok od jednej do drugiej, z rozbawieniem w oczach.

– Bo raczej na pewno będzie zastawiała na mnie najróżniejsze pułapki.

No więc może zaskoczyłam samą siebie ponownie, bo wspięłam się na palce i złożyłam szybki pocałunek na tych miękkich ustach.

Uderzyło mnie, że to był pierwszy raz, gdy to ja zainicjowałam zbliżenie. Zapragnęłam czegoś i sięgnęłam po to, pewna swojej decyzji.

Zmiana.

Zmiany są dobre.

– Staraj się tylko w żadną nie wpaść, a nic ci nie będzie groziło.

Przeciągnął palcem od mojej skroni do policzka i wolno go odsunął.

– Nie ma takiej opcji.

– No już dobrze, dobrze, gołąbeczki. Przystopujcie z tymi pieśczołami. Będziecie mieli na nie mnóstwo czasu później. – Blaire odpędziła Austina machnięciem obu dłoni. – Musimy iść po drinki i znaleźć jakieś wolne miejsce do stania, zanim wyjdiesz na... och, to już za dwie minuty.

– W zasadzie to właśnie po to was szukałem. Zająłem wam miejsca. Deak i Damian czekają pod sceną.

No proszę, Blaire spojrzała na mnie i posłała mi uśmiech tak szeroki jak ten Kota z Cheshire. Nie ulegało wątpliwości, że jej następne słowa były przeznaczone dla mnie, chociaż zwracała się do Austina.

– Och, Austinie Stonie, jesteś idealnym materiałem na chłopaka.

Nie mogłam zgodzić się bardziej.

Austin zaprowadził nas do okrągłego stolika stojącego blisko sceny, trochę z boku, przed wysokimi stołami, tymi, przy których stałam podczas poprzedniej wizyty w Latarni.

To szaleństwo, ale miałam wrażenie, jakby od tamtego razu minęła cała wieczność.

Damian już stał. Zdenerwowany. Przeszukiwał wzrokiem tłum, gdy się zbliżyliśmy. Kiedy nas dostrzegł, odetchnął z ulgą.

– Austin, stary, jesteś. Musisz się ruszać. Do wyjścia zostało ci jakieś trzydzieści sekund, a i tak masz już przesrane u Craiga. Jeśli teraz nawalisz, źle się to dla ciebie skończy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Uśmiechnęłam się, chciałam popchnąć Austina, powiedzieć mu, żeby poszedł, ale w tym momencie moja komórka, którą trzymałam w dłoni, zaczęła wibrować. Podniosłam ją odruchowo, ekran świecił się jasno w przyćmionych światłach baru.

Wypuściłam ostry, przerażony oddech, wepchnęłam telefon do tylnej kieszeni, jakbym w ten sposób mogła ukryć okrucieństwo wiadomości, która się pojawiła na górze ekranu. Krótkiej na tyle, że

zdążyłam przeczytać całą. Wystarczająco oczywistej, żeby dało się ją z miejsca zrozumieć. Chociaż znowu została wysłana z tego nieznanego numeru.

„Pierdolona dziwko. Masz u mnie dług. Wielki dług. Odbiorę go”.

Austin u mojego boku spał się. Płomienny gniew. Brutalna nienawiść i gwałtowny strach. Wszystko to mieszało się z tym, co sama czułam.

Fala emocji zalewała mnie szybko.

Rosła coraz bardziej i bardziej.

Wciągała coraz głębiej i głębiej.

– Edie. – Austin wypowiedział moje imię tak, jakby to sprawiało mu ból.

Mój głos drżał tak samo mocno jak moje ręce.

– Idź. Nie możesz się spóźnić.

– Nie mogę... Edie... nie mogę.

Twarz wykrzywiła mu udręka. Ta dychotomia w tym, że chciał mnie chronić, ale zamiast tego tylko skrzywdził. Popędliwy w czynach, popędliwy w słowach.

Tajemnica, którą mimowolnie wyjawiał, przez co uciekłam.

Ujęłam tę udręczoną twarz w obie dłonie.

– Jestem tutaj. I nigdzie się stąd nie ruszę.

Jęknął z rozpaczą i ściszył głos, żebym tylko ja mogła go usłyszeć.

– Jak mogę cię zostawić? Chcę się tobą opiekować, Edie. Chcę cię bronić.

Damian z miną wyrażającą, że nie rozumie, co się dzieje, pociągnął Austina za ramię.

– No już, stary. Nie możesz spieprzyć kolejnego występu. Jesteś na to zbyt dobry.

– On nie może mnie tu osiągnąć, Austin. Idź. Tam, na scenie, jest twoje miejsce – powiedziałam. Gdyby tylko w to wierzył. Gdyby tylko rozumiał, że zasługiwał na o wiele więcej. Gdyby tylko potrafił zobaczyć to, co ja widziałam, gdy na niego patrzyłam, że ma ogromny talent. – Będę tu i nigdzie nie pójdę.

Wahał się.

– Obiecuję.

Jego odpowiedź była stłumiona, bo mówił w moje włosy.

– Uda nam się, Edie. Zrobimy to, razem. Tym razem nie damy temu sukinsynowi tego zepsuć.

Oderwał się ode mnie niechętnie, a potem, gdy Damian prowadził go do wejścia na scenę, obejrzał się i posłał mi gorące spojrzenie.

Osunęłam się na krzesło. Przytłoczona. Fale strachu prześlizgiwały mi się przez żyły, podczas gdy obietnica Austina wsączała się wszędzie indziej.

W każdą komórkę.

W każde włókno.

Wiara i nadzieja.

Usłyszałam przy uchu głos Blaire.

– Co to było, do diabła?

Pokręciłam głową.

– Nic.

Jej spojrzenie wyrażało niepokój, zarzucało mi kłamstwo, jednak odsunęła się bez słowa, bo przez tłum przeszedł szmer poruszenia. Pokonawszy trzy stopnie, Austin wszedł na małą scenę. Deak usiadł po drugiej stronie Blaire, a Damian usadowił się na krześle obok.

Austin przeszedł przez scenę. Taki wielki i mroczny, wszystko w nim było takie skomplikowane.

Zagadka.

Usiadł na taborecie blisko mikrofonu, gitarę oparł na udzie. Osoba obsługująca naświetlenie skierowała na niego strumień światła. Który skapał go w eterycznym blasku.

Piękny.

Niszczący.

Zniewalający.

– Wygląda na to, że zdążyłaś już poznać mojego kumpla, Austina?

– Deak biorąc łyk piwa, patrzył na mnie znad butelki.

Nie spojrzałam w jego stronę. Kiwnęłam tylko nieprzytomnie głową i dalej patrzyłam przed siebie.

Oczarowana.

– Już go znałam. Znam go całe swoje życie.

Deak lekko kiwnął głową. Przetwarzając informacje. Dodając dwa

do dwóch.

– Wyglądasz jakoś inaczej, Edie.

Austin przeciągnął palcami po strunach i moje zamknięte w piersi serce oszalało.

Jakby był bezpośrednio ze mną połączony i smagnął mnie biczem tętniącej między nami dzikiej energii.

Ogłuszając mnie.

I jego głos... ten cudowny, hipnotyzujący głos.

Ta niespokojna harmonia opłotła się wokół mnie.

Tego wieczoru był nawet intensywniejszy niż tamtego dnia, gdy wpadłam tu na niego po raz pierwszy.

Jakby swoją muzyką próbował do mnie przemawiać.

Opowiadał o uldze, radości, rozpaczy.

Wojnie i pokoju.

A ja, pomimo wszystkiego, co się działo, nie bałam się.

– Bo czuję się inaczej – wymamrotałam, nie będąc pewna, czy mówię do Deaka, czy do siebie.

Niemniej tak właśnie było.

Czułam się inaczej.

Czułam się odważna.

Jakbym chciała wyciągnąć dłoń i chwycić w nią życie.

Życie, którego z braku odwagi nie przeżywałam w pełni. I które z drugiej strony bałam się stracić.

Austin grał swoje piosenki.

Każda zdawała się być jednością z oceanem. Tym, który falował łagodnie na zewnątrz za drzwiami Latarni. Drzwiami, które były szeroko otwarte i wpuszczały do środka niesione z bryzą chłodne nocne powietrze.

Mieszające się ze słowami piosenek. Mrocznymi i głębokimi.

Przepełnionymi tego rodzaju znaczeniem, że prawdopodobnie nikt poza Austinem ich nie rozumiał.

Ale ja rozumiałam.

Czułam.

Ten pokiereszowany chłopak ukrywający się za tym wspaniałym, onieśmielającym mężczyzną był dla mnie przezroczysty.

I cierpiałam ze względu na niego.

Cierpiałam ze względu na nas.

Pragnęłam przytulić go i ukoić jego ból tak samo bardzo, jak on pragnął utrzymać go z dala.

Udając, że nie ma już nad nim żadnej władzy.

Ale ja widziałam to cierpienie w przebłyskach bezbronności. Prawda kryła się w głębinach tych burzliwych oczu.

Austin dryfował od piosenki do piosenki bez robienia przerw. Po mistrzowsku. Z wystarczającym talentem, by mógł zapęłnić tysiące sal i wsaczyć spokój do tysiąca serc.

Wzruszenie i frustracja przeszywały mnie na wskroś. Boże. Jak ja bardzo chciałam, żeby on to zobaczył.

Że ma taki dar. Chociaż uważa to za jakiegoś rodzaju przekleństwo.

Cóż, tak to już jest, że zawsze uciekamy od tego, czego boimy się najbardziej.

Austin skończył kolejną piosenkę. Nie przeszedł jednak płynnie do następnej, jak to robił przez cały występ.

Zamiast tego, wyraźnie się wahając, zamilkł. Myślałam, że może zamierza zakończyć koncert, podziękuje publiczności i wstanie.

Skrępowany i niezdecydowany, potarł dużą dłoń wyrażnie zarysowany, silny podbródek.

Potem, chyba podjąwszy decyzję, wypuścił powietrze i odezwał się do mikrofonu.

– Tę piosenkę napisałem dawno temu. W najtrudniejszym momencie mojego życia. Nie śpiewałem jej nigdy publicznie, bo jest osobista. Dotyczy mnie i dziewczyny, którą skrzywdziłem. Nie miałem żadnego innego sposobu dotarcia do niej, tylko tę piosenkę. Modliłem się, że może kiedyś w jakiś sposób ona do niej dotrze, że ta dziewczyna ją poczuje, choć nie było szansy, żeby mogła ją usłyszeć.

Przeciągnął wzrokiem po tłumie i zatrzymał go na mnie.

A ja aż sapnęłam, czując na sobie to kamienne spojrzenie. Zarówno szczerze, jak i powściągliwe.

Doskonałe, dezorientujące przeciwieństwo.

Niedostępna twardość i rozdzierająca czułość.

Rozpacz i odwaga.

– I dzisiaj chciałbym... żeby ta dziewczyna jej wysłuchała.

Wciągnęłam powietrze. Czułam, że wszyscy siedzący przy stoliku spojrzeli w moją stronę, ciekawi mojej reakcji, zadający w myślach pytania.

Ale ja mogłam patrzeć tylko na niego.

Z napięciem.

Jak zahipnotyzowana.

Nie mów nic

Wejdz

Położ się, a ja cię przytulę

Ale uważaj

Nie za blisko

Bo mam dla ciebie

Jedynie niespełnione obietnice

Pokieraszowane serce

Przechodząc do refrenu, ściszył głos, za to mocniej zabrzmiała gitara. Ja zaś wpatrywałam się w tę oszałamiającą twarz, w te usta tak pełne, głos taki miękki.

Idealnie dopasowany tonem do tego, co działo się w mojej duszy.

Stojąc na szczycie góry

Porwany w głębiny

Zagubiony gdzieś pomiędzy

Skazany na mrok

Całe moje życie w czerni i bieli

Do chwili aż ujrzałem

Patrząc oczami Światłości

Czułam się, jakbym płynęła. Ja i Austin dryfowaliśmy po dnie najczarniejszego morza.

Zagubieni.

Odnalezieni.

Chropowaty głos znowu zabrzmiał głośniejsz i przeszedł do ostrzejszego rytmu następnej zwrotki.

Chciałem być lepszy

Mogłem oddać za to życie

*Zostały ze mnie zgliszcza
Dobre intencje zamienione w piekło
Od początku,
Maleńka, byłaś najlepszą tajemnicą
Której nie umiałem utrzymać.
Stojąc na szczycie góry
Porwany w głębiny
Zagubiony gdzieś pomiędzy
Skazany na mrok
Całe życie w czerni i bieli
Do chwili aż ujrzałem
Patrząc oczami Światłości*

Z zamkniętymi oczami Austin przesuwiał palcami po gryfie, szybko i precyzyjnie, i wykrwawiał swoje piękno na scenie. Wylewając je na nas. Wypełniając wszystkie puste miejsca w moim sercu.

*Czy wolno mi dalej na to patrzeć
Oczami Światłości
Powiedz, że mi wolno
Pokaż mi
Pokaż
Oczami Światłości
Oczami Światłości*

Gdy podniósł się nagle ze stołka i odszedł od mikrofonu, Blaire szarpnęła mnie za rękę, chcąc, żebym wstała.

– O mój Boże. To było niesamowite. Poważnie, chyba najgorętsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Mówię serio, Edie. Ten chłopak... Jeśli wcześniej myślałam, że nie macie szans... to teraz sądzę... już po tobie, dziewczyno.

Blaire szalała, a ja starałam się nie upaść.
Bo kręciło mi się w głowie. Zamrugałam.
Zaszokowana.
Oszołomiona.
Kompletnie przytłoczona.

Ci, którzy grali w Latarni, zwykle występowali tam tylko dla umilenia czasu gościom. Był to taki dodatek. Rozrywka, podczas której

ludzie jedli, rozmawiali, pili, podziwiając przy okazji zapierający dech w piersiach widok na morze.

Zapierający dech.

Właśnie taki był ten występ.

I nie tylko mnie zaparł dech ten hipnotyzujący chłopak. Cała sala była zauroczona, zachwycona głosem Austina i piosenką wijącą się wolno i zapadającą głęboko.

Cicha dewastacja.

Cicha gwałtowna burza, której nikt się nie spodziewał do chwili, aż go dotknęła.

Niszcząca wszystko na swej drodze. Obnażająca. Ogałająca do żywego.

Jeszcze nigdy nie czułam się tak odsłonięta.

Teraz ludzie pchali się, żeby podejść bliżej. Austin, podekscytowany, stał po prawej stronie sceny, a oni go otoczyli, jakby był jakimś celebrytą. Jakby chcieli choćby tylko otrzeć się o sławę.

Ogarnęło mnie przemożne pragnienie żeby pójść do niego.

Wiedziałam, że denerwuje się tym całym zainteresowaniem jego osobą.

Czułam jego udrękę.

Niepokój wywołany kolejną wiadomością, o której się dowiedział przed samym występem, zmieszany z pragnieniem pozostania w cieniu, choć jego talent wypychał go w blask jupiterów.

Ten chłopak, który zawsze uważał, że ma tak niewiele do zaoferowania, który swój talent traktował jako co najwyżej karę.

A mimo to jakoś zdołał dać mi wszystko.

Zaczęłam się do niego przedzierać, rozpychając się łokciami, jak jakaś fanka, która nie może się dobić do swojego idola.

Stał za nim Damian, wychylał się zza jego pleców i śmiejąc się, rozmawiał z dziewczynami rywalizującymi o uwagę Austina. Damian wyraźnie odgrywał rolę ochroniarza.

Tłum nie był duży.

Nie w takim lokalu.

A jednak mina Austina bez wątpienia wyrażała rozpacz.

Bo jego piosenki nie były przeznaczone dla nich.

Zwłaszcza ostatnia.
Ona była dla mnie.
Tak jak i ten chłopak.
Przepchnęłam się obok jakieś brunetki, trącając ją ramieniem.
Posłała mi wściekłe spojrzenie.
Nie potrafiłam znaleźć w sobie siły, żeby się tym przejąć.
Bo wiedziałam... czułam, jak bardzo Austin mnie potrzebował. W
przerwie w tłumie te krzemienne nieprzeniknione oczy przechwyciły
sposrzenie moich.
Ruszyłam ku niemu.
Przyciągana.
Energia pulsowała.
Tak silnie, że prawie się dusiłam.
Narastała i narastała, aż jej fala porwała nas oboje.
W sekundzie, gdy znalazłam się wystraczająco blisko, Austin
sięgnął do mnie i przeciągnął mnie przez kółko wielbicieli.
Popatrzył na mnie tak, jakbym w barze była tylko ja. Duże, silne
dłonie objęły moją twarz.
I w tym całym harmidrze pocałował mnie.
Tak, jakbym była centrum wszechświata.
A ja bez cienia wątpliwości wiedziałam, że ten chłopak był okiem
cyklonu.
Mojego cyklonu.
Z cichym świstem wypuścił z ulgą powietrze. I ledwie zdążywszy
nabrać je ponownie, wyszeptał błagalnie:
– Edie... nie wiem, jak mam to zrobić bez ciebie. Nie chcę. Nie
odchodź. Nie zostawiaj mnie. Nie opuszczaj mnie już nigdy więcej.

Rozdział 21

Austin – lat osiemnaście

Moje dłonie błdziły. Pragnąc czegoś więcej.

– Dobijasz mnie – wymamrotałem w tył jej głowy, z nosem w jej włosach, z dłońmi przyciśniętymi do jej brzucha.

Przyciągnąłem ją bliżej.

Mój kutas wyprężył się.

Tak bardzo, że ledwie mogłem oddychać.

Szalałem od tego wstrzymywanego pożądania.

Wtuliła się we mnie, ocierając się o mnie słodką pupcią, co trochę złagodziło ból.

– Austin – szepnęła, zdezorientowana, ale też podniecona. I straszliwie przerażona.

– Nie skrzywdzę cię, Edie – obiecałem, mówiąc z ustami przy jej uchu.

Przekręciłem ją na plecy i wczołgałem się na nią, zamykając w pułapce mojego ciała.

Jej twarz była tylko zarysem w mroku pokoju, a noc tak głęboka i ciemna, że ledwie cokolwiek widzieliśmy.

Podniosłem jej rękę i przycisnąłem sobie do policzka. W głosie rzeziło mi pożądanie.

– Czujesz to, Edie?

– Co? – spytała na przydechu.

Odpowiedziałem prosto w jej usta.

– Mnie.

Ostro wciągnęła powietrze. Ta dziewczyna doprowadzała mnie do szaleństwa swoją eksploracją.

Dłonie, język, usta.

Nie byłem pewien, czy ja i ona przeżyjemy to sondowanie.

Oboje coraz bardziej podnieceni.

Pragnący coraz więcej.

Oboje skrępowani mającymi przed nami granicami.
Jasną linią, której nie wolno nam było nigdy przekroczyć.

Na mojej piersi spoczęły rozpalone dłonie.

Zaczęły błądzić, badać.

Jęknąłem i przyłączyłem się, moje dłonie też błądziły, palce uciskały.

Edie sapnęła.

Głowę odrzuciła na poduszkę, chwyciła mnie za kutasa, a ja zanurkowałem palcami w jej gorącą otchłań.

Ta dziewczyna była najjaśniejszym płomieniem wewnątrz mojej mrocznej duszy.

Wpatrzony w jej ufne oczy, poruszałem palcami coraz szybciej.

Coraz mocniej.

Edie doszła.

Przygryzając dolną wargę, żeby powstrzymać krzyk.

– Czuję cię. Czuję.

I moje ciało oszalało, uwierały mnie slipki, jej dłoń już nie wystarczała.

– Chcę być w tobie. Proszę... Edie... proszę.

Zesztywniała. Cała oprócz paznokci, które wbiła mi w ramię, podczas gdy ja ocierałem się o nią, jak jakiś chory, zboczony fiut.

– Zaczekaj – poprosiła cicho. I rozplakała się, łzy spływały jej na włosy.

Nienawiść do sukinsyna, który ją skrzywdził, zapłonęła z całą mocą, parząc mi skórę.

Ale to tylko podsyciło nienawiść, jaką zawsze czułem do siebie samego.

Zmusiłem się, żeby z niej zejść, i opadłem na plecy. Złapałem się za fiuta u jego podstawy, jakby to mogło zmniejszyć ból. Drugą ręką zasłoniłem sobie oczy.

– Przepraszam – wyszeptała tymi słodkimi, słodkimi ustami.

I kurwa, właśnie to...

Właśnie to wtedy sprawiło, że byłem bliski załamania się.

Przekręciłem się do niej szybko, tak że leżeliśmy twarzami do siebie. Obcy sobie, w ciemności. Musnąłem palcami jej włosy.

– Nie. Nie mów tak. Nigdy. To nie twoja wina. Nie chciałem na ciebie naciskać. To ja cię przepraszam.

Zobaczyłem, że zamruła, błękitny błyszczący diament, turkus, i noc.

– Kocham cię, Austinie.

Wszystko zadrzało.

Spięło się.

Ucisk w sercu.

Zawroty głowy od potęgi tego, co czułem do tej dziewczyny i co ona czuła do mnie, choć wydawało się to niemożliwe.

Dotknąłem jej twarzy. Piękno w moich dłoniach. Kciukiem wytarłem wilgoć w zagłębieniu pod oczami.

– Jesteś moją światłością.

Rozdział 22

Austin

Nie opuszczaj mnie już nigdy.

Mówiąc to błagalnie w te jedwabiste pasma bieli, które kurczowo ściskałem, prawdopodobnie gruchotałem Edie kości, tak cholernie mocno ją do siebie tuliłem.

Dusiłem się.

Dusiłem się przez cały cholerny występ.

Zwykle zatracam się w tekście. W słowach, którymi się wykrwawiam dla Juliana. W pokucie, z którą będę żył do końca moich dni.

Nie planowałem, że zaśpiewam jej piosenkę.

Ale byłem owładnięty. Owładnięty wściekłością, która płynęła mi przez żyły i je przypiekała. Wściekłością skierowaną do tego łajdaka, który miał czelność napisać do niej, miał czelność domagać się czegoś jeszcze ponad to, co już jej zabrał. Ta gwałtowna wściekłość połączyła się w jedno z dozgonnym oddaniem, jakie czułem dla swojej dziewczyny.

Dlatego zaśpiewałem jej piosenkę. Napisałem ją po jej odejściu i zwykle śpiewałem wyłącznie w ciszy swojego pokoju. Czasami na dachu domu Sunder, zapatrzony w tętniące życiem miasto poniżej. Zastanawiając się, gdzie jest i jak się czuje.

Te samotne noce spędzałem na modlitwie, prosząc o to, żeby w jakiś sposób ona ją poczuła... żeby moja piosenka przyniosła jej ukojenie, chociaż byliśmy rozdzieleni.

To że zagrałem ją dzisiaj?

Wiedziałem, dlaczego to zrobiłem. To była ukryta prośba, żeby mnie usłyszała. Żeby zrozumiała, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem, po tym, jak odeszła. Przez cały czas modląc się o znalezienie sposobu na naprawienie tego tak, żeby się o tym nie dowiedziała.

Byłem tak bardzo zmęczony tym, że zawsze niszczę dobro, które

dostawałem. Tym razem zamierzałem postąpić jak należy. Zamierzałem usunąć to przerażenie, które skurczyło jej twarz, gdy popatrzyła w dół, żeby przeczytać wiadomość. Oczywiście, ponieważ to była Edie, próbowała równie szybko to przerażenie ukryć. Chcąc mnie chronić.

– Jestem tu. Nigdzie nie odchodzę. – Czułem jej oddech na uchu. Czułem jej kojący szept. Przytuliłem ją znowu. Pozwalając sobie na jeszcze jedną sekundę udawania, że jesteśmy sami i że nikt nas nie otacza.

W końcu jednak odsunąłem się i przeplotłem swoje palce z jej palcami. Potem odwróciłem się i porozmawiałem z kilkoma osobami, które do mnie podeszły. Większość chciała tylko powiedzieć, że występ bardzo im się podobał. Mówili, że byli poruszeni. Pytali, czy mam podpisany kontrakt, czy może czekam na swój wielki przełom.

Nikt z nich nie miał pojęcia, że byłem jedynie outsiderem w świecie o wiele większym ode mnie.

Że byłem prawie częścią tej wielkości. Ale mimo wszystko kimś obcym.

Mimo to uśmiechałem się i odpowiadałem uprzejmie na pytania, ani na chwilę jednak nie spuszczając z oczu swojej dziewczyny.

Swojej siły.

Jak wilki wokół mnie krążyło kilka dziewczyn, tych, które zawsze kręcą się przy facetach z mikrofonem i z gitarą, i może z odrobiną talentu. Jak patetyczne fanki. Czekające na idealny moment, żeby uderzyć.

Żadna nie miała najmniejszej szansy.

– To był nieziemski występ, stary – powiedział Damian, gdy ludzie już sobie poszli. Klepnął mnie po plecach. – Craig będzie zadowolony. Chcesz, żebym ci przyniósł piwo?

– Jasne. Byłoby miło.

Pojawiła się Blaire. Uśmiechnięta, z zalotnie przechyloną głową.

– A o mnie zapomniałeś?

Głowa Damiana szybko obróciła się w jej stronę. Jakby gość był zaskoczony, że Blaire się do niego odezwała.

– Och... wybacz... tobie też coś przynieść?

Podeszła do niego i wsunęła mu rękę pod ramię.

– Pójdę z tobą.

Zachichotałem.

Damian, gapa, jak zwykle nie potrafił zwęszyć tropu, chociaż miał go pod samym nosem.

Kiwnął podbródkiem w stronę Edie.

– A ty? Chcesz coś?

– Uhm... może piwo. – Powiedziała to prawie, jakby pytała.

Cholernie urocze.

– Już się robi. – Damian i Blaire zniknęli w tłumie.

Odwrociłem się do Edie. I pocałowałem.

– Dziękuję, że tu jesteś.

– A gdzie miałabym być?

Zbliżyłem się i objąłem ją, zamykając w uścisku.

– Nigdzie, tylko przy mnie – szepnąłem.

Bawiąc się guzikiem przy mojej koszuli, podniosła na mnie oczy.

– Byłeś wspaniały, Austin. Naprawdę niesamowity. Mam nadzieję, że to wiesz. Że wszystkich poruszyłeś. Te piosenki... one są genialne.

Przełknąłem grudę, jaka mi wyrosła w gardle w reakcji na te pochwały. Które pragnąłem zaakceptować. Ale moja dusza je odrzucała.

– Śpiewam, bo muszę, Edie. To wszystko.

Kiwnęła głową, ale minę miała taką, jakby moja odpowiedź ją zasmuciła.

Damian i Blaire przebili się przez tłum. Damian podniósł piwa, które niósł nad głową.

– Czas na świętowanie, frajerzy.

– Och, tak? A co będziemy świętowali?

– Uhm... mnie, to że jestem najlepszym menedżerem, jakiego mogłeś sobie wymarzyć. Myślałem, że to oczywiste.

Roześmiałem się.

– Jak tak, to w porządku. Nie możemy przecież nie uczcić takiego talentu, no nie?

– Jasne, że nie. To by była cholerna niesprawiedliwość – odparł Damian, szeroko otwierając oczy, jakby nie potrafił sobie nawet tego wyobrazić.

Edie posłała mi słodkie, słodkie spojrzenie, które omiotło mnie jak

ciepłe promienie jaskrawego letniego słońca, tak samo ciepłe jak jej palce splecione z moimi.

– Gotowy?

Taa.

Byłem gotowy.

Trzy godziny później wyszliśmy w późną noc. Światła Latarni za nami zgasły. W powietrzu wisiał leciutki chłodek, ulicami pełzała szarawa mgła. W oddali szumiało morze.

Podciągnąłem wyżej na ramię pasek torby, w drugiej ręce niosłem futerał z gitarą.

Zerknąłem na dziewczynę idącą obok.

To był cud, że była ze mną.

Podniosła twarz do gęstych chmur wiszących nisko na niebie.

– Piękna ta dzisiejsza noc.

Uśmiechnąłem się.

– Raczej ponura.

Posłała mi krzywy uśmiech.

– Nie zawsze musi być słonecznie, żeby było pięknie.

Moje wygłodniałe spojrzenie wręcz ją pożerało.

Musiałem się jednak nie zgodzić.

Całym sercem.

Z tą cholernie precudowną dziewczyną ubraną w zwiewną białą spódnicę i obcisłą niebieską bluzeczkę, w butach na obcasach z cholewką sięgającą kostki, z falistymi włosami powiewającymi wokół głowy.

Z moim słońcem.

– Nie? – spytałem.

– Nie. – Rozłożyła ręce. – Piękno jest we wszystkim. W najmroczniejszej nocy i w najjaśniejszym dniu. W śniegu i w słońcu. – Ściszyła głos. – Czasami największe można znaleźć w najczarniejszych sztormach.

Wypuściłem powietrze, nachyliłem się i wycisnąłem pocałunek na czubku jej głowy.

– Edie.

Za tym imieniem kryło się całe wyznanie.

O dziewczynie, która docierała do mnie w sposób, w jaki nikt nigdy nie mógł dotrzeć.

Nasze kroki niosły się echem, gdy szliśmy wyludnionymi uliczkami do miejsca, w którym zostawiłem swoją furgonetkę. Ze względu na późną porę była jedynym pojazdem stojącym przy krawężniku.

– To moje auto.

Zeszłego wieczoru jeździłem samochodem Deaka. Pomyślałem, że skoro mamy „gorącą” randkę, Edie mogłaby woleć klimatyzację, która działa.

Jej twarz rozświetliła się uśmiechem.

– To? – spytała z lekkim rozbawieniem.

– Co? Nie podoba ci się Bessie?

Przeciągnęła palcem po zewnętrznym panelu bagażnika.

– Och, nie. Uważam, że pasuje do ciebie idealnie.

Bessie była stara, podrapana i pordzewiała. Przed wyjazdem z LA zebrałem trochę kasy, rozumiejąc, że jeśli chcę się włóczyć, muszę mieć środek transportu. Przypuszczałem, że Bessie nie dowiezie mnie daleko. A jednak jakoś zdołała doprowadzić dokładnie tam, gdzie powinienem był się znaleźć.

Podniosłem gitarę i wrzuciłem ją do bagażnika.

– Była dla mnie cholernie dobra, to pewne.

Przesunąłem się i przycisnąłem Edie do metalowego boku, musnąłem ją ustami po brodzie.

– Nie wygląda najlepiej, ale przywiozła mnie do ciebie.

Edie, cała w uśmiechach, spojrzała na mnie.

– W takim razie Bessie zostanie moją nową przyjaciółką.

Jęknąłem, porwany w kleszcze pożądania, bo ta dziewczyna... Przez nią wszystko się we mnie zaciskało.

– Wynośmy się stąd – wymamrotałem.

– Dokąd?

– Na lody? – Wydawało się to wystarczająco bezpieczne.

Udała, że sapie z zaskoczenia.

– Chcesz jeść lody w taką ponurą noc?

Pierś zadudniła mi śmiechem.

– Cóż... ta noc jest mimo wszystko piękna.

Od strony pasażera wsunąłem kluczyk w stary zamek, otworzyłem skrzypiące drzwi i pomogłem Edie wspiąć się do szoferki, potem obszedłem maskę. Edie nachyliła się i otworzyła drzwi od mojej strony. Wsiadłem, podziękowałem jej uśmiechem i odłożyłem swoją torbę na siedzenie między nami.

Było w tym coś całkowicie normalnego. Jakbyśmy byli przeciętną parą, która nie potrzebuje się ukrywać ani niczego udawać.

Dwoje ludzi, którzy nie wstydzili się siebie.

Czułem się... dobrze.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce i wielki silnik obudził się do życia z głośnym warkotem. Dziesięć minut później podjeżdżaliśmy pod otwartą całą dobę lodziarnię, w której lody można było kupić z samochodu.

– Dla mnie jedna kulka waniliowych – poprosiła Edie. Ja dla siebie zamówiłem waniliowe polane czekoladą.

– Proszę bardzo, maleńka.

Poczerwieniała na to czułe określenie, ale nic nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się słodko.

Liznęła lód i cicho jęknęła.

Dobry Boże.

Przechyliłem głowę na bok, posłałem jej krótki uśmieszek, uniosłem jedną brew i ruszyłem.

No więc może jednak miałem ukryty motyw, kiedy zaproponowałem, żebyśmy pojechali na lody. Ale co tam. Pamiętałem, jak raz już je razem jedliśmy. W środku nocy zakradłem się na dół, wykradłem z lodówki kubełek lodów, zabrałem dwie łyżki i potem jedliśmy te lody w łóżku.

Jak ona się wtedy cieszyła.

Jak smakowała po tych lodach.

Kto by mnie winił, że chciałem to przeżyć jeszcze raz?

W drodze do jej domu, którą pokonywaliśmy w przyjemniej ciszy, zaczęło mżyć, krople deszczu stukały w przednią szybę. Oboje byliśmy odprężeni i delektowaliśmy się lodami. Swoim towarzystwem. Zmianą i szansą.

O której myślałem, że już nigdy więcej jej nie otrzymam.

Zaparkowałem pod dużym rozłożystym drzewem na frontowym podjeździe i zgasilem silnik. Zrobiło się kompletnie cicho, mały dom, który Edie dzieliła z Blaire i Jedem, był uśpiony. Szara mgła oplatała furgonetkę i niebo. Jedyne światło dawał niewyraźny księżyc przeświecający przez przerwę między siwymi ciężkimi chmurami.

Spokój.

Siedzieliśmy w szoferce, jedliśmy lody i patrzyliśmy na siebie, ja na nią, ona na mnie.

W pewnej chwili zachichotała.

Uśmiechnąłem się.

– Co?

– Masz tu coś... – Sięgnęła i wytarła mi z brody kroplę czekolady.

Nachyliłem się i wziąłem jej palec w usta.

Czekolada i dziewczyna.

Cholernie smakowite zestawienie.

– Mniam.

Parsknęła radośnie i odchyliła głowę w tył.

– Uważaj, Stone. Bo zacznę podejrzewać, że za twoimi intencjami kryło się coś więcej niż tylko zrobienie mi przyjemności najwspanialszymi lodami na całym świecie.

Och taak.

Siedziała tam, uśmiechając się do mnie, w wielkiej szoferce furgonetki, nie widząc, że kawałek lodu zsuwa się z rożka. Na jej bluzkę spadł duży kleks.

– O kurczę.

Podłożyła dłoń pod lód, który roztopiał się szybciej, niż się spodziewała, i zaczęła go szybko lizać, przez cały czas się śmiejąc.

– O mój Boże, spójrz na mnie. Cała się upaćkałam.

Zdumiałem się, że myślała, że mógłbym oderwać od niej wzrok choćby na sekundę.

Wepchnąłem resztkę rożka do ust i rozpiąłem torbę.

– Zaczekaj... na pewno mam tu coś, czym będziesz mogła się wytrzeć.

Poszperałem w torbie i na dnie znalazłem czystą złożoną w kostkę

koszulkę. Wyciągnąłem ją.

I sapnąłem, gdy zobaczyłem, co przy okazji wypadło z torby.

Zielona małpka podleciała w powietrze i wylądowała na siedzeniu. Małpka była zniszczona i brudna, jedno ramię trzymało się na pojedynczej nitce, wiecznie uśmiechnięta biała mordka patrzyła w górę.

Przekłęty pluszowy zwierzak, którego mój brat bliźniak nosił ze sobą wszędzie. Jedyna rzecz, która nas rozdzielała. Jego przytulanka.

Teraz to ja zabierałem ją wszędzie ze sobą. Chociaż nie byłem pewien, czy robiłem to dla siebie, czy dla niego.

Edie zmarszczyła brwi, kiedy ją zobaczyła. Popatrzyła na mnie.

Nie widziała tej małpki nigdy wcześniej.

Oczywiście, że nie widziała.

Przez te wszystkie lata miał ją Baz. Aż do dnia mojego ostatniego wyjazdu z LA. Poszedłem jej wtedy szukać i znalazłem w jego pokoju.

Edie podniosła koszulkę i starła nią starannie z bluzki lodowy kleks, potem wytarła ręce.

Co jakiś czas zerkając na mnie.

Z zastanowieniem.

Ze zrozumieniem.

Po odłożeniu koszulki wyciągnęła rękę i dotknęła miękką zabawkę, pogłaskała ją palcami.

– Należała do Juliana?

Kiedy usłyszałem jego imię padające z jej ust, wypowiedziane w sposób, w jaki to uczyniła – prawie z miłością – poczułem przeszywający piekący ból.

Starając się go przetrwać, zacisnąłem oczy, tak samo mocno jak rękę na nodze.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to musi być dla ciebie trudne – powiedziała cicho. Nadal głaskała małpkę i zerknęła na mnie. – Nie wyobrażam sobie, jak bardzo musi ci go brakować.

Czułem wyraźnie, jak w moim przetyku tworzy się kleista gruda. Znów znalazłem się w potrzasku wspomnień. W potrzasku udręki. I zapragnąłem choć raz w życiu się z niego oswobodzić.

Kurwa. Tylko że nie wiedziałem jak.

Zgrzytnąłem zębami i wbiłem oczy w przednią szybę, teraz zasnutą

mgłą i parą.

Wszystkie szyby były tak zasnutę.

Poczułem się, jakbyśmy znowu siedzieli w sanktuarium jej pokoju w LA.

Zacząłem mówić, zanim nawet wiedziałem, co zamierzam powiedzieć.

– To nie takie proste, Edie. Nie chodzi tylko o to, że mi go brakuje, ale o to, że był częścią mnie. I bez tej części przez cały czas czuję się tak, jakbym tonął. Jakbym nigdy nie mógł nabrać pełnego oddechu. Jakby moje serce nie biło całą swoją mocą.

Dalej głaskała małą.

Dając mi czas.

W niemej zachęce.

Mój głos przybrał tęskny ton, gdy myślami cofnąłem się do przeszłości.

– Pamiętam, że nienawidziłem tego, że jestem bliźniakiem.

Roześmiałem się, ale ten śmiech był czystą torturą.

– Nienawidziłem tego, że wszyscy nas mylą, mylą nasze imiona. Nienawidziłem, że chodziliśmy tak samo ubrani, że mieliśmy takie same oczy, takie samo wszystko. Nienawidziłem tego, że na każdym kroku nas porównywano. I że on zawsze był ode mnie lepszy. A najbardziej nienawidziłem tego, że miałem uczucie, że bez niego nie mogę nic zrobić. Bo kiedy go przy mnie nie było, zawsze czułem niepokój. Jakbym o czymś zapomniał. Jakbym był pusty.

Przy tym ostatnim załamałem się.

Bo tę pustkę miałem już odczuwać zawsze.

Spojrzałem na Edie. W jej błękitnych oczach zebrały się łzy. Potrząsnęła głową.

– Może ta pustka ma być przypomnieniem. Może to dar, żebyśmy nie zapomnieli. Dzięki temu mamy ich ciągle przy sobie.

Pierś zacisnęła mi się bólem. Moim. Jej. Zacisnęła się tak mocno, że bałem się, że potrzaskają mi żebra.

Bo jej głos stał się taki cichy. Przepiętny tęsknotą. Wiedziałem, że ona też dała się porwać własnej pustce.

Uczepiona swojej straty, jakby to było coś dobrego.

Nie godząc się na wypuszczenie jej.

Dotknąłem jej policzka.

– Jesteś taka dzielna.

Pokręciła głową.

– Nie. Jestem bardzo słaba.

Starąłem się mówić spokojnie, chociaż najchętniej pobiegłbym i zatłukł tego sukinsyna, przez którego tak o sobie myślała.

– To była jego wina, Edie. To on zrobił źle. Nie ty.

– Mylisz się. Nawet się nie sprzeciwiłam.

Zalała mnie fala wściekłości.

– On był dorosły, Edie. Był pierdolonym dorosłym facetem, a ty miałaś czternaście lat. On...

– Nie mów tego – poprosiła, przerywając mi. – Proszę, Austin. Nie mów tego. Nie chcę dawać mu głosu.

Podłożyła jedną nogę pod siebie i przekręciła się tak, żeby mogła siedzieć twarzą do mnie. Wzięła moją rękę w obie swoje i przycisnęła ją do serca.

– Nie chcę, żeby mi zabrał więcej, niż już zabrał.

Boże. Jak ja chciałem, żeby to było takie proste.

Gdybym miał zostawić coś w przeszłości, to ze wszystkiego wybrałbym tego dupka.

Ale on znowu się pojawiał. Znowu nas dopadał.

– Jeśli znowu do ciebie napisze, musisz mi o tym powiedzieć, maleńka. Nie wolno ci tego ukrywać, rozumiesz?

Kiwnęła głową i przysunęła się.

– Nie pozwolę, żeby mi cię znowu zabrał.

Wstrząsnął mną gwałtowny niepokój. Jak silna wichura.

Każdą cząstką siebie wiedziałem, że wszystko zależy ode mnie.

Że jeśli miało nam się udać, to ja będę musiał się tym zająć. Bo, po pierwsze, to ja byłem tym, który narozrabiał.

Na jej ustach drżał lekki uśmiech. Już nie była taka poważna. Podłożyła pod siebie drugą nogę i uklękła. Szczupłe ciało tej dziewczyny wypełniało wielką szoferkę jej przytłaczającą obecnością. Nachyliła się nad torbą, żeby mieć do mnie dostęp, włosy spływały wokół niej. Podniosłem twarz, z radością witając jej czuły pocałunek.

Wargi miała miękkie.

Ciepłe.

Słodkie.

Wanilia i słońce.

Na oślep wepchnąłem małą z powrotem do torby, a torbę zepchnąłem na podłogę, żebyśmy mieli więcej miejsca. Przeplotłem palce przez jej włosy i przyciągnąłem ją do siebie, na kolana.

Bogu dzięki za duże szoferki w furgonetkach.

Błądząc dłońmi po jej plecach, pieszcząc je, całowałem ją niespiesznie.

Namiętnie.

Głęboko.

Zaczęła drzeć, przyciągnąłem ją więc jeszcze bliżej, jej słodkie ciało otarło się o mojego wyprężonego penisa.

– Och – jęknęła. Jakby była zaskoczona. Jakby nie miała pojęcia, że moje ciało właśnie tak na nią zareaguje.

Odsunęła się. Na twarzy miała tęskny uśmiech.

– Popatrz na nas. Pieścimy się w samochodzie jak para nastolatków.

Przeciągnęła mi palcem po ustach, zajrzała w oczy. I nagle już nie była zalotna, nagle zrobiła się poważna, surowa. Wysunęła język spomiędzy wilgotnych warg, palce niepewnie błądziły po mojej szyi.

– Ale mam wrażenie... że właśnie w tym miejscu... przerwaliśmy... kiedy nasz czas został nam ukradziony.

Zerknęła na mnie, niepewna i skrępowana, zęby przygryzały dolną wargę.

– I ja nadal jestem taką samą niezdara.

Otoczyłem dłońmi jej ufną twarz.

– Jesteś idealna, Edie. Każda dziewczyna, której dotknąłem, powinna była być tobą.

W jej oczach pojawił się wyraz żalu, ale zaraz został przepędzony przez pożądanie buzujące w szoferce.

Pożądanie, które narastało i narastało.

Edie nie przestawała się o mnie ocierać. Byliśmy coraz bardziej podnieceni.

Okna coraz bardziej zachodziły parą.

Serca łomotały.

Oddechy rzeźbiły.

– Jesteś taka piękna, taka słodka.

Westchnęła i wczepiwszy mi się w ramiona, wtuliła się we mnie.

W moją twardą zebrzącą erekcję.

„Bądź ze mną ostrożny”.

Zawsze taki miałem być. Chwyciłem ją za biodra i pozwoliłem jej ustanowić własne tempo.

Podniosła się na kolanach. Jej perfekcyjne cycki obijały się o moją pierś, a ona mnie ujeżdżała.

I chociaż rozdzielaly nas nasze ubrania, to chyba nigdy nie czułem się z kimś tak blisko jak w tym momencie.

Pocałowała mnie. Tak czule i namiętnie, że wszystko zawiroowało.

Przesunąłem się i oparłem plecami o drzwi. Nogi wyciągnąłem na siedzenie, głowę oparłem o szybę.

Z kolanami po obu stronach mnie Edie wyprostowała się. Głowa dotykała sufitu, dłonie mojej twarzy.

Wodziła po niej.

Zapamiętując jej kształt.

A potem wyznaczyła ognisty szlak na mojej skórze, jej dłonie zsunęły się na szyję, potem na klatkę piersiową. Pieściła miejsce, które na zawsze miało należeć do niej. Ta dziewczyna oznaczyła sobą moje serce.

„Jesteś dobry.

Jesteś dobry.

Czuję to tutaj”.

Chociaż nie powiedziała tego na głos, wyraźnie usłyszałem to wyznanie wyrażające jej niezachwianą wiarę we mnie. Drżącą dłoń opuściła do mojego rozporoka i zaczęła go rozpinać.

Chwyciłem ją za nadgarstek.

– Maleńka... co robisz?

– Chcę cię dotknąć.

Mój kutas podskoczył.

Był totalnie gotowy do akcji.

Ciężko przełknąłem ślinę, dławiąc żądzę.

– Nie musisz mi niczego udowadniać.

Odpowiedziała zduszonym głosem.

– Jeszcze nigdy tak się nie czułam. Nigdy. Pozwól mi się dotknąć.

Chcę cię posmakować.

Och. Kurwa.

Wypuściłem drżący oddech, podniosłem trochę biodra, żeby ta odważna dziewczyna mogła ściągnąć mi spodnie.

Moja erekcja wyskoczyła na wolność.

Edie cicho sapnęła i z furią gryząc dolną wargę, wpatrywała się niepewnie w moją odsłoniętą męskość. W mojego kutasa, twardego i w pełni gotowego.

Potem przeniosła spojrzenie na twarz. Jakaś odwaga i śmiałość wypełniły jej oczy. Drapieżność, żądza.

Jej drobne dłonie oplotły się na moim kutasie, przy samej podstawie.

Były takie miękkie.

Takie przyjemne.

Odrzuciłem głowę w tył i jęknąłem.

Kurwa.

Wolno wzmocniła uścisk, a potem przesunęła dłonie w górę i zamknęła je na pulsującym czubku, jakby wiedziała dokładnie, co ma robić. Ale i tak co chwila na mnie zerkała i pytała wzrokiem, czy jest mi dobrze. Ująłem w dłonie jej słodką twarz i przeciągnąłem kciukiem po ustach.

– Jeszcze nigdy nie było mi tak przyjemnie.

Wtedy ona pochyliła się i wystawiwszy język, liznęła nim główkę.

Podskoczyłem.

I szybko zmieniłem zdanie. Bo ta przyjemność przekraczała wszystkie, jakich do tej pory kiedykolwiek zaznałem.

Edie lizała i ssała mnie jednocześnie. Gorące wargi mocno obejmowały główkę. To była czysta rozkosz.

Zerknęła na mnie, a ja na widok jej rozpalonego wzroku o mało nie dostałem zawału.

Jej oczy wyrażały absolutne oszołomienie.

Absolutny zachwyty.

Pożądanie.

Żal i wyrzuty sumienia.

A ponad tym wszystkim unosiła się nadzieja, mieniła się wokół niej jak biała aureola.

Ta dziewczyna rzucała na mnie swój urok.

Żołądek zawiązał mi się w supeł, po plecach przeszły dreszcze.

– Edie, maleńka, ja zaraz dojdę. Kurwa, jak mi dobrze. Jak dobrze – mamrotałem, podczas gdy ona kontynuowała ten perfekcyjny szturm językiem, ustami, dłońmi.

A potem...

Potem wzięła mnie w siebie głębiej.

Pojękując, zaczęła się wic.

Zaciskać uda.

I to było wszystko, co byłem w stanie znieść.

– Edie – wydyszałem i chwyciwszy ją za włosy, uniosłem biodra wyżej, a ona wzięła mnie w usta najgłębiej, jak się dało i tam, w mocnym uścisku jej warg, rozpadłem się.

To było niezmiemskie.

Kiedy się odsunęła i usiadła, wbiłem w nią zamglone spojrzenie.

Wyglądała na lekko oszołomioną.

Usiadłem i ponieważ nie potrafiłem się powstrzymać, przeciągnąłem kciukiem po jej napuchniętych wargach.

– Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową z zawstydzonym uśmiechem.

– Bardzo, bardzo dobrze.

Wiedziałem, że miała na myśli coś więcej, że czuła się dumna i odważna.

A poza tym?

Była rozpalona.

Rozgorączkowana.

Mokra i niezaspokojona.

Uśmiechnąłem się do niej szeroko, mając świadomość, że ten uśmiech był drapieźny, przepelniony obietnicą.

Bo, niech mnie diabli, ta dziewczyna po prostu rozkładała mnie na

łopatki.

Podciągnąłem dzinsy i zacząłem się do niej zbliżać na kolanach. Odsunęła się, plecy przycisnęła do drzwi. Znalazła się dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej ja byłem przed chwilą.

Tylko nogi miała złączone.

Rozsunąłem je.

Jej spódniczka podsunęła się w górę, odsłaniając białe majteczki.

Edie jęknęła i zadrżała z podniecenia.

Odchyliłem się i przeciągnąłem dłońmi po miękkim, miękkim naskórku wewnętrznej strony ud.

– Jesteś taka piękna, Edie. Czy wiesz, że przez te ostatnie cztery lata każdej nocy marzyłem właśnie o tym? O dotykaniu cię w sposób, w jaki nigdy nie mogłem cię dotknąć. O kochaniu się z tobą, tak jak powinienem.

Z jej ust wydobył się niepewny niezrozumiały szept.

Wsunąłem palce za gumkę majteczek i kiedy podniosła biodra, wolno ściągnąłem je w dół, trochę niezręcznie, bo mieliśmy tak mało miejsca.

Ale było warto.

Przed sobą miałem jej nagą cipkę. Nie mogąc się powstrzymać, przeciągnąłem po niej palcem.

A potem powoli, ostrożnie rozchyliłem ją.

Przez cały czas nie odrywając wzroku.

Gdy zobaczyłem, jaka jest mokra i rozpalona, jęknąłem.

Coś wspaniałego.

Jej nogi same rozchyliły się szerzej.

Usłyszałem jej westchnienie.

I płynące wraz z nim moje imię.

Trzymając ją za kolana, złożyłem miękki pocałunek na udzie i szepnąłem w tę jedwabistą skórę:

– Nie mogę się doczekać, kiedy cię skosztuję.

Wzdrygnęła się, gdy przejechałem językiem po wargach.

– Och... Boże.

Z wrażenia zakręciło mi się w głowie.

Byłem nią kompletnie zauroczony. Jej smakiem, zaufaniem, jej

jedwabistością.

Ile ja czasu za tym tęskniłem. Ile razu o tym fantazjowałem.

Ale rzeczywistość okazała się o wiele lepsza od wyobrażeń.

Bo ta dziewczyna była po prostu nadzwyczajna.

Jej jęki wypełniały mi uszy, jej wiara – duszę.

Lizałem delikatny naskórek, eksplorowałem językiem i zapamiętywałem. Zmieniłem kierunek i zacząłem lizać łechtaczkę.

Miękkimi palcami szarpała mnie za włosy.

Ostro wciągnąłem powietrze w płuca i wsunąłem dwa palce w jej ciasny otwór.

Jego ścianki natychmiast się na nich zakleszczyły.

Pieprzyłem ją tymi palcami, językiem pieściłem słodką łechtaczkę, moja druga ręka zaciskała się na miękkiej skórze pośladków.

Nagle, sztywniejac, wygięła się w łuk.

I zaczęła wydawać te wszystkie zduszone dźwięki, które przeszywały mnie na wskroś, cała jej rozkosz zależna od moich dłoni. Tych, których tak nienawidziłem.

Które spowodowały tyle zniszczeń.

I kurwa... jedyne, czego pragnąłem... jedyne, czego pragnąłem, to trzymać się czegoś dobrego. Być za to odpowiedzialnym.

A potem ta dziewczyna... ta dziewczyna rozpadła się w moich dłoniach.

Roztrzaskała na kawałki.

Szarpiąc mnie za włosy, próbując zdusić okrzyk rozkoszy.

Wciąż jeszcze dyszała i prężyła się, gdy wciągnąłem ją sobie na kolana. Chcąc pocałować swoją dziewczynę.

Tę, o której kiedyś myślałem, że jest moją kolejną karą od życia. Tej, której stratę nieomal przeplaciłem śmiercią. Zapadając się w najczarniejsze głębiny, spadając na samo dno.

Jęcząc moje imię, oddała mi pocałunek. A potem, nie odrywając się od niej, powiedziałem prawie niesłyszalnie:

– Mój świat był czarno-biały... dopóki nie spojrzałem na niego twoimi oczami. Oczami Światłości. Pozwól mi dalej przez nie patrzeć.

W odpowiedzi wtuliła się we mnie mocno.

Objąłem ją i przycisnąłem twarz do jej łomoczącego serca.

– Dzięki tobie wszystko wygląda inaczej, Edie. Wszystko.

Siedzieliśmy tak bardzo długo. Trzymając się nawzajem w objęciach, tak jak zawsze powinniśmy. Potem ona nachyliła się do mnie i pocałowała delikatnie w czubek głowy, w skroń, w usta.

– Razem – powiedziała.

Roześmiałem się cicho z ulgą i znowu ją uściśnąłem. Pomogłem wciągnąć majtki. Poglaskałem po policzku.

Szyby były zaparowane, tak jak całe wnętrze szoferki.

– Chyba już pora, żebym cię odprowadził.

– Chyba tak – zgodziła się.

Wyskoczyłem na zewnątrz, obszedłem maskę i pomogłem jej wysiąść. Trzymając się za ręce, poszliśmy do drzwi.

Tam spojrzała na mnie niepewnie, a ja ją pocałowałem.

– Do zobaczenia jutro.

– Na pewno? – uśmiechnęła się nieśmiało. – Bo cały czas mam wrażenie, że to... że to sen.

Przyciągnąłem ją i wymamrotałem w usta:

– Ty jesteś moim snem. – Znowu ją pocałowałem, a później, żeby nieco rozluźnić atmosferę, ugryzłem lekko w dolną wargę. – Zobaczymy się jutro. Obiecuję.

– Dobrze. – Otworzyła sobie drzwi i zniknęła wewnątrz domu. Ja z rękoma w kieszeniach czekałem, aż usłyszę odgłos zamykanego zamka, a potem zaczekałem jeszcze trochę, bo nie potrafiłem się zmusić do odejścia.

W końcu, z lekkim uśmiechem w kąciку ust, odwróciłem się i ruszyłem z powrotem do furgonetki.

Otworzyłem drzwi i wtedy zamarłem.

Czułem to wyraźnie.

Lodowaty dreszcz, który przemknął mi po kręgosłupie. Ten ktoś, kto zakradał się do mnie od tyłu, z pewnością nie był nastawiony przyjaźnie.

Odwróciłem się wolno.

Ten wielki zarośnięty skurwysyn stał tam i zaciskał pięści, jak byk szykujący się do natarcia.

A ja najwyraźniej byłem jego czerwoną płachtą.

Wyprostowałem się do pełnej wysokości.

Wiedząc, że z łatwością go pokonam, po prostu dlatego, że doskonale wiedziałem, o co walczę.

Ze ściągniętymi groźnie brwiami potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Nie uważasz, że ona zasługuje na coś lepszego niż szybkie bzykanko w zdezelowanej furgonetce?

Kurwa, ten facet nie miał zielonego pojęcia, na co Edie zasługiwała.

Nie miał pojęcia, że należy się jej absolutnie wszystko.

Wszystko co dobre.

I to ja zamierzałem być tym, który jej to zapewni.

Chociaż wiedziałem, że nie ukryję nienawiści, spróbowałem mówić spokojnie, bez agresji.

– Sam chyba nie wiesz, co wygadujesz, człowieku. Poza tym należałoby raczej zapytać, co ty tu robisz, do diabła. Podglądasz nas jak jakiś cholerny zbok?

Wzdrygnął się.

Taa, dupku. Niefajnie.

– Dobrze wiesz, że niczego takiego nie robiłem – zaprzeczył z oburzeniem. – Ale słyszałem, że ten złom podjechał pod dom prawie godzinę temu. Myślisz, że nie wiem, co się dzieje?

– Jestem pewien, że nie wiesz. Ale nawet gdybyś wiedział, i tak to nie jest twój interes, więc proponuję, żebyś, kurwa, zluzował. Edie nie ma obowiązku się przed tobą tłumaczyć.

I ja też nie, do cholery.

Szarpnął się za włosy.

– Czekałem na nią. Czekam, kurwa, od lat, aż będzie gotowa. I nagle pojawiaasz się ty i mi ją sprzątasz sprzed nosa.

Uniosłem brwi i przechylając głowę na bok, dałem ku niemu krok.

– Czy ona cię kiedykolwiek prosiła, żebyś na nią czekał? Czy kiedykolwiek sugerowała, że uważa, że między wami dzieje się coś więcej, coś, co sobie wymyśliłeś w tym swoim chorym łbie?

– Zawsze zachowywałem się wobec niej w porządku – odpowiedział szybko.

– Nie o to pytałem.

Cisza. Nie odpowiadał. Bo obaj wiedzieliśmy, że Edie niczego nie sugerowała.

Przeciągnąłem dłonią po twarzy. No bo, kurwa... To był znajomy Edie, a ja miałem ochotę rozerwać go na strzępy. Chciałem mu przyłożyć, choćby dlatego, że świetnie wiedziałem, jak wyglądały jego fantazje.

Ale z własnego doświadczenia wiedziałem też, że nie da się walczyć z sercem.

– Przykro mi, Jed. Przykro mi, jeśli cierpisz. Przykro mi, że boli cię, że się spotykamy. Ale ja nie zniknę. Jak długo Edie będzie mnie chciała... tak długo z nią będę.

– Skrzywdź ją, dupku – wycedził przez zęby. – Skrzywdź ją... a dopadnę cię.

Prychnąłem i wskoczyłem do szoferki. Zamykając drzwi, zawołałem:

– Mam szczerą nadzieję, że to zrobisz.

Bo wołałbym umrzeć, niż znowu skrzywdzić Edie.

Rozdział 23

Edie

Heidi siedziała obok mnie na ladzie i wymachiwała nogami. Przy wtórze kliknięcia zamknęłam szufladę staroświeckiej kasy.

– No i już – powiedziałam. – Wszystko zrobione.

– Wszystko zrobione! – powtórzyła Heidi i posłała mi jeden z tych krzywych uśmiechów, w których odsłaniała szczerbę po dwóch brakujących zębach.

Moje serce zabiło ze zdwojoną czułością.

– Dzięki za pomoc. – Potargałam ją po włosach.

– Uwielbiam pracować w sklepie – oznajmiła, uroczo sepleniąc.

– Cóż, to się świetnie składa, bo ja uwielbiam, kiedy mi pomagasz.

Cała się na to rozpromieniła. Ujęłam ją pod pachy i zestawiłam bezpiecznie na podłogę. Potem spojrzałam na zegar.

– Twój tata już niedługo skończy zajęcia. Może pobiegiesz na zaplecze i zbierzesz swoje rzeczy?

Dziś rano przybiegła do sklepu prawie o brzasku z plecakiem podskakującym na plecach, zapakowanym po brzegi książeczkami do kolorowania i lalkami z papieru. Jakoś udało jej się przekonać ojca, że pomaganie mi w sklepie jest o wiele ważniejsze od zajęć w szkole letniej.

I oto tu była.

Dotrzymując mi towarzystwa.

Pomagając skupiać się na terażniejszości, zamiast odpływać myślami do zeszłej nocy. Do tego cudownego chłopaka, który sprawił, że poczułam się taka wolna.

Heidi zniknęła na zapleczu i w tej samej chwili odezwały się dzwoneczki przy drzwiach wejściowych. Do środka wpakowali się wszyscy chłopacy i Blaire. Taszczyli ze sobą sprzęt potrzebny do zajęć.

Clay wyszczerzył się do mnie.

– Cześć, ślicznotko. Widzę, że udało ci się obronić fortecę przez

cały dzień. Nadal stoi. Jestem pod wrażeniem.

Clay był prawdopodobnie najbardziej pozytywnie nastawionym gościem na świecie. Zawsze miał dobry humor.

– Zgadza się. Nie wydarzyła się żadna katastrofa, nie licząc butelki rozlanego mleka, tak więc można powiedzieć, że dzień się udał.

Kane, walcząc z uśmiechem, przeciągnął ręką po ciemnobrązowych włosach.

– Coś mi mówi, że to rozlane mleko mogło mieć coś wspólnego z małym huraganem biegającym tu dzisiaj.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, do sklepu z zaplecza wbiegła Heidi z wyciągniętymi nad głowę rączkami.

– Tata!

Kane porwał córkę na ręce, podrzucił w powietrze i mocno wyściskał.

– A oto i miłość mojego życia – powiedział.

Boże. Jak on uwielbiał to dziecko.

Kłuło mnie lekko serce, ale nie mogłam odwrócić wzroku, gdy obsypywał córkę całusami.

Heidi zachichotała.

– E... tato. Jesteś mokry.

Kane prychnął wesoło.

– Cóż, mam na sobie piankę, więc nic dziwnego, że cię zmoczyłem.

Mała zaniósła się śmiechem, kiedy zaczął ją łaskotać. Oboje odpłynęli do własnego małego świata.

Jed, mijając mnie, posłał mi niechętne spojrzenie z ukosa. Szedł za Deakiem do ściany na tyłach, gdzie składali deski wypożyczane klientom.

Co to było?

Blaire weszła za kontuar i podeszła do kasy, tam gdzie stałam. Zaczęła ściągać z siebie mokrą piankę, ciężko przy tym dysząc. Szamotała się z nią niemiłosiernie.

– Daje słowo, że kiedyś złamię sobie kark, próbując się z tego czegoś uwolnić.

Zachichotałam.

– Potrzebujesz pomocy?

Balansując na jednej nodze, rzuciła mi drwiące spojrzenie.

– Och, potrzebuję jej całe mnóstwo. Ale sądzę, że z tym sobie poradzę.

O mało się nie przewróciła, ściągając piankę z nóg.

– No dobrze, może nawet z tym nie daję sobie rady.

Kiedy wreszcie uwolniła się z gumowego skafandra, podniosła go w górę jak łup.

– Udało się. Chyba zasłużyłam sobie za to na margaritę.

– Nie bądź z siebie taka dumna, Care Blaire – zawołał Clay. – Ty nawet za to, że oddychasz, nagradzasz się margaritą.

Clay uwielbiał dogryzać Blaire. Ta dwójka nieustannie się sprzeczała.

Blaire podparła się na biodrze ręką.

– Powiedział facet, który przyszedł do pracy wciąż jeszcze naprany. W środę.

– Hej, a niby skąd, do diabła, wzięła się nazwa Wariacki Wtorek? – odgryzł się, cały w uśmiechach, zupełnie nieprzejęty.

– Uhm... ty ją wymyśliłeś? – Ale Blaire też się uśmiechała. Zebrała swoje rzeczy i poszła do Claya i Kane'a pomóc im składać kapoki.

Deak dołączył do nich i razem wynieśli kapoki na zaplecze. Heidi, nieprzestająca paplać, ruszyła w ich ślady.

Jed został. Wiedziałam, że rozmyślnie, bo zwykle był w samym środku porządkowania sprzętu.

Powietrze nasiąkło napięciem.

Staralam się nie odrywać oczu od rozliczeń, które musiałam zrobić na koniec dnia, bo nie byłam pewna, czy w tamtym momencie zniosę krytykę Jeda. Ale nie mogłam go zignorować, kiedy nagle stanął tuż za mną.

– Co ty robisz, Edie?

– Rozliczam kasę? – Powiedziałam to pytającym tonem, bo świetnie wiedziałam, że nie o taką odpowiedź mu chodziło.

Prychnął.

– Dobrze wiesz, że nie o to pytam. Chcę wiedzieć, co ty

odstawiasz. Tydzień temu uciekałaś przed tym dupkiem, zupełnie jakbyś zobaczyła ducha. Byłaś przerażona. A teraz budzę się rano, a ciebie nie ma w domu, i jeszcze tego samego dnia siedzisz z nim w środku nocy w samochodzie, jak jakaś tania dziwka.

Równie dobrze mógłby mnie spoliczkować.

Odwróciłam się do niego gwałtownie.

– Co powiedziałaś?

Sfrustrowany, przeciągnął ręką przez włosy.

– Cholera. Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić. Ale, kurwa, Edie... Zaslługujesz na coś o wiele lepszego. Ja traktowałbym cię jak królową.

Odchyliłam głowę w tył. Jego sugestia była oczywista.

Cała się trzęsłam już na samą myśl o tym. Myśl, że mogłabym oddać swoje ciało do końca, wciąż napawała mnie lękiem.

– Podglądałeś nas? – spytałam z wyrzutem i ze zmieszaniem.

– Nie, nie podglądałem cię, Edie. Martwiłem się o ciebie. To cholerna różnica i dobrze o tym wiesz. I jeszcze nigdy, odkąd cię znam, nie zniknęłaś z domu na noc. Nigdy się z nikim nie umawiałaś, z nikim nie flirtowałaś. I ja... ja...

Pokręcił mocno głową i spuścił wzrok.

– Cholera.

Ogarnął mnie smutek. Jed zawsze był dla mnie wyłącznie miły. I wiedziałam, że cierpi. Bo żył iluzją, że pewnego dnia on i ja będziemy parą.

– Ja na niego czekałam.

Prawdziwość tego stwierdzenia uderzyła mnie jak obuchem.

Twarz Jeda wykrzywiła się bólem, jego głos brzmiał niemal błagalnie.

– Ale on ci złamał serce.

Nie znał mojej historii, najwyraźniej jednak ułożył sobie w głowie jakąś własną jej wersję. Tylko że nie miał o niczym pojęcia.

Ale nie mogłam mieć do niego o to pretensji.

Byłam skryta. Nie pozwalałam się nikomu do siebie zbliżyć.

Poza Austinem.

Poza Austinem.

– To prawda – przyznałam cicho. – Ale ja też zrobiłam mu to samo.

Przełknęłam z trudem ślinę. Było mi przykro, że ranię Jeda. Bo go kochałam, naprawdę. Tylko że jak brata.

– Na zawsze będę ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.
– Rozłożyłam ręce, jako dowód przywołując sklep. – Za to, że mnie przygarnąłeś i dałeś mi pracę.

Zniżyłam głos.

– Za twoją przyjaźń.

Zamrugalam, w piersi czułam ucisk lęku przed następnymi słowami.

– Ale moje serce... ono zawsze należało do niego.

Te wszystkie potłuczone części.

To Austin je spajał.

– Nie przestanę o ciebie walczyć, Edie. Nie potrafię.

Twarz mi się skurczyła, przycisnęłam dłonie do klatki piersiowej.

– Jed... nie możesz walczyć o coś, co nie istnieje. Pewnego dnia to do ciebie dotrze... że jesteś przeznaczony innej. Ona gdzieś tam czeka. Zapewniam cię.

Pokręcił głową na znak, że się ze mną nie zgadza, i akurat w tym momencie reszta, hałasując, wróciła z zaplecza.

Deak klasnął w dłonie.

– Proponuję, żebyśmy na tym zakończyli dzień, co wy na to?

– Dzień! – zawołała Heidi, podskakując.

Blaire obeszała ladę. Podciągnęła się i usiadła na niej.

– Dzień – powiedziała do mnie bezgłośnie.

Roześmiałam się, próbując otrząsnąć się z krążącego po mnie nieprzyjemnego uczucia, nienawidząc tego, że nieświadomie zraniłam Jeda. Wiedziałam, że trochę potrwa, zanim zaakceptuje to, że miałam rację.

Dwadzieścia minut później zamknęłam za nami drzwi i wszyscy wyszliśmy w zapadający wieczór.

– Kto ma ochotę skoczyć na piwo? – spytał Deak, który szedł tyłem i szeroko się do nas uśmiechał.

– Ja się piszę – rzucił Clay.

– No to akurat oczywiste. – Taa. Tutaj Blaire się nie myliła.

Clay wygiął brwi.

– A ty nie idziesz?

– Och... margarita, zapomniałeś?

– No tak.

– Ja też idę – zadeklarował się Jed.

Kane poklepał po głowie Heidi.

– Ja mam randkę z najładniejszą dziewczyną w całym Santa Cruz.

Muszę więc odmówić.

Heidi wyszczerzyła się radośnie do ojca. Patrzyła na niego z uwielbieniem.

Wzruszona, byłam bliska powiedzenia, że znajdę sobie jakąś podwózkę – do pracy przyjechałam z Blaire i Jedem – ale wtedy moje spojrzenie powędrowało w lewo.

Przyciągane tam.

Boże.

Ten chłopak.

Austin opierał się o bok swojej furgonetki. Jej widok przywołał gorący rumieniec na moje policzki, nogi ugięły się pode mną, kiedy sobie przypominałam, co ze mną robił i co wtedy czułam.

Przy nim miałam wrażenie, że mogę latać.

Zobaczyłam, że te pełne usta wygięły się w lekkim uśmiešku, i zadrzałam.

– Uhm... zdaje się, że mam podwózkę – zawołałam do Blaire głosem tak słabym, jak słabe i miękkie były moje kolana.

– No, widzę. – Blaire mrugnęła do mnie i dołączyła do Claya, Deaka i brata, a ja zmieniłam kierunek.

Przed przejściem przez ulicę rozejrzałam się na boki, a potem szybko przebiegłam i wtuliwszy się w Austina, wspięłam się na palce i ze śmiałością, której dotąd zawsze mi brakowało, wykradłam mu słodkiego całusa.

Raj.

Tak się właśnie czułam – jak w raju. Jego usta na moich, jego dłonie przyciągające mnie, jego oddech.

– Widzisz, dotrzymałem obietnicy – wymamrotał, nie odrywając

się ode mnie.

Zachichotałam i chwyciłam go za koszulę.

– Obiecuj, że będę cię widziała codziennie już zawsze.

Próbowałam żartować. Żeby zatrzymać tę rozkwitającą we mnie desperacką nadzieję.

Austin zmiękł i przeciągnął ręką po mojej głowie.

– Będziemy się musieli przekonać, czy da się to załatwić.

Motyle zaczęły się trzepotać. Nie mogłam ich powstrzymać, nawet gdybym chciała.

Austin przekrzywił głowę, był taki piękny, że aż zabrakło mi powietrza w pęczniejących płucach.

– Chyba mi się to podoba.

Przeplótł swoje palce z moimi. Nie mówiąc nic więcej, ruszyliśmy, jakby ktoś nas wzywał. Na plażę, gdzie zrzuciłam buty. Austin wypuścił mnie z uścisku, zatrzymał się i patrzył, jak zanurzam stopę w zimnej wodzie. Łagodne fale obmywały mi nogi aż do kostek.

Tak jak robiły to wcześniej.

Moje zaproszenie też było takie samo.

Chciałam, żeby ten chłopak dotknął tego, co stracił.

Poderwał się lekki wiaterek i zmierzwił mi włosy. Objęłam się ramionami i przyglądałam się zachodzącemu słońcu. Było tak spokojnie, pomimo tego nieustającego chaosu kotłującego się przed nami.

Obejrzałam się przez ramię na Austina. Padały na niego płomieniste promienie, oszałamiające, wyraźne rysy jego cudownej twarzy wykute były w złocie i czerwieni.

Wyrzeźbione w zmierzchu.

Widać było, że jest zdenerwowany, dłonie miał zaciśnięte, oddech szybki, chociaż wiedziałam, że starał się kontrolować.

Jego demony usiłowały wyjść na światło dzienne ustępujące miejsca mrokowi.

Weszłam do wody krok głębiej i odwróciłam się do niego.

Do oka mojego cyklonu.

Fale oblewały mi łydki, a ja wpatrywałam się w niego. W milczeniu karmiłam go całą wiarą, jaką tylko mogłam w sobie znaleźć, przelewając ją w niego.

Modląc się, żeby potrafił ją ode mnie przyjąć.

Zacisnąwszy zęby, dał krok do tyłu.

Odsunął się.

Odrzucając zaproszenie.

Ten piękny poraniony chłopak po raz kolejny wybrał cierpienie i rozpacz.

W ten sposób minęły trzy tygodnie. Tylko Austin i ja. Odnawialiśmy zaufanie do siebie, wcześniej nadszarpnięte. Odnajdowaliśmy nadzieję, którą utraciliśmy. Napelniając wiarą jedno drugiego.

On przesuwał moje granice, a ja jego.

– Zaczekaj – szepnęłam.

Poprosiłam o to. Kolejny raz. Chociaż oboje wiedzieliśmy, że któregoś dnia mury, którymi się obudowaliśmy, runą.

Rozdział 24

Austin

Edie spróbowała lazanii i jęknęła.

Domowej lazanii.

Dla mojej dziewczyny wyłącznie to co najlepsze.

– O mój Boże... to zbrodnia, że coś może być takie smaczne.

Uśmiechnąłem się do niej. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy małym stole u mnie w domu.

Jej brwi złączyły się, a oczy przymrużyły.

– Co tam knujesz, Austinie Stonie? Czyżby chodziły ci po głowie jakieś brudne myśli?

Wzruszyłem ramionami.

– To bardzo prawdopodobne.

– Zdecydowanie coś więcej niż tylko bardzo prawdopodobne – odparła, trącając mnie stopą pod stołem.

Przejrzała mnie.

– Siedzisz metr ode mnie... i wydajesz takie odgłosy. O czym miałbym myśleć, twoim zdaniem?

Droczyliśmy się ze sobą, ale pod spodem czaiła się powaga.

Śmiertelna.

Bo tu chodziło o Edie Evans. Dziewczynę, która wysadzała mnie w powietrze za każdym razem, gdy wchodziła do pokoju. Odbierając mi oddech. Stając się powietrzem, którym oddychałem.

Na jej policzkach wykwitł rumieniec. Ta jej słodka niewinność cały czas się u niej objawiała, chociaż coraz częściej i coraz swobodniej pozwalała sobie na zalotność.

– Lubię, gdy o mnie myślisz – powiedziała cicho.

Jęknąłem i nachyliłem się do niej. Przyglądałem się jej cudownej twarzy poprzez migotanie płomieni świec stojących na środku stołu.

– Nie gdy, Edie. Przez cały cholerny czas. W każdej sekundzie każdej minuty każdego dnia. Myślę o tobie przez cały czas i nie potrafię

przestać, nawet jeśli bym chciał.

Ale nie chciałem.

Popatrzyła na mnie tak, jak patrzyła przez ostatnie trzy tygodnie. Jakby może widziała tego człowieka, którego chciałem znaleźć, gdy opuszczałem dom brata. Którym chciałem się stać.

Trochę tak, jak Shea patrzyła na Baza.

Jakbym był sensem jej życia.

A ja chciałem nim być, chciałem mieć tyle siły, bym mógł stać u jej boku. Bym mógł ją chronić.

Jej głos był jak szmer wiatru.

– I nigdy nie przestawaj.

Odłożyłem widelec, odsunąłem się z krzesłem.

– Chodź tutaj.

Ześliznęła się ze swojego krzesła i wstała. Poczułem, jak zalewa mnie pożądanie. Ta dziewczyna jaśniała w mroku, była taka niewinna i dobra.

Zwinęła się na moich kolanach, szczupłe ramiona zarzuciła mi na szyję i westchnęła radośnie i z zadowoleniem.

Byłem poruszony i podniecony. Przycisnąłem twarz do jej włosów.

– Nigdy nie przestanę. Nigdy nie przestałem. Te wszystkie lata, które straciliśmy, należały do ciebie.

Spojrzała na mnie. Jej zduszone słowa przeszyły mnie głęboko.

– Nie powinniśmy ich więcej marnować.

Uśmiechnąłem się leniwie, ale serce biło mi szybko.

– Nie, maleńka, zdecydowanie nie powinniśmy.

Siedzieliśmy tak jakąś chwilę, po prostu ciesząc się spokojem. Damianowi i Deakowi zapowiedziałem, że ich zabiję, jeśli wrócą do domu przed północą.

Nocna randka i w ogóle.

Trochę dziwne, że robiliśmy takie zwyczajne rzeczy, takie, jakie robią wszystkie pary.

Niesamowite.

Poklepałem Edie po udzie.

– Zeskakuj. Szybko pozmywam i możemy się przejść na plażę. Mam dla nas butelkę wina.

– Widzę, że wiesz, jak uwieść dziewczynę, Austinie Stonie. Kolacja? Zmywasz naczynia? Wino? Czy można chcieć czegoś więcej?

Wszystko w niej było takie kuszące, poczynając od zalotnych komentarzy, po idealne krzywizny ciała, krótkie spodenki i obcisłą bluzeczkę, nogi, takie cholernie długie.

Ale to ciepła czułość w głębi jej błękitnych oczu pociągała mnie najbardziej.

– Może chodzi o to, że chciałem zaimponować komuś bardzo ważnemu.

Zachichotała. Boże, uwielbiałem ten dźwięk. Gdy brzmiał tak jak teraz.

Szczęśliwie.

– Czyżby?

Utknąłem jej za ucho pasemko włosów.

– Czyżby.

Zeskoczyła z moich kolan i pomogła mi się podnieść.

– Chodź... pomogę ci, żeby było szybciej.

– Ktoś się niecierpliwi.

– Uhm... wspomniałeś o winie, czy się przesłyszałam?

Roześmiałem się na całe gardło i zebrałem naczynia.

– Faktycznie wspominałem.

Poszliśmy do kuchni i włożyliśmy naczynia do zmywarki. Pracowaliśmy niespiesznie obok siebie.

Nagle zabrzęczała moja komórka, która leżała na blacie.

Zerknąłem na ekran.

Pod skórą przemknął mi dreszcze niepokoju, serce zatrzymało się na sekundę.

Baz.

Baz nigdy nie dzwonił.

Nigdy.

Przez ostatnie trzy lata porozumiewaliśmy się wyłącznie za pomocą listów i SMS-ów.

W gardle utworzyła mi się gruda. Przełknąłem ją, gdy komórka przełączyła się na pocztę głosową.

Edie oczyszczała talerz z resztek.

– Kto to był?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, telefon znowu zadzwonił.

Edie spojrzała na niego, a potem na mnie i leciutko skinęła brodą w niemej zachęcie.

– Powinieneś odebrać.

Powiniennem?

Odsunąłem się. Nienawidząc strachu, który zaciskał mi gardło. Który sprawiał, że czułem się mały i bezużyteczny. Pieprzony bezwartościowy dzieciak, który sprowadzał tylko same kłopoty na swojego brata.

Zduśliłem ten strach i ze związanym żołądkiem podniosłem telefon. Przez chwilę wpatrywałem się w niego, zanim przyjąłem połączenie i przystawiłem komórkę do ucha. Gdy wypowiadałem jego imię, szedłem już do rozsuwanych drzwi na tyłach.

– Baz.

A raczej je z siebie wydusiłem.

Bo cholernie dawno go nie słyszałem i nie miałem pojęcia, dlaczego dzwoni do mnie teraz.

– Austin. – Głos miał tak samo zduszony jak ja. Niski śmiech zawibrował w przestrzeni, niedowierzający, oszołomiony. – Boże... ale ci się głos zmienił.

Zimne powietrze zderzyło się z rozpaloną skórą, gdy wyszedłem na drewnianą werandę z widokiem na rozciągającą się poniżej plażę. Zamknąłem za sobą drzwi.

Wiatr szarpał się w koronach drzew, morze przeszywało noc swoim wyciem.

Spokój i chaos.

– Minęło kupę czasu – rzuciłem. Przyciskałem komórkę do ucha tak mocno, jakby to mogło złagodzić napięcie. Po drugiej stronie połączenia usłyszałem wahanie i zamęt.

Spiąłem się od niepokoju.

– Co słychać? – spytałem, starając się mówić lekkim tonem. Jakby to była normalna pieprzona rozmowa w normalny pieprzony dzień.

Pieprzone myślenie życzeniowe.

– Musisz wrócić do domu, stary. Do LA. Potrzebuję cię tu.

Do ust napłynęła mi ślina. Przełknąłem ją. Spojrzałem w stronę niewyraźnego horyzontu. Bezkresna ciemność. Otchłań czerni.

Ocean jęknął, na wieczność skazany na ferment.

Ten sam, który buzował we mnie. Budząc stary bezlitosny ból.

– Mówiłem ci, że nie jestem jeszcze gotowy. Czy... czy wszystko u ciebie w porządku?

W porządku.

To sentymentalne pytanie zabrzmiało tak cholernie miało.

– Ciągłe to powtarzasz, Austin. Że nie jesteś gotowy. A to oznacza, że nadal się obwiniasz i że nadal nic nie zrozumiałeś.

Poczułem się, jakby mnie kopnął. Powietrze zadrgało jego obecnością.

– Kiedy pozwolisz mi wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co zrobiłem? Kiedy, Baz? Przez to właśnie odszedłem. Bo brałeś na siebie moją winę.

– Bo nie była twoja.

Prychnąłem.

– Przestań, dobrze? Nie jestem już małym dzieckiem. Nie musisz się ze mną cackać, nie musisz mnie chronić. I możesz już przestać próbować mnie przekonywać, jak było, bo ja już wiem, jak było.

– Jeśli tak chcesz, proszę bardzo. Przyjmij to na siebie, mój mały braciszku. Weź to na swoje cholerne barki, mimo że ja wiem, że wina była moja. A potem wróć do domu. Gdzie jest twoje miejsce. Potrzebuję cię, Austin. Nie mogę dłużej funkcjonować tak, jak funkcjonuję. Chcę, żebyś zajął miejsce, które ci się należy.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Doskonale wiesz o czym. Nie kłam i nie mów, że nie chciałeś tego zawsze. Że tego nie czuleś.

Po skórze przeszły mi dreszcze zaniepokojenia.

– To nie jest moje miejsce. Dobrze wiesz, że nie śpiewam dla nich.

Żal rozciągnął się między nami jak postrzępiona, wyschnięta taśma z gumy. Nie było ważne, ile kilometrów nas dzieliło, ten smutek zawsze nas łączył.

– Czyżby? W takim razie powiedz mi, kiedy zaczniesz śpiewać dla siebie? Już najwyższy czas, Austin.

Szklane drzwi za mną rozsunęły się, światło ze środka skąpało mnie w swoim blasku. Poczulem przyływ tego obezwładniającego spokoju, pocieszającego, wspierającego. Edie otoczyła mnie ramionami od tyłu. Energia zabuzowała. Wtuliła mi twarz w łopatki.

Chwyliłem jej dłonie spoczywające na moim brzuchu i przyciągnąłem ją bliżej.

– Zastanów się nad tym – powiedział Sebastian.

Zduśliłem rozkwitający w moim sercu płomień ekscytacji.

– Nie jestem tym, kogo szukasz.

Nie zamierzałem stawiać się w tej sytuacji. Nie chciałem znowu zawieść brata. Zawieść chłopaków. Nie byłem pewien, czy kiedykolwiek mógłbym być taki, jakim chcieli mnie widzieć członkowie Sunder.

Kimś, kto mógłby im przewodzić. Wspierać, prowadzić.

– Austin... – Baz nadal próbował.

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej, okej?

Westchnął.

– Okej. Ale jak najszybciej.

– Taa.

Wiedziałem, że się na to szykuje. Musiałem podjąć decyzję. Musiałem wrócić do domu i raz na zawsze wszystko wyjaśnić. Udowodnić Bazowi, że dam sobie radę sam, żeby mógł ruszyć dalej ze swoim życiem, żeby mógł żyć spokojnie.

– Wszystko w porządku?

To była sonda. Próba nacisku, żebym wpuścił ją do tych miejsc, do których nigdy nie dawałem jej dostępu. Znała jedynie szczegóły, bo nie chciałem obarczać jej brutalną rzeczywistością.

– Tak, w porządku.

– Chce, żebyś wrócił?

– Taa.

Usłyszałem jej drżące westchnienie, przepełnione lękiem, który starała się ukryć.

– Tęskni za tobą.

Odpowiedziałem ostro.

– Tak brzmiał... ale ja wiem, co się dzieje naprawdę, Edie. Znam swojego brata cholernie dobrze. Wiem, że kiedy kocha, kocha całym

sobą. A on kocha swoją rodzinę i bez wątpienia stała się ona dla niego ważniejsza od kapeli. Nie dziwię mu się. Ani trochę. Ale wiem, że on widzi mnie tam, na swoim miejscu.

– A ty. Ty też się tam widzisz?

– Wiesz, że nie.

– Dlaczego? – Przytuliła mnie mocniej, pieszcząc ciepłym głosem.

– Masz taki talent, Austin. Twoim przeznaczeniem są wielkie, wielkie rzeczy.

Wzięłam głęboki oddech wraz z całym zamętem wzburzonego morza.

Łańcuchy, które mnie do niego przykuwały, zacisnęły się mocniej na mojej duszy.

– Śpiewanie to część mojej kary.

Minęła chwila nasączona tysiącem pytań.

– Nie rozumiem – wyszeptała w końcu.

Chwyciłem jej dłonie w swoje i przycisnąłem do tatuażu na sercu. Do miejsca, które zawsze było jej.

– Jesteś jedyną osobą, która naprawdę rozumie, Edie.

Odwrociłem się do niej wolno. Światło z domu otaczało ją aureolą, białą, roziskrzoną. Wyciągnęła rękę i pogłaskała mnie po brodzie, przekazując mi tym gestem, że we mnie wierzy. Zajrzała mi badawczo w oczy.

Próbując zrozumieć, chociaż o niczym nie miała pojęcia. A ja nie mogłem już tego w sobie dławić choćby sekundy dłużej. Nie mogłem podtrzymać murów, które mnie od niej oddzielały.

– To ja to zrobiłem, Edie. To była moja wina.

Powiedziałem to na przydechu. Cicho. A mimo to miałem wrażenie, jakby coś z hukiem eksplodowało.

Edie znieruchomiała, przez chwilę w oczach miała tylko wyraz dezorientacji. Potem te słodkie usta opadły w kącikach.

Ze współczucia.

Z miłości.

Ta dziewczyna, która potrafiła przejrzeć mnie na wylot.

Ból uderzył we mnie wraz z napływem wspomnień, i wszystko zaczęło się wylewać.

Strumieniami, jak powódź.

Prosto na jej ręce i do studni jej czystego serca. Wiedziałem, że tam moja tajemnica będzie bezpieczna.

Julian balansował tuż przy samej wodzie. Jakby chodził po linie. Przechylał się na boki, skacząc po białych smugach piany pozostałej po cofających się falach.

– Austin, patrz! – krzyknął do brata.

Austin szedł zaraz za nim, przeskakując nad pianą, starając się dogonić brata.

– Na co mam patrzeć? – odkrzyknął, radośnie uśmiechnięty. Austin uwielbiał słońce. Ocean. Dni takie jak ten, kiedy byli całkowicie wolni.

– Na to!

Julian skoczył niespodziewanie w fale, wymachując rękoma jak skrzydłami. Podskoczył, potem zanurkował, przerolował się na fali i znowu wyskoczył. Śmiał się głośno, cały ociekał wodą.

– Widzisz?

Austin też się roześmiał i też skoczył w fale.

Ich starszy brat, który siedział dalej na brzegu, zawołał:

– Tylko nie wchodźcie za głęboko, Austin, Julian!

– Nie wejdziemy – obiecali obaj jednocześnie.

Zawsze wszystko robili jednocześnie.

Julian spojrzał na Austina i wywrócił oczami.

– Co on robi z tą dziewczyną?

Austin prychnął.

– Baz zawsze jest z jakąś dziewczyną. Zawsze z jakąś gada. Tata mówił, że tak właśnie robią mężczyźni.

Julian zmarszczył nos.

– W takim razie cieszę się, że nie jestem mężczyzną. Dziewczyny są obrzydliwe.

Austin roześmiał się.

– Kiedyś też będziemy mężczyznami. I Baz twierdzi, że pewnego dnia zmienimy zdanie. Zupełnie.

Julian potrząsnął głową.

– Nigdy.

Potem, śmiejąc się, szturchnął Austina i zabawa rozpoczęła się od

nowa.

– Założę się, że mnie nie dogonisz! – krzyknął przez ramię.

– A właśnie, że dogonię.

I dogonił. Ledwie. A potem to on uciekał, a Julian gonił jego.

– Założę się, że nie wytrzymasz pod wodą tak długo jak ja – rzucił bratu wyzwanie Austin.

– Zakładamy się o pięć dolców.

Przybili zakład uściskiem dłoni.

W miejscu, w którym się bawili, woda sięgała im do pasa. Austin poszedł o krok dalej, zanurkował i wystawił palce, żeby liczyć. Gdy dotarł do trzydziestu, poczuł, że musi zaczerpnąć powietrza. Chciał się wyprostować, ale Julian naciskał na jego ramiona, trzymając go pod wodą.

– To nie fair, Julian – chciał krzyknąć, ale był wciąż pod powierzchnią.

Julian w końcu puścił go i Austin wystrzelił nad lustro wody, ciężko dysząc.

– Ty idioto. – Pchnął brata. – Ale dzięki tobie chyba wygrałem. Trzydzieści siedem.

– Trzydzieści siedem? Nie masz ze mną żadnych szans.

Julian podciągnął nogi i opadł pośladkami na dno. Pozostał tam dłużej niż trzydzieści, dłużej niż czterdzieści sekund. Austin wiedział, że przegrał. W chwili gdy Julian zaczął wypływać, przytrzymał go. Tak samo jak wcześniej zrobił to on.

Julian szarpał się i młócił wodę.

Austin zanosił się śmiechem, Julian się szamotał.

Baz popatrzył w ich stronę. Austin wyszczerzył się do niego, sądząc, że brat śmieje się, że tak się siłują. Może nawet przyjdzie do nich i też się z nimi pobawi, kiedy już przestanie flirtować z tą głupią dziewczyną.

Ale potem Julian już nie wymachiwał rękoma. Drgnął, całe jego ciało zadrżało pod dłońmi Austina.

Julian przestał się poruszać.

Austin poczuł w gardle pulsowanie strachu, ogarnęło go to nieprzyjemne uczucie, że czegoś mu brakuje. Chciał wyciągnąć Juliana z

wody. Usiłował chwycić go pod pachy.

Baz zaczął biec ku nim. Krzyczał. Głośno.

– Nie, nie, nie!

Wskoczył do wody. Wyrwał Juliana z objęć Austina.

Pustka.

Właśnie to pojawiło się w brzuchu Austina. Odwrócił głowę i patrzył, jak Baz wyciąga brata na piasek.

Usłyszał czyjś krzyk. Krzyki przyływały ze wszystkich stron. I zarazem było śmiertelnie cicho.

Austin czuł się tak, jakby oglądał to wszystko z góry.

Pustka.

Wyczołgał się na plażę. Przerażony. Chciał dotknąć Juliana. Potrząsnąć nim. Chciał kazać mu wstać.

Proszę, proszę, wstań.

Baz uciskał jego klatkę piersiową, zacisnął mu nos i wdmuchnął powietrze w usta, znowu pompował pierś. Po twarzy lały mu się łzy. Jego ruchy były gorączkowe, cały się trząsał.

– Austin... co ty zrobiłeś... co ty zrobiłeś? O mój Boże, co ty zrobiłeś?

Kiedy ludzie otoczyli Juliana, Austin wycofał się na czworaka, tyłem.

Przycisnął plecy do dużego kamienia. Chowając się. Kołysząc.

Pustka.

Wtuliłem twarz w jej szyję i tam spływały moje łzy.

Wybebeszony.

Pusty.

Nie płakałem od tak dawna. Chociaż Bóg wiedział, że swoją porcję łez wylałem, ale nienawidziłem być tym pieprzonym patetycznym dzieciakiem, który nie potrafił nad sobą zapanować.

Ale teraz nie mogłem się powstrzymać.

Nie kiedy ona płakała razem ze mną. Nad nim. Nade mną. Jej gorące łzy kapały mi na włosy, trzymała się mnie kurczowo, jakby wiedziała, że była moją liną ratunkową.

Latarnią w oddali.

Wywołującą mnie z mroków.

Wskazującą drogę do domu.

Chociaż nie miałem prawa go posiadać.

– Pozwolili mi odwiedzić go w szpitalu. Te wszystkie rurki i kibelki... one były wszędzie. Utrzymały go przy życiu. Ale ja wiedziałem, Edie... ja wiedziałem, kurwa, że on już odszedł. Czułem to, czułem, że nie ma już drugiej połowy mnie.

Byłem całkowicie rozbity, rozpacz przesiąkała mnie na wskroś.

– Baz... wziął mnie na bok, potrząsnął, bo nie mogłem przestać płakać. Powtarzał, że to nie była moja wina. Tylko jego. Powiedział naszym rodzicom, że nas nie upilnował i Juliana porwały fale. Wziął winę na siebie, chociaż to ja byłem winny.

– Tak mi przykro, Austin. Tak mi strasznie przykro.

Jej miękkie wargi były przy moim uchu, całowały moją skroń, gorączkowo obcałowywały policzek i brodę, każdy milimetr mojej złanej łzami twarzy.

Nie wciskała mi kitu, że to nie moja wina. Nie mówiła, że wszystko jest okej.

Bo wiedziała, że nie jest.

– Myślę, że matka domyśliła się prawdy już w chwili, gdy wszedłem do domu.

Ból zacisnął mi serce. Tak mocno, że myślałem, że pęknie.

– Ale ona odeszła tak samo jak Julian. Ukradłem mu życie. I jej też. Ojciec... ojciec zamienił się w potwora. Jedną moją podporą był Baz. On mnie uratował, Edie. Trzymał przy życiu, gdy chciałem umrzeć. Nie mogę dłużej być tą osobą. Kimś, kto ciągle tylko od niego bierze. Kto go zawodzi. Rani. Ale nie wiem, jak mam przestać zawodzić wszystkich, którzy są mi bliscy. Wszystkich, których kocham.

Edie odsunęła mnie i położyła mi dłoń na sercu. Te błękitne oczy były wielkie. Bezbronne. Podzielały mój ból.

Rozumiała mnie w sposób, w jaki tylko ona potrafiła.

– Jesteś dobry. Jesteś dobry. Czuję to. Czuję to tutaj – wyszeptała słowa, które zawsze mi powtarzała. Jej wyznanie wiary we mnie.

Objąłem ją.

– Nie chciałem, Edie. Przysięgam, nie chciałem. Zrobiłbym wszystko, żeby to cofnąć. Zamieniłbym się z nim miejscami.

– Wiem. Wiem. Wiem.

Mówiła to i obsypywała mnie gorączkowymi pocałunkami, wodząc po mnie dłońmi. Jakby chciała sprawić, żebym znów stał się całością.

Przesunąłem ją pod ścianę. Przyłgnąłem do jej ust. Ten pocałunek... ten pocałunek zawierał całą rozpacz, jaką oboje w sobie nosiliśmy. Jaką w sobie dusiliśmy.

I którą teraz uwalniałem w jej objęciach.

Jęknęła, a ja chwyciłem ją za biodra, moje dłonie chciwie szarpały ubranie.

Zdesperowane, domagające się jeszcze większej bliskości.

Bo chciałem, żeby zalała mnie swoim światłem.

– Edie.

– Wiem... wiem – powtórzyła.

Rozsunąłem drzwi i nie odrywając się od jej ust, wprowadziłem ją do domu, dłońmi obejmując jej słodką, ufną twarz.

Nawet nie wiem, kiedy znaleźliśmy się w moim pokoju, Edie na łóżku, ja nad nią, całujący ją żarłocznie i żarliwie.

W pewnej chwili pociągnęła mnie za koszulkę. Rozłączyliśmy się i ona ściągnęła mi ją przez głowę.

Zachowywaliśmy się jak w gorączce.

Szał spragnionych dłoni i wygłodniałych warg.

Nasze dusze rozedrgane i splątane ze sobą. Natężenie energii rośnie. Promieniowało na cały pokój. Dopominając się zaspokojenia.

Potem zniknęła bluzeczka Edie, a ja wsuwałem jej ręce pod plecy, żeby rozpiąć stanik. Piersi miała drobne, ale perfekcyjne. Wziąłem je w dłonie, przeciągnąłem kciukami po różowych sterczących brodawkach.

Jedną zacząłem ssać, drugą pieściłem palcem.

Edie wiała się pode mną. Głowę miała odrzuconą na poduszkę. Palce wczepione w moje włosy. Mój język powędrował doliną między piersiami w górę, przejechał po rozkosznej krzywiznie szyi i trafił do ust.

W powietrzu unosiła się iskrząca mgiełka podniecenia.

Nasze ciała zakołysały się.

Zwały.

W desperackim poszukiwaniu uwolnienia.

Podciągnąłem się na ręce, żeby na nią spojrzeć. Ona też zwolniła,

wpatrzona we mnie ufnymi oczami. Nie odrywając ich od moich, dotknęła rysunku odcisniętego na zawsze na moim sercu.

Na sercu, które pędziło z łomotem.

Każdy nerw w moim ciele był pobudzony.

To właśnie w tamtym momencie cała nasza ufność ujawniła się w pełni.

Wyciągnąłem rękę do jej twarzy, przeciągnąłem palcami po policzku. Moje wyznanie było ciche.

Ale przepełnione przekonaniem.

– Tak bardzo cię kocham, Edie Evans. Całym sobą. Kocham cię, odkąd pamiętam. I to się nigdy nie zmieni.

Jej oczy znowu zasnuły się łzami, od jej drogocennej twarzy biła świetlista łuna.

– Ja też cię kocham, Austin. Nigdy nie przestałam. I nigdy nie przestanę.

Na to wyznanie z moich ust wydarło się zduszone westchnienie, te wszystkie puste miejsca we mnie były bliskie zapełnienia.

Nie potrafiłem powiedzieć, czego nienawidziłem bardziej – nagłej fali wyrzutów sumienia wywołanych tym, że tak się czuję, czy decyzji, żeby odsunąć od siebie te wyrzuty i pozwolić, aby Edie napełniła mnie pocieszeniem. Żeby zalała mnie swoją czułością.

Na powiekach, wargach, policzkach poczułem delikatne muskanie opuszków jej palców, które na koniec powróciły do miejsca na zawsze przeznaczonego dla niej.

– Nie chcę czekać. Już nie chcę.

Ze zdumienia zastygłem, potem niepewnie wyszeptałem jej imię.

– Edie...

To była ta chwila, gdy oboje staliśmy na rozhuśtanej linie, tak bliscy przedarcia się przez otaczające nas mury.

Na jej usta wypłynął ciepły, smutny uśmiech.

– Bądź ze mną ostrożny.

Rozdział 25

Edie

Wpatrywał się we mnie w ciemności spowijającej jego pokój. Pomyślałam, że część mnie chyba zawsze znała jego tajemnicę. Część, która rozpoznawała zniszczenia będące wynikiem jednego błędu. Błędu nieodwracalnego, nieważne, jak bardzo chciałoby się go cofnąć. Nieodwracalnego, choć bez zastanowienia oddałbyś wszystko, żebyś tylko mógł wrócić i zrobić to, co należało.

Te białe we mnie kamienne oczy były wzburzone. Ale kryjąca się w ich głębi miłość miała taką siłę, że przeświecała nawet przez mroki sztormu.

Usuwasz je. Niwelujesz strach.

Ja się już nie bałam, nie chciałam dłużej żyć w okowach lęku.

– Ufam ci.

Przez kilka sekund przyglądał mi się uważnie, potem ciężko przełknął ślinę. Wiedziałam, że w tym momencie zaakceptował to, co mówiłam. To, co mu oferowałam.

Podarowałam mu ostatnią rozbitą część siebie.

Trzon moich wszystkich lęków.

Mojego całego smutku.

Jeden błąd.

To zwykle wystarcza.

Ale po tej nocy wiedziałam, że Austin nie będzie tym błędem. Wcześniej tak myślałam. Teraz jednak zrozumiałam, że się myliłam. Wiedziałam, że byliśmy sobie przeznaczeni, byliśmy połączeni, i że Austin nigdy nie zniszczy tego, co mu oferowałam.

Ufałam, że to uszanuje.

Ufałam, że będzie ostrożny. Bo wiedział, że nie mogłam tam wrócić. Wiedział, że nie mogłam sobie pozwolić na zaryzykowanie tego rodzaju straty, o której przez tyle lat sądziłam, że nie zdołam jej przeżyć.

Nie mogłam znowu zrobić tego samego.

Odsunął mi włosy na plecy. Uśmiech, jaki mi posłał, był przeuroczy. Pożądanie w jego oczach przeogromne.

– Jesteś moim światłem.

Pochylił się, wciąż z rękoma po obu stronach mojej głowy. Pocałował mnie wolno i głęboko. Siła tego pocałunku była tak przejmująca, że byłam bliska rozplakania się.

Wczepiłam się palcami w jego ramiona, których mięśnie drżały pod moim dotykiem. Był taki piękny, taki mroczny.

Jego wargi muskały moje, lizał je, ssał, nasze języki zagubiły się w swoim własnym leniwym tańcu.

Pokój zawirował, moje ciało zapłonęło.

Austin usiadł na kolanach, jego oszałamiająca twarz jaśniała w ciemności. Hipnotyzowała. Obezwładniała.

Plecy same wygięły mi się w łuk, ciało instynktownie dopominało się jego pieścizot.

Obserwując moją reakcję, powolnym ruchem rozpiął mi guzik bluzki. W powietrzu rozniósł się dźwięk rozsuwanego suwaka. Serce przeszła mi seria palpacji.

Och, Boże.

Tak strasznie się denerwowałam.

Byłam taka rozedrgana.

Uniosłam biodra z materaca. Każda część mnie drżała, gdy powoli ściągał ze mnie spodenki i majtki.

Głos miał zduszony. Jednocześnie ostry i miękki.

– Nie mogę się doczekać, kiedy będę w tobie. Kiedy poczuję cię pod sobą.

Zaczął mówić ciszej, jeszcze bardziej uwodzicielsko.

– Nie mogę się doczekać, aż wejdziesz w ciebie tak głęboko, że już nie będziemy wiedzieli, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Aż wreszcie uczynię cię swoją. Obiecuję, że już cię nie oddam.

Było to prawie nie do zniesienia, kiedy przeciągnął opuszkami palców między moimi nogami, leciutko muskając te wszystkie miejsca, które tak straszliwie pragnęły być dotykane.

– Weź mnie – wymamrotałam ochryple.

Ześliznął się z łóżka i rozebrał do końca. Energia odbijała się od

ścian. Gęsta i nieprzenikniona. Ciemna jak ten chłopak.

Każdy centymetr jego ciała był gładki, perfekcyjnie umięśniony, tatuaż na piersi – dzieło sztuki, jak on sam.

Przeszedł przez pokój. Na widok jego wyraźnie zarysowanych, krągłych pośladków zacisnęły mi się gardło i uda. W samym dole brzucha zabuzowało pożądanie.

Jego ciało było nieskazitelne.

Doskonałe.

Przeznaczone dla mnie.

Z szuflady biurka wyciągnął paczkę prezerwatyw. Odwrócił się i ruszył ku mnie z czułym uśmiechem na twarzy.

Bądź ze mną ostrożny.

Wdrapał się z powrotem na łóżko, między moje rozedrgane uda, i nie odrywając ode mnie oczu, nachylił się.

Wstrząsnęły mną silne dreszcze.

– Ty drzysz – zauważył, przeciągając dłonią od mojego kolana do bioder i zamykając ją na talii.

Moje nabrzmiałe usta rozchyliły się w niepewnym uśmiechu.

– To przez ciebie.

Jęknął i wczołgał się na mnie. Okrywając mnie sobą. Moje bezpieczeństwo. Mój raj.

Na brzuchu poczułam jego męskość, jego wargi na ustach.

Znowu przeszły mnie dreszcze, silne, wszechobecne.

– A my przecież dopiero zaczynamy tę podróż, która ma się nigdy nie skończyć.

Skubnął zębami moją brodę. Potem ramię. Nabrzmiałą brodawkę.

– Będę się z tobą kochał przez całą wieczność. Będę pieścił to ciało każdej nocy. Całował te usta każdego poranka.

Zapadłam się głębiej.

Każdy milimetr mnie stał w ogniu, nerwy iskrzyły, serce pędziło bez kontroli.

Austin groził mi zniszczeniem.

Oznaczał moją zgubę.

Mój chaotyczny, błogi koniec.

Ten chłopak, który wreszcie dopuścił mnie do najgłębszych części

swojej duszy.

A ja otwierałam przed nim swoją.

– Kochaj się ze mną. Proszę.

Poruszył się, a ja znowu zadrżałam nerwowo, całe ciało miałam spięte pożądaniem i starymi lękami, które jednak tak bardzo byłam gotowa odpuścić. Chwycił się za penisa u jego podstawy i ustawił go przed wejściem do mojej cipki.

I wsunął go w nią, ale tylko czubek.

Drocząc się ze mną.

Stęknęłam.

– Tak – i wygięłam plecy. Błagając go palcami, które wbijałam mu w ramiona.

Wszedł we mnie. Niezbyt głęboko, ale to i tak wystarczyło, żeby ziemia usunęła mi się spod stóp. Żeby przetoczyła się przeze mnie kawałkadek wrażeń. Serce i puls łomotały mi w uszach.

Wszystko wyśpiewywało jego imię.

Miłość. Miłość. Miłość.

Próbując nad sobą zapanować, zacisnął zęby.

– Nie boli cię? – wycedził przez nie.

Przywarłam do niego całą klatką piersiową.

Jego i moja skóra były rozpalone do czerwoności.

Uniosłam biodra.

– Weź mnie.

Wciągnął powietrze i wszedł we mnie jednym ostrym ruchem.

Ogień.

Krzyknęłam. Wszystko mnie piekło, nie mogłam złapać tchu, byłam pełna.

Tak bardzo.

Jakby ten chłopak dotykał mnie wszędzie, brał mnie całą.

Należałam do niego.

Oparty na łokciach, otoczył mnie silnymi ramionami, palce zanurzył we włosach. Zakotłosał biodrami, zaczął się we mnie poruszać wolno, ale zdecydowanie.

Głęboko i łakomie.

Na granicy bólu. Oplecionego nadzieją.

On mnie pieprzył.
Zbawiał.
Wielbił.
Zalewając rozkoszą.
Raz za razem.
Coraz większą i większą.
Jego oddech stał się urywany. Wbiłam się paznokciami w jego plecy.

Moim ciałem wstrząsały dreszcze czystej euforii. Coraz silniejszy ucisk w podbrzuszu prowadził mnie do innego wymiaru. Gdzie gwiazdy witały się z lustrem wody. Gdzie światy łączyły się w jedno.

Gdzie ciemność i światło stawały się barwą, a mrok gęstniał.

Gdzie niczego się już nie czuło, oprócz jednego – że jednoczysz się z czymś większym od siebie.

Z miłością, która przywiodła mnie do tego miejsca.

Tą, która podniosła mnie z dna, ale nadal trzymała pod wodą.

Gdzie tonęłam w mrokach. Gdzie szalały niszczycielskie sztormy.

Sapnęłam i zaczęłam szybciej poruszać biodrami, chcąc dotrzymać mu tempa, chcąc się dopasować do jego coraz bardziej rozgorączkowanego rytmu.

Ciężko dyszałam, nie mogąc złapać oddechu.

Bo każdy należał do niego.

Ciemność i światło.

Życie i śmierć. Energia wirowała, wirowała, wirowała.

Niszczycielski huragan.

Rozkosz.

Dzika.

Bezlitosna.

Austin sapnął i wysunął się ze mnie prawie w całości. Moje ciało skurczyło się, błagając, żeby wrócił. Wbił się we mnie z powrotem.

Ostatnia z rozciągniętych nici pękła.

Poszarpana.

Fontanna iskier.

Oślepiająca, skrajna rozkosz.

Austin krzyknął.

Wykrzykiwał moje imię i wił się, i szarpał. Jego orgazm był moim orgazmem.

Aż jęknęłam, patrząc na to piękno. Nasączające każdą komórkę.

Dwie dusze porwane niekończącą się nawałnicą.

Opadł na mnie, niespokojne palce utonęły w moich włosach, twarz wtulił mi w szyję.

– Edie, kurwa. Kocham cię. Nigdy cię nie skrzywdzę. Dam ci wszystko, co tylko będziesz chciała. Wszystko. Jesteś moim światłem.

Oparł czoło na moim i razem dyszeliśmy ciężko, chwytając powietrze, którego prawie nie było. Potem Austin przełknął ślinę, przystawił usta do moich i tak pozostał, napełniając mnie swoim oddechem.

Życiem.

A później zamknął oczy i jego głos wypełnił pokój, niemal boleśnie.

– Czujesz to?

– Co?

– Mnie.

Pogłaskałam jego zmarszczone czoło.

– Zawsze cię czułam.

Odetchnął, objął mnie i przekręcił się wraz ze mną na bok. Leżeliśmy na środku jego łóżka, spleceni.

– Zaśpiewaj mi... jak kiedyś – poprosiłam; nieustające wyrzuty sumienia nękające nas od zawsze na moment przycichły.

Byliśmy okryci płaszczem bezpieczeństwa.

Płaszczem ciemności.

Austin...

Ten piękny poraniony chłopak.

Zaśpiewał moją piosenkę.

Światłość.

A ja wiedziałam, że będę dla niego płonąła już zawsze.

Rozdział 26

Austin

Otoczyłem jej twarz dłońmi.

I pocałowałem.

Wspięła się na palce.

Bo chciała być jeszcze bliżej.

Tak jak zawsze.

Uwielbiałem to, kurwa.

Uwielbiałem, że ciągle wydawała się nienasycona.

Że zawsze chciała jeszcze większej bliskości, jeszcze więcej pieszczot.

Spełniałem te jej pragnienia bardziej niż chętnie.

Pierś rozdęło mi uczucie, które zawsze mnie ogarniało, gdy była blisko.

Radość.

Czułem, że uśmiecha się w moje usta.

Cholera, to też uwielbiałem.

– Muszę iść.

– Dlaczego? – spytałem i naburmuszyłem się. No bo, do diabła, gdyby to była wasza dziewczyna, też byście się naburmuszyli.

Zachichotała.

– Uhm... jest taka mała rzecz, która się nazywa praca. No wiesz... takie coś, gdzie się zarabia na życie i czynsz.

– Ale jest też taka mała rzecz nazywająca się zostanie w łóżku i... kochanie się ze swoją dziewczyną. Przez cały dzień.

Jęknęła.

– Nie kuś.

– Zabawne, bo to raczej ty kuszysz mnie. – Zniżyłem głos. – No, kuś mnie, proszę, kuś.

– Mhm... cóż, choć spędzenie z tobą całego dnia w łóżku brzmi szalenie kusząco, ja niestety naprawdę muszę iść. Kasa sama się nie

obsłuży, a Heidi raczej nie nadaje się jeszcze na ekspedientkę.

Roześmiałem się.

– Założę się, że chętnie by to sprawdziła.

– Och, na pewno.

Edie i ja? Nasza relacja wyglądała właśnie tak i trwało to już od prawie miesiąca. Od tamtej nocy, gdy w końcu pozwoliłem jej zburzyć ostatnie resztki otaczających mnie murów. Gdy wpuściłem ją do miejsca, do którego nie wpuszczałem nikogo, a ona odwdzieczyła mi się tym samym.

Zaufanie.

Mówi się, że to na nim buduje się związki.

Ale ja nadal byłem trochę oszołomiony, że Edie mnie nim obdarzyła w tej sferze.

Wycisnąłem kolejnego całusa na jej słodkich ustach.

– No dobrze. Idź. Ale lepiej, żebyś za mną tęskniła, gdy nie będziemy razem.

Rzuciła mi radosny uśmiech przez ramię.

– Przecież wiesz, że będę.

Oparty o framugę, przyglądałem się kołysaniu jej perfekcyjnej dupci, gdy szła do samochodu, bo ja też nie mogłem się nią nasycić. Potem, gdy odjeżdżając, pomachała do mnie, odmachnąłem jej i odwróciłem się do drzwi, wyszczerzony jak wiejski głupek.

I w sekundę później z zaskoczenia podskoczyłem i znieruchomiałem.

– Ty chyba sobie ze mnie jaja robisz z tym zaskakiwaniem mnie.

To był Deak. Siedział przy stole ze stopą opartą na kolanie drugiej nogi, czytał gazetę i popijał kawę, jakby był tam przez cały cholerny czas.

– No bo ty jesteś taki cholernie strachliwy.

Wybałuszyłem oczy.

– A ty przerażający, do diabła.

Roześmiał się, głowę unosząc do sufitu.

– Można o mnie powiedzieć wiele, ale nie to. – Przeciągnął ręką po swojej sylwetce. Był bez koszulki i boso, miał na sobie tylko spodenki plażowe. – Panie to uwielbiają.

Tym razem to ja powiodłem ręką po sobie.

– W razie gdybyś nie zauważył, nie jestem żadną panią.

Posłał mi kpiący uśmiezek

– Powtarzaj to sobie częściej.

Potrząsnąłem głową, starając się zdusić śmiech.

– Hej... gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że ktoś tu ma ochotę na skopanie tyłka.

– Nie miałbyś ze mną najmniejszych szans, stary.

– W twoich snach, lalusiu.

– Lalusiu? – prychnął, wyraźnie urażony. – Pragnę cię poinformować, że już jako dziecko ganiałem po australijskim buszu, za broń mając tylko gołe ręce, a tam były węże i pająki. I pływałem z rekinami. To wszystko jest tutaj. Nie ma we mnie ani grama lalusia.

Prychnąłem.

– Założę się, że rano przed lustrem spędzasz więcej czasu niż Edie i Blaire razem wzięte.

– W ogóle nie spędzam. Budzę się taki piękny. To bardzo, bardzo przykra sytuacja dla reszty was, dupków.

Dusząc się śmiechem i kręcąc głową, poszedłem do kuchni i nalałem sobie kawy. Potem wróciłem i opadłem na krzesło naprzeciwko Deaka.

– Jakie masz plany na dzisiaj? Prowadzisz zajęcia?

– Nie. Dziś mam wolne. Jed zapisał mnie dopiero na jutro – odparł, przerzucając strony gazety.

– A tak w ogóle, to kto, do cholery, czyta w tych czasach prawdziwe gazety – zakpiłem, zakładając nogę na nogę.

– Prawdziwi mężczyźni.

– Ta, jasne – prychnąłem. Podśmiechując się pod nosem, upiłem łyk kawy, a potem napawając się spokojem, odchyliłem na oparciu.

Relaksowałem się w ten sposób przez jakąś chwilę, aż do momentu, gdy poczułem, że coś się zmieniło.

Deak nagle zeszywniał, potem, przyglądając mi się znad gazety, podciągnął się trochę wyżej na krześle. Na jego zwykle obojętnym obliczu pojawił się wyraz jakby dezorientowania.

Przekrzywiwszy głowę, wpatrywał się we mnie.

Poczułem się nieswojo.

– No, o co chodzi?

– Niewiele mówisz o sobie.

Zamrugąłem.

– A co to ma znaczyć, do cholery?

Wzruszył spokojnie ramieniem.

– Tak się tylko zastanawiam, dlaczego ten gość wygląda zupełnie jak ty i ma takie samo nazwisko, a ja nigdy o nim od ciebie nie słyszałem.

Po plecach przeszedł mi dreszcz niepokoju.

– O czym ty, kurwa, gadasz?

Ale już wiedziałem. Kiedy wyjeżdżałem z LA, Sunder nie był jeszcze taki sławny jak w ostatnich latach. To znaczy mieli już sporo fanów, sprzedawali tony płyt i ciągle koncertowali, ale ich styl był za śmiały i za surowy, żeby pociągnąć masy.

Jednak po ostatnim albumie coś się zmieniło. Ich sława eksplodowała. Coraz częściej pokazywano ich w telewizji, coraz więcej pisało się o nich na Facebooku. Nie wiedziałem, czy to ta piosenka, którą Baz zrobił z Sheą, tak ich wystrzeliła w stratosferę, czy po prostu fakt, że ostatni album był zajebisty, bo zdecydowanie był.

Był naprawdę genialny.

Ale bez względu na przyczyny, byli teraz sławniejsi niż kiedykolwiek.

Deak złożył gazetę i przepchnął ją po stole.

Była otwarta na dziale rozrywki. Nad artykułem widniało czarno-białe zdjęcie zespołu podczas koncertu. Mimo że statyczne, zdjęcie oddawało intensywność występu. Obok znajdowało się zdjęcie ze zbliżeniem uśmiechniętej twarzy Baza. Przy nim stała Shea, z głową przytuloną do jego piersi.

Serce zatętniło mi emocjami. Bólem i szacunkiem. Miłością i smutkiem. I całą masą strachu.

Nie mogłem temu zaradzić, że odczuwałem to wszystko, gdy myślałem o swoim starszym bracie.

Deak z głową przechyloną na bok wbił w zdjęcie palec wskazujący.

– Wygląda znajomo?

Przeciągnąłem dłonią przez twarz.

Nie.

Nie opowiadałam nigdy Deakowi o sobie. Sam sobie wymyślił, że jestem kimś w rodzaju przybłądy włóczącego się od miasta do miasta, jak jakiś Cygan niepotrafiący usiedzieć na tyłku w jednym cholernym miejscu. Nie miał żadnego pojęcia o życiu, które za sobą zostawiłem.

– Taa, wygląda.

– Taa? – naciskał.

– Co chcesz usłyszeć, Deak?

– Uhm, no nie wiem... może na przykład, dlaczego mnie nie wtajemniczyłeś i nie powiedziałeś, że twój starszy brat jest gwiazdą rocka? Mógłbyś zacząć od tego.

– Niespecjalnie rozgłaszam ten fakt. Zresztą, skoro o nim nie słyszałeś, nie wiedziałeś, kim jest, po co miałem ci o nim mówić?

Deak odchrząknął i chwilę się nad czymś zastanawiał.

– Nie ma znaczenia, kim jest twój brat, Austin. Gównu mnie obchodzi, czy jest sławny, czy nie. Sądziłem, że do tej pory zdążyłeś mnie poznać. Po prostu myślałem, że nie masz żadnej rodziny. Że włóczysz się po kraju, bo szukasz miejsca, które mógłbyś nazwać swoim domem, i że może znalazłeś je tutaj. I dla twojej wiadomości, znam tę kapelę, ale nie jestem jakiś fanem gówniarzem, który będzie wyszukiwał jej zdjęcia i wklejał na Pinteresta. Wybacz, że nie zorientowałem się, że macie ze sobą coś wspólnego.

Ostatnie było czystym sarkazmem.

Zgromiłem go wzrokiem, ale on mówił dalej.

– Ty i twój brat się nie dogadujecie?

– Nie chodzi o to... tylko że... moja przeszłość jest trochę skomplikowana.

Roześmiał się, ale w tym śmiechu było coś mrocznego.

– Przypuszczam, że to samo można by powiedzieć o przeszłości większości z nas, stary. To nie znaczy, że należy się z nią kryć.

Westchnąłem ciężko.

– Ja... ja nie rozmawiam o tym z nikim. Ani z tobą. Ani z Damianem. Więc nie musisz się czuć urażony.

Jedyną osobą, której w tym względzie ufałem, była Edie.

– W porządku. Kapuję. I szanuję twój wybór. – Przepchnął gazetę jeszcze dalej. – Ale może dobrze by było, żebyś na to zerknął.

Wstał i wyszedł, zostawiając mnie samego i lekko przerażonego.

Bardzo nie chciałem czytać tytułu nad artykułem, ale nie dało się go zignorować. Poczułem ucisk w piersi.

Sunder się podzieli?

Przyciągnąłem gazetę bliżej i przełykając grudę w gardle, zacząłem czytać.

Czy to się może wydarzyć?

„Sunder z Los Angeles znowu do tego wraca.

W zeszłym tygodniu Sunder odwołał koncert w Denver zaledwie kilka godzin przed jego planowanym rozpoczęciem z powodu nieprzewidzianych trudności.

Sebastiana Stone’a, lidera zespołu i jednego z jego założycieli, kilka godzin później widziano, jak wbiega do szpitalnego oddziału pogotowia ratunkowego.

Następnego dnia z samego rana zespół poinformował, że terminy ostatnich trzech koncertów północnoamerykańskiej trasy zostaną przesunięte.

Nieujawione źródło donosi: »Baz robi to, co jest odpowiednie dla niego i jego rodziny... czyli jest z bliskimi, gdy ci go potrzebują«.

Sytuacja zespołu, który przeżywał niemałe kłopoty, zaczęła się zmieniać, gdy ich krążek *Forever* z udziałem Shei Stone trafił przed dwoma laty na szczyt listy przebojów. Od tamtej pory zdaniem źródeł bliskich zespołowi Stone zamiast na zespole zaczął się bardziej skupiać na swojej powiększającej się rodzinie.

Sebastian i Shea Stone’owie pobrali się trzy lata przed wydaniem krążka. Shea, która miała już córkę, zanim Stone pojawił się na obrazku, dwa lata temu urodziła syna pary, Connora.

Gitarzysta, Lyrik West, stwierdził ostatnio: »Rodzina zawsze będzie dla nas pierwsza. Tak po prostu powinno być i już«.

West niedawno się ożenił. On i jego żona spodziewają się zimą ich pierwszego dziecka.

Oświadczenie basisty, Asha Evansa, zaciemnia nieco obraz i

wprowadza lekkie zamieszanie. »Urodziliśmy się, żeby robić muzykę. Po prostu. Cała reszta? Plotki czy prawda? To naprawdę bez znaczenia. Sunder nigdzie się nie wybiera«.

Czy Sunder zdoła przetrwać kolejny kryzys?

Czy raczej prawdziwe okaże się stare porzekadło.

W życiu zdarzają się wzloty i upadki”.

Wracaj do domu.

Wracaj do domu.

Prośba Baza wirowała dokoła mnie.

Kusiła i odstręczała.

Tylko że nie wiedziałem, czy w ogóle będę w stanie kiedykolwiek tam wrócić.

Rozdział 27

Austin

Wyszłam z pracy. Może kupię coś na wynos i przyjadę do ciebie? Zjemy miłą kolację. Tylko we dwoje.

Słyszając tę propozycję, westchnąłem z wdzięcznością. W tle głosu Edie słyhać było jedynie wycie silnika jej małego auta.

Wiedziała, jaki ten dzień był dla mnie trudny.

Jasne, że wiedziała.

– Świetny pomysł.

Prawie słyszałem, jak się uśmiecha.

– W takim razie daj mi dwadzieścia minut i jestem u ciebie.

Chwilę milczałem. Cisza na łączach wypełniła się tymi wszystkimi niewypowiedzianymi rzeczami, które z krzykiem domagały się wypowiedzenia.

– Dziękuję – wymamrotałem w końcu.

Jej głos złagodniał w ten niezwykle uroczy dodający otuchy sposób.

– Tacy właśnie jesteśmy, Austinie. Wspieramy się. Rozumiemy jedno drugiego.

– Taa. – To było jedyne, co zdołałem z siebie wydusić, zanim się rozłączyłem. Przycisnąłem dłonie do blatu szafki w kuchni i zwiesiłem głowę. Usiłując zwalczyć atak paniki, wziąłem głęboki oddech.

Kurwa.

Nienawidziłem dzisiejszego dnia. Nienawidziłem tak bardzo, jak bardzo starałem się go ignorować.

Wszedł Deak. Kompletnie nieświadomy tego, co przeżywałem. Klepnął mnie po plecach.

– Jak leci, stary? Właśnie dzwonił Clay. Idziemy na piwo. Dołączycie się z Damianem?

Zerknąłem na niego.

– Nieee, stary. Edie przyjeżdża. Przywiezie kolację.

Na jego czole pojawiła się zmarszczka niepokoju, gdy zobaczył moją twarz.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz nieszczególnie.

Przełknąłem gorzyc w ustach.

– Taa. Dobrze.

Pierdolone kłamstwo.

Bo ilekroć myślałem, że się uwolniłem, że oswobodziłem się z łańcuchów, one tylko jeszcze bardziej się zaciskały.

Ale czego ja się spodziewałem?

Każdego kolejnego roku waliło to we mnie mocniej niż w poprzednim.

– No to w porządku. Ale dryndnij, gdybyś zmienił zdanie.

– Jasne.

Drzwi zamknęły się za Deakiem, który pozostawił mnie sam na sam z ciszą.

Z nią oraz z przeszywającym dzwonkiem mojej komórki schowanej w kieszeni.

Stężałem.

To dziwne, jak czasami po prostu się wie. Równie dobrze mogła przecież dzwonić moja dziewczyna.

Ale ja wiedziałem.

Gdzieś w głębi wiedziałem, że dokładnie tak samo brzmi dźwięk zbliżającej się zagłady.

Wyciągnąłem komórkę z kieszeni.

Baz.

Wypuściłem drżący oddech, zastanawiając się nad tym, żeby odrzucić połączenie, przekierować na pocztę głosową. Ale byłem tak cholernie zmęczony uciekaniem przed tym gównem. Odebrałem rozmowę i przyłożyłem telefon do ucha.

– Cześć – powiedziałem.

Na łączach przez chwilę było cicho. Potem rozległ się jego głos, spięty, zduszony.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, braciszku.

Zacisnąłem oczy. Jakbym mógł w ten sposób to zablokować.

– Baz... przecież, kurwa, nie obchodzimy tego dnia. Dobrze o tym wiesz.

– Myślę, że pora, żebyśmy zaczęli.

– Boże... dlaczego ciągle to robisz? Naciskasz i naciskasz. Prosiłem cię, żebyś dał mi przestrzeń. Czas.

Było oczywiste, że Baz miał własne problemy. Że cierpiał. Możliwe, że choć raz mnie potrzebował. Ale to... to było zbyt wiele. Za bardzo mnie to przytłaczało. Nie byłem w stanie tego unieść.

– Naciskam, bo mi na tobie zależy, Austin. Bo już czas, żebyś zaczął naprawdę żyć. Czas, żebyś wrócił do domu. I nie ze zwieszoną głową, tylko z wysoko podniesioną.

– Do cholery, Baz. Zbyt wiele ode mnie oczekujesz.

Na dodatek wszystkiego nie wiedział o Edie. Nie wiedział, że już znalazłem swoje życie. A Edie nie chciała wracać do tego bajzlu.

Czułem się, jakbym był ciągnięty w tysiące różnych stron. Pragnienie, żeby zadośćuczynić bratu za całe zło, jakie mu wyrządziłem. Świadomość, że ma problemy. Że on też jest w kropce.

Moja kara... mój dług wobec Juliana.

Miłość do Edie.

Wszystko zmieszane z żarem, jaki czułem wokół siebie za każdym razem, gdy stałem za kulisami podczas koncertów Sunder. To ciche, ale bolesne pragnienie, aby stać się częścią tego, czego oni byli częścią.

– Nie doceniasz się, bracie. Masz o sobie zbyt niskie mniemanie.

– Muszę kończyć – powiedziałem i rozłączyłem się, bo nie byłem

w stanie prowadzić tej rozmowy nawet sekundy dłużej. To wszystko, to było dla mnie zbyt wiele. Byłem przeciążony.

Nie dzisiaj.

Nie dzisiaj.

Nawet o tym nie myśląc, wyciągnąłem z szafki butelkę i poszedłem do swojego pokoju. Potem wypadłem z niego z powrotem i ściskając jacka danielsa w jednej ręce i przekłętą małpkę w drugiej, wyszedłem z domu tylnym wyjściem.

Moje kroki dudniły, gdy szedłem wytartą ścieżką na wyludnioną plażę. Na niebie obsypanym gwiazdami królowała noc.

Położyłem się na plecach na zimnym wilgotnym piasku, bliżej wody niż kiedykolwiek wcześniej. Ale nie aż tak, żebym mógł jej dotknąć. Fale przewalały się i rozbijały o brzeg, wznosiły na pół metra i opadały z powrotem do oceanu.

Zapatrzyłem się w bezkresną sieć utkaną z gwiazd.

Zastanawiając się, czy on jest tam w górze, czy na dnie morza.

Przycisnąłem małpkę do piersi, która tętniła pustką.

– Tak mi przykro, Julianie. – Te słowa wypłynęły gdzieś z głębin mojej duszy same z siebie.

Nie podnosząc się, wziąłem łyk jacka. Alkohol był szokiem dla zmysłów. Poparzył mi przelyk i żołądek. Boki ust pociekła cienka strużka.

Wytarłem ją wierzchem dłoni.

I wziąłem następny łyk. A potem kolejny.

– Kurwa, przykro mi – wymamrotałem, trąc rozgrzaną od alkoholu twarz. W odpowiedzi usłyszałem wycie wiatru, poczułem, że on gdzieś tam szamocze się wraz z nim. – Tak mi cholernie przykro.

Nagle o mało nie dostałem zawału, bo wyczułem obecność kogoś jeszcze. Pociuszającą, kojącą. Jej cień padł na moją twarz, zobaczyłem zarys sylwetki.

Odchyliłem głowę w tył, żeby na nią spojrzeć.

Stała nade mną. Moja zbawczyni.

Jej ciepły uśmiech wyrażał współczucie.

– Tak myślałem, że cię tu znajdę.

Usiadłem, wlałem w siebie kolejny haust. I nie ukrywając

obrzydzenia, spytałem:

– Aż tak jestem przewidywalny?

Usiadła obok mnie na piasku i podciągnęła kolana. Popatrzyła w coraz ciemniejszą noc, potem na mnie.

– Nie, Austin. Uważam, że to całkiem naturalne. To tutaj czujesz z nim największą bliskość.

Nie mogąc nad tym zapanować, rozdziawiłem usta ze zdumienia. Ta dziewczyna... Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej aksamitnego policzka. Nie wiedziałem, czy to przez nią, czy za sprawą alkoholu, ale zacząłem mówić, zupełnie się nie kontrolując.

– Wiesz, co przeraża mnie najbardziej?

Spojrzała na mnie, przechylając głowę w bok. Czekaając. Cierpliwa i niewinna.

– To, że kiedy jestem z tobą... to nie boli tak bardzo. Że kiedy jesteś blisko, pustka nie sięga tak głęboko.

Przygryzła dolną wargę.

– I myślisz, że jeśli się tak czujesz, to jesteś wobec niego nie w porządku? Hańbisz jego pamięć?

Kiwnąłem głową, mocniej zaciskając dłoń na jej policzku.

– Dobija mnie, że coś takiego czuję, a on nigdy nie będzie mógł tego poczuć. Zabija mnie myśl, że mu to odebrałem. Że ukradłem mu przeszłość. Żonę, dzieci.

Edie wzdrygnęła się, sięgnęła po butelkę, przystawiła do ust i napiła się z niej. Potem zaczęła mówić, wolno i ostrożnie:

– Codziennie rano budzę się z pragnieniem, żebym mogła cofnąć się w czasie, żebym mogła zmienić to, co się stało. Żebym mogła wymazać ten jeden błąd, od którego wszystko się zaczęło.

Zerknęła na mnie. Jej spojrzenie przeszło mnie jak nóż. Było pociemniałe od bólu.

– Ale wiem, że muszę dziękować Bogu za małe rzeczy. Za wszystkie głupie rzeczy, które potrafią wywołać mój uśmiech. Za kwiaty rozkwitające z rana. Za przebłyski nadziei, kiedy mam szczególnie trudny dzień.

Wciągnęła drżący oddech.

– Poza tym los zesłał mi coś tak wspaniałego, że nie potrafię tego

objąć rozumem. Dał mi ciebie. W głębi duszy wiem, że... czekają nas wspaniałe chwile... pomimo całego naszego przygnębienia i bezradności... pomimo tej całej rozpacz.

– Edie – szepnąłem i wsunąłem dłoń w białe lśniące loki jej włosów. Przyciągnąłem ją do siebie, do swoich ust.

Jej były takie miękkie.

Język tak cholernie słodki.

Światłość.

Kręciło mi się w głowie, żołądek miałem zaciśnięty, myśli przytłumione, ale moje intencje były czyste.

– Potrzebuję cię.

– Masz mnie – odpowiedziała z jękiem, gdy się na nią wczółgiwałem, popychając na piasek.

Przeciągnęła mi rękoma po piersi, a ja się na nią osunąłem. Serce zabiło mi mocno do wtóru jej rozgorączkowanego pulsu.

A może to był mój puls.

Pocałowałem ją namiętnie, tę dziewczynę, która rozumiała mnie tak, jak nikt inny nie potrafił.

Tę, która została stworzona wyłącznie dla mnie.

Światłość w samym środku mrocznego sztormu.

Nagle zadzwoniła jej komórka, którą miała w kieszeni. I za chwilę znowu.

– Poczekaaj, wyłączę ją – wymamrotała. Odsunąłem się trochę, żeby mogła wyciągnąć telefon. Przejechała palcem po ekranie.

Wiedziałem, że chciała to ukryć. Tę czystą panikę, która przemknęła po jej twarzy. Chciała ją zdusić, ale była oczywista.

Zaczęła szybko szukać przycisku wyłączającego telefon.

Wyrwałem go z jej ręki.

– Nie ukrywaj tego, Edie.

Usiadłem na kolanach i pomimo zamazanego wzroku, spróbowałem odczytać wiadomość.

„Pierdolona kurwo. Najpierw ukrywasz przede mną coś takiego, a potem próbujesz spierdolić mi życie. Jesteś mi dłużna”.

Wściekłość.

Przetoczyła się przeze mnie jak błyskawica.

Mocno zacisnąłem palce na komórce.

Piękna twarz Edie była wykrzywiona strachem, głos miała drżący, przepełniony zaskoczeniem.

– Nie rozumiem, dlaczego on nie zostawi mnie po prostu w spokoju. Niech się już ode mnie odczepi.

Podźwignąłem się ciężko na nogi. Zachwiałem. Zakręciło mi się w głowie.

– Kurwa. – Przeciągnąłem ręką po twarzy. – Nie pozwolę mu na to, Edie. Nie pozwolę. Zajmę się tym. Obiecuję. Wszystko naprawię.

Ona też się podniosła.

– Ty tu nie masz nic do naprawiania, Austin.

Ruszyłem w stronę domu. Mrugając. Próbując oczyścić umysł. Edie szła zaraz za mną.

Kiedy dotarłem na werandę, zacząłem po niej krążyć, rwąc włosy z głowy.

– To moja wina, Edie. To przeze mnie.

Tyle że ona nie miała pojęcia, że tak było. Że to ja musiałem wyprostować tę sytuację. Musiałem położyć temu kres.

– Nie, nieprawda – sprzeciwiła się zapalczywie. – Ja... ja do niego... zadzwonię. Porozmawiam z nim. Powiem mu, że już po wszystkim i żeby dał mi spokój.

– Nie. Nie chcę, żebyś z nim rozmawiała. Nigdy. Nie chcę, żebyś się z nim spotykała. Już nigdy więcej. – Odwróciłem się do niej i popchnąłem ją pod ścianę. Całując gorączkowo, mówiłem: – On nie może cię mieć, Edie. Nie oddam mu cię.

Objąłem ją i mocno przytuliłem.

– Potrzebuję cię... potrzebuję cię... potrzebuję cię...

Mamrotałem tak i całowałem ją.

Coraz mocniej.

Coraz namiętniej.

Nie mogąc się nią nasycić.

Szarpnąłem za guzik jej szortów i zdarłem je z niej desperackim ruchem razem z majtkami.

Zacząłem gmerać przy suwaku swojego rozporoka.

Niecierpliwie.

– Potrzebuję cię... – powtórzyłem pożądliwie.

A ona dotykała mnie wszędzie, jej dłonie były tak samo rozgorączkowane jak moje.

Kiedy ją nagle poderwałem w górę i oparłem o ścianę, sapnęła.

Wszedłem w nią jednym zaborczym ruchem.

– Austin.

Świat się zachwiał, a ja westchnąłem ciężko z ulgą. Znowu byłem w tej dziewczynie.

Pieprzyłem ją ostro i szybko.

Chciałem wymazać to całe gównno, które mogło stanąć między nami i nas rozdzielić. Chciałem mieć ją bliżej. Tulić i chronić. Nigdy nie wypuścić z objęć.

Mój orgazm pojawił się znikąd. Był intensywny. Oślepiający. Zadzwońło mi w uszach, wykrzyknąłem jej imię.

I ledwie do mnie docierało, że ona też krzyczy.

– Zaczekaj... zaczekaj.

Czekaj.

Wysunąłem się z niej, oczy miałem wielkie od szoku, gdy się przekonałem, że moje ciało nadal podryguje w spazmach i strzela spermą na jej brzuch.

Ale to fakt, że sperma spływała po jej udzie, sprawił, że z miejsca wytrzeźwiałem.

Równie dobrze mogłem jej wbić nóż w serce.

Bo widziałem, jak się rozpada.

Jak się kruszy, roztrzaskuje.

Jej twarz od tej zdrady zamieniła się w zastygłą maskę przerażenia. Z szeroko otwartymi oczami i ustami, zachwiała się i cofnęła.

W przyszłym tygodniu miała umówioną wizytę u ginekologa. Chciała się przebadać i prosić, żeby lekarz wypisał jej receptę na pigułki antykoncepcyjne.

Kurwa, tyle razy o tym rozmawialiśmy. O jej lęku, o obawach. To było dla niej tak cholernie ważne. Częściowo dlatego mi zaufała.

Co ja najlepszego zrobiłem?

Zacząła się trząść. Niekontrolowanie.

– Nie... nie... nie.

Chwyliła majtki i zaczęła gorączkowo ścierać z siebie nimi moją spernę.

– Nie.

Powiedziała to cicho. Z rozpaczą. Echo starych ran, które zostały otwarte na nowo.

– Edie. – Dotknąłem jej ramienia.

Szarpnęła się, ale wiedziałem, że mnie nie widzi.

– Nie dotykaj mnie – szepnęła przez łzy, wciągając szorty. Żeby nie upaść, oparła się ręką o ścianę.

Potem weszła chwiejnie do domu.

Zdezorientowana.

Rozejrzała się. Rzuciła się do stołu, na którym zostawiła opakowania po jedzeniu na wynos, i chwyciła kluczyki.

Nie obejrzała się, gdy wybiegała frontowymi drzwiami do samochodu.

Biegłem za nią i wołałem błagalnie:

– Edie, maleńka, przepraszam. Zatrzymaj się... proszę, zatrzymaj się. Wysłuchaj mnie.

Otworzyła szybko drzwi i odepchnęła moją rękę, gdy próbowałem złapać ją za ramię.

– Nie dotykaj mnie – wymamrotała ponownie.

– To nie to samo. To nie to samo. Proszę, wysłuchaj mnie.

Uruchomiła silnik i ruszyła, mimo że stałem w otwartych drzwiach.

Kiedy przyspieszyła, odskoczyłem w tył. Drzwi zamknęły się z hukiem i auto wyjechało na ulicę.

– Kurwa! – wrzasnąłem.

„Bądź ze mną ostrożny”.

Tylko o to mnie prosiła.

Niczego innego mi nie odmówiła. Dała wszystko.

Wbiegłem do domu, chwyciłem kluczyki i pobiegłem do furgonetki. Wskoczyłem do niej i odjechałem na pełnym gazie.

Kiedy dotarłem do domu Edie, ona już tam była, wysiadała z samochodu.

Twarz, którą uwielbiałem, znaczyły czerwone plamy, była mokra od łez.

Drzwi domu otworzyły się i na zewnątrz wybiegł Jed.

Wyskoczyłem z furgonetki dokładnie w chwili, gdy Edie wpadła w jego objęcia.

Zanosząc się płaczem.

Podbiegłem do niej. Jęknęła, gdy poczuła dotyk mojej dłoni na odsłoniętym ramieniu.

– Nie dotykaj mnie. Zostaw mnie. Proszę. Zostaw mnie.

Jed przesunął ją za siebie, żebym nie miał do niej dostępu. Chronił ją tak, jak ja powinienem ją chronić.

Nagle pojawiła się Blaire.

– Edie... o mój Boże... Edie.

Chwyliła ją za rękę i Edie zanurzyła twarz w jej piersi.

Wciąż płacząc.

– Trzymam cię, kochanie – powiedziała Blaire, uciszając ją. Prowadząc Edie do drzwi, posłała mi nienawistne spojrzenie.

Ruszyłem za nimi.

Wtedy Jed pchnął mnie w pierś. Mocno. Zachwiałem się i poleciałem w tył, o mało się nie przewracając.

Ale to nie miało znaczenia. Odzyskałem równowagę i znowu rzuciłem się w pogoń za Edie.

Gotowy się bić.

O nią.

Nie mogłem pozwolić jej odejść.

Nie chciałem jej na to pozwolić.

– To nie to samo, Edie! – usłyszałem, że krzyczę. Błagalnym głosem. – To nie to samo. Nie rób tego. Kocham cię. Proszę. Edie... kurwa... proszę. Wysłuchaj mnie.

Kocham cię.

Jed zagroził mi drogę.

– Ostrzegałem cię, że jeśli ją skrzywdzisz, to cię dorwę.

Cała moja uwaga była skupiona na drzwiach, na odgłosach dochodzących ze środka. Wyminąłem Jeda.

– Ja muszę...

Znowu mnie popchnął.

– Jedyne, co musisz, to się stąd zmyć. Słyszałeś, co mówiła?

Powiedziała, żebyś jej nie dotykał. Żebyś dał jej spokój. I tak właśnie zrobisz.

„Bądź ze mną ostrożny”.

Cofnąłem się.

Dyszząc.

Czułem, że mój świat się rozpada.

Nawet tego nie potrafiłem.

W żyłach zatętniła mi nienawiść.

Bo to byłem ja.

Zawsze niszczyłem wszystko co dobre.

Zawsze wszystko rozpieprzałem.

Raniłem tych, którzy byli mi najdrożsi.

Uznałem, że nie mam już nic do stracenia. Nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię, uwolnię Edie. Wysłwobodzę ją z łańcuchów, które wciąż trzymały ją na uwięzi. Ochronię ją przed tym sukinsynem, żeby mogła żyć.

Choć raz.

Choć raz.

Choć raz zrobię coś tak, jak należy.

Rozdział 28

Edie

Edie... no już uspokój się... uspokój.

Blaire pogładziła mnie po włosach, przy okazji odchylając moją głowę w tył. Zmuszając mnie, żebym na nią spojrzała, na jej twarz skurzoną niepokojem.

– Cii... Już dobrze. Już nie płacz. Już się uspokój, dobrze? Weź głęboki oddech.

Spróbowałam, ale za bardzo drapało mnie w gardle i za bardzo miałam zaciśnięte płuca. Rzęząc, znowu załkałam.

– Jak on mógł? – wydyszałam.

Jak on mógł.

Obiecał. Obiecał.

Blaire chwyciła mnie za brodę.

– On ci coś zrobił, Edie? Musisz mi powiedzieć, jeśli cię skrzywdził.

– Tak... – Znowu zarzęziłam, a potem pokręciłam głową. Próbując zrozumieć, co się właściwie wydarzyło w ostatnich piętnastu minutach. – Nie... nie w ten sposób.

Jak przeszliśmy od najwyższego uniesienia do najniższego dna?

Austin.

Cierpiałam i słysząc, jak mnie woła, jak zapewnia, że to nie było to samo, chciałam do niego pobiec.

Chciałam mu uwierzyć.

Nie wiedziałam, jak mam to wszystko objąć. Jak oddzielić te dwa zdarzenia.

Zamiast tego płakałam zwinięta w kłębek, uszy wypełniał mi ostry ton głosu Jeda i panika Austina. Kiedy usłyszałam wycie odjeżdżającej furgonetki, opadłam na kolana.

– Austin – szepnęłam z rozpaczą.

Blaire uklękła przede mną i wygładziła moje potargane włosy.

– Co się stało?

Do pokoju wpadł Jed. Wściekły, naładowany agresją.

– Co ten skurwiel ci zrobił? Ja go zabiję, Edie. Przysięgam, że go zabiję. Wiedziałem, że tak będzie... kurwa, wiedziałem.

Zaniosłam się jeszcze głośniejszym szlochem.

– Jed... zamknij się. – Blaire posłała bratu ostrzegawcze spojrzenie. – Tak w niczym nie pomożesz.

Podłoga zabębniła pod jego ciężkimi krokami, gdy podchodził.

– Co on ci zrobił, Edie? Mów.

Blaire głaskała mnie po głowie, a ja walczyłam z napływem emocji.

Które zalewały mnie fala za falą.

Wszystkie moje lęki.

Wszystkie obawy.

Wykradzione nadzieje.

Wszystko to, czego przez Austina zaczęłam pragnąć.

I ból po stracie. Stracie, której powtórnie na pewno bym nie przeżyła.

Dlatego uciekałam od tej ewentualności.

Otoczyłam się murami w nadziei, że ochronią moje pokiereszowane serce przed kompletnym rozpadem.

Właśnie dlatego przed laty ja i Austin nie mogliśmy się do siebie zbliżyć. To dlatego tak się przeraziłam, gdy go teraz spotkałam ponownie. Dlatego był taki ostrożny, gdy ja powoli ulegałam temu, co zawsze między nami istniało.

Wszystko dlatego, bo się bałam, że mogłabym ponownie przeżyć coś tak strasznego.

Tyle że znowu się zapomniałam, bo utrata Austina była niemal równie bolesna.

Inna.

Ale mimo wszystko kompletnie mnie rozbiła. Rozdarła na strzępy.

Austin.

Czy już zawsze będę pozwalała, żeby to dyktowało mi, kim byłam. Kim miałam być?

Osunęłam się na podłogę, przycisnęłam do siebie kolana.

Zamglonymi oczami popatrzyłam na przyjaciół. Tych, którzy mnie przyjęli, gdy byłam na samym dnie.

– Ja... – Słowa utknęły mi w gardle. Mocniej przyciągnęłam kolana do piersi, jakby to miało mi pomóc wypełnić tętniącą w niej pustkę. – Ja... kiedy miałam czternaście lat...

Rozdział 29

Edie – lat czternaście

Edie przeciągnęła grubą rolką taśmy klejącej po wierzchu kartonu. Czoło znaczyły jej kropelki potu, które spływały po kolumnie szyi. Mdłości nasiliły się.

Czując zawroty głowy, przytrzymała się kartonu, żeby się nie zachwiać. Spuściła głowę i walczyła z podchodzącą do gardła falą nudności. I z czającą się na obrzeżach świadomości prawdą.

Sześć tygodni temu wróciła do domu z przyjęcia i zmusiła się do wzięcia gorącego, wręcz parzącego, prysznic. Szorowała się tak długo, aż jej skóra zrobiła się szorstka i czerwona. Aż nie czuła już tego mdlącego zapachu, obrzydliwego smrodu seksu, mężczyzny i swojej własnej głupoty.

Wyszła spod prysznic, owinęła się ręcznikiem i drżąc, popatrzyła na swoje nieszczęsne odbicie w lustrze.

Czuła się taka głupia i naiwna. Wykorzystana i zbrukana.

Nigdy więcej.

Stojąc tam, przysięgła sobie, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Już nigdy nie da się wykorzystać w ten sposób żadnemu mężczyźnie. Dotyk żadnego nie będzie już nigdy niechciany ani nie będzie napawał jej lękiem i przerażeniem.

Przysięgła sobie, że wyciągnie nauczkę z tej lekcji, ale o samym zdarzeniu zapomni.

Jeden błąd.

Który pozostawiała za sobą, w przeszłości.

Teraz jak w chorobie zalewał ją pot, aż czuła, że jest cała mokra.

Nudności nasiliły się jeszcze bardziej.

Poderwała się i pobiegła do łazienki. Na kolana opadła na sekundę przed wyrzuceniem z siebie swojej rozpacz do toalety.

– Nie. Nie. Nie. – Przywarła do sedesu i modliła się. – Błagam, nie.

Edie wysiadła z miejskiego autobusu na drżących nogach.

Przyjechała do dzielnicy, do której nie chciała wracać nigdy więcej. Autobus odjechał. Wstrzymała oddech, żeby nie wdychać gęstych czarnych oparów dieslowskiego silnika unoszących się w gorącym stojącym powietrzu.

W brzuchu czuła trzepotanie motyli.

Ale nie tych dobrych.

Te rzucały się i szarpały ze strachu. Przełknąwszy ciężko ślinę, Edie zbiła dłonie w pięści, pierś otoczyła ramionami i zmusiła się do ruszenia w kierunku domu, z którego przed ośmioma tygodniami wykradała się w środku nocy.

Nie miała innych opcji ani wyboru, musiała tu przyjść.

Nie musisz się bać. Dasz sobie radę. Dasz sobie radę.

Powtarzała to jak mantrę, podążając za znakami ulicznymi, prowadzącymi na północ, w głąb zapuszczonej dzielnicy z jej zaniedbanymi domami, równie lichymi, co tandetnymi.

Ktoś z przejeżdżającego samochodu zatrąbił na nią, wykrzykując jakieś sprośności. Skurczyła się, podciągając ramiona w górę, jakby to mogło ochronić ją przed nieznanym przeznaczeniem czającym się w oddali.

Kiedy stała przed furtką domu, dla odwagi wzięła głęboki oddech.

Dom za dnia wyglądał zupełnie inaczej niż nocą, wtedy nie widziała go wyraźnie.

Posesję otaczało niskie ogrodzenie z drutu.

Za nim ukryty za gęstwiną przerośniętych drzew i krzaków majaczył dom. Na podwórku wały się śmieci, na froncie stało zepsute auto, bez maski i z rdzewiejącym bokiem.

Dasz sobie radę.

Powtarzała te podnoszące na duchu słowa, tak naprawdę nie wiedząc, co robi i co spodziewa się uzyskać.

Kula przerażenia zawirowała w jej już i tak podrażnionym żołądku, kiedy pomyślała, kto na nią czeka w środku.

Ale już tu była i potrzebowała pomocy. Nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić.

Dlatego nie porzuciła swoich planów. Pomaszerowała odważnie do drzwi i zastukała w nie.

Kiedy otworzyły się gwałtownie, cała odwaga ją opuściła.

Stał tam ze sprośnym uśmiechem unoszącym jeden kącik ust, oparty o framugę.

– No, no. Wygląda, że ktoś wrócił po więcej. Czyli jednak nie było aż tak źle, co?

Edie zadrżała, wyginając palce.

– Nie... to nie o to...

Uśmiezek ze sprośnego zamienił się w kpiący.

– To, po co tu, kurwa, przylazłaś? Przecież się umówiliśmy. Powiedziałem twojemu bratu, że źle się poczułaś, dzięki temu mogłaś się stamtąd zmyć, a on się nie dowiedział, jaka z ciebie mała puszczańska. Nie ma szkody, nie ma smrodu. Teraz ty musisz dotrzymać swojej strony umowy.

Nie ma szkody, nie ma smrodu?

Jej świat tonął w smrodzie po uszy.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Z jego ust wytoczył się szyderczy rechot.

– To znaczy?

– Jestem w ciąży.

Zamarł, potem pokręcił głową.

– A co to ma wspólnego ze mną, do cholery?

Ściągnęła brwi, próbując zrozumieć jego odpowiedź.

– Ja... my...

Teraz już jego śmiech brzmiał twardo, okrutnie.

– Takie małe kurewki jak ty... zawsze stosują tę samą pieprzoną sztuczkę. Udajecie, że zaszłyście w ciążę, żeby wyciągnąć od nas kasę. Nie myśl sobie, że jesteś pierwsza, która pojawiła się pod moimi drzwiami. Ilu jeszcze innych facetów oprócz mnie zaliczyłaś?

– Innych facetów? – Pokręciła głową. – Byłeś tylko ty.

Prychnął w niebo.

– Ta, jasne.

– Przysięgam. – Zabrzmiało to prawie jak błaganie. – Proszę, ja naprawdę potrzebuję pomocy.

Kręcąc głową z odrazą, zaklął pod nosem, zostawił drzwi otwarte i zniknął w głębi domu.

Czekała na niego z zaciśniętym żołądkiem. Gdy wrócił, powróciła też nadzieja.

Chwycił ją za nadgarstek, rozpostarł jej dłoń i wetknął w nią plik zwiniętych banknotów.

– Trzysta dolarów. O trzysta więcej niż jesteś warta. No ale cóż, czasami trzeba zapłacić kurwie za usługi.

Gdy z trzaskiem zamknął jej drzwi na twarzy, była kompletnie zdezorientowana.

Podniosła rękę i popatrzyła na pieniądze.

Trzysta dolarów.

Boże.

Potrząsnęła głową, walcząc ze łzami.

Była głupia. Dopiero w tamtym momencie załapała, po co jego zdaniem zjawiała się u niego.

Zacisnęła oczy, jakby mogła w ten sposób oddzielić się od tego wszystkiego.

Potem, jak mała naiwna dziewczynka, którą w swoim mniemaniu po prostu była, odwróciła się i uciekła.

Deszcz walił w okna, duże krople zbierały się razem i ściekały strumieniami po szybie. Edie wyglądała przez nią, patrzyła na zielony krajobraz jej nowego domu w Ohio. Rękę trzymała na brzuchu, który dopiero zaczynał się zaokrąglać.

Jej tajemnica.

Jej życie.

Na jej ustach zatrzepotał czuły uśmiech, ale oblepiony lękiem.

Lękiem przed znalezieniem się w sytuacji bez kontroli.

Lękiem przed przyszłością.

Lękiem przed przeznaczeniem.

Wiedziała, że ta chwila nadejdzie. Tylko naiwnie sądziła, że stanie się to później, nie wcześniej.

Sapnięcie matki sprawiło, że spojrzała w bok. Żeby się nie przewrócić, matka złapała się framugi.

– Edie... dziecko. Co ty zrobiłaś?

Edie leżała na podłodze i płakała, a jej matka tuliła ją do siebie i kołysała jak małe dziecko.

– Tak jest dobrze, maleńka, tak będzie lepiej. Masz przed sobą całe życie. Kiedyś mi podziękujesz. Zapewniam cię, że kiedyś będziesz mi dziękowała.

– Nie, mammo, nie.

Matka wycisnęła pocałunek na jej czole.

– Trudno jest wyobrazić sobie przyszłość, Edie. Trudno zrozumieć, ile jeszcze dla nas szykuje, gdy tkwi się w chwili obecnej. Ale ja twoją widzę. Zawsze widziałam. Wyobrażałam ją sobie. Twoje osiągnięcia. To, kim się staniesz.

Ale Edie.

Ona też widziała swoją przyszłość. W obrazkach, migawkach.

Tylko że te kadry... te kadry przedstawiały coś zupełnie innego, niż wyobrażała sobie jej matka.

Edie zwinęła się w kulkę. Ze wszystkich stron napierała na nią noc. Nogi miała przyciśnięte do okrągłego brzucha tak mocno, jak tylko się dało, ale nawet w przybliżeniu nie tak mocno jak ramiona.

Dziecko kopnęło, a ona rozplakała się. Zalało ją przytłaczające uczucie.

Radość zmieszana ze smutkiem. Radość i smutek.

Uderzały w nią z każdej strony. Podcinały nogi, wdeptywały w ziemię.

Nie powinna kochać. Nie w ten sposób. Ale kochała. Boże, kochała.

Edie, wciskając głowę w poduszkę, głośno płakała. Z jej ust wydarł się pełen bóleści krzyk. Matka mocno ścisnęła jej rękę.

– Już prawie koniec, Edie. Jeszcze tylko jedno parcie. Jedno parcie i będzie po wszystkim.

Po wszystkim.

Edie wcale tego nie chciała.

Chciała, żeby to trwało. Chciała zatrzymać ją tam, gdzie mogła ją mieć dla siebie. Gdzie mogła ją chronić i kochać.

– Nie. – To był wrzask, ochrypiły, zbolwały szloch. Jej głowa rzucała się w gorączce na boki.

Wyprężyła się.

I wszystko ucichło.

Cały świat znieruchomiał, a wraz z nim stanęło jej serce.
Słaby przerywany płacz.
Malańkie perfekcyjne ciało.
Serce Edie zerwało się do biegu.
Miłość. Miłość. Miłość.
Zalewała ją, zatapiała, pochłaniała.
Edie szybko usiadła, wyciągnęła ręce. Zdesperowana, szukała dziecka.

– Proszę – zakwiliła.

I dostała ją. Położyli ją w jej ramionach, opatuloną małym białym kocykiem, w niebiesko-różowej czapeczce na głowie.

Usteczka czerwone.

Oczki spuchnięte.

Zamrugwały najbłękitniejszą szarością.

Matka Edie spojrzała w dół i zalała się łzami.

– Już czas.

Edie przycisnęła małą do serca.

– Nie... zmieniałam zdanie, ja się rozmyśliłam.

Matka pokręciła głową.

– Nie rób tego, Edie. Proszę, nie utrudniaj tego bardziej.

Pielęgniarka wyciągnęła ręce po dziecko. Edie przycisnęła małą jeszcze mocniej.

– Nie... nie... zmieniałam zdanie.

Nikt nie słuchał. Czyjeś dłonie oderwały ją od niej.

Głos matki sączył się przy jej skroni, ręka we włosach, jakby to mogło ją uspokoić, ukoić.

– Później mi podziękujesz. Obiecuję ci, maleńka. Obiecuję. Już wkrótce zapomnisz.

Edie patrzyła, jak drzwi zamykają się za nimi. Dyszała, dusząc się. Potargane mokre włosy lepiły się jej do twarzy.

Bolał ją każdy milimetr ciała.

Rozdartego, wypatroszonego.

Edie krzyknęła.

W niebiosa.

– Zaczekajcie. Proszę, zaczekajcie.

I to puste miejsce.

Strata. Strata. Strata.

– Nie! – zawyła. – Nie!

I wtedy sobie obiecała.

Obiecała, że nigdy więcej nie pozostanie bez wyboru. Przysięgła sobie, że już nigdy więcej nie dotknie jej żaden mężczyzna.

Edie musiała zmuszać się do wstawania. Do poruszania się. Do wychodzenia z domu.

Miała wrażenie, że każdy krok wymagał od niej największego wysiłku, że nie zdoła nabrać kolejnego oddechu.

Dni, tygodnie, miesiące spędziła na przekonywaniu siebie, że dokonała słusznego wyboru. Że ona była bezpieczna, kochana, że o nią dbano.

Jej głowa to rozumiała.

Nie wiedziała tylko, jak przekonać o tym serce.

To po prostu tak bardzo bolało. Paraliżujący ból, który zdawał się nigdy nie słabnąć.

Dlatego jej szukała w twarzy każdego dziecka, które mijala, w każdym płaczu roznoszącym się w powietrzu, przez lata, które nie wymazywały pustki ani rozpacz.

Edie zamknęła się w sobie. Zamknęła swoje serce i duszę. Oddała się w ręce stagnacji i zastoju.

Bo nie mogła zrobić tego ponownie. Nie mogła zaryzykować utraty tego rodzaju miłości.

Już nigdy więcej.

Drzwi uchyliły się lekko, wpuszczając do środka wiązkę przyćmionego światła. Spięła się, słysząc echo kroków. Sapnęła z zaskoczenia, gdy kojące palce pogładziły ją po włosach.

– Cii... jestem z tobą.

I po raz pierwszy strach się nie pojawił, a kiedy wczuł się na łóżko i położył obok niej, nie czuła się już taka pusta.

Ten chłopak ze spojrzeniem takie jak jej.

Wystraszonym.

Zagubionym.

Otulił ją ramionami. Czującymi, które drżały, tak jak reszta ciała.

Wypuściła wstrzymywany oddech i przycisnęła głowę do jego piersi, tam, gdzie jego serce łomotało, obijając się o żebra.

Podniósł w górę łapacz snów.

– Widzisz. Nie musisz się bać. To... wyłapie wszystkie twoje sny. One nie mają nad tobą władzy. Nie mogą cię skrzywdzić. Miej go zawsze przy sobie, a on ci zapewni spokój i bezpieczeństwo.

Po raz pierwszy, od kiedy ją oddała, Edie coś poczuła.

Spokój.

Rozdział 30

Austin

Samolot wylądował w LA.

Wsiadłem na tył oczekującego samochodu i wysłałem bratu wiadomość.

„Jestem w LA”.

Odpowiedź przyszła od razu.

„Jesteś tu? Dlaczego nie dałeś znać, że przyjeżdżasz?”

Wystukałem odpowiedź.

„Zdecydowałem się w ostatniej chwili. Gdzie jesteś?”

Barki przygniatało mi poczucie winy. Wiedziałem, że wprowadzam Baza w błąd. Nie przyjechałem z powodów, dla których chciał, żebym przyjechał. Ale nie mogłem się tym teraz przejmować i zarazem zaopiekować Edie. Bo kurwa... ona była najważniejsza. Gdyby Baz wiedział, co się dzieje, na pewno by się ze mną zgodził. Byłem o tym przekonany.

„Stary dom Sunder. Na zebraniu zespołu. Są wszyscy.

Przyjedź jak najszybciej”.

Kolana trzęsły mi się jak galareta. Palce niespokojnie bębniły w udo.

Czterdzieści pięć minut później samochód dotarł do Hills. Przy wąskiej wijącej się drodze domy stały blisko siebie, zimozielone krzewy i palmy kołysały się na wietrze. Bezkresny przestwór miejskiego nieba był zabarwiony przez gęsty smog na brudną szarość.

Uderzyła we mnie silna fala tęsknoty za domem.

Przywitałem ją zarówno z radością, jak i z nienawiścią.

Bo z każdą mijającą sekundą byłem coraz bardziej zdenerwowany. Coraz bardziej wzbierał we mnie mdlący niepokój.

Tik.

Tak.

Jak powolny obrót kółek nakręcających mechanizm starodawnego

zegara.

Naprawię to, Edie. Obiecuję. Nawet jeśli już nigdy się do mnie nie odezwiesz, zamierzam to naprawić.

Mielłem te słowa w ustach w ramach niemej obietnicy.

I zaciskałem dłoń na wytartej zielonej małpce, którą, gdy się rano pakowałem, zabierając potrzebne rzeczy, wetknąłem wraz z nimi do plecaka.

Damian deptał mi po piętach, chcąc wiedzieć, co się do diabła dzieje i jak długo mnie nie będzie. Powiedziałem, że nie wiem, ale że na jakiś czas muszę wyjechać i że gdyby jakimś cudem Edie się pokazała, ma jej powiedzieć, że wrócę, jak tylko będę mógł.

Zgniotłem pluszową zabawkę w palcach, jakbym miał nadzieję, że jeśli zrobię to dostatecznie mocno, małpka wykrzyczy odpowiedzi na mnożące się w mojej głowie pytania.

Ale zamiast tego odpowiedziała echem straty, jękiem zgłodzonego bytu, którego obecność nawiedzała mnie niczym duch.

Samochód wjechał na wyłożony kostką ukryty w głębi podjazd. Rząd szpanerskich aut – niektóre rozpoznawałem, niektóre były nowe – stał przed masywną i imponującą, pokrytą stiukiem rezydencją, w dużej części zasłoniętą wysokimi drzewami i ich bujnym listowiem.

Zdenerwowanie, od którego płonęły zakończenia wszystkich moich nerwów, podskoczyło próg wyżej.

Samochód zatrzymał się.

Otworzyłem drzwi, wysiadłem i zarzuciłem plecak na ramię.

Wymamrotałem ciche „dziękuję” i przy wtórze echa własnych kroków poczłapałem chodnikiem do zdobionych podwójnych drzwi frontowych.

Nie miałem pojęcia, czy powinienem zapukać, zadzwonić czy, kurwa, może po prostu wejść.

Bo już nie znałem tego miejsca.

Nie wiedziałem, gdzie należę, gdzie pasuję.

Nie wiedziałem, czy w momencie, gdy przejdę przez te drzwi, nie cofnę się w czasie i nie stanę się tym mazgającym się dzieciakiem, który niszczył własne życie i życie wszystkich wokół, bez nawet odrobiny zastanowienia.

Lekkomyślnie.

Bezmyślnie.

Bezsensownie.

Tak jak zeszłej nocy.

Ale kurwa. Byłem zdecydowany utrzymać w kupie te niewiele kawałków, które jeszcze trzymałem w garści.

Nie wyjadę stąd, dopóki nie zrobię tego, co należy. Dopóki ten chuj Paul nie będzie już nikomu zagrażał. Położyłem rękę na klamce i po chwili zawahania nacisnąłem na nią. Metal zazgrzytał o metal.

Drzwi otworzyły się na wnętrze będące niczym więcej tylko chaotyczną przestrzenią rozbuchanej ekstrawagancji.

Hol był szeroki, otwarty i wysoki. Po lewej widniała para podwójnych drzwi. Za nimi znajdowała się kuchnia, pod każdym względem równie bogato urządzona, co reszta rezydencji.

Po prawej ciągnął się korytarz prowadzący do piwnicznych gabinetów i pokoju wypoczynkowego, a obok szeroka klatka schodowa wspinająca się ku dwuskrzydłowemu piętrem mieszczącemu sześć sypialni.

Emocje zatętniły wraz z napływem wspomnień. Nie mogłem powstrzymać myśli, które powędrowały do pokoju tuż nad moją głową.

To tam po raz pierwszy odnalazłem Edie, a ona mnie.

Na samym środku parteru mieścił się ogromny salon, otwierający się na rząd przesuwanych szklanych drzwi wychodzących na basen i rozciągające się poniżej miasto.

Po całym ciele przeszedł mnie dreszcz.

Bo nagle naszło mnie wrażenie, że chyba znalazłem się w domu.

Ale towarzyszyła temu dezorientacja.

Dlatego że niepewność co do tego, gdzie jest moje prawdziwe miejsce, była większa niż kiedykolwiek.

Plecak zsunął mi się z ramienia i wylądował z hukiem na marmurowej posadzce. Odgłos moich kroków na lśniącej terakocie poniósł się echem w głąb domu. Odzewem był dźwięk brzmiący jak samotność.

Wzdrygnąłem się, bo usłyszałem, że ktoś schodzi na dół.

Szybko spojrzałem w prawo. Kompletnie niczego nieświadomy, po

schodach zbiegał Ash.

Zobaczenie go było jak cios prosto w brzuch.

Jasne włosy potargane, muskularne pokryte tatuażami ramiona, twarz uśmiechnięta.

Ciężar, jaki nosiłem na barkach w zastępstwie jego siostry, przygniótł mnie z taką siłą, że o mało nie przykucnąłem.

Gdy mnie zauważył, odchylił się. Chwycił się poręczy i zatrzymał w pół kroku.

Na twarz wypłynął mu wyraz zaskoczenia. Błękitne oczy, tak podobne do oczu Edie, zabłyśły. Ale to jego zaskoczenie wyrażało wyłącznie radość, bo przecież o niczym nie miał nawet najmniejszego pojęcia.

– O rany, niech mnie wszyscy święci, jeśli to nie Austin Stone. We własnej osobie.

Jego głowa kręciła się na boki, kącik ust podniósł się w uśmiešku, tym, który tak lubił przywoływać.

– Nasz włóczęga wrócił wreszcie do domu po latach przygód.

Zszedł stopień niżej.

– Co u ciebie słyhać, do diabła? – Nie zatrzymał się, żeby usłyszeć odpowiedź, tylko kręcąc głową, uśmiechnięty, dotarł na sam dół. – No proszę, proszę, patrzcie państwo. Wbijasz się tu dumnie, taki wyrośnięty. Przez chwilę myślałem nawet, że to Baz. Wyglądasz super. I ryzykując, że zabrzmie jak cipka, którą oczywiście nie jestem, posunę się dalej i bez owijania w bawełnę powiem, że panie będą zachwycone tym, co zobaczą.

Cały Ash, zawsze myślący o sprośnościach i wiecznej pogoni za kobietami.

Roześmiałem się. Bo, do diabła, nie mogłem temu zaradzić. Tak cholernie dobrze było go znowu zobaczyć. Nie sądziłem, że aż tak bardzo mi go brakowało.

– A ja widzę, że tu nie zmieniło się absolutnie nic.

Też się roześmiał, choć z rezerwą.

– Stary... i tu jesteś w błędzie. Te dupki? Powyprowadzali się i potracili głowy dla miłości. Poznajdowali sobie babki. Zaobrączkowali je. Produkują dzieciaki szybciej niż jeździ mój maserati. Cały ubaw w

tych murach zapewniamy już tylko ja i Zee.

Oczywiście, ponieważ to był Ash, mówił to serdecznie i z uśmiechem.

– Serio... dzięki Bogu, że wróciłeś. Pora przechylić szalkę wagi z powrotem na naszą stronę. No wiesz, na stronę tych, co nie ciągną za sobą żelaznej kuli i łańcuchów.

Wróciłeś.

Zrobiło mi się głupio.

Bo tak naprawdę nie wróciłem.

Nie mógłbym. To było ostatnie miejsce, w którym Edie chciałaby przebywać. I wątpiłem, czy Ash byłby taki uchachany i witał mnie tak radośnie, gdyby wiedział, że cały miniony miesiąc spędziłem w jego siostrze. Gdyby miał najmniejsze pojęcie, dlaczego wróciłem. Że przyjechałem, żeby naprawić to, co spierdoliłem dawno temu.

Ash ruszył w moją stronę. Takim krokiem, jakby był właścicielem tego miejsca.

Bo przypuszczalnie był.

Wystawił przed siebie rękę. Potrząsnąłem nią, kompletnie zaskoczony, gdy mnie do siebie przyciągnął, uścisnął i poklepał po plecach.

I szepnął cicho do ucha. Z powagą, cała bufonada wyparowała jak mgła.

– Hej, stary, chcę, żebyś wiedział, że naprawdę cholernie dobrze cię widzieć. Zniknąłeś na tak długo. My wszyscy... brakowało nam ciebie. A twój brat nie tylko tęsknił, ale też cię potrzebował. On się strasznie szarpie, człowieku. Jest w kropce.

Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Odsunąłem się i spojrzałem w stronę okien balkonowych.

I zamarło mi serce.

Bo w oddali dostrzegłem brata.

Faceta, który tak wiele dla mnie poświęcił.

Chyba nie byłem przygotowany na to, że jego widok tak mnie poruszy.

Emocje dosłownie mnie dusiły.

Żal i radość, i dławiący smutek.

Patrzyłem, jak podnosi małego chłopca i podrzuca w górę. Kiedy go złapał, jego pulchne policzki i bródkę obsypał gradem pocałunków. Mały chłopiec zachichotał i wtulił się w ojca.

Ten mały chłopiec, którego nie znałem.

Connor Stone.

Ten, którego nie poznałem, bo byłem zbyt wielkim tchórzem.

Głos Asha przedarł się przez zasnuwającą mój umysł mgłę.

– Idź do niego, stary. Nic go bardziej nie ucieszy jak to, że tu jesteś.

Nie odpowiedziałem. Po prostu ruszyłem w stronę tarasu. Szedłem wolno – ostrożnie – w kierunku człowieka, na którego dobrym zdaniu zależało mi bardziej niż na czymkolwiek. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnąłem, żeby był ze mnie dumny. A mimo to raz za razem odwracałem się od niego i nieustannie go zawodziłem.

Nagle na myśl przyszła mi Edie. To, jak wyglądała, gdy leżała pode mną, i wtedy, gdy znowu ją zmiażdżyłem.

Kurwa.

Kiedy zamierzałem z tym skończyć?

Miałem wrażenie, jakby wszystko we mnie, od żołądka po przetyk, było zaciśnięte.

Rozsunęłam drzwi balkonowe i wyszedłem na zewnątrz.

Zalało mnie ciepło, słońce, dźwięki miasta. Odgłosy Hollywoodu, energia, klaksony, wycie aut na autostradzie w oddali.

Sebastian znieruchomiał, plecy mu zeszywniały, zanim posadził sobie małego chłopca na biodrze i wolno odwrócił się w moją stronę.

Ulga.

Jego czy moja, nie wiedziałem. Ale czułem ją. Ślizgającą się między nami po tej niewidzialnej linii, którą byliśmy ze sobą połączyli.

Rodzina.

Jedna krew.

Oddanie.

– Austin. – Przeciągnął wzrokiem po całej mojej sylwetce.

A ja stałem tam jak ucieleśnienie wyrzutów sumienia. No bo, cholera, nie miałem najmniejszego pojęcia, co tak naprawdę przeżywałem, gdy zniknąłem na całe trzy lata.

Dał w moją stronę kilka ostrożnych kroków.

Ale mój wzrok przyciągał mały chłopiec wczepiony w jego bok. Dzieciak był samą radością, promiennością, uśmiechem, jasne piaskowe włosy i oczy Stone'ów.

Serce zacisnęło mi się wzruszeniem. Rozdzierającym. Kurwa, byłem bliski rozplakania się.

Tam, gdzie stałem.

Jasne, widziałem zdjęcia.

Ale to nawet w przybliżeniu nie było to samo.

– Jest cudowny, Baz. Wygląda zupełnie jak ty – powiedziałem ochryple.

Baz uśmiechnął się uśmiechem, którego nigdy nie spodziewałem się u niego zobaczyć. Przeciągnął dłonią po główce synka aż do policzka.

– Tak mówisz?

– Jasne, stary.

Connor, którego skupienie na jednej rzeczy, jak to u dwulatków, miało krótkotrwały żywot, zachichotał i zaczął się wiercić, pokazując małym paluszkiem na trawnik przy basenie.

Jeśli Ash był zaskoczony, to o mnie należało powiedzieć, że eksplodował mi mózg.

Bo ten basen to było miejsce, które widziało najróżniejszej maści deprawacje. Ale teraz dla bezpieczeństwa dzieci był zakryty specjalną plandeką.

Ash nie przesadził. Zmiany, jakie tu zaszły, były ogromne.

– Piłka... chcę na ziemię – domagał się mały.

– Za chwileczkę, kolego. Najpierw chcę, żebyś poznał kogoś naprawdę ważnego. Co ty na to?

Baz ruszył z synkiem w moją stronę. Szare oczy chłopca zabłyśły zaciekawieniem. Usta ułożyły się do uroczego zawstydzonego uśmiechu. Odpowiedziałem na niego równie nieśmiałym. Connor odwrócił główkę i przycisnął ją do piersi ojca. Zerkał na mnie z ukosa, jakby miał ochotę na kontakt, ale nie bardzo wiedział, co ma o mnie myśleć.

Zalała mnie fala jakiegoś rzewnego smutku.

Sięgającej głębin duszy świadomości tego, co straciłem.

Świadomości straconego czasu.

– To jest mój brat... twój wujek Austin. Potrafisz powtórzyć? Austin? – zachęcał Baz ciepło i czule. Chyba jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby mówił w ten sposób. Może oprócz momentów, gdy zwracał się do tej małej słodkiej dziewczynki, która, gdy tylko ją poznał, natychmiast go zawojowała. Mała była równie urocza, jak jej matka.

Nic dziwnego, że Baz wpadł po uszy, w sekundzie gdy Shea wkroczyła z przytupem w jego życie.

Potrząsnąłem piąstką Connora.

– Hej tam, mały człowieczku. Miło cię w końcu poznać.

Chłopiec uśmiechnął się całą buzią i powtórzył za ojcem moje imię.

– Auffin.

Taa.

O mało nie padłem.

Zalało mnie ciepło. Które przenikło do tych wszystkich mrocznych zakamarków.

Uczucie było tak intensywne, że nie do końca wiedziałem, co mam z nim zrobić. Było tak zupełnie przeciwstawne do horroru, jaki zafundowałem Edie zeszłej nocy.

Zawiodłem jej zaufanie w najgorszy możliwy sposób.

Tak wiele miałem do odpokutowania.

Tak, musiałem o tym pamiętać. Przyjechałem tu, bo miałem powód. Cel.

Uciszyć Paula.

Żeby jego imię już na zawsze mogło zniknąć ze słownika Edie.

Ale było też dla mnie jasne, że nie mogłem tak zupełnie zignorować brata. Ani jego, ani pytań, jakie obaj mieliśmy do siebie.

O jego plany, o których wspominał w swoich listach i SMS-ach. W każdym coraz otwarciej.

Nie. Nie mogłem przyjąć jego propozycji. Nie mogłem wejść w jego buty.

Były za duże dla mnie.

I Edie... to było ostatnie miejsce, w którym chciałyby żyć.

Ale może mógłbym wyprostować sprawy z Bazem przynajmniej

trochę, zarazem naprawiając krzywdę, jaką wyrządziłem Edie.

Cholernie niefajnie, że mój plan zakładał dalsze naciąganie brata. Ale musiałem wierzyć, że on to na koniec zrozumie.

A potem wrócę do Edie i będę błagał o jeszcze jedną szansę.

Na którą nie zasługiwałem.

Mimo to nie zamierzałem poddać się bez walki.

– Taa, mały człowieczku, jestem twoim wujkiem Austinem.

Connor szybko stracił zainteresowanie mną i znowu pokazał na piłkę.

– Piłka... puść... tato, puść.

Baz postawił synka na ziemi i chłopiec odbiegł w stronę basenu. Baz chwilę za nim patrzył, potem znowu odwrócił się do mnie.

W tej samej chwili pojawiło się napięcie.

Zagęszczające powietrze między nami.

– Austin. – Moje imię wypłynęło z ust Baza, jakby było owinięte w chorągiewki ostrzegawcze.

Poczułem pieczenie w gardle. Przełknąłem je i wydusiłem z siebie urywane słowa.

– Dobrze cię widzieć, bracie.

Baz wypuścił przeciągle powietrze i posłał mi pełny niedowierzania uśmiech.

– Boże... miałem rację. Prawie cię nie rozpoznałem. Poza tym, że czuję się trochę tak, jakbym patrzył w lustro.

Zakłopotanie wywołało ciarki na moim karku.

– Tak na nas działa czas, czyż nie?

– Taa, i wygląda, że dla ciebie był on bardzo łaskawy.

Wygiąłem brew i mając nadzieję, że nieco rozluźnię atmosferę, rzuciłem:

– No proszę, jak się puszy. Łaskawy, bo jestem teraz podobny do ciebie, bo wyglądamy prawie jak cholerne bliźniaki, tak?

W chwili, gdy to powiedziałem, obaj się skrzywiliśmy. Ściągnięci ostro z powrotem do brutalnej rzeczywistości. Najchętniej cofnąłbym ten głupi żart. Ale już się stało. Echo moich słów krążyło w powietrzu, domagając się uwagi.

Domagając się rozpoznania.

Nie pozwalając nam zapomnieć.

Jakby to było w ogóle możliwe.

– Austin. – Głos Baza był otulony bólem.

Zacisnąłem dłonie w pięści.

– Przepraszam, stary.

Zmarszczył czoło.

– A za co ty mnie, do diabła, przepraszasz?

– Za wszystko.

Potrząsnął ostro głową.

– Myślisz, że siedziałem tu i rozmyślałem o tym, jak mnie zawiodłeś?

Oczywiście, że tak.

Jak mogłoby być inaczej.

– Wyjechałem.

No więc może to była kulminacja tego wszystkiego. Bo Bóg wiedział, że zaczęło się tego dnia, gdy miałem osiem lat.

Kiedy popełniłem najgorszą ze zbrodni.

Najgorszy grzech.

I wyglądało, że od tamtej pory nie potrafiłem się powstrzymać, żeby ich dalej nie popełniać. Baz znowu pokręcił głową. Ale tym razem na znak reprimendy.

– Sądzisz, że nie rozumiałem, że musiałem wyjechać? Sądzisz, że nie szanowałem tego, co robiłeś, Austin? Kurwa... tęskniłem za tobą jak cholera. Zamartwiałem się o ciebie dniami i nocami. Ale to nie znaczy, że cię nie popierałem. Popierałem w stu procentach.

Zawsze po mojej stronie. Taki był mój brat. Nawet jeśli stawanie za mną tyle go kosztowało.

Znowu obejrzał się na syna, potem powrócił spojrzeniem do mnie i przeciągnął ręką przez włosy.

– Kurwa, człowieku, tak strasznie namąciłem ci w życiu. Wciągnąłem w ten cały syf, który rządził moim światem. Byłeś tylko dzieciakiem i znalazłeś się w samym środku tego bajzlu, musiałeś patrzeć na to całe upodlenie. Myślisz, że nie wiem, że to moja wina, że wpakowałeś się w to gówno?

– Dobrze wiesz, że to nieprawda, Baz. Cała wina leży po mojej

stronie. To ja szukałem sposobu na stępienie uczuć. Szukałem czegoś, czym mógłbym przynajmniej w części zappełnić tę pustkę. I znalazłbym to coś... tak czy owak.

Baz zacisnął usta. Czuję, że buzuje w nim niezgoda na moje słowa.

– Może obaj jesteśmy winni. Nie wiem, kurwa. Wiem tylko, że gdy cię znalazłem w tym autokarze, rozciągniętego twarzą do ziemi, napakowanego tym szajsem...

W jego głosie zabrzmiał smutek.

– Myślałem, że nie żyjesz, stary. Myślałem, że straciłem drugiego brata. I że zginąłeś przeze mnie.

Zbladłem, zmiądzony tym, co mówił. Ale nie dał mi czasu nawet na nabranie oddechu.

– Ale okazało się, że żyjesz, Austin. Żyłeś. Poczuję się tak, jakbyśmy dostali drugą szansę. I w pewnym sensie mi odbiło, chciałem cię za wszelką cenę ochronić, odizolować, tak żeby już nigdy nie stało ci się nic złego.

Wolno pokręcił głową.

– Ale teraz wiem, że to też nie było słuszne. Nie robiłem nic innego, tylko cię hamowałem. Przeszkadzałem stawać się tym, kim miałaś się stać.

Poczuję, że przelewa się przeze mnie fala radości i smutku.

– Zawsze mnie rozumiałaś, Baz. Wiedziałaś, że muszę wyjechać... Jeśli miałem coś ze sobą zrobić, stać się kimś wartościowszym, musiałem odejść, żeby znaleźć własną drogę.

Szaleństwem było to, że znalazłem Edie.

Impuls był tak silny, że prawie zwałił mnie z nóg. Powiedz mu. Wyjaw całą prawdę. Zdusiłem go. Nie chciałem zdradzać Edie. Już nigdy więcej nie ujawnię czyjejs tajemnicy, jeśli nie będę miał na to pozwolenia.

Baz uśmiechnął się kącikiem ust.

– Ale ja widzę tego kogoś. Stoi teraz przede mną.

Ochryplym głosem udało mi się zapytać:

– I jaki ten ktoś jest?

No bo, kurwa... musiałem to wiedzieć.

– To ktoś silny. Ktoś, kto wciąż cierpi i boleje z powodu przeszłości. Ale nie ucieka. Ma odwagę się z nią zmierzyć. To ktoś zupełnie inny od tego wystraszonego dzieciaka, który wyszedł tymi drzwiami trzy lata temu. A mimo to... nadal ma tę samą wrażliwą duszę. Widzę go, Austin. I on jest dobrym człowiekiem. Zawsze wiedziałem, że gdzieś tam jest. Czekał na okazję, żeby pokazać swoją wielkość.

Zacisnąłem zęby.

Boże.

Jego ocena była pochlebna, ale zarazem okrutna.

– Takim kimś właśnie chciałbym być, Baz. Ale chyba jeszcze nie jestem.

Obaj poczuliśmy się skrępowani. Ja ciężko przełknąłem ślinę.

– Widziałem ten artykuł, Baz. Ten o odwołaniu koncertu. O twojej wizycie na ostrym dyżurze. Twoje SMS-y. Słyszałem plotki. Chciałeś, żebym przyjechał, i jestem. Ale teraz musisz mi powiedzieć, co się naprawdę dzieje.

Baz głośno westchnął. Pokręcił głową i wetknął ręce w kieszenie.

– Zawsze uważałeś, że to ty jesteś tym, który się pogubił, Austin. Ale to ja przez całe życie czegoś szukałem. Nigdy do końca nie wiedziałem, dokąd zmierzam. Ale gdy poznałem Sheę, chyba wreszcie zrozumiałem. Zrozumiałem, że moim przeznaczeniem było coś innego. I nie twierdzę, że to źle czy dobrze pragnąć którejs z tych rzeczy. Jednak od chwili gdy znalazłem rodzinę, ciągle czułem się jak w więzieniu.

Zerknął na syna.

– Przez ostatnie trzy lata krążymy w tę i z powrotem. Dzielimy nasz czas między dom, który kupiliśmy tutaj w LA i dom Shei w Savannah. To mnie, kurwa, prawie zabija, ilekroć oni nie mogą przyjechać tu ze mną.

Zajrzał mi w oczy.

– Shea postanowiła przywieźć tu dzieci na lato, żeby było mi łatwiej wracać do domu w trakcie trasy, pomiędzy występami w poszczególnych miastach. Za każdym razem, gdy wsiałam do samolotu, żeby polecieć na koncert, nie chcę tego robić.

Potrząsnął głową.

– Byliśmy w Denver i zadzwoniła Shea. Była superspokojna. Ani

trochę niezdenerwowana. Chciała mnie tylko poinformować, że zabiera Kallie na pogotowie, bo ma gorączkę, której nie da się zbić. Shea chciała się upewnić, że nic poważnego się nie dzieje, a to był weekend.

Nie wyjmując rąk z kieszeni, wzruszył ramionami.

– Spanikowałem, stary. Pojechałem na lotnisko, nikomu nic nie mówiąc. Bo nie mogłem znieść myśli, że mogłoby mnie przy nich nie być, gdyby mnie potrzebowały. Kiedy doleciałem na miejsce, telefon miałem zawalony nieodebranymi połączeniami. Wszyscy się zastanawiali, gdzie się, kurwa, podziałem.

Popatrzył w stronę, gdzie widać było panoramę miasta.

– Zawiodłem zespół, Austinie. Tak jest już od jakiegoś czasu. Bo nie mam do tego serca. Bo ono jest przy Shei. Przy Kallie. Z Connorem. Wycofuję się. Tak czy inaczej.

Poczułem wiercenie niepokoju, a wraz z nim pojawiły się przebłyśki dawnych marzeń.

Baz przyglądał mi się.

– Słyszałem cię, Austin, w te wszystkie noce w twoim pokoju. Jak grałeś. Tak cholernie dobrze, że ja przy tobie wychodziłem na szarpidruta. Wiem, że przez te ostatnie lata też grałeś. Inny materiał, ale to bez znaczenia. Bo dusza pozostała ta sama. I serce też.

– Mylisz się, Baz. Ja... ja wszystko spierdoliłem.

Pokręcił głową.

– Nie. Może ci się tak wydawać. Ale to nieprawda. Ty też tylko poszukiwałeś. Tak jak ja. I kurwa... nie będę udawał, że wiem, gdzie powinieneś wylądować. Ale jedno wiem. Mianowicie, że nikogo innego bardziej niż ciebie nie widziałbym na swoim miejscu. I to jest cała prawda. Nie chodzi o jakieś ratowanie cię czy proponowanie czegoś, na co nie zapracowałeś. Jeśli czujesz w sercu, że tego chcesz, zastąpisz mnie. Jeśli nie? Też będzie okej.

W sercu?

Ono było w panice.

Bo gdy tu przyjeżdżałem, wiedziałem, że Baz zaproponuje mi właśnie to.

I duża część mnie bardzo tego chciała. Ta, która marzyła o tym od zawsze.

Ale moja prawda? Moje serce? Wiedziałem, do kogo ono należy. Do Edie. Postanowiłem jednak, że na razie będę udawał.

Rozdział 31

Austin

Na środku stołu stał wianuszek kieliszków.

Wzrok podekscytowanego Asha wędrował po wszystkich siedzących w naszym gronie.

Bazie, Lyriku, Zee.

Po mnie.

– Za niewysychającą studnię inspiracji i piosenek – rzucił z tym jego charakterystycznym luzackim uśmieszkiem. – Za naszych fanów. Przyjaciół. Za tę niedopasowaną rodzinę. I ponad wszystko... za Austina, że zajmie słusznie mu się należące miejsce. Zaslugujesz na to, stary. Witamy w domu.

W żołądku poczułem wiercenie niepokoju, które zderzało się z przytłaczającym uczuciem słuszności tego, co robię.

Boże. Nie potrafiłem tego pojąć. Tego przyciągania i odpychania. I wydawało się, że im dłużej tu byłem, tym te sprzeczne emocje stawały się silniejsze.

Prawda wyglądała tak, że dobrze się czułem, będąc w domu. Jakbym odzyskał coś, co straciłem.

Ale to uczucie nawet w przybliżeniu nie dorównywało mojej tęsknocie za Edie. Minęły dopiero trzy dni, odkąd kolejny raz ją skrzywdziłem. Dwa od mojego przyjazdu tutaj. Dwa dni i dwie noce, z której żadnej nie przespałem. Nie mogłem. Bolało mnie wszystko. Ciało przepełniała pustka.

Tonałem w czarnym, czarnym morzu.

Próbując desperacko wydostać się na brzeg.

Baz ze swojego miejsca naprzeciwko mnie uważnie mi się przyglądał.

Toasty przed koncertem?

To była jedna z tradycji, z której zostałem wykluczony już dawno temu. W czasach, gdy odpływałem i zacząłem pakować w siebie szajs, przez co tylko jeszcze bardziej spierdoliłem sobie życie.

Chyba każdy z nas miał takie inklinacje. Poza Zee. Facet był sto razy mądrzejszy od nas wszystkich, to nie ulegało wątpliwości.

Gęsty ciemny płyn opływał boki mojego kieliszka, kiedy stukałem nim w kieliszki chłopaków. Wlałem w siebie alkohol i ten, paląc mi przełyk, spłynął do żołądka.

– No więc mówcie, jak to ma wyglądać.

Lyrik wychylił się do przodu, mroczny i kpiąco uśmiechnięty, jak zawsze. Wytatuowaną ręką przeciągnął przez skołtunione ciemne włosy.

– Znasz nasz obecny repertuar?

Jasne, że znałem. Chyba żaden z nich nie sądził, że przestałem słuchać tego, co tworzyli. Ich tekstów, muzyki. Nieważne, jaka odległość nas dzieliła. Nigdy nie mogłbym odsunąć się aż tak daleko.

Tak jak powiedział Baz, gdy dawał mi moją pierwszą gitarę.

Muzykę miałem we krwi.

Częściowo właśnie to nas wszystkich ze sobą łączyło. Piosenki Sunder były po prostu kolejnym elementem tej więzi.

Lyrik kiwnął głową.

– W takim razie wyjdiesz z nami. Zagrasz. Sprawdzisz, jak się z tym czujesz. Potem zdecydujesz, czy chcesz zostać. Po prostu.

O mało nie parsknąłem śmiechem. Bo nie widziałem w tym niczego prostego.

Lyrik odchylił się i rzucił mi mroczne spojrzenie.

– I co, chcesz spróbować? Wykorzystasz szansę?

Szansę na to, żeby pomóc bratu?

Szansę na wynagrodzenie krzywd Edie?

– Taa, stary, spróbuję.

Ash uderzył obiema dłońmi w stół.

– Tak, do diabła. To będzie epickie. Młodszy brat Baza wchodzi na jego miejsce. Dziewczyny oszaleją. – Podniósł ręce i je rozłożył. – Ten chłopak jest spragniony odrobiny miłości, niestety jestem prawie pewien, że ten dupek tutaj nieźle mi w tym względzie nabruździ.

Roześmiałem się, ale ten śmiech był zmieszany z poczuciem winy.

Źle się czułem z tym, że ukrywam coś przed bratem Edie. Tylko co innego, do diabła, mogłem zrobić?

– O nic się nie martw, stary. One i tak są wszystkie twoje.

Zee skrzywił się kpiąco.

– Nie mów mu tego, bo mu odwali do końca.

W drzwiach stanęły Tamar i Shea, żony Lyrika i Baza.

– Puk, puk – zawołała Shea z uśmiechem, wsuwając głowę do środka.

Boże. Dziwnie było widzieć ją po tym wszystkim, przez co przeszliśmy. Czułem, że Shea jest mi tak bliska, jak to tylko możliwe. Sprawy z jej przeszłości, o których się mimowolnie dowiedziałem, nie mając najmniejszego pojęcia, jak bardzo byliśmy ze sobą związani. Uświadomiłem to sobie dopiero, gdy było już prawie za późno.

Dzięki Bogu, że Baz i Shea mieli to już za sobą.

Źe my mieliśmy to już za sobą.

Teraz Baz i Shea mogli żyć spokojnie.

Spokój.

Kurwa.

Tylko tego pragnąłem dla swojej dziewczyny. Siedziałem tam i czułem się, jakbym siedział na rozżarzonych węglach. Zdecydowany, żeby o ten spokój zawalczyć. Niepewny, czy mi się uda.

Tamar weszła do pokoju przed Sheą. Jej ciążowy brzuszek dopiero zaczynał się zaokrąglać.

Lyrik, który był chyba najtwardszym, najbardziej onieśmielającym facetem, jakiego można sobie wyobrazić, na jej widok kompletnie się rozkleił.

– O, jesteś – wymamrotał do idącej ku niemu, kluczącej między krzesłami żony.

Ash zaczął się wiercić, szczerząc zęby, jak arogancki łajdak, którym był.

– Ach, Tam, Tam. Właśnie rozmawialiśmy o tym, że przydałoby mi się odrobinę czułości. I zjawiasz się ty. Chodź, daj całusa, mała.

– Uważaj, stary, radzę ci – warknął Lyrik, ale zaraz potem skupił uwagę na żonie, którą posadził sobie na kolanach i nie przejmując się, że robi to na oczach wszystkich, namiętnie pocałował. – Hej, co wy zawsze

tacy podejrzliwi? Chciałem się tylko przywitać.

Zee rzucił w Asha długopisem.

– Może dlatego jesteśmy tacy podejrzliwi, że już się napatrzyliśmy na to, w jaki sposób witasz się z dziewczynami.

Ash uchylił się przed pociskiem i szeroko uśmiechnął.

– Co? Co ja na to poradzę, że jestem taki pociągający i dziewczyny nie potrafią mi się oprzeć?

Shea, mijając go, pacnęła go ręką w tył głowy.

– Czekaj, czekaj. Wciąż wisisz mi stówkę za ten twój nedorzeczny dom w Savannah. Te wszystkie pokoje pomalowane na różowo i niebiesko. Widziałam superfajne kowbojki, które pasowałyby mi jak ulał.

Shea posłała mi ciepły uśmiech, okrążyła stół i podeszła do mojego brata.

Ash pokręcił głową, jakby szykował się do powiedzenia najsmutniejszej rzeczy na świecie.

– Coś mi się zdaje, że te twoje buty zostaną tam, gdzie są... aż wyjdą z mody.

– Pożyjemy, zobaczymy – odcięła się Shea, która nachyliła się do Baza i opłótła mu szyję ramionami.

Roześmiałem się i podparłem łokciami o stół.

Miałem mętlik w głowie.

No bo, Boże. Bycie tu, z chłopakami? Z Sheą i Tamar? Czułem się z nimi jak z rodziną, jakbym był w domu.

Ale zarazem moje serce wyrывało się do jedynej rzeczy, która sprowadzała do niego spokój.

„Czujesz mnie?”

Jak nawałnica uderzyła we mnie fala myśli o Edie. Które wciągały mnie głębiej, w samo epicentrum sztormu.

Czułem to.

Że zbierał się w oddali.

– Jak ci minął dzień? – spytała Shea z ustami przy uchu brata.

Baz spojrzał w moją stronę.

– Dobrze, cholernie dobrze. To był dobry dzień.

Następne dwie godziny spędziliśmy wszyscy w piwnicy domu

Lyrika, w którym mieszkał z rodziną.

Baz dał mi elektryczną gitarę i cała nasza czwórka zabrała się do opracowywania repertuaru na koncert. Tak, żeby uwzględnił moją osobę. Żebyśmy mieli pewność, że dam radę go udźwignąć.

Baz krążył za naszymi plecami, wybijając rytm na udzie i kiwając głową. Od samego początku trzymał się z tyłu jako ten, który tylko podpowiada i doradza.

Czułem się tam cholernie dobrze.

Na swoim miejscu.

Ale zarazem z każdą linijką tekstu, z każdym twardym, chaotycznym, szarpiącym rytmem w moim wnętrzu coś coraz głośniejsze i ostrzej domagało się mojej uwagi.

Napraw to. Uwolnij ją. Choć raz zrób coś tak, jak należy.

– Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli wyjdę na chwilę na dwór odetchnąć świeżym powietrzem? – spytałem.

Baz kiwnął głową w stronę schodów.

– Idź na jak długo chcesz.

Odstawiłem gitarę i w tym momencie ogarnęło mnie jakieś obezwładniające przecucie. Zdusiłem je jednak i wspiałem się po schodach na parter olbrzymiego domu Lyrika. Dom był dwupiętrowy, urządzone luksusowo i z klasą.

A jednak atmosferę miał rodzinną. Może przez rozrzucone wszędzie zabawki, dowód obecności syna Lyrika, Brendona. A może przez to, jak Tamar krążyła po nim na bosaka. Albo przez niosący się echem po kamiennych kaflach dźwięczny śmiech Shei.

A może chodziło o radość, którą czuć tu było w każdym zakamarku.

I właśnie czegoś takiego pragnąłem dla Edie.

Radości.

Wolności.

Chciałem, żeby moja dziewczyna była wreszcie wolna od tego całego gówna.

Wtedy może w końcu zobaczyłaby, że decyzja, której nigdy nie chciała podjąć, była tą właściwą. Może wtedy pozbyłaby się poczucia winy i wstydu.

Uwolniona od podłości Paula i jego zemsty.

Ale to ja musiałem o to zadbać.

Czegokolwiek by to ode mnie wymagało.

I zamierzałem to zrobić.

Zamierzałem ją uwolnić.

Otworzyłem jedną część masywnych drzwi balkonowych obramowanych rzeźbioną framugą z drewna i wyszedłem w odurzające ciepło późnego popołudnia. Poniżej tarasu huczało Miasto Aniołów.

Wyciągnąłem telefon i wyszukałem numer, który znałem już na pamięć. Ten, który prześladował Edie przez ostatnie dwa miesiące.

Robiłem z siebie pośmiewisko, pisząc do tego sukinsyna, którego z całego serca pragnąłem zniszczyć.

Z całego serca pragnąłem uciszyć ten głos, który stał u podstawy jej cierpienia.

Który był powodem tego wszystkiego.

Jeden błąd.

Tylko tyle trzeba, żeby nastąpił kataklizm.

Ale tego wyboru nie będę żałował nigdy.

„Hej, tu Austin Stone. Słyszałem, że wyszedłeś. Sunder ma jutro koncert. W Lucky, o 21. Wpadaj. Nie widzieliśmy się kopę lat. Chcę pogadać o twojej współpracy z kapelą”.

Wcisnąłem ikonkę „wyślij”.

Dobrze wiedząc, że będzie zaszokowany, że do niego napisałem.

Ale wiedziałem też, że dupek rzuci się na szansę odegrania jakiegokolwiek roli w zespole.

Przyjdzie.

A ja w końcu stanę na wysokości zadania i zrobię to, co należy.

Dla Edie. Dopilnuję, żeby to coś zniknęło.

Raz i na zawsze.

Rozdział 32

Edie

Chwyciłam się klamki i wyjrzałam przez okno samochodu. Walcząc z paniką i strachem, które chciały wbić we mnie swoje pazury, żeby mnie zatrzymać.

Pod wodą.

W ten sam sposób, co zawsze.

– Wszystko w porządku? – spytała cicho Blaire. Siedziała z tyłu i wychylała się między przednimi siedzeniami.

Pokręciłam głową, nie przestając wpatrywać się przez okno w budynek terminalu. Po moim policzku spływała pojedyncza łza.

– Nie wiem. Ale jestem już tak strasznie zmęczona... uleganiem przeszłości. Uciekaniem. Chcę...

Chciałam żyć.

Chciałam odzyskać oddech, którego nie mogłam zaczerpnąć od chwili, gdy przed trzema dniami moje lęki i niepewność przepędziły go z mojego życia.

Chciałam Austina.

Boże. Chciałam Austina.

Jakaś energia wołała do mnie z oddali.

Wzywała mnie.

Błagając, bym choć raz... choć raz się przeciwstawiła i była dzielna.

Odwróciłam się, dostrzegłam błysk smutku w oczach Blaire oraz ukrytą za nim dumę.

Opowiedzenie o niej Blaire i Jedowi było uwalniające, wypowiedzenie na głos tych wszystkich złych, brudnych słów.

W trakcie przez cały czas się bałam, że zostanę skrytykowana. Bałam się, że padną słowa, które jedynie potwierdzą to, co już wiedziałam.

Ale Blaire... tylko mnie przytuliła, kołysała w ramionach

godzinami, a Jed siedział na łóżku z dłońmi wetkniętymi między kolana, oferując milczące wsparcie.

Ostatnie trzy dni spędziłam na radzeniu sobie z buzującym we mnie zamętem emocji. Czułam się zraniona tym, co zrobił Austin, ale zarazem wiedziałam, że moje demony nie były jedynymi, z którymi mieliśmy do czynienia.

Mój poraniony chłopak.

Moje serce szamoczące się i szarpiące.

Spalane przytłaczającą tęsknotą.

Wiedziałam, że potrzebuje mnie tak samo rozpaczliwie jak ja jego.

Zeszłej nocy zламаłam się i pojechałam do niego. Pojechałam, wiedząc, że mamy problemy, olbrzymie problemy, ale chciałam, żebyśmy spróbowali nad nimi popracować.

Żebyśmy wreszcie zaczęli walczyć.

O nas.

Drzwi otworzył Damian i powiedział, że Austin pojechał do domu. Że kazał mi powtórzyć, że wróci niedługo.

Żebym czekała.

Ale niedługo mi nie wystarczało.

Strach. Paraliżujący.

W LA był Paul.

Tylko jeśli się z nim nie zmierzę, on zawsze będzie gdzieś w tle. Będzie się czaił, stanowiąc najmroczniejsze zagrożenie.

Paul ukradł mi poczucie bezpieczeństwa.

Ukradł nadzieję.

Lata życia.

Nie chciałam się go bać ani sekundy dłużej.

Blaire skinęła głową w stronę zatłoczonego terminalu.

– Spóźnisz się na odlot, jeśli nie zaczniesz się zbierać.

Kiwnęłam głową.

– Okej.

Podniosłam torbę, która leżała na podłodze między moimi stopami i otworzyłam drzwi. Blaire z tyłu też już gramoliła się na zewnątrz.

– Do zobaczenia, Edie. – Głos Jeda był ochryply. Nabrzmiały emocjami.

– Do widzenia, Jed – odpowiedziałam, nie bardzo wiedząc, jak powinnam się wobec niego zachować. Czy powiedzenie czegoś coś by poprawiło, czy pogorszyło?

Postanowiłam uciec.

Ale zanim zdążyłam, Jed złapał mnie za rękę. Zamarłam, potem odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Ten wielki silny chłopak miał na twarzy samą tkliwość.

– Idź, Edie. Znajdź swój spokój. Zaslugujesz na to, a on na pewno na ciebie czeka. Twoje miejsce jest przy nim. Teraz już to rozumiem.

Wypuściłam ostro powietrze z płuc. I uśmiechnęłam się smutno, ale z wdzięcznością.

Bo Jed był taki dobry.

Taki prawy.

Tyle że nie był dla mnie.

– Dziękuję – szepnęłam i ścisnęłam jego rękę. – Twój spokój też gdzieś tam jest, Jed. Znajdziesz go. Jestem tego pewna. Musisz tylko poczekać.

Lekko przymrużył oczy, jakby się ze mną nie zgadzał, ale pozwolił mi odejść.

Gdy już stałyśmy na chodniku, Blaire wzięła mnie w objęcia.

– Będę tęskniła.

Poczułam, że do oczu napływają mi łzy.

– Nawet nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Całkiem możliwe, że wrócę już następnym lotem.

Trzymając mnie za rękę, odsunęła się. Potrząsnęła głową, jakby miała mnie już nigdy nie zobaczyć i otarła łzę płynącą po policzku.

Potem się uśmiechnęła.

– Nie, Edie. Wszyscy wiemy, o co w tym chodzi. I już czas, żebyś wróciła do domu.

Rozdział 33

Austin

Szliśmy wszyscy ciemnym korytarzem sali koncertowej Hollywood w stronę powitalnych oklasków. Głośne okrzyki, przepełnione tym rodzajem ekscytacji, jakiej nie da się uniknąć w takich miejscach jak to.

Mrocznych, ale zarazem tętniących życiem.

Znałem tę salę. Bywałem tu często, bo Sunder grywał w niej jeszcze, zanim stał się sławny. Ja byłem wtedy zaledwie dzieciakiem, przesiadywałem w pokojach na zapleczu służących za jaskinie rozpusty.

Za miejsce wszelkich występów i wynaturzeń.

Za jądro niemoralności.

Seks, narkotyki i rock'n'roll.

W obrębie tych ścian stare wytarte frazesy odzyskiwały swoje znaczenie.

Ale to nie znaczyło, że nie działo się tu coś wielkiego.

Że to miejsce nie tętniło potencjałem.

Było domem dla marzeń tych, którzy znaczyli dla mnie najwięcej – Baza i reszty chłopaków – którzy harowali jak woły, żeby się przebić. Grali jako suport dla każdego, kto ich chciał. Grali w takich miejscach jak to w całym kraju, aż w końcu ktoś zwrócił uwagę na ich talent i postanowił zaryzykować i na nich postawić.

Teraz to wszystko oddawali mnie.

Za darmo.

A ja nie wiedziałem, czy mam się z tego powodu czuć jak szmata, czy powinienem być dumny.

Jak żebrak, który przez przypadek natknął się na bezcenny skarb.

Przez lata grałem swoją muzykę w małych klubach.

Więziem niedającego się ukoić żalu po stracie. Przykuty do oceanu i do piosenek. Przez cały czas mający świadomość, że nie mógłby prosić o więcej niż ta możliwość uhonorowania Juliana muzyką i słowami.

Teraz... teraz miałem wystąpić przed najstarszymi fanami Sunder. Przed tymi, którzy byli z nimi od początku. Miałem wejść w buty brata i modliłem się tylko o to, żebym potrafił dorównać mu przynajmniej w części.

I przez cały czas czułem się jak sukinsyn, bo wiedziałem, że kiedy spotkam się dzisiaj z Paulem, będę musiał się odwrócić i odejść.

Dotarliśmy do końca korytarza i weszliśmy na obszar za sceną. Ciężkie bordowe kurtyny nie stanowiły żadnej zapory i donośne skandowanie publiczności domagającej się wyjścia ulubionego zespołu docierało tu bez przeszkód.

Sunder. Sunder. Sunder.

Skandowanie tętniło w gęstym powietrzu, sprawiając, że miało się wrażenie, że ono oddycha. Moc, energia, które zniewalały, pobudzały, powodowały, że w żyłach buzowało mi to kompulsywne świerzbiecie.

Pragnienie.

Parcie, żeby wyjść na scenę.

Ileż to razy przeżywałem coś takiego? Jako zaledwie dzieciak, kręcący się na obrzeżach zespołu, niemający odwagi nawet marzyć o należeniu do tego świata?

Zacisnąłem dłonie w pięści, a czyjaś inna duża dłoń poklepała mnie po plecach.

Odwróciłem się.

Anthony Di Pietro. Menedżer Sunder. Gość, który towarzyszył chłopakom w szczęściu i w nieszczęściu. Był podczas aresztowań, przedawkowań, zgonów. Jego postać była wpleciona w porażki i zwycięstwa zespołu. Anthony nie zawiódł nigdy, nawet raz.

Teraz patrzył na mnie ciepło, z wiarą.

– Masz to w sobie, Austin. Widziałem to w tobie od samego początku. A teraz chcę, żebyś tam wyszedł i zdobył tę scenę.

Przelała się przeze mnie fala lęku. Żołądek zacisnął się wzruszeniem, starym brakiem pewności siebie, strachem przed totalną wojną z miażdżącym duszę pragnieniem uhonorowania brata, z tym wezwaniem wibrującym w przepastnej przestrzeni wydrążonej w moim sercu.

Pragnieniem uhonorowania obu braci, tak naprawdę.

A najstraszniejsza była ta przenikająca mnie do szpiku kości chęć zrobienia tego dla siebie samego.

Najbardziej jednak chciałem zrobić to dla niej i właśnie to uczucie kazało mi odpowiedzieć Anthony'emu sztywnym skinieniem głowy.

Spojrzałem w bok, bo usłyszałem, że woła mnie Ash. Podniósł brodę, pokazując nią miejsce, gdzie stała reszta chłopaków, blisko bocznego wejścia na estradę.

– Hej, stary, już prawie pora. Znasz dryl. Chodźmy.

Ponad ramieniem obejrzałem się na Anthony'ego, który dla wygody oparł się bokiem o wielki głośnik.

Zdenerwowany, ruszyłem w stronę chłopaków.

Kurwa.

Co ja robiłem?

Ale nie mogłem się wycofać. Do wyjścia poganiały mnie okoliczności, moje plany.

Wydawało się to szaleństwem, że teraz to mój brat był tym, który stał na obrzeżu, który trzymał się z boku. Złapał mnie za szyję i przycisnął czoło do mojego. Głos miał ochrypły, gdy wyszeptał:

– Jesteś do tego stworzony. Nie pozwól sobie nigdy w to zwątpić.

Z zatkanym gardłem kiwnąłem głową, nie mając siły mówić, i odwróciłem się w stronę grupy ludzi tworzących Sunder.

Lyrika. Asha. Zee.

I ja.

Lyrik i Ash zarzucili mi ręce na ramiona, Zee stał między nimi. Zbiliśmy się w kupę, jakbyśmy byli jakąś drużyną sportową. Dość absurdalne porównanie, zważywszy, że żaden z nas nigdy nie postawił stopy na jakimkolwiek boisku.

No ale staliśmy tam razem, szykując się do wyjścia, a Ash karmił nas tą całą pyszałkową gadką, którą tak uwielbiał z siebie wypluwać. Zagrzewał nas do boju. Rozniecał w nas tę gorączkę, która skwierczała nam pod skórą i paliła żołądki.

Sunder. Sunder. Sunder.

Skandowanie było coraz głośniejsze.

Coraz bardziej natarczywe.

Od przyływu energii zamrowiło mnie całe ciało, wciągnąłem

powietrze, które aż kipiało tym szaleństwem.

Płuca miałem zaciśnięte, serce waliło maniakalnie.

– Ten wieczór należy do nas – krzyknął Ash i odsunawszy się, wspiał się na palce.

Zee ruszył na estradę. Z pałeczkami uniesionymi nad głową.

W hołdzie dla zmarłego brata.

Na ten widok skurczyło mi się serce, po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że ja i Zee możemy być do siebie bardzo podobni.

Zacząłem nerwowo chodzić.

W tę i z powrotem.

Trzy kroki w jedną, trzy w drugą.

Co ja robiłem? Co ja robiłem? Ja tu nie należałem.

– Sunder – zawył tłum i znowu uderzyła we mnie fala energii.

Na estradę wyszedł Ash.

Wiwaty i piski.

W powietrzu wrzało coś bliskiego hysterii.

Nasilało się.

Było coraz bardziej skomplikowane.

Jakby to coś rozumiało zawilości towarzyszące akurat temu koncertowi.

Pojawił się Lyrik. Jak to on, szedł wolno, pewnie, zdecydowanym krokiem.

Z miejsca, w którym stałem, czułem, jak tłum zatupał. Miejsca były wyłącznie stojące. Masa ciał rzuciła się do przodu, żeby znaleźć się jak najbliżej estrady.

Ja nadal stałem z boku.

Zaciskając pięści. Ledwie się powstrzymując, żeby nie zacząć szarpać się za włosy. Po raz pierwszy od miesiący żałowałem, że nie mam na sobie tej przeklętej bluzy z kapturem, pod którym mógłbym się ukryć.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Nie byłem godzien wchodzić na miejsce brata.

Stawać w jego świetle.

Korzystać z jego spuścizny.

Na ramieniu poczułem jego dłoń, jego spojrzenie mówiło mi, że

słyszy każdą moją obawę, krążącą mi po głowie.

Nie musiał nic mówić.

Wszystko w wyrazie jego twarzy zapewniało mnie, że się myliłem.

Że we mnie wierzył.

Że to, co zobaczył po tym całym czasie, było dobre.

Wzięłem ostry wdech. Szykując się.

Rozpalone powietrze, które wciągnąłem w skurczone płuca, tylko nasiliło łomotanie serca.

Wszedłem na estradę, do krzyków i pisków.

Napęczniała masa zafalowała, zdezorientowana, że widzi mnie zamiast brata. Wszystko to było zmieszane z przelewającym się podnieceniem. Żywym, oddychającym pierścieniem intensywności.

Rozbłyśły światła.

Przemknęły po kłębowisku ciał i po bezkształtnych twarzach.

Z sercem w gardle założyłem pasek elektrycznej gitary brata na ramię i zbliżyłem się do mikrofonu.

Ciężar przepelnionych pytaniami spojrzeń wręcz przygniatał. Jakby wszyscy obecni w oczekiwaniu na wyjaśnienia dusili w sobie wściekłość.

Czuło się, że za chwilę coś pęknie.

Napięcie było gęste, ostre.

Jakby zaraz miało dojść do wybuchu.

– Dobry wieczór! – zawołałem. Kopiąc w sobie głęboko, żeby dotrzeć do tej pewności siebie, jaką tak usilnie próbowałem zaszczepić we mnie brat. Nawet po tym wszystkim, co zrobiłem, wierzył, że go nie zawiodę.

Zagrałem pierwszy akord.

Podniosły się wiwaty, przenikliwe gwizdy.

– Trochę się tu u nas pozmieniało, no nie?

Okrzyki, głównie aprobaty, ale też trochę buczenia.

I w jakiś sposób... w jakiś sposób to było w porządku.

Uśmiechnąłem się.

– Podobny jestem do brata, prawda?

Piski, głównie damskie.

I jeszcze głośniejsze okrzyki.

Popędzające mnie.

– No to sprawdźmy, czy potrafię też jak on grać i śpiewać.

To wystarczyło, żeby emocje wyrwały się spod kontroli.

Żeby doszło do eksplozji energii.

Wziąłem pierwsze naprawdę ciężkie akordy piosenki, na co sala odpowiedziała wybuchem chaosu. A reszta chłopaków... byli tuż przy mnie. Grali ostro i mocno.

Ta muzyka.

Zawsze wiedziałem, że tam jest. Zagnieżdżona głęboko w mojej duszy.

Tego wieczoru popłynęła swobodnie i szybko.

Dziko.

I śpiewałem... śpiewałem piosenkę, którą brat napisał wiele lat temu.

Jeszcze zanim znalazł drogę do wolności.

Zanim znalazł miłość.

Poddałem się tekstowi. Nastrojowi. I pomyślałem, że chyba po raz pierwszy naprawdę rozumiem znaczenie tych słów.

Nie mogę dotknąć czasu

Nie ma na to remedium

Jak długo będziesz mnie trzymał?

Po prostu skończ z tym

Skończ ze mną

I wiedziałem.

Wiedziałem wraz z kotłującym się w dole tłumem.

Wraz z piosenką prześlizgującą się przez moje serce.

Z tym obezwładniającym uczuciem zlania się w jedno z chłopakami.

Z tym, że uderzyło to we mnie z mocą tsunami.

Niszczycielskiego.

Przytłaczającego.

Niekontrolowanego.

Moje pragnienie, by stać tu na tej scenie, nie było jakimś wypaczonym poczuciem lojalności.

Nie było obowiązkiem ani powinnością.

Było tak, jak powiedział Baz.
Należałem tu. To było moje miejsce.
Ale byłem gotowy z niego zrezygnować.
Na zawsze zapomnieć o tym uczuciu.
Bo nic nie miało wartości, jeśli u mojego boku nie stała Edie.

Rozdział 34

Edie

Czy wiesz, co się czuje, gdy stoi się nad otchłanią życia?
Chwieje na krawędzi „tu i teraz”?
Instykt podpowiada, że od upadku dzieli cię tylko jeden niepewny
krok.

Od stoczenia w dół, dół, dół.
Od czołowego zderzenia z przeszłością.
Chociaż zrobiłeś wszystko, co mogłeś, żeby pozostała za tobą.
Tak bardzo uważałeś, żeby nie chodzić tymi samymi drogami.
Drogami zaśmieconymi błędami, rozpaczą, nieznośnym bólem.

Ale one znowu się przed tobą pojawiały.
Znowu cię otaczały.
Stawiały twarzą w twarz z przeszłością, o której za wszelką cenę
chciałeś zapomnieć.

Zabawne, jak robiłam wszystko, żeby tego uniknąć.
Uniknąć zmierzenia się z przeszłością.
Ale nie chciałam się dłużej bać.
Chciałam być odważna. Przepełniona tym rodzajem śmiałości,
którą widział we mnie Austin, gdy na mnie patrzył.

To nie znaczyło, że nie trzęsłam się, gdy otwierałam drzwi
taksówki, mamrocząc ciche „dziękuję”, i gdy wysliznęłam się w
hollywoodzką noc. Gęste powietrze parzyło moją już i tak rozpaloną
skórę.

Wszystko we mnie wrzało.
Drżałam.
Weszłam na zatłoczony chodnik.
Stałam na jego środku, mijana przez tłumy ludzi. Rozluźnieni,
pokrzykujący, szli gdzieś się zabawić.

A ja tam stałam. Sparaliżowana. I z sercem walącym w uszach
wpatrywałam się w staromodny neon. Napis był podświetlony, duże,

grube czarne litery informowały, kto dzisiaj daje koncert.

Sunder.

Po dotarciu do LA bez zastanowienia udałam się do jedyne-
go miejsca, w którym wiedziałam, że go znajdę.

W którym wszystko się między nami zaczęło.

Modląc się, żeby się tam nie skończyło.

Stary dom Sunder w Hills.

Był ciemny.

Cichy.

Prawie upiorny.

A może chodziło tylko o szokująco silne uczucie zawodu i
przerażenia, które mnie ogarnęło na myśl, że ich nie zastałam. Że, o
ironio, po tym całym czasie w końcu zebrałam odwagę, żeby się tu
pojawić, a ich nie było. Pojechali w trasę.

Nie porzucając nadziei do końca, sprawdziłam harmonogram ich
występów.

I oto teraz stałam tutaj.

Przed błyszczącym, migoczącym neonem.

Latarnią morską.

Przez grube mury w noc na zewnątrz przesączały się stłumione
odgłosy głośnej, ostrej muzyki.

Sunder.

Stare lęki, obawy, stary wstyd – wszystko to sprawiało, że kręciło
mi się w głowie, mimo to zmusiłam się i podeszłam do kasy.

– Chciałabym kupić bilet – powiedziałam przez wyschnięte wargi,
łamiącym się głosem.

Dziewczyna z niebieskozielonymi pasemkami w platynowych
włosach i małym kolczykiem w wardze nachyliła się do mnie.

– Przykro mi, ale spóźniłaś się o jakiś miesiąc. Wszystkie miejsca
na koncert zostały wyprzedane już wiele tygodni temu.

Ogarnęła mnie rozpacz. Chwyciłam się brzegu lady.

– Proszę... muszę tam wejść... mój brat...

Co miałam powiedzieć? Że mój brat jest członkiem zespołu? Że
uczepiłam się nadziei, iż chłopak, którego tak bardzo potrzebowałam,
jest tam gdzieś, bierze udział w koncercie razem z własnym bratem?

Że jestem z rodziny?

Prawdopodobnie wyglądałam wystarczająco rozpaczliwie, bo kasjerka potrząsnęła głową i posłała mi krzywy uśmiech.

– Leć. Bilety są bez miejscówek. Tylko nie mów nikomu, że cię wpuściłam.

Od ulgi o mało nie zemdlałam.

– Dzięki.

– Nie ma za co – odparła takim tonem, jakby naprawdę uważała, że to nic takiego. Nie miała pojęcia, jak bardzo się myliła.

Podwójnymi drzwiami weszłam do lobby. Ludzie byli wszędzie, głównie młodzi, przyszli zagubić się w ciężkich chaotycznych piosenkach, które do nich przemawiały. Których teksty były głębokie, zdeklarowane.

Oni też pojawili się tu, żeby się uwolnić.

Wolność.

Zdenerwowana, z dudniącym pulsem, z oddechem, który stawał się coraz krótszy i krótszy, zaczęłam się przeciskać. Z każdym krokiem coraz bardziej rozgorączkowana.

W końcu dotarłam do głównej sali.

Światła były zgaszone.

Oprócz tych jaskrawych błyskających na estradzie.

Oświetlone sylwetki.

Wyjące gitary.

Wepchnęłam się w rozszalały tłum.

Przyciągana.

Głębiej i głębiej.

Z zaciśniętym gardłem.

Zaciśniętym zaskoczeniem. Miłością. Moje serce tańczyło z radości.

Zamrugałam.

Austin.

Ponownie zamrugałam, próbując zrozumieć to, na co patrzyłam.

Austin.

Był tu.

Na scenie.

Z Sunder.

Śpiewał.

Grał.

Zamiast Baza.

Co się działo?

Szok i dezorientowanie uderzały we mnie falami, aż do momentu, gdy spojrzałam w prawo.

I zobaczyłam brata.

Rodzina.

„Będę za tobą tęsknił, gdy odejdziesz”.

Nigdy, aż do teraz, nie pojmowałam w pełni doniosłości tego stwierdzenia. Czternastoletnia dziewczynka, która chciała tylko być blisko starszego brata, rozpaczliwie pragnęła przynajmniej przez chwilę poczuć się ważna. Ta, którą ktoś skrzywdził, a potem porzucił, jakby była niczym.

Tęskniłam. Och, mój Boże, tęskniłam.

Skurczyło mi się serce, próbowałam przełknąć gulę emocji tamującą mi przętyk. I jednocześnie próbowałam przedrzeć się bliżej.

Pod samą estradą gorączka rzucających się ciał sięgała zenitu.

Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. Ale wrażenie było takie, jakbym jedynie wciągnęła w siebie jeszcze więcej tego tętniącego zamętu. Wciągnęłam go głęboko. I tam przenikał on do mięśni i kości.

Popędzając mnie.

Żebym podeszła jeszcze bliżej.

Na skórze poczułam mrowienie.

Piekące.

Czułam, że zbliża się tornado.

Energia buzowała, wiatry chłostały.

Uciekłam od tego tak daleko. I oto znowu tu byłam. Po tych wszystkich latach. Przyczołgałam się z powrotem, jak zbity, pokonany włóczęga, błagający o pozwolenie na powrót do domu.

Austin krzyczał do mikrofonu, te cudowne usta wykrzywione w ostrym grymasie. Palce z precyzją przeskakowały po progach. W górę i w dół gryfu. Druga ręka wybijała na strunach niespokojny rytm.

Och, Boże.

Żaden chłopak nie powinien mieć prawa wyglądać tak dobrze.
Mój piękny poraniony chłopak. I wirowałam, wirowałam,
wirowałam.

Ciemność.

Światłość.

Chaos.

I ta nieugięta nadzieja.

To było niesamowite.

Ta gorączka, która krążyła w moich żyłach.

Staralam się podejść bliżej, prześlizgiwałam się między ludźmi,
przeciskałam przez zbite gęsto ciała, które tak jak i ja chciały znaleźć się
pod samą estradą.

Bliżej. Bliżej. Bliżej.

Kołysząc się na boki wraz z tłumem, parłam przed siebie.

Chciałam czegoś więcej.

Dlatego tu byłam.

Wreszcie byłam gotowa na więcej.

Rozbłysły stroboskopy. Jaskrawe pociski kolorowych świateł
przebiegły po wyraźnych rysach jego twarzy.

Tego chłopaka, który, o czym powinnam była wiedzieć, na zawsze
pozostanie częścią mnie.

Chciałam tego.

Chciałam jego.

Chciałam wszystkiego, co miał mi do zaoferowania.

Stałam tam sparaliżowana podziwem, pośrodku chaosu. Dokoła
mnie ludzie obijali się o siebie, tańczyli, krzyczeli. Pięści w górze.
Śpiewali głośno razem z tym pięknym tajemniczym chłopakiem.

Chłopakiem, którego miejsce, bez cienia wątpliwości, od początku
było na tej estradzie.

Widziałam, że jest przerażony, że tam stoi. Słyszałam to
przerażenie w jego głosie, wyczuwałam w jego powściągliwości.

Ale wiedziałam... wiedziałam, że to było jego miejsce.

Zalała mnie radość.

Nadzieja i spokój pośrodku najczarniejszej nocy.

Nie mogąc tego dłużej znieść, zaczęłam przepychać się przez tłum

do wyjścia. Co, oczywiście, było o wiele łatwiejszym zadaniem niż przedostanie się pod estradę.

Ale ja właśnie tam chciałam dotrzeć.

Bliżej.

Przesuwałam się ku wieczności.

Pożądanie tętniło we mnie jak bębnienie perkusji Zee.

Maniakalnym chaosem utworu, który był wykonywany.

Podeszłam do bocznego wejścia za kulisy i zaczęłam się wspinać na prowadzące do niego dwa stopnie. Drogę zagroził mi wysoki umięśniony ochroniarz.

Był dwa razy większy od Jeda.

Wytatuowane nabite ramiona skrzyżował na piersi.

– Muszę tam wejść. – Mój głos był zarazem słaby i silny.

Błagalny.

Olbrzym roześmiał się.

– Taa... tak jak każda inna dziewczyna tutaj, kochanie.

Wpuszczam tylko z zaproszeniami.

– Proszę... Ash Evans... jest moim bratem.

I chciałam dodać:

A Austin Stone moim życiem.

Ale słowa zastygły mi na języku.

Ochroniarz pokręcił głową.

– Niezła próba.

Jego uśmiech stał się niemal życzliwy.

– Może spróbuj poczekać tam... twój brat na pewno w którymś momencie zejdzie do publiczności. Nigdy nie wiadomo, może wpadniesz mu w oko.

Poczułam, że żołądek mi się wywraca, walczyłam z pieczeniem łez napływających do oczu.

Łez protestu, nadziei i tej nieuchwytniej wolności, szydzącej ze mnie.

Czającej się w oddali.

Przyszłość, o której nie miałam odwagi marzyć, znajdowała się tuż na wyciągnięcie ręki. Zobaczyłam, że za plecami ochroniarza ktoś przechodzi. Wyostrzyłam wzrok i rozpoznałam znajome rysy.

Ulga uderzyła we mnie ze wszystkich stron.

– Anthony! – krzyknęłam.

Zdesperowana, próbowałam wystawić głowę ponad bary kolosa, stojącego przede mną jak betonowa barykada.

– Anthony!

Anthony Di Pietro, menedżer Sunder, zatrzymał się, potem cofnął i z wygiętymi brwiami, mrużąc oczy, popatrzył na mnie w ciemności i unoszącej się mgle dymu.

– Pamiętasz mnie? – spytałam błagalnym tonem.

– Edie?

Wybawienie.

– O mój Boże, tak, proszę, ja muszę...

Muszę żyć.

Ochroniarz już przesuwał się w bok. Wymamrotał przeprosiny, przepuścił mnie i Anthony porwał mnie w gorący uścisk.

Jakbym była jego dawno zaginionym dzieckiem.

Wczepiłam się w niego i uwolniłam szloch, który zagrzechotał mi w piersiach.

Ulga.

Jego głos przepelniała troska.

– Edie Evans. Gdzie ty się, do diabła, podziewałaś? Ash... twój brat... będzie taki szczęśliwy, kiedy cię zobaczy. Mówił mi, że nie rozmawiał z tobą od wieków.

Serce zacisnął mi żal. Wiedziałam, że ten jedyny list, który wysłałam do Asha, bardzo niezdarnie kamuflował mój smutek. Ash pewnie martwił się o mnie przez te wszystkie lata.

Wiedziałam, że tak było.

Tylko że nie potrafiłam się z tym zmierzyć.

Teraz byłam już gotowa.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – wymamrotał Anthony w czubek mojej głowy.

Rozplakałam się. Anthony przytulił mnie i kołysząc, uspokajał.

– Hej, nie smuć się. Wszystko jest w porządku. Ash będzie szczęśliwy, że tu jesteś. Zapewniam cię.

Wstyd.

Unosił się na peryferiach. Prześladowując mnie z zaciemnionych kątów. Niewyraźny falujący odcień czerwieni, pobłyskujący, żarzący się.

Przyszykowany do uderzenia.

Do wciągnięcia mnie z powrotem w otchłań samotności i nicości.

Nie chciałam na to pozwolić.

Anthony odsunął mnie od siebie na długość ramion.

– Muszę lecieć na front, zająć się czymś naprawdę ważnym. Idź może do miejsca dla VIP-ów z boku sceny. Chłopcy schodzą za pięć minut... po tej mają tylko jeszcze jedną piosenkę do wykonania.

Pociągając nosem, kiwnęłam głową i rękawem koszuli wytarłam twarz. Potem uśmiechnęłam się blado.

– Dobrze, dziękuję, Anthony.

Skinął głową i uśmiechnął się półgębkiem.

– Witaj w domu, Edie.

Odszedł, a ja, objąwszy się ramionami, ruszyłam przez ciemne kulisy.

Każda komórka mojego ciała była przyciągana przez głos dobiegający ze sceny.

Porywający.

Urokliwy.

Hipnotyzujący.

Ten poraniony chłopak, taki mroczny, taki ponury, taki odważny.

Przeszłam do miejsca, z którego mogłam go widzieć. Byłam ukryta za długą kotarą otaczającą estradę.

Tak osłonięta, wyjrzałam w przyszłość czekającą na mnie w oddali.

I przeszły mnie dreszcze, zalała fala pożądania i wzruszenia, gdy mój wzrok padł na tę rozświetloną twarz.

Na ten talent.

Na niszczycielsko piękną sylwetkę.

Wszystko moje mechanizmy obronne rozpadły się.

Był pogrążony w nastroju, w muzyce, w okrzykach fanów.

Ja tonęłam w emocjach.

Które wciągały mnie w mętne nieprzeniknione wody.

Głębokie, mroczne.

Unosiłam się w nich.

W otulinie błogości.
A ten chłopak był moim powietrzem.
Moim oddechem.
Płuca płonęły jego ciężarem.
Takie pełne.
Po brzegi nasycone nadzieją.
Wiarą.
Miłością.
Pragnęłam zatracić się w niej na zawsze.
Nagle ciemność wokół mnie zafalowała, zamigotała. Ale inaczej.
Zjadliwie.
Podle.
Oddech uwiązał mi w gardle.
Znieruchomiałam.
Coś dobijało się do świadomości, włoski na karku stanęły mi na sztorc.
Po skórze przebiegły dreszcze przerażenia.
Całe ciało kłuł strach.
Boleśnie.
Dręcząco.
Do oczu podeszły mi łzy, które z całych sił próbowałam zatrzymać.
Żeby nie widział, że jestem słaba i bezbronna.
Ale Paul już to zauważył i śmiał mi się cicho i wrednie do ucha.
Wiedziałam, że będę musiała się z nim zmierzyć. Kiedyś. I pewnie wcześniej niż później.
Ale nie tutaj.
Nie tak.
Gorący oddech dyszał mi w policzek.
Zawirowały wspomnienia.
Jego wstrętne ciało na moim. Jego wulgarny oddech na mojej twarzy.
Zemdlilo mnie. Nudności wczepiły się pazurami w żołądek.
Szloch.
Próbowałam go zatrzymać. Ale wydarł się.
Przez zaciśnięte gardło, przejmujący.

Jakby ktoś zerwał ze mnie ochronną warstwę i odsłonił mdlący wstyd.

Makabryczne piętno bycia wykorzystaną.

Wezbrała we mnie panika.

Uśmiercająca wszystkie inne uczucia.

Walka lub ucieczka.

I Boże. Chciałam walczyć.

Ale nie miałam szans. Nie byłam wystarczająco silna.

Przycisnęłam ręce do twarzy i odwróciłam się, żeby uciec.

Rzuciłam się przed siebie, próbując wyminąć Paula. Chciałam uciec gdzieś, gdzie mogłabym się przed nim ukryć. Krzyknęłam, bo na ramieniu poczułam jego odrażającą dłoń. Zmusił mnie, żebym wróciła.

– A ty dokąd?

Przyciągnął mnie szarpnięciem.

– Musimy pogadać... i może uregulujesz część długu. Ten wieczór wydaje się całkiem odpowiedni na początek, nie uważasz?

Wyrwałam mu się, ale on znowu mnie przyciągnął. Mocno. Potknęłam się. Odwrócił mnie tak, że stałam plecami do niego. Otoczył mnie rękoma jak łańcuchami.

Nie.

Szarpałam się i kopałam.

Krzyczałam, ale mój krzyk ginął w powodzi głośniejszej muzyki.

Paul wzmocnił uścisk.

Staliśmy w zaciemnionym miejscu.

Nikt nas nie widział.

Każdy milimetr mnie burzył się na myśl, że ten łajdak znowu mnie dotykał.

W mroku panującym za kulisami zaczął mnie ciągnąć za sobą, aż dotarliśmy do jakichś drzwi. Otworzył je i wciągnął mnie do środka.

W małym pomieszczeniu było kompletnie ciemno.

W sekundzie, gdy do niego weszliśmy, obrócił mnie i odepchnął.

Sapnęłam i potoczyłam się w tył. Prawie się przewracając, gdy potknęłam się o coś leżącego na ziemi.

Paul odszukał włącznik światła.

Z migotaniem do życia obudziła się lampa na suficie. Zobaczyłam,

że byliśmy w dawnej przebieralni przerobionej na schowek. Zabałaganione pomieszczenie zapchane było kartonami i jakimś sprzętem.

Pośrodku biegło nierówne przejście.

Paul, wpatrując się we mnie z wymalowanym na twarzy szyderstwem, sięgnął za siebie i zamknął drzwi na klucz.

Żołądek zacisnął mi się mdłościami.

– Czego chcesz? – spytałam. Miałam nadzieję, że zabrzmie to ostro, ale mój głos był słaby.

Osaczając mnie, dał krok w moją stronę.

– Nie waż się mnie tknąć! – krzyknęłam i cofnęłam się.

Na zewnątrz rozległ się głos Austina, krzyknął do mikrofonu „dobranoc”.

– Austin – zawołałam mimowolnie.

Ciemne oczy Paula wypełniła odraza.

– Zawsze wolałaś jego niż mnie, co?

Strach ożył. Kłębił się w żołądku i wywoływał popłoch w duszy.

Nie strach przed zmiążdżeniem emocjonalnym.

Tylko prawdziwy, taki z trzewi.

Z rodzaju tych powiązanych z instynktem samozachowawczym.

Z reakcją walki lub ucieczki.

– Mówiłem ci, jesteś mi dłużna. Oczywiście zupełnie inaczej wyobrażałem sobie dzisiejszy wieczór... ale skoro nadarza się okazja...

Pokręciłam głową i cofając się, pomimo wyschniętego gardła, próbowałam mówić.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Nie mam ci nic do powiedzenia.

Roześmiał się, tym maniakałnym, zjadliwym śmiechem, który przeszywał mnie ostrymi cierniami nienawiści.

– Nie masz? Cztery lata gniłem w pierdlu, a ty nie masz mi nic do powiedzenia?

– Nie wiem, o czym mówisz. – Zdezorientowana, potrząsnęłam głową, dławiałam się ze strachu. – Wsadzili cię... za... za... narkotyki.

Austin mówił, że Paul został zaaresztowany w dzień po moim wyjeździe. Po tym, jak się dowiedział. Zatrzymali go za jazdę samochodem bez tablic, za znalezione w nim narkotyki, za powtarzające

się wykroczenia.

Posłał mi krzywy uśmiech, który wbił mi się w serce jak zardzewiały nóż.

Ruszył do mnie. Krokiem prawie swobodnym.

Ale to nie oznaczało, że nie czaiła się za tym groźba.

Nie przestawał się zbliżać. Wolno.

A ja się cofałam.

Aż już nie było gdzie. Uderzyłam plecami w wielki karton za sobą.

– Austin – krzyknęłam drżącym głosem. Błagalnie. Wiedząc, że nie ma szans, żeby mnie usłyszał.

Nawet nie wiedział, że tam byłam.

– Wrzeszcz, mała. I tak nikt cię nie usłyszy.

Przeciągnął palcem po moim policzku.

Zemdliło mnie.

– Ale zanim przejdziemy do zabawy, najpierw pogadamy sobie o tym. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pomiętą kartkę, rozprostował ją i podsunął mi pod oczy.

Wzdrygnęłam się, ale skupiłam uwagę, by móc przeczytać to, co tam było napisane.

Zrozumieć, co to oznaczało.

Przebiegłam oszalałym wzrokiem po wytartych literach.

„Trzysta dolarów. O trzysta więcej niż jesteś warta. No ale, cóż, czasem trzeba zapłacić kurwie za usługi.

I czasem zemsta też jest kurewska”.

Zawirowało mi w głowie, usiłowałam przetworzyć to, co przeczytałam. Podłe słowa zahuczały mi w uszach, jakbym słyszała je po raz pierwszy.

Wspomnienia, które chciałam zdusić.

Stałam tam, modląc się o pomoc i otrzymując jedynie kolejny policzek.

Strach.

Smutek.

Rozpacz.

Puste miejsce we mnie pulsowało. Zacisnęłam oczy, czując, jak do świadomości dobijają się słowa dodane do słów Paula.

Zwątpienie i chaos.

Rozdziawiłam usta, język stanął mi kołkiem. Żołądek miałam zawiązany w supeł.

Paul zmiął kartkę.

– To zabawne, wiesz, zostać zatrzymanym we własnym samochodzie. – Mówił twardo, sarkastycznie. – Tablice, które były na miejscu wcześniej, tego dnia rano zniknęły. Pięć torebek koki pod siedzeniem, o których wiesz, kurwa, że na pewno ty ich tam nie chowałeś.

Och, Boże.

Och, Boże.

Zacisnęłam oczy jeszcze mocniej. Nie chcąc uświadomić sobie prawdy.

Nie.

Nie zrobiłby tego.

Paul pchnął mnie na kartony. Dławiłam się od jego kwaśnego oddechu, którym dyszał mi wściekle w twarz. Nachylił się do mojego ucha, twarde przedramiona wciskał ciężko w klatkę piersiową.

Z ust wytoczył mu się gorzki śmiech.

– Cztery pierdolone lata siedziałem za kratkami, zastanawiając się, kto mnie tak zrobił... powtarzając sobie, że nie ma szans, żeby taka głupia mała zdzira jak ty odważyła się wywinąć taki numer.

Zdzira.

To słowo cięło, haratało, rozrywało.

Paul potrząsnął ostro głową. Walczył o opanowanie. Ale potem poddał się i jego ramię przesunęło się pod moją brodę.

Chciałam krzyknąć.

Błagać go, żeby przestał.

Powiedzieć, że to nie ja.

Ale udało mi się tylko wydusić:

– Proszę... nie. Ja nie...

Nacisk na gardło wzmógł się. Przedramię wciskało się w nie z całej siły, odcinając dopływ powietrza, sprawiając, że musiałam zdrzeć brodę. Ciężki karton zaskrzypiał pode mną.

Zakwiliłam i wczepiłam mu palce w ramię. Ale nadaremnie.

Słabłam.

Proszę, Boże, dodaj mi sił.

Chciałam być silna.

Chciałam znaleźć w sobie tę odwagę, którą widział we mnie Austin.

I zarazem przez cały czas próbowałam zrozumieć, co on zrobił. Dlaczego to zrobił.

Mój umysł nie był w stanie przyjąć do siebie faktu, że to on za to odpowiadał. Faktu, że Paul pisał do mnie tyle razy, a Austin się nie przyznał.

Nie rozumiałam.

A przecież Austin nieustannie powtarzał, że tylko ja potrafię go zrozumieć.

Paul znowu się roześmiał. Wzrok miał dziki. Pałający żądzą zemsty.

– Taka głupia, głupia dziewczyna. Wypuścili mnie wcześniej za dobre sprawowanie. I oczywiście zwrócili rzeczy, które mi skonfiskowali. Ubrania, telefon. Ale właśnie tego chciałaś, co? Żebym się dowiedział. Co zamierzałaś tym osiągnąć?

Ze strachu cała się trzęsłam. Mrugałam, próbując zatrzymać łzy, które nie przestawały płynąć.

Po raz wtóry wykazałam się głupotą, znowu padłam ofiarą okrucieństwa zdeprawowanych, obleśnych łapsk Paula.

– Co sobie wyobrażałaś, Edie? Że co się wydarzy, gdy wyjdę? Sądziłaś, że ci odpuszczę? Niedoczekanie twoje, ty brudna zdziro.

Z gardła wydarł mi się zduszony okrzyk.

– Nie. Proszę. Nie!

Nachylił się do mnie i dysząc wywołującym mdłości oddechem, syknął:

– Tak.

Rozdział 35

Austin – lat osiemnaście

Z głośników dudniła muzyka. Dom w Hills pękał w szwach.
Przelewał się ludźmi, którzy przyszli tylko po to, żeby się pokazać.
Sunder tego wieczoru dał koncert.
Po raz pierwszy przed salą wyprzedaną do ostatniego miejsca.
Wydawało się, że ludzie z dnia na dzień zaczęli umierać z
pragnienia zobaczenia, co chłopcy z zespołu mieli do zaoferowania.
Z pragnienia uszczknięcia choćby kawałka dla siebie.
Pierdolone sępy.
Aż mi się niedobrze robiło od tego syfu.
Dryfowałem na obrzeżach tego chaosu, jak zwykle samotnie.
Te dwie rzeczy, które zazwyczaj przyciągały mnie na te nigdy się
niekończące przyjęcia? Już mnie nie kusily. Ani ścieżki usypywane na
stole w piwnicy, ani na wpół rozebrane kobiety uwieszone na każdym
facecie, w którym tylko zdołały zatopić szpony.
Niczego z tego już nie chciałem.
Bo obiecałem coś Edie.
Obiecałem, że mój nos i ciało będą czyste. Dlatego, że Edie nie
mogła znieść myśli, iż mógłbym kolejny raz wpaść w ten kołowrót
oblędu.
Jesteś na to zbyt dobry, błagała mnie tamtej nocy. Obmywając w
studni słodkiego, słodkiego zaufania i niezłomnej wiary, gdy się jej
zwierzyłem i opowiedziałem o niektórych z paskudnych rzeczy, jakie
robiłem. O chaosie i zamęcie. O moim szybkim zjeździe na samo dno.
Mimo że jeszcze pieprzony gnój, razem z resztą chłopaków podążałem
już tą mroczną ścieżką.

Przez wiele lat wydawało się, że to jedyny kierunek dla nas.

Można by pomyśleć, że gdy już wszyscy przeszliśmy odwyk, w
domu Sunder nie będzie więcej miejsca na ten szajs. A jednak było,
działo się tuż pod naszymi nosami, kusząc. Chory blichtr, idący ręką w

rękę z tym stylem życia, rozłożony przed nami jak bufet.

Wystarczyło sięgnąć i zjeść.

A potem nagle człowieka zmiatało.

Tankowanie i ćpanie.

Coraz szybciej i szybciej.

Popatrzyłem w górę, przyciągany. Moje spojrzenie zawiesiło się na jedynej osobie, którą chciałem widzieć.

Moja umiłowana tajemnica.

Z przeciwległej strony pokoju Edie rzuciła mi zawstydzony figlarny uśmieszek. Spuściła głowę równie szybko, jak ją podniosła, żeby zerknąć. Odwróciła się do brata, który coś do niej mówił.

Facet był niesamowity.

Uwielbiał żyć z rozmachem.

Głośno.

Jedno wytatuowane ramię przewieszał przez plecy jakiejś laski, drugim gwałtownie gestykulował, prawdopodobnie opowiadając jakąś wyssaną z palca historię.

Żałowałem, że tego nie słyszę.

No dobra, to było wierutne kłamstwo.

Żałowałem, że nie jestem przy niej.

Chciałem stać przy dziewczynie, której niedotykanie kosztowało mnie tak cholernie dużo. Ale gdybym jej dotknął, wydałbym nas. A ponieważ to całe nas już i tak było nieźle pogmatwane, wiedziałem, że pomysł nie był najlepszy.

Najlepszy?

Najlepsze to było to, że ta dziewczyna wyszła z pokoju.

Że się uśmiechała.

Pokazywała twarz, mimo że dotąd zawsze ją chowała.

Cholera, przecież nie stanie się nic złego, jeśli podejść i przywitam się.

Wepchnąłem ręce w kieszenie i ruszyłem w jej stronę, udając obojętność, chociaż w środku coś szalało.

Gdy podszedłem, spuściła oczy, słodka i nieśmiała.

Ale widziałem, że drgnęła.

Pragnąc mnie tak, jak ja pragnąłem jej.

I ta potrzeba?

Była tylko silniejsza i silniejsza.

Silna i obezwładniająca.

Życie i światłość.

Przenikały mnie na wskroś.

Ash wyszczerzył się jak głupek.

– No, no, no. Wygląda, że kolejny Stone przyszedł się zabawić.

Puścił do mnie oko i mocniej zacisnął ramię, którym oplatał szyję towarzyszącej mu laski.

– Kochanie, może przyprowadzisz jakąś swoją koleżankę albo może dwie i przedstawiś im naszego Austina?

Wysunął podbródek w moją stronę, cały uchachany i zachwycony swoimi żartami.

– Koleś wygląda, jakby przydał mu się ktoś do towarzystwa.

Edie drgnęła.

Ale byłem pewien, że nikt poza mną tego nie zauważył.

Nie wyciągając rąk z kieszeni, rozłożyłem łokcie na boki.

– Jest dobrze, stary. Nie musisz mnie z nikim umawiać. Sam sobie z tym poradzę.

Błękitne oczy zatańczyły.

– Ach. W takim razie zabieraj się do roboty. Mamy tu dzisiaj mnóstwo ślicznych pań, które bardzo chcą się trochę zabawić. Chętnie sam bym im tę zabawę zapewnił, ale nie wiem, czy zdołam zaspokoić potrzeby wszystkich.

Wygiąłem jedną brew.

– Ale założę się, że mimo wszystko będziesz próbował.

Roześmiał się. Głośno.

– No jasne. Nie inaczej.

Jego spojrzenie powędrowało do siostry.

– Ale skoro już tu jesteś, może rzuciłbyś oko na moją Edie, co? – Jego kpiący uśmiezek zrobił się czuły, gdy patrzył na siostrę. – To najładniejsza dziewczyna w całym domu.

Edie zaczerwieniła się.

Anioł.

Ash z powrotem skupił się na mnie i rzucił:

– Nie chcę, żeby któryś z tych fiutów próbował się do niej przystawiać. Dobrze wszyscy wiemy, co to za typki.

Wiedzieliśmy.

– Jasne – odpowiedziałem, jak gdyby nigdy nic, chociaż prawda była taka, że zszedłem tu wyłącznie ze względu na Edie.

Spojrzałem na nią, w ten morski błękit, czując, że pochłania mnie w całości. Że w nim tonę.

– Chcesz przejść gdzieś, gdzie jest spokojniej?

– Proszę.

Zacząłem iść tyłem, kiwając głową za siebie.

– To chodźmy na dwór. Noc jest ciepła.

– Z wielką przyjemnością.

Przeszliśmy razem do kuchni, która była zapakowana gośćmi od ściany do ściany.

– Wezmę tylko kilka butelek wody i dołączę do ciebie.

– Okej – rzuciła z wdzięcznością. Wiedziałem, że nie uśmiechało jej się tłoczenie się w kuchni z ludźmi, których nie знаła. Przepisnęła się przez tłum i wyszła za zewnątrz tylnymi drzwiami.

Ja przywitałem się z kilkoma osobami, wyjąłem z lodówki butelki z wodą i udałem się w ślady Edie.

Wyszedłem w ciemną noc. Z boku domu wznosiły się wysokie drzewa oferujące ochronę i cień, odgłosy przyjęcia były tu przytłumione.

Poszedłem ścieżką do usytuowanego z boku małego ustronnego placyku otoczonego krzewami i klombami z kwiatami. Placyk był cały skąpany w blasku księżyca.

Na jego środku stała Edie.

A obok nachylał się do niej Paul. Mówił coś. Prawdopodobnie coś wulgarnego.

Zamurowało mnie, po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Zacisnąłem dłonie, przez co zachrzęściły plastikowe butelki, które w nich trzymałem.

Edie odchyliła głowę w tył, starała się ją odwrócić. Wyglądała, jakby chciała się skurczyć. Zniknąć.

Ta dziewczyna była więźniem niezasłużonego wstydu.

Zalała mnie fala zaborczości i w moich żyłach zapłonął ogień.

Oślepiiony furia, upuściłem butelki i z dłońmi zaciśniętymi w pięści rzuciłem się biegiem w ich stronę.

Kiedy byłem wystarczająco blisko, żeby usłyszeć, co mówi Paul, poczułem, że tylko sekundy dzielą mnie od utraty kontroli.

– ...tylko sprawiedliwe, żebyśmy zrobili to jeszcze raz. Nie sądzisz, maleńka, że jesteś mi to winna?

Mówił cukierkowo słodkim tonem. Obłeśnie, obrzydliwie.

Zagotowałem się od wściekłości, ale mimo wszystko próbowałem się jeszcze opanować.

Moja umiłowana tajemnica.

Paul spojrział w moją stronę i warknął:

– Chyba widzisz, że jesteśmy zajęci?

Nie ruszyłem się z miejsca.

A wściekłość narastała.

I nienawiść do tego, co zrobił.

Nienawiść za jej cierpienie i rozpacz.

Za stratę.

Do tego, że to ten łajdak stał nam na drodze.

On był przeszkodą dla naszego szczęścia. Które było tak blisko, a zarazem tak nieosiągalnie daleko.

– Powiedziałem spieprzaj, dupku – warknął już ostrzej.

Dałem kolejny krok w jego stronę.

W tym samym momencie, w którym on zamknął brutalną dłoń na nadgarstku Edie.

– Puść ją – wycedziłem przez zęby.

Parsknął szyderczym śmiechem.

– Nie ma mowy. Ona i ja musimy zająć się pewną niezakończoną sprawą. Dziwka jest mi coś winna i zamierzam to sobie odebrać.

Buzująca we mnie furia eksplodowała.

Rzuciłem się przed siebie. Popchnąłem go, uderzając w pierś obydwiema dłońmi.

– Ona nigdzie z tobą nie pójdzie.

Paul zatoczył się w tył. Jego obmierzła twarz skurczyła się w grymasie wściekłości.

– I to niby ty mnie powstrzymasz?

– Tak, ja.

Powiedziałem to spokojnie.

Jakbym nie był chuderlawym dzieciakiem stojącym przed wkurwionym dorosłym mężczyzną. Ale we mnie też budził się mężczyzna. Szarpał się, żeby wydostać się na wolność.

Byłem gotów się z nim o nią bić.

Nawet bardzo chętnie.

Jeśli byłoby trzeba, mogłem z nim walczyć nawet na śmierć i życie.

– Austin. – Wypowiedziała moje imię błagalnie, ale ja to zignorowałem i przepchnąłem ją za siebie, żeby ich od siebie oddzielić.

Paul zarechotał. Widocznie dopiero w tym momencie zorientował się, jakie mam intencje.

– Och... czyż to nie słodkie. Wygląda, że ktoś tu się zabujał. – Przechylił głowę na bok, jego głos ociekał szyderstwem. – Durny dzieciak, chce sobie dać skopać dupsko za bezwartościową zdzirę. Chociaż fakt, jest na czym oko zaczepić.

Zdzira.

To słowo przeszło powietrze jak uderzenie pioruna.

Wzniecając ogień.

Mój anioł.

Runąłem na niego.

Z pięściami, nienawiścią, z przekleństwami.

Paul uderzył mnie.

To był bezpośredni cios w podbródek, który prawie zwałił mnie z nóg.

Głowa odskoczyła mi w tył.

Nie miało znaczenia, że ból nieomal rozerwał mnie na pół.

Oddałem.

Atakując wszystkim, co miałem.

– Zabiję cię, skurwysynu. Wykorzystałaś ją... zrobiłaś jej dziecko. I nawet się tym nie przejęłaś. Zabiję cię. Zabiję cię.

Trafiłem go wysoko w kość policzkową.

Pojawiło się rozcięcie, Paul potoczył się do tyłu, otarł tryskającą z rany krew.

– Ja ją wykorzystałem? Takie małe zdziury jak ona, wszystkie są takie same. Dla kilku dorców podnoszą, kurwy, fałszywy alarm. Pewnie wcale nie była w żadnej ciąży.

Oślepiające.

Furia.

Nienawiść.

Miałem kompletnie gdzieś, że był ode mnie większy.

Nie zamierzałem mu tego odpuścić.

Kopałem i okładałem pięściami, i darłem się, wykrzykując jakąś plątaninę chaotycznych słów.

– Nie była w ciąży? Ty ignorancki kawałku gówna. Ona urodziła. Urodziła. I musiała ją oddać. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co jej zrobiłeś? Czy ty w ogóle myślisz?

Słowa były poszarpane jak mój oddech.

Gwiazdy i niebo wirowały w kalejdoskopie oblędu.

Rozdzierająca brutalność, niedająca się nasycić niczym.

Potworna miłość do tej dziewczyny.

Edie nagle zaczęła płakać.

Tak przejmująco, że przedarło się to do mnie przez ścianę szafu.

Była zgięta wpół, kiedy się odwróciłem, żeby na nią spojrzeć.

Patrzyła na mnie.

Załamana.

Zdradzona.

– Ty... ty.... Powiedziałeś mu? On miał się nigdy nie dowiedzieć. Jak mogłeś... jak mogłeś? – Cofnęła się, trzymając się za brzuch. Za miejsce, gdzie kiedyś była jej córka.

Paul znieruchomiał, potem podszedł bliżej.

– Coś ty, kurwa, powiedział? Chcesz mi wmówić, że gdzieś tam jest dzieciak, który może być mój?

Podbiegł do Edie i nachylił się do jej skurczonej przerażeniem twarzy.

– To właśnie powiedział? Że któregoś dnia jakiś zasmarkany bachor stanie w moich drzwiach i będzie twierdził, że jestem jego tatuśkiem?

Edie dławiła się łzami. Głowę osłoniła ramionami. Próbując się

ukryć.

Wstyd.

Całe moje ciało pokryło się potem strachu.

Lepkim i lodowatym.

Co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem?

Zawsze wszystko dobre, co dostawałem od życia, niszczyłem, zanim zdążyło dojrzeć.

– Edie – wyszeptalem.

– Pierdolona głupia kurwo. Za to też ci zapłacili? Ile za nią dostałaś? Gadaj.

– Edie – błagałem.

Nawet nie patrzyła na Paula, gdy wypluwał z siebie te wszystkie obrzydliwości.

Wpatrywała się we mnie, z niedowierzaniem.

Czułem to, tę nadzieję rozplywającą się w powietrzu. Rozpraszającą się jak zaufanie, które właśnie zmiażdżyłem. Pod wpływem tornada furii, trąby powietrznej, po której przejściu nie zostaje nic.

Stałem tam i patrzyłem, jak ucieka do domu. Wczepiłem ręce we włosy i próbowałem złapać oddech.

Paul splunął na ziemię. Wycelował we mnie palcem.

– To jeszcze nie koniec.

Mój głos był śmiertelnie spokojny.

– Gównu mnie to obchodzi. Idź, zgnij w piekle.

Roześmiał się szyderczo, potem odszedł, ale po drodze rzucił przez ramię:

– To się jeszcze zobaczy.

Zacząłem chodzić w tę i z powrotem.

Zastanawiając się, jak mam to wszystko naprawić. Wiedząc, że nie mogłem powiedzieć nic gorszego.

Że zraniłem ją w sposób, którego nie mogła znieść.

Pięć minut później usłyszałem trzaśnięcie frontowych drzwi.

Nie wiem jak. Po prostu, kurwa, wiedziałem. Wiedziałem.

Pobiegłem na przód domu.

Edie z wielką torbą na ramieniu, ze skrzyżowanymi na piersiach

ramionami i ze spuszczoną głową szła po brukowanym podjeździe.

– Edie – zawołałem błagalnym szeptem, ale nie odwróciła się. Dlatego krzyknąłem już głośno, z przerażeniem. – Edie!

Zacząła uciekać.

– Edie, zaczekaj, proszę, zaczekaj.

Odwróciła się, z pięścią przyciśniętą do piersi. Z jej ust wylewała się udręka.

– Nie mogę uwierzyć, że mogłeś mi coś takiego zrobić. Po wszystkim, z czego ci się zwierzyłam. Po prostu... trzymaj się ode mnie z daleka. Od mojego życia, moich spraw, bo nie mogę ci ufać. Nie pogarszaj tego bardziej, niż już to zrobiłeś.

Na rogu zatrzymała się taksówka. Edie pobiegła do niej.

Próbowałem ją dogonić.

Próbowałem zatrzymać.

Wskoczyła do taksówki i zatrzasnęła drzwi, jej dłonie drżały, gdy zamykała drzwi od wewnątrz, kiedy do nich dopadłem. Głowę trzymała spuszczoną, nie chciała na mnie patrzeć.

– Edie! – krzyknąłem. Zabębniłem pięściami w szybę. – Edie!

Taksówka ruszyła. Biegłem za nią ulicą, gdy odjeżdżała.

Zabierając ze sobą ostatnią dobrą część mnie.

– Edie, proszę! – krzyknąłem w noc.

Proszę.

– Zaczekaj!

Ból nie odpuszczał. To wydrażone puste miejsce tętniło cierpkim posmakiem śmierci.

Nie powinien być zaskoczony.

Przecież to był mój sposób na życie.

Brałem to co dobre i niszczyłem. Miażdżyłem w dłoniach.

Serce rozrywało mi rozgoryczenie.

Bezsilność.

– Ruszamy o piątej – przypomniał Baz. Wpychał do torby jakieś swoje rzeczy, pakował się na ostatnią część trasy koncertowej, podczas której mieliśmy objechać jeszcze sześć miast.

To właśnie ta trasa określiła ich jako zespół.

Dała im sławę.

Bogactwo.

Ale czy była tego warta?

Bo to tournée zabrało nam Marka. Zakończyło się nieszczęściem.

Oczywiście to było, zanim ujrzałem światło.

A raczej, zanim zostałem przez nie oślepiony.

Bo teraz czułem się, jakbym się szamotał na oślep w absolutnej ciemności. Ze świadomością, że to się nigdy nie skończy. Że już nigdy nie będzie dobrze. Że moja przeszłość, moje błędy zawsze będą czekały w pobliżu, żeby mnie dopaść.

Julian. Julian. Julian.

Jego obecność owinęła się wokół mnie jak pasma mgły. Szydziła ze mnie za moją naiwność. Za głupią nadzieję, że może, tylko może, mógłbym znaleźć szczęście.

Że mógłbym być dobry dla kogoś. Mógłbym coś dać, zamiast tylko brać, brać, brać.

Zdusiłem jęk rozgoryczenia.

Bo ja znalazłem szczęście.

Znalazłem.

Edie.

A potem wszystko schrzaniłem i zniszczyłem to szczęście.

– Dobra – odpowiedziałem. Gównu mnie obchodziło, dokąd jechaliśmy, bo wiedziałem, że ja zawsze poruszałem się tylko w jednym kierunku.

W dół.

Ale przed ostatecznym poddaniem się miałem do zrobienia jeszcze jedną ostatnią rzecz.

Nikt nawet nie zauważył, gdy zabrałem kluczyki brata ani gdy wyciągnąłem z sejfu gruby zwitek gotówki. Ani kiedy pojawiłem się przed drzwiami mieszkania w getcie, gdzie dokonałem transakcji, o której wiedziałem, że na zawsze przypieczętuje los tego skurwiela. I na pewno nie wtedy, gdy podkradałem się pod jego śmierdzący dom.

Kłęcząc za jego samochodem, na żwirze, który kłuł w kolana, szybko odkręciłem śrubki przytrzymujące tablicę rejestracyjną.

Potem, wstrzymując oddech, wśliznąłem się do wnętrza samochodu i podłożyłem torebki pod siedzenie.

Rozejrzałem się za miejscem, w którym mógłbym zostawić liścik. Jak na takiego pechowego skurwysyna jak ja, tego dnia o dziwo szczęście mi dopisywało. Ten durny skurwiel zostawił swój portfel w środkowej przegródce. Wsunąłem liścik między piątkę i dziesiątkę.

„Trzysta dolarów. O trzysta więcej niż jesteś warta. No ale, cóż, czasami trzeba zapłacić kurwie za usługi. I czasami zemsta też jest kurewska”.

Jedyną pociechą w tym wszystkim było to, że kiedy zobaczy liścik, będzie wiedział, że to ja – słowa, które tak brutalnie rzucił Edie w twarz, ze specjalnym „pierdołę cię” już ode mnie, dodanym na końcu. Moje własne pożegnanie dla niego na dalszą drogę życia.

Miałem wielką nadzieję, że to wystarczy, żeby posłać skurwiela prosto do piekła.

Może wtedy będzie się tam smażył razem ze mną.

Czekałem cały dzień na tę szansę. I w końcu się doczekałem, kiedy dupek pobiegł z powrotem do domu, jakby czegoś zapomniał. Jakby nie wiedział, czym się może skończyć pozostawianie auta na jałowym biegu na podjeździe.

Jedna sekunda.

Jeden moment.

Jeden błąd.

Myślę, że tak naprawdę tylko tyle to zajęło.

Ukryty za rogiem domu, obserwowałem, jak wsiada do samochodu, cofa i wyjeżdża na ulicę, a potem znika na skrzyżowaniu.

Obiecałem jej, że będę ją chronił.

I robiłem to w jedyny sposób, jaki mi przyszedł do głowy.

Pięć godzin później wpakowałem się do busa kapeli.

Kurewsko pogubiony.

Zrozpaczony.

Chłopaki byli nakręceni przed występem. Nie mieli pojęcia, co się ze mną działo, co zrobiłem.

Kiedy dotarliśmy do miejsca, gdzie mieli grać, i kiedy wszyscy wysiedli, włamałem się do szoferki, bo wiedziałem, że Mark trzymał tam numer telefonu do dilera.

Zamówiłem SMS-em coś z opioidów.

Cokolwiek, byleby tylko zagłuszyło ból.
Przyćmiło go.
Desperacko pragnąłem pogrążyć się w ciemności.
Bo jeśli stało się w świetle?
To potem nie potrafi się już żyć bez niego.

Rozdział 36

Austin

Dobranoc!

Wszyscy czterej pomachaliśmy publiczności i zeszliśmy ze sceny. Ja czułem się tak, jakby moje stopy nie dotykały podłogi.

Jakbym płynął.

Jakbym się unosił w powietrzu.

Oklaski, wiwaty i dopominanie się tłumu, żebyśmy wrócili, tylko pogłębiały ten stan. Krew tętniła w żyłach. Adrenalina rozpierała każdą komórkę. Domagając się uwolnienia.

Po całym ciele chodziły mi dreszcze.

Myślę, że to w tamtym momencie zrozumiałem w końcu, o co chodzi z tą kompulsją, którą kiedyś próbował opisać mi brat. Gdy próbował opowiedzieć, jak czuje się człowiek stojący na estradzie przed tysiącami fanów. Że ma się wrażenie, że karmi to szaleństwo i że publiczność przelewa je w ciebie z powrotem.

Gdy tylko przedarliśmy się za ścianę kurtyn, Ash oparł mi dłonie na barkach i wykorzystując mnie jako podpórkę, wyskoczył wysoko w górę.

– Tam do diabła, stary. Rozwalileś ich. Koncert był zajebisty. Ludzie oszaleli. Oni cię uwielbiają. Czysta perfekcja, stary. Czysta perfekcja.

Perfekcja.

Tak się właśnie czułem.

Jakbym tu idealnie pasował.

Lyrik kiwnął do mnie głową z uznaniem, a potem odszedł, jego czarne włosy wystawały ponad tłumem, w którym się zatopił. Zee, przechodząc, przybił ze mną żółwika.

– Dałeś radę, stary. Wiedziałem, że tak będzie.

Ale to mój brat, który czekał z boku, sprawił, że zwolniłem kroku.

To jego uznania pożałowałem.

Chwycił mnie za ramiona. Potrząsnął. Mocno wbijając palce w skórę.

– Jestem z ciebie tak cholernie dumny, Austin. Kurewsko dumny.

Przyciągnął mnie i uściskał. Ja też go uściskałem, myśląc o wszystkim, co kiedykolwiek dla mnie zrobił.

– Dzięki za danie mi szansy.

Głos miał zduszony.

– Dzięki, że z niej skorzystałeś.

Kiwnąłem lekko głową i jeszcze przez moment, z mocno bijącym sercem, rozkoszowałem się tą chwilą.

A potem pozwoliłem jej minąć.

Żebym mógł się skupić na tym, po co przede wszystkim przyjechałem do LA.

Na głównej przyczynie mojej tu obecności, pomimo że miałem wrażenie, że przy okazji odnalazłem zagubioną część siebie.

Paul odpowiedział na mojego SMS-a. Gdy napisałem, że przy wejściu zostawię dla niego przepustkę, odpisał, że przyjdzie.

Byłem gotowy.

Gotowy na wzięcie na siebie odpowiedzialności, gotowy na zadbanie o to, żeby ten sukinsyn już nigdy więcej nie mógł dręczyć mojej dziewczyny.

Wiedziałem, że czeka mnie walka.

Ale zamierzałem wyjść z niej jako zwycięzca.

I wyobrażałem sobie, że przegrana będzie jeszcze bardziej bolesna dla tego sukinsyna, gdy stanie przede mną, sądząc, że za chwilę trafi piątkę w totka, chociaż nawet nie wysłał kuponu. Wyobrażałem sobie, że jeszcze bardziej zwali go to z nóg, gdy się dowie, że wcale nie ściągnąłem go dla niczego dobrego, tylko dla jego zguby.

Byłem coraz bardziej podniecony. Przeszukiwałem wzrokiem twarze ludzi stojących za kulisami, spodziewając się, że już zaraz ten łajdak wychynie gdzieś z cienia jak wstrętny robal, którym był.

Potem będę mógł wrócić do Santa Cruz, odszukam swoją dziewczynę i do wszystkiego się przyznam.

Powiem jej, że poniosło mnie jak zawsze, że wywołałem zamęt i na koniec tylko pogorszyłem sytuację.

Mimo że chciałem ją jedynie naprawić. Bo wiedziałem, że nie mogę spokojnie żyć dalej, nie usunąwszy go z jej drogi, bo przecież zapowiedział, że to jeszcze nie koniec.

Pojawił się Anthony. Rozglądał się, jakby kogoś szukał, i minę miał taką, jakby się niepokoił.

– Hej, Ash – zawołał.

Ash obejmował jakąś laskę i szeptał jej coś do ucha, a ona chichotała. Gość zawsze był strasznym psem na baby.

– Zaraz wracam, kochanie – rzucił z hultajskim zaśpiewem i ruszył do Anthony'ego. – Co się dzieje, stary?

Anthony nie przestając się rozglądać, przez chwilę nie odpowiadał. Mnie na ten widok coś kazało skupić się na tym, co zaraz odpowie, po plecach przeszedł mi nieprzyjemny dreszcz.

– Widziałeś swoją siostrę... Edie?

Na twarzy Asha przez sekundę malowała się pustka, jakby przetwarzał pytanie. Był zdezorientowany.

Mnie natomiast żołądek zawiązał się w supeł.

– Czy widziałem kogo? – spytał Ash, zrzucając maskę obojętnej rezerwy, jaką zawsze nosił. Widać było, że się zdenerwował.

– Swoją siostrę. Była tu. Powiedziałem jej, żeby zaczekała za kulisami. Ale teraz nigdzie jej nie widzę.

Twarz Asha skurczyła się niepokojem.

– Moja siostra? Jesteś pewien, Anthony? Nie rób mi kawałów, stary. Nie w związku z nią.

Anthony potrząsnął głową.

– Naprawdę sądzisz, że robiłbym cię w konia w takiej sprawie?

Ich rozmowa zamieniła się w stłumiony szmer w tyle mojej głowy.

Wszystkie zmysły wyostrzyły się.

Przeciągnąłem wzrokiem po pomieszczeniu. Zwracając uwagę na zakamarki w cieniu.

W żołądku rozbłysnął płomień paniki.

Jak w palniku kuchenki.

Pierścień ognia.

Stałem pośrodku niego.

I płonąłem.

Nie.

Tylko nie znowu.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Wbiłem rękę do kieszeni po telefon.

Strach rozlewał się szerokim strumieniem, gdy czytałem wiadomość, na którą czekałem.

Od Paula.

„Kulisy. Chętnie posłucham, co masz mi do zaproponowania”.

Nie. Nie. Nie. Nie.

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że mówię to na głos. Coraz głośniej z każdym słowem wydzierającym mi się z ust.

– Nie... kurwa... nie. Edie.

Obracając się w kółko, krzyknąłem:

– Edie!

Ash usłyszał ten mój obłąkańczy okrzyk.

Nasze oczy spotkały się.

Patrzył na mnie, jakby wiedział.

Runąłem w stronę zaplecza budynku, gdzie odbywało się pokoncertowe party.

Ash biegł tuż za mną i mówił:

– Dlaczego mam to ohydne przecucie, że masz mi, kurwa, całe tony rzeczy do wyjaśnienia, i że zupełnie nie spodoba mi się to, co usłyszę?

Nie zatrzymałem się, żeby odpowiedzieć.

Przepychałem się między ludźmi stojącymi na tyłach holu w stronę sali koncertowej i przez cały czas wołałem ją po imieniu.

W sali tony dupków rozwaliły się wszędzie, jakby to miejsce należało do nich, dziewczyny, żadne zaznania choćby odrobiny posmaku „blasku i sławy”, gotowe zmarnować, co miały, na tych frajerów.

Jakby następnego dnia którykolwiek miał pamiętać ich imiona.

Przyjrzałem się każdej po kolei.

Edie wśród nich nie było.

Wrzecionowate palce przerażenia coraz mocniej zaciskały mi się na sercu.

Zatapiały się w nim.

Okręciłem się i prawie zderzyłem z Ashem. Znowu wybiegłem na korytarz. Obaj pognaliśmy w głąb starego budynku, w stronę przebieralni i biur na tyłach. Otwieraliśmy drzwi i wołaliśmy ją.

Wzбираło we mnie coś bliskiego hysterii.

Myśl, że ten łajdak ją dotykał... krzywdził...

Nie.

Nie znowu.

Zatrzymałem się, odwróciłem i pobiegłem z powrotem tą samą drogą, którą tu dotarliśmy. Ash biegł obok.

Nie obchodziło mnie, że biegnąc, dosłownie roztrącałem ludzi na boki.

Kiedy wróciliśmy do bocznego wyjścia na scenę, na twarzach wszystkich królował wyraz dezorientacji. Baz, Anthony, Zee patrzyli tak, jakby zastanawiali się, co mają robić. Lyrik też już do nas dołączył.

Ja rozgorączkowanym wzrokiem przeszukiwałem kulisy.

I nagle przestałem widzieć cokolwiek, bo po lewej stronie sceny dostrzegłem ukryte w głębi i zapomniane drzwi.

Podbiegłem do nich i szarpnąłem za klamkę.

Były zamknięte.

Duszac się przerażeniem, odsunąłem się, podniosłem nogę, żeby wyważyć drzwi kopnięciem. Zatrzęsły się, ale pozostały na miejscu.

Kopnąłem jeszcze raz.

I znowu.

Kopałem w te drzwi i kopałem, aż roztrzaskały się przy zamku i poddały. Z hukiem poleciały w tył na ścianę. Bez chwili zawahania wpadłem do środka.

Edie.

Pod skórą czułem drapanie szponów brutalnej wściekłości.

Paul wciskał ją w wielki karton przepchnięty pod tylną ścianę. Kiedy usłyszał trzask wyważonych drzwi, obejrzał się zszokowany przez ramię.

Ale ja wiedziałem.

Malujące się w tych błękitnych oczach przerażenie jasno mówiło, co to bydlę zamierzało z nią zrobić.

– Austin! – krzyknęła Edie z ulgą zduszonym głosem i kiedy Paul

odwracając się, wypuścił ją z rąk, osunęła się na karton.

Kurwa, ledwie to wszystko ogarniałem. To że moja dziewczyna była tutaj po tym, jak ją ostatnio potraktowałem.

Z wściekłości wszystkie mięśnie miałem spięte, dłonie zaciskałem w pięści. Napędzany tłumioną furią i niepohamowaną nienawiścią, runąłem przed siebie.

Prosto na tego dupka.

Edie krzyknęła i uskoczyła w bok.

Gdzieś w moim zamglonym umyśle usłyszałem głos Asha tnący zatechłe powietrze.

– Edie... och, Boże... nic ci nie jest? Co ty tu, do diabła, robisz? Edie.

Ale nie potrafiłem tego głosu przetworzyć. Całą uwagę skupiłem na człowieku, który był przyczyną tego wszystkiego. Rzuciłem się na niego taranem.

Trafiłem w brzuch barkiem, obłapiłem w pasie i zwałem z nóg.

Polecieliśmy obaj na ziemię.

Ale to tylko zasiłło ciemność, dodało paliwa wściekłości, żyły płonęły mi ogniem. Uderzyliśmy twardo w podłogę, potem spleceni, ciężko dyszący, walczyliśmy o to, który znajdzie się na wierzchu.

Wygrałem ja.

Bo nie miałem zamiaru pozwolić temu padalcowi zwyciężyć.

Wiedziałem, że Ash stoi z boku. Spięty, przygotowany do skoku. Niemający najmniejszego pojęcia, o co się bijemy, poza faktem, że ten fiut zamknął jego małą siostrzyczkę w schowku.

Ale już samo to wystarczało, żeby był wkurzony.

Co by było, gdyby wiedział o wszystkim, co ten skurwiel jej zrobił?

Pewnie wpadłby w furię. Tak jak ja.

– Ty skurwysynu – syknął cicho Paul. Widać było, że jest zarówno zdezorientowany, jak i zszokowany.

Choć może nie aż tak jak wtedy, gdy zamachnąwszy się, przywaliłem mu w szczękę pięścią jak młotem.

Potem wyprowadziłem jeszcze dwa miażdżące ciosy.

Skóra pękła.

Poląła się krew.

Złapałem go za koszulę, poderwałem w górę i walnąłem nim o cementową podłogę.

– Ty pierdolony sukinsynu. Naprawdę myślałeś, że przepuściłbym ci, że znowu jej dotknąłeś?

– O co ci, kurwa, chodzi? – stęknął, próbując osłaniać się przed ciosami. Fiut dopiero zaczął rozumieć, że nie wezwałem go, bo Sunder chciał mu zaproponować współpracę.

– Ostrzegłem cię, że cię zabiję – wycedziłem przez zęby, ledwie się powstrzymując przed spełnieniem groźby.

Udało mu się uwolnić rękę i trzasnął mnie nią w podbródek.

Zaskoczony, zatoczyłem się w tył. Paul wygrzebał się spode mnie, poderwał na nogi i ruszył na mnie, śmiejąc się głośno.

Maniakalnie.

– Chcesz dać sobie skuć gębę dla tej małej dziwki? Pierdolona kurwa... wysłała mnie do pierdla na cztery lata. I zapłaci za to. W ten czy inny sposób.

Gość musiał być zwyczajnym szaleńcem, mówiąc coś takiego. Tym bardziej że obok stał brat Edie. Próbujący zorientować się w szczegółach.

Próbujący dodać dwa do dwóch.

Wiedziałem, że stanie się to już za chwilę.

Poza tym ten worek gówna chyba nie zwrócił uwagi na fakt, że minęło kilka lat. Już nie byłem tamtym wychudzonym dzieciakiem. W momencie, gdy na mnie skoczył, znowu go powaliłem płynnym ciosem w nos.

Rozległ się trzask pękającej przegrody. Z nosa trysnęła krew, która obryzgała mu twarz i poląła się na brudną posadzkę. Nie dałem mu czasu nawet na okrzyk bólu, tylko ponownie się na niego zwałem.

Kartony spadały, szkło się tłukło, metalowy sprzęt leciał na ziemię, gdy przepychałem go pod ścianę taranem. Przygwoździłem go do niej i wzmacniając uścisk, wycedziłem przez zaciśnięte zęby, śmiejąc się przy tym szyderczo.

– Myślisz, że to Edie posłała cię do pierdla? Ta słodka dziewczyna, którą znowu chciałeś skrzywdzić? Naprawdę sądzisz, że to była ona?

Chyba powinieneś, dupku, jeszcze raz to przemyśleć.

Mój głos przeszedł do groźnego szeptu.

– Zastanów się porządnie. Bo najwyraźniej niczego nie rozumiałeś przez te cztery lata w pierdłu. Bo najwyraźniej jesteś za głupi, żeby zrozumieć, co się stało. Za głupi, żeby zrozumieć... dlaczego cię tam posłałem. Naprawdę choćby przez chwilę sądziłeś, że będę stał z boku, że pozwolę, żeby uszło ci na sucho to, co jej zrobiłeś?

Usłyszałem głośny szloch Edie. Boże, chciałem przeczołgać się do niej na rękach i kolanach. Żeby błagać o wybaczenie za to, co robiłem.

Zamiast tego skupiłem się na strachu, że stracę ją na zawsze, i całą nienawiść skierowałem na Paula. Dupek miał wybałuszone oczy ze zdumienia, moje wyznanie trafiło go z siłą lawiny.

Lawiny cegieł.

– Mów – warknąłem.

– To ty... – wydusił.

– Co tu się, kurwa... niech ktoś... – Słowa Asha prawie nie przedzierały się przez krwawą mgłę zasnuwającą mój umysł. Mięśnie mi zadygotały, to ohydne miejsce w moim sercu zaczęło domagać się z krzykiem, żebym z nim skończył.

– Taa. To byłem ja. I zrobiłbym to samo znowu... zrobiłby to jeszcze milion razy. I żałuję, że nie zrobiłem więcej, bo obaj wiemy, że te cztery lata odsiadki nie odwrócą tego, co jej zrobiłeś.

Prychnął kpiąco.

– Ja jej zrobiłem? Sama tego chciała.

Po skórze przebiegł mi dreszcz nienawiści. Poderwałem go z ziemi i przyszpiliłem wysoko do ściany.

– To nie usunie cię z jej skóry, z jej wspomnień. Nie usunie jej bólu i strachu. Nie wymaże tego, że jej córka... że jest gdzieś... że wychowuje ją ktoś inny.

Edie zawyła, a Ash nagle znalazł się za mną jak kula furii.

– Niech mi ktoś, kurwa, wyjaśni, co się dzieje, i to już, bo za chwilę stracę nad sobą panowanie.

Szloch.

Moja dziewczyna.

Anioł.

Poczułem w piersi przeraźliwy skurcz. Skrzywiłem się. Zamrugalem, żeby pozbyć się zamroczenia, i wtedy zdałem sobie sprawę, co właśnie powiedziałem. Że ujawniłem tajemnicę, której miałem strzec.

Jakimś sposobem całe zajście stało się nagle widowiskiem z publicznością. Czułem na sobie wściekłe spojrzenia brata, Lyrika, Zee, nawet dziewczyny Baza.

Kurwa.

– Edie – szepnąłem, pragnąc ją ułagodzić. Uspokoić. Dać do zrozumienia, że wszystko będzie dobrze.

Chciałem, żeby była wolna.

Głos miałem zduszony, zgrzytał jak potłuczone szkło.

– Maleńka... jest dobrze... jest dobrze.

Maleńka.

No i powiedziałem to.

Publicznie.

Po raz pierwszy.

Wreszcie bez wstydu, wreszcie bez obawy o kompromitację.

Bez tego całego gównianego ukrywania się.

Z ust Edie znowu wydarł się zbolaty szloch.

Ash, rwąc włosy z głowy, z udęconą miną odwrócił się do siostry i wycelował palcem w stronę Paula.

– To gówno zrobiło ci krzywdę? Co on ci zrobił? Powiedz mi, co się dzieje, Edie. Powiedz mi, kurwa, natychmiast, o czym mówi Austin?

Paul parsknął rechotliwym śmiechem.

– Nic jej nie zrobiłem. Sama mnie błagała, żebym ją zerznął.

Ash ryknął na całe gardło i Lyrik i Baz natychmiast do niego przyskoczyli, żeby go złapać i zatrzymać. Wszyscy w zespole wiedzieli, że kiedy Ash wpadał w furję, szybko robiło się bardzo gorąco i bardzo nieprzyjemnie.

Edie zawyła głośno.

Przejmująco.

Jakby ten jeden dźwięk trzymała w sobie od miliona lat. Kipiący wrzątek stłamszonej magmy czekającej, aż będzie mogła wypłynąć. Ciśnienie rosło i rosło, aż nie dało się jej zatrzymać i wulkan

ekspłodował.

Jej twarz była wykrzywiona skurczem niedowierzania. I jakiejś potężnej determinacji.

Odwagą.

Paul zaczął młócić rękami. Walczyć z moim uściskiem. Walczyć o oddech. Tocząc bój, którego nie miał po co toczyć.

– Ukradłeś mi wszystko. – Jej słowa były poszarpanym szeptem. – Ukradłeś mi niewinność. Przyszłość. Wykorzystałeś mnie. – Uderzyła się pięścią w pierś. – Zbecześciłeś.

Sapnęła, dusząc się.

– A kiedy błagałam cię o pomoc, roześmiałeś mi się w twarz. Wyśmiałeś mnie i wyzwalałeś od najgorszych. Więc nie waż się teraz mówić, że mnie nie skrzywdziłeś.

Paul wczepił mi się paznokciami w nadgarstki i uwalniając się na chwilę, wydyszał:

– Błagałaś mnie, żebym cię zerznął.

Walnąłem nim o podłogę.

– Zamknij mordę, skurwielu. – Popatrzyłem na swoją dziewczynę, zachęcając ją wzrokiem, żeby kontynuowała. Żeby wszystko z siebie wyrzuciła.

Może wtedy będzie w stanie odpuścić przynajmniej część tego, co ją dręczyło.

Po jej twarzy lży łały się strumieniami.

– Nie – powiedziała, teraz już silniejszym głosem. Jakby może po raz pierwszy wierzyła w to, co mówi. – Nie, mylisz się.

Moje serce o mało, kurwa, nie stanęło.

Taka piękna.

Poraniona jak ja.

Tyle pęknięć, tyle odprysniętych części.

Każdą z nich czułem, unosiły się na obrzeżach naszego popieprzonego życia.

Trzepotały się, czekając w kolejce.

Jak odpychane od siebie magnesy, do chwili aż się poruszą i pofruną.

Pochylone w pędzie.

Zebrane razem tym nieuniknionym przyciąganiem.

Energia i siła.

Zderzające się ze sobą, żeby stać się jednością.

Moje lustro.

Grzmotnąłem Paulem o ścianę. Pięści wczepione w koszulę wcisnąłem mu w podbródek.

– Ona miała czternaście lat. – Gorzkie oskarżenie wypadło z moich ust na przydechu. Powiedziałem to tuż przy jego twarzy, żeby nikt inny mnie nie usłyszał. – Tam, skąd pochodzę... to się nazywa gwałt. Kiedy się z tobą umawiałem, myślałem, że będziemy tylko ty i ja. Chciałem się z tobą bić aż do skutku, aż któryś z nas nie mógłby się podnieść. Ale zważywszy, że mamy publiczność, wygląda, że to twój szczęśliwy dzień. Więc posłuchaj mnie uważnie, ty dupku... jeśli jeszcze kiedykolwiek choćby zerkniesz w jej stronę, zlikwiduję cię. Rozumiesz?

Ash, który w końcu załapał w pełni, co naprawdę działo się przez te wszystkie lata, szarpał się w szale.

Edie cicho płakała w rogu.

Przełknąłem blokującą mi gardło grudę wyrzutów sumienia i strachu.

– Zadałem ci pytanie, skurwysynu. Zrozumiałeś, co powiedziałem? Bo przysięgam, jeśli znowu będę musiał dobrać ci się do tyłka, to do twoich drzwi nie zapukam sam.

Dupek minę miał taką, jakby zaraz miał się zesrać ze strachu. Puściłem go nagle i osunął się na podłogę. Wymierzyłem mu szybkiego kopniaka w zębra.

Tak na wszelki wypadek, gdyby łajdak potrzebował dodatkowego przypomnienia, co go czeka.

Z szeroko otwartymi ustami zwinął się na boku w kułak i jęcząc, kołysał się. Potem udało mu się podnieść na czworaka, a potem na nogi, ale ledwie mógł się na nich utrzymać. Sapiąc i jęcząc z bólu, ruszył, utykając, w stronę drzwi.

Kiedy przechodził obok Lyrika, ten udał, że chce się na niego rzucić. Na dowód, że to, co powiedziałem, było prawdą.

Nie tylko ze mną będzie miał do czynienia, jeśli jeszcze kiedykolwiek pokaże tu swoją gębę.

Ash szarpał się, chcąc się uwolnić, i krzyczał w szale:

– Uważaj na siebie, dupku... uważaj, kurwo! Tknąłeś moją siostrę?

Paul nie patrząc na nikogo, uciekł z pokoju jak skończony tchórz.

Takie szumowiny jak on zawsze żerują na słabszych. Ograbiają tych, którzy nie mogą się bronić. Ale podwijają ogon pod siebie, gdy tylko pojawi się ktoś silniejszy.

W sekundę po jego zniknięciu w schowku zapanowała cisza.

Kompletna, przepelniona nieznośnym napięciem.

Wiszące w powietrzu cierpienie do końca zabiło te resztki nadziei, jakie miałem, gdy stałem na scenie, czując się jak pieprzony król.

Teraz czułem się jak żebrak.

Sparaliżowany niedowierzaniem.

Przerażeniem.

Tym skręcającym wnętrzości smutkiem, przenikającym do samego dna duszy.

– Jak mogłeś?

Dłoń przyciskała do brzucha. Jakby próbowała powstrzymać się przed rozpadnięciem.

– Jak mogłeś? Mój brat... och, mój Boże.

Kręciła głową.

– Dwukrotnie, Austin. Dwukrotnie powierzyłam ci swoje tajemnice. I dwukrotnie je wyjawiałeś. I w dodatku... w dodatku mnie oszukiwałeś? Udawałeś, że nic nie wiesz o tych wiadomościach, chociaż od początku to była twoja wina? Ja ci zaufałam. Wierzyłam w ciebie. Wróciłam do domu dla ciebie.

Zamrugwała. Drżąc. Zagubiona.

Dała krok do tyłu. Uderzyła plecami w karton.

Zaszokowana.

– Nie mogę...

Baz przerwał tę udrękę.

– Shea... kochanie... może zabierzesz stąd Edie? Chyba potrzebuje trochę czasu, a reszta z nas musi trochę ochłonać.

Shea skinęła krótko głową i po bezsłownej wymianie spojrzeń z Bazem weszła do pokoju.

– Cześć, Edie, mam na imię Shea – powiedziała cicho. – Co ty na

to, żebyśmy sobie stąd poszły? – zaproponowała, gładząc delikatnie Edie po włosach. – Same dziewczyny... ty, ja i Tamar. Pójdziemy zaczerpnąć świeżego powietrza?

Edie, otępiła, zamrugła, kiwnęła głową i wymamrotała „okej”.

Shea zaczęła ją wyprowadzać.

Ale nagle rozległ się zbolący okrzyk Asha.

– Edie!

Shea posłała mu spojrzenie mówiące „później” i z Edie przyciśniętą do jej ramienia opuściła pokój.

A ja, kurwa...

Ja chciałem za nimi biec. Chciałem dogonić Edie i paść przed nią na kolana. Błagać ją o wybaczenie, na które nie zasługiwałem, wiedziałem to.

Ale zostałem na miejscu, dysząc ciężko, z sercem bijącym tak mocno, że bałem się, że wyskoczy z piersi.

Bo jeśli Edie odeszła?

Ono umierało.

„Bądź ze mną ostrożny”.

Tylko o tyle mnie prosiła.

A ja to spierdoliłem.

Wziąłem to co dobre i bezmyślnie zmiażdżyłem.

Stałem wpatrzony w puste drzwi, a potem przeniosłem ostrożne spojrzenie na Asha.

Stał tyłem do Baza, który nadal trzymał go za ramiona, ale już nie tak mocno.

Od ścian małego pomieszczenia odbijało się napięcie.

Brwi Asha ściągnęły się gniewnie, gdy wszystko wolno do niego docierało. Przenikało w głąb. Twarz miał stężałą, gdy wydusił z siebie pytanie:

– Spałeś z nią? Z moją małą siostrzyczką... kiedy przywiozłem ją do domu, gdy miała siedemnaście lat? Kiedy dostałem ją pod opiekę? Kiedy byłem za nią odpowiedzialny?

Serce zacisnęło mi się tornadem emocji. Żalem. Nadzieją. Niespełnioną tęsknotą.

Dziewczyna, która ożywiła martwe miejsca we mnie. Ta, która

tchnęła życie w to, co było umarłe.

Światłość.

Taka jasna.

Czując ból wszędzie, wolno pokręciłem głową.

– Nie, Ash. Nie spałem z nią. Zakochiwałem się w niej.

Potrząsnął głową, ostro, a Baz go puścił. Ash przeciągnął dłońmi przez jasne włosy, chwilę wpatrywał się w ziemię, zanim znowu na mnie spojrzał.

– Ona urodziła?

Unikając jego wzroku, przytaknąłem ruchem głowy.

Chociaż tajemnica już się wydała, nie czułem się dobrze, zdradzając szczegóły.

– Kurwa! – krzyknął Ash do sufitu. – Jak do tego mogło dojść? Kurwa!

Popatrzyłem na niego bezradnie.

– O tym musisz porozmawiać z nią. Ja już i tak zbyt wiele powiedziałem.

Ash ciężko odetchnął, z frustracją przetarł dłonią policzek.

– Byłeś z nią przez cały czas? Przez ten cały cholerny czas, gdy ja myślałem, że wyjechała szukać siebie? Bo tak to, kurwa, wygląda. Że uciekła z tobą.

– Nie – zaprzeczyłem, też przeciągając ręką przez twarz. – Nie, stary... ona wyjechała, bo ten skurwiol dowiedział się...

Z mojej winy.

Znowu.

– A ja... ja wyjechałem, żeby odnaleźć siebie. Bo bez niej czułem się tak, jakby nie zostało mi już nic. I potem jakimś cudem odnaleźliśmy się w tym wielkim wspaniałym świecie.

Potrząsnąłem głową z frustracją.

– Ale znasz mnie, Ash, wiesz, jak działałem. Dostaję szansę za szansą i za każdym pieprzonym razem wszystko znowu chrzanię.

W tym momencie zawahałem się, nie wiedząc, jak mam mówić dalej. Jak wyłożyć wszystko bratu Edie. Bo miałem już szczerze dość tego całego ukrywania się. Dość traktowania tego, co łączyło mnie z Edie, jako czegoś brudnego i haniebnego. Nie, gdy było to coś

najpiękniejszego w moim życiu.

Najpiękniejszy dar.

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Ja ją kocham.

To było najszczerze ze wszystkiego, co powiedziałem kiedykolwiek.

– Ale narozrabiałem – mówiłem dalej. – I to poważnie. Powinienem być po prostu jej powiedzieć. Przyznać się do tego, co zrobiłem i dlaczego. Ale jeśli chodzi o Paula? Nie żałuję niczego. On musiał zapłacić. I musiał zniknąć z jej życia. I jeśli to teraz ja będę musiał zapłacić, tracąc ją, przełknę to. To mnie, kurwa, zniszczy, ale to przełknę.

Spojrzenie Asha mówiło, że jest oszołomiony i że ma wyrzuty sumienia.

– Dlaczego nic mi nie powiedziała? Po prostu?

Gardło zablokowały mi smutek i wzruszenie.

– Myślę, że dzisiaj po raz pierwszy do niej dotarło, że to nie była jej wina.

Ash skrzywił się i ostro podrzucił głową.

– Muszę stąd wyjść. Bo zaraz eksploduję.

Przepchnął się obok Zee, który zszedł mu z drogi. Ruszyłem za nim, ale Lyrik zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na piersi.

– Daj mu spokój, stary. Spuściłeś mu właśnie na głowę kubeł gówna. Potrzebuje trochę czasu, żeby zrozumieć, co to wszystko oznacza.

Emocje szarpały mi się w gardle, jak zamknięte w klatce dzikie zwierzę. Ostro kiwnąłem głową, nie mając zielonego pojęcia, co teraz zrobię.

Baz westchnął.

– Chodźmy... zmywajmy się stąd.

Zbieraliśmy nasze rzeczy w milczeniu. Wszyscy byli przybici. Potem wyszliśmy na tylny parking, gdzie stała furgonetka Baza. Odłożyłem jego gitarę na pakę i wdrapałem się na siedzenie z przodu.

Nieustannie sprawdzałem telefon. Niespokojny, w środku rozrywany bólem po utraconej części siebie.

Baz uruchomił silnik, wycofał i wyjechał na ulicę. Jadąc, ciągle zerkał na mnie z zaciekawieniem. Miał minę, jakby walczył zarówno z uśmiechem, jak i z chęcią zrobienia mi wykładu.

Wiedziałem, że trudno mu było pominąć milczeniem tamte dni.

Łypnąłem na niego, trochę wkurzony.

– Dlaczego tak na mnie ciągle zerkasz, do diabła?

Wypuścił powietrze nosem, uśmiechnął się i powiedział niemal żartobliwie:

– A więc ty i Edie Evans, co?

Westchnąłem, potarłem czoło, wiedząc, że ta rozmowa raczej nie dojdzie do skutku. Nie byłem pewny, czy jestem gotowy na poruszanie z nim tak intymnych tematów.

Nie, gdy nie wiedziałem, czy dziewczyna jest moja, czy ze mnie zrezygnowała, mając dość moich pieprzonych wyskoków.

Na tę myśl wszystko się we mnie skręciło.

Baz zachichotał i przyspieszając, zastukał palcami w kierownicę.

– Zabawne... kilka razy, wtedy, kiedy przyjechała na jakiś czas do nas do Hills, mogłem przysiąc, że coś się między wami dzieje. Ilekroć oboje znaleźliście się w pokoju, atmosfera nagle robiła się gęsta jak melasa. Ale ona była tak cholernie nieśmiała, że się nie przejąłem.

Spojrzał na mnie.

– A powinienem był, jak widzę. To znaczy... mogłem się tego spodziewać, zostawiając cię samemu sobie. Wszyscy powinniśmy byli być mądrzejsi.

Zabrzmiało to jak aluzja.

Pokręciłem głową.

– Powiedziałem Ashowi, że z nią wtedy nie spałem. I nie okłamałem go.

Chociaż chciałem się z nią przespać.

Boże, chciałem tak bardzo, że aż traciłem wzrok.

– Poza tym „melasa”? Serio, stary, zaczynasz do mnie mówić tekstami z piosenek country?

Roześmiał się wesoło i uśmiechnął.

– Pewnie udziela mi się od takich dwóch dziewczyn.

– Widzę, że jesteś szczęśliwy z Sheą, co?

– I to jak.

Szczerze mówiąc, ja też byłem szczęśliwy, że tak było.

– No to super, Baz. I mam nadzieję, że wiesz, że było mi ciężko, kiedy wyjeżdżałem. Ale chcę, żebyś wiedział też, że zrobiłem to nie tylko ze względu na siebie, ale również ze względu na ciebie i Sheę.

– Wtedy nie wiedziałem... ale po jakimś czasie to zrozumiałem.

Przez jakąś chwilę milczeliśmy. Potem Baz zapytał:

– Dlaczego to zrobiłeś?

To?

Zacząłem się zakradać do jej pokoju?

Wygadałem się za pierwszym razem przed Paulem?

Wrobiłem go?

Próbowałem to ukryć, kiedy znowu pojawił się na horyzoncie?

Tyle wyborów. Złe czy dobre, wszystkie te decyzje podejmowałem, kierując się jednym.

Zatopiłem się głębiej w siedzeniu, głos miałem ściśnięty.

– Bo ją kocham.

Bo chciałem ją chronić.

Chciałem się o nią troszczyć.

Baz roześmiał się gorzko.

– Kochanie kogoś to jedna z najtrudniejszych rzeczy, braciszku. Miłość jest jak przejażdżka kolejką górską. W jednej chwili martwisz się o kogoś tak, że wydaje ci się, że zaraz umrzesz, a już po sekundzie odczuwasz radość nie do opisania. To pieprzona wojna, Austinie. Wojna, bo resztę życia spędzisz na walce o utrzymanie tej miłości. Ale jeśli miałbym ci powiedzieć jedną ważną rzecz, to powiedziałbym to: nie ma lepszego błędu od tego popełnionego w imieniu miłości.

Też się roześmiałem, ale to nie był wesoły śmiech.

– Tylko że czasami tymi błędami zadajemy zbyt głębokie rany, Baz. I całkiem możliwe, że mój ostatni przebił czyjeś serce na wylot, a ja nie mam najmniejszego pojęcia, jak to naprawić.

Wydał usta i wypuścił przez nie przeciągły oddech.

– Tajemnice zawsze się w końcu wydają, Austin. Możliwe, że ty i ja wiemy to lepiej niż ktokolwiek inny. Nieważne, jak daleko Edie chciała uciec od swojej, i tak by ją dogoniła. Za twoją przyczyną czy

kogoś innego.

Potrząsnąłem głową.

– Zdradziłem ją, Baz. Prosiła mnie tylko o jedno.

Zadzwoił jego telefon i na ekranie pojawiła się twarz Shei.

Ze ściśniętym żołądkiem nachyliłem się do niego, jakby to mogło przybliżyć mnie do Edie.

Baz sięgnął po telefon i przystawił do ucha.

– Hej, kochanie.

Słyszałem intonację głosu Shei, ale nie słowa.

– Okej... taa... niedługo się widzimy. Kocham cię.

Zakończył rozmowę i w szoferce znowu zapadła cisza. Baz ugniatał palcami kierownicę.

– Co mówiła?

Widać było, że się waha. Bo Baz już taki był. Zawsze próbował chronić mnie przed czymś, co jego zdaniem mogło być dla mnie za trudne.

– Nie jestem już dzieckiem, więc skończ z tym szajsem... z tym niemówieniem tego, co powinno być powiedziane.

Westchnął.

– Shea zawiozła Edie do hotelu. Twierdzi, że dziewczyna potrzebuje czasu.

Ból zmiażdżył mi serce. Jakby spadło na nie milion pierdolonych ton.

Baz dobierał słowa ostrożnie.

– Może zatrzymasz się u nas? Miejsca jest dość.

Pokręciłem głową.

– Zawieź mnie do domu Sunder.

Tam, gdzie ją znalazłem, a ona mnie. Gdzie byliśmy sobie najbliżsi.

Kiwnął krótko głową i resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu.

– Dzięki, Baz – powiedziałem, gdy zatrzymał się na podjeździe.

– Dasz sobie sam radę? – spytał, a ja już prawie wysiadając, znieruchomiałem, potem odwróciłem się do niego z ponurym uśmiechem.

– Pokochanie jej mogło być najlepszym błędem ze wszystkich,

jakie kiedykolwiek popełniłem.

Wygiął współczująco usta. Jakby zrozumiał. Myślę, że jeśli ktokolwiek mógł to właśnie Baz.

Zarzuciłem pasek torby na ramię i zabrałem gitarę, która teraz należała już do mnie. Potem odszedłem chodnikiem przywołującym tyle wspomnień i wszedłem do ciemnego domu, który powitał mnie uczuciem osamotnienia.

Wolno, z ciężko falującą piersią, wspiąłem się na piętro, otworzyłem drzwi swojego pokoju i włączyłem światło. Wyglądał tak samo. Te same meble, te same obrazy. Wszystkie moje rzeczy na swoim miejscu.

Dokładnie tak, jak je zostawiłem.

Cofnąłem się na korytarz i stałem tam ze zwieszoną głową.

Strwożony.

Ale nawet to nie mogło mnie zatrzymać.

Bo byłem przyciągany.

Ruszyłem przed siebie, stąpając cicho. Tak samo jak przed laty.

Skradałem się.

Kuszając los.

Wstrzymawszy oddech, nacisnąłem kławkę i wszedłem do jej pokoju.

Stałem tam w ciemności. Lejące przezroczyste zasłony mieniły się w przedzierających się do środka białych promieniach księżyca. Łóżko było zasłane. Pokój czysty. Przyszykowany dla gościa potrzebującego miejsca do przespania się.

Ale to nie miało znaczenia.

Nadal czułem się tu jak w jej pokoju.

Nadal nią pachniał.

Odłożyłem gitarę, pozwoliłem, żeby pasek torby zsunął mi się z ramienia, strząsnąłem buty i padłem twarzą na materac.

Mocno zaciągnąłem się jego zapachem i pozwoliłem, by ogrom błędów, jakie popełniłem, przetoczył się przeze mnie jak zawodzący huragan.

Nie umiałem nawet określić dokładnie, który był tym pierwszym.

Może ten dzisiaj, gdy wyjawiałem jej tajemnicę Ashowi.

A może ten w nasze urodziny, gdy się zapomniałem. Gdy tak desperacko zapragnąłem, żeby wypełniła pustkę w sposób, w jaki tylko ona mogła ją zapełnić.

Czy może chodziło o nieprzyznanie się od razu, gdy dostała pierwszą wiadomość od Paula?

Albo gdy ujawniłem jej sekret za pierwszym razem. Napędzany furją, zdradziłem jej zaufanie i to na rzecz tej osoby, która miała nigdy tej tajemnicy nie poznać.

A może to było wtedy, gdy się tu zakradłem, tej pierwszej nocy?

Ale myślę, że jakaś część mnie wiedziała. Wiedziała, że wszystko tak naprawdę rozpoczęło się tamtego dnia na plaży.

Tamtego dnia, w którym oderwałem sobie połowę duszy.

Mój najczarniejszy dzień.

To tego dnia załamała się moja równowaga. Jedną stronę mnie obciążył najpaskudniejszy, najbardziej ponury mrok. Pustka po tej stronie była zbyt wielka, żeby dało się ją znieść.

Przez nią wpadłem w szpony spirali zła.

I odtąd nieustannie spadałem w otchłań bez dna.

Zacisnąłem ręce na poduszce. Ukryłem w niej twarz.

– Co mam robić, Julianie? Co ja mam, kurwa, robić? Czy to się kiedykolwiek skończy?

Leżałem tam w ciemności, a pustynny wiatr Santa Ana szalał po mieście i walił w ściany.

Szyby w oknie zagrzechotały.

A ja mamrotałem modlitwy, których nie miałem prawa odmawiać.

– Proszę.

Przysypiałem i budziłem się. Czując się tak, jakbym za chwilę miał umrzeć. Serce łomotało w piersi. Chaotycznym bum, bum, bum, którego nie mogłem uspokoić.

Energia poruszyła się. Podniosła się i nabrzmiała.

Wziąłem głęboki oddech.

I usłyszałem skrzypienie otwieranych drzwi, a potem podłogę i łóżko oblała srebrzysta mgiełka światła. Napięcie zacisnęło mi wnętrzności.

Przemożne.

Duszące.

Jej kroki były lekkie. Wolne i ostrożne.

Nie poruszyłem się, gdy cicho przemierzyła pokój, oddech uwiązał mi w gardle, kiedy jej palce przesunęły się po moich plecach, musnęły szyję i wsunęły się we włosy.

Po krzyżu prześliznął mi się dreszcz, każda komórka w ciele była naprężona.

Poruszyłem się, prawie bojąc się obejrzeć przez ramię.

Ale nie było szansy, żebym mógł odwrócić wzrok.

Bo nade mną stała moja dziewczyna.

Włosy jak niebiańskie płomienie.

Biała aureola wokół głowy.

Błękitne oczy błyszcząły w ciemności.

Diamenty.

Anioł. Światło. Życie.

Nie powiedziała nic, tylko wspięła się na łóżko. Przekręciłem się na plecy, a ona objęła mnie w pasie.

Każdy milimetr mojego ciała stężał.

Wpatrywałem się w nią. Wyglądała zjawiskowo.

– Edie – wymamrotałem.

Nie odpowiedziała, tylko uniosła nade mną łapacz snów. Obręcz okręcała się i kołysała nad moją głową, piórka delikatnie drżały.

Mocno zacisnąłem dłoń na jej biodrze. Gardło miałem zatkane wielką grudą. Bo nie wiedziałem, w jakim kierunku to się potoczy.

Kiedy się w końcu odezwała, jej głos był ledwie słyszalny, jakby mówiła z bardzo daleka.

– Tej pierwszej nocy, kiedy do mnie przyszedłeś, Austin, byłem strasznie zagubiona. Bałam się życia. Bałam się uczuć. Ale ty przedarłeś się przez te wszystkie bariery. Sprawiliś, że przypominałam sobie, jak to jest mieć nadzieję. Jak to jest, kiedy się w coś wierzy.

Usiadłem i przysunąłem twarz do jej twarzy. Jej ciało mnie parzyło, jej serce łomotało głośno.

Ledwie mogłem wydobyć z siebie głos.

– Kiedy cię pierwszy raz dotknąłem, wtedy po raz pierwszy wziąłem głęboki oddech.

Po raz pierwszy od czasu, gdy byłem małym chłopcem.

Spuściła wzrok.

– Tak właśnie jest od zawsze między nami. Coś wspaniałego i pięknego przeciwstawionego czemuś ohydному i mrocznemu. I między nimi trwa nieustająca walka.

Popatrzyła na mnie spod zasłony rzęs. Ten ocean błękitu był wzburzony emocjami, patrzył wprost na mnie. We mnie. Zawsze była tą, która potrafiła dojrzeć wszystko.

– Jak mamy kiedykolwiek zwyciężyć, jeśli nie potrafimy przestać walczyć?

Spróbowałem przełknąć ślinę, zarazem zastanawiając się nad sposobem obejścia przeszkód, które nieustannie stawały nam na drodze. Na drogach, które zawsze prowadziły nas z powrotem do siebie.

Objąłem delikatnie dłonią jej słodką, ufną twarz.

– Tylko że ja nigdy nie chcę przestać walczyć o ciebie.

Z kącików oczy popłynęły jej łzy, broda zadrżała. Próbując nad sobą zapanować, moja dziewczyna przygryzła dolną wargę.

– Tak się tego boję, Austinie. Boję się nas. Boję się bycia z tobą, bo to mogłoby oznaczać, że o niej zapomnę. Boję się tego, jak wypełniasz moją pustkę. Przeraza mnie myśl, że pewnego dnia... pewnego dnia ona przejdzie obok mnie, a ja jej nie rozpoznam.

Przeciągnąłem kciukiem po jej policzku.

– A ja boję się, że pewnego dnia... pewnego dnia nie będę go już czuł. Że jeśli nie będę cierpiał, może nie będę też dłużej o nim pamiętał. Że jeśli zapełnię pustkę, zapomnę.

Popatrzyłem na nią.

Na swoje odbicie.

Swoje lustro.

Opuszki jej palców gładziły moje czoło i brwi. Czułe i kojące, pocieszające mnie, pośrodku jej własnego bólu.

– To co się wydarzyło tamtej nocy... na plaży. Wiem, że nie wydarzyło się dlatego, że nie zależało ci na mnie, że nie zależało ci na ostrożności. Wiem, że ci zależy, Austin. Wiem, że tak jest. Czuję to. Ale to było tak, jakbym traciła wybór. Jakbym traciła kontrolę, a ja nie wiem, jak mam sobie radzić z takim uczuciem.

Wolno pokręciła głową.

– A ty... ty zatrzymałeś się... zatrzymałeś, gdy cię poprosiłam. Ale właśnie to przeraziło mnie najbardziej. Że pozwoliłam sobie na zapomnienie, na zagubienie się w tobie.

Zamrugła, jej dalsze słowa wypowiedziane w ciemności brzmiały już wyraźniej.

– Chcę być nią, Austin. Chcę być tą, którą możesz dotykać. Bez zahamowań, bo wiesz, że jestem twoja, bo ci się oddałam. Chcę być tą, o której będziesz wiedział, że zawsze będzie dla ciebie. Zawsze. W każdy sposób, w jaki będziesz mnie potrzebował. Że należę do ciebie w ten sam sposób, w jaki ty należysz do mnie. Chcę być wolna.

Otoczyłem jej twarz dłońmi.

– Nadal będę wszystko psuł, Edie. Nadal będę popełniał błędy. Robił rzeczy, których wolałbym nie robić. Ale zawsze, zawsze, będę dawał ci wolny wybór. Zawsze będę cię wspierał, jakkolwiek decyzję podejmiesz. I jestem wściekły na siebie, że straciłem nad sobą panowanie. Ale obiecuję ci... nigdy nie skrzywdzę cię umyślnie. Dobije mnie, że to zrobiłem.

Łzy nadal płynęły jak strumienie błyszczącego światła staczające się po jej policzkach.

– Nigdy nie myślałam, że zaufam komuś aż tak, że postawię się w sytuacji, w której mogłabym ponownie dokonać tego wyboru.

Położyła sobie rękę na brzuchu, na jej twarzy malowały się strach i nadzieja.

– Ale kiedy tu przyszłam, podjęłam decyzję, że nie chcę się już dłużej bać.

Wypuściwszy oddech ulgi, przyciągnąłem ją do siebie i wtuliłem twarz w jej pierś. Tuż nad sercem. Bo po prostu musiałem usłyszeć jego bicie.

– Nie potrafię opisać, jak bardzo mi przykro z powodu Paula. Że się wygadałem przed twoim bratem.

Czułem, że kręci głową.

– Byłam zła. Zraniona. Ale wiedziałam, Austin. Siedząc w tym hotelu sama, zrozumiałam, że każdy twój wybór był dokonywany z myślą o mnie. Że przez cały czas robiłeś wszystko, co mogłeś, żeby

mnie chronić.

Pozostaliśmy w tej pozycji. Kołysząc się wolno. Edie na kolanach, otulająca mnie sobą.

Mój anioł.

Potem odsunąłem się od niej, wyciągnąłem jej rękę do przodu i wyjąłem z dłoni łapacz snów. Podniosłem go. Patrząc na przemian na niego i na nią, zduszonym szeptem powiedziałem:

– Obiecałem ci, że ten łapacz zawsze przechwyci twoje sny. Przepędzi te złe i zatrzyma te dobre. – Przełknąłem poszarpaną grudę, która utkwiała mi w gardle. – Ale nigdy nie opowiadałem ci o moich snach.

Jej oczy zabłyśły.

– To opowiedz mi o nich teraz.

– Śni mi się życie z tobą, Edie – zacząłem miękko. – Życie dla ciebie. I z tobą.

Splotłem nasze palce razem, podniosłem jej dłoń do ust, pocałowałem kostkę palca serdecznego.

– Śnię o tym, że wsuwam obrączkę na ten palec. Że nazywam cię swoją żoną.

Wypowiadałem te słowa ostrożnie. Bo wiedziałem, że przedzieram się przez ostatnią barierę, jaka jeszcze między nami została. Odsunąłem z jej twarzy pasma włosów przyklejonych do mokrych policzków.

– Śnię o małej dziewczynce z twoimi oczami... i może z moim uśmiechem. Kiedyś, Edie, kiedyś... chciałbym mieć to wszystko. Z tobą. Czy to miałyby się wydarzyć już jutro, czy za wiele lat... chcę tego wszystkiego, z tobą.

Jeśli zdarzenie na plaży miałyby przyspieszyć ten proces, nie uchylę się. Będę z nią. Dla niej.

Razem z nią.

Tak jak obiecałem.

– Ja też tego chcę, Austin. Kiedyś. Z tobą. Chcę tego wszystkiego. Znowu ją przytuliłem, chowając twarz na jej piersi.

Wsunęła mi palce we włosy i cicho wyznała:

– Widziałam cię na estradzie.

Te stare marzenia zapłonęły. Ciężko przełknąłem ślinę, a ona

kontynuowała ciepłym głosem, jakby nuciła piosenkę.

– Byłeś cudowny, Austin. Biła od ciebie moc. Hipnotyzowałeś. Miałeś rację, że to jest twoje miejsce.

– Ja... ja przyjechałem tu, bo sądziłem, że to najlepszy sposób, żeby zbliżyć się do Paula. Zranić go jeszcze bardziej. Zwabić go, przyciągnąć do zespołu tak blisko, jak się tylko da. Ale kiedy tam stałem... czułem się jak... Edie, to było uczucie, że tam przynależę. Ale jeszcze bardziej czuję, że moje miejsce jest przy tobie.

Odsunęła się, jej uśmiech był taki szczery, taki słodki.

– Nasze miejsce jest tutaj, Austin. Nie chcę dłużej uciekać. Już nigdy.

Odetchnąłem z ulgą, jakby z serca spadł mi wielki kamień, i przyciągnąwszy jej rękę do ust, pocałowałem nadgarstek, zgięcie ramienia, bark.

– Światłość.

Moja spowiedź.

Mój świat.

Światło.

Edie objęła moją twarz obiema dłońmi. Mocno. Pewnie.

– Kochaj się ze mną, Austin. Kochaj się ze mną wiecznie. Nigdy mnie nie odstępuj. Nigdy nie pozwól mi odejść. Wybieram ciebie.

Rozdział 37

Edie

Przez okno do pokoju sączyło się poranne światło. Bardzo znajomego pokoju. Tak jak i chłopak wtulony w moje plecy.

Skórę miał gorącą, jego serce biło miarowo.

I mocno.

Wyplątałam się wolno z jego rąk i nóg, i kiedy wstałam z łóżka, popatrzyłam na niego z uśmiechem.

Na chłopca, który przywrócił we mnie wiarę.

Który sprawił, że zrozumiałam, iż nie muszę się niczego wstydzić.

Uważając, żeby go nie obudzić, ubrałam się w ubranie, które Austin w nocy rzucił na kupkę na podłogę. Potem na palcach wymknęłam się z pokoju i w ciszy pogrążonego we śnie domu zeszałam na dół.

Tam przemierzyłam salon, którego okna wychodziły na zalane słońcem miasto. Przez wahadłowe drzwi weszłam do kuchni.

I zamarłam, bo zorientowałam się, że nie jestem sama.

Po skórze przeszedł mi dreszcz niepokoju, ale go zdusiłam.

Nie musisz się wstydzić. Nie musisz się niczego wstydzić.

Przy blacie stał mój brat, ubrany tylko w parę wytartych dżinsów. Był na bosaka, jego jasne włosy wyglądały jak ptasie gniazdo.

– Ash – zdołałam wydusić, bezsensownie, ale nie miałam pojęcia, jak powinnam się zachować po wszystkim, co wydarzyło się poprzedniego dnia na jego oczach i czego się wtedy dowiedział. – Widzę, że wcześniej wstałeś.

Roześmiał się, w śmiechu tym jednak brakowało prawdziwej wesołości. Brakowało też tej luźnej swobody, jaką zwykle pokazywał światu. Wzruszył jednym ramieniem.

– Nie mogłem spać. Ale to chyba nic dziwnego, nie sądzisz?

Skuliłam się i milczałam, kiedy nalewał sobie kawy. Machnął w moją stronę dzbankiem.

– Chcesz też?

Podeszłam do wyspy i oparłam się o nią. Byłam strasznie skrępowana.

– Nie... dziękuję.

Ash odwrócił się, oparł o przeciwległy blat i popatrzył na mnie sponad krawędzi kubka. Jego głos zabrzmiał ostro.

– Nie wiedziałem, że tu jesteś.

Spojrzałam w górę, w ten bezsłowny sposób wyjaśniając, kto ściągnął mnie do tego domu w środku nocy.

Bo ja też nie mogłam zasnąć. Przewracałam się w łóżku, dręczona różnymi emocjami, aż w końcu uzmysłowiłam sobie tę, która była najważniejsza.

Która płonęła jasnym blaskiem w moim sercu.

Byłam zakochana w Austinie Stonie.

A on był zakochany we mnie.

Tylko od nas zależało, jak będzie wyglądała cała reszta.

Ash wolno pokiwał głową.

– Baz przywiózł go tu wczoraj. I potem zjawiałaś się ty.

Znowu tylko ruch głowy.

Ash westchnął. Zbierał siły na powiedzenie tego, co musiało zostać powiedziane.

– Byłaś w ciąży.

– Tak. – To wyznanie przeszło mi przez gardło z bólem, jakbym miała tam drut kolczasty.

Boże, powiedzenie tego na głos było torturą. Zwłaszcza że tak długo ją chroniałam – tę bezcenną niebezpieczną tajemnicę.

– Z Paulem – warknął.

Usta mi drżały, ale nie musiałam odpowiadać.

Wpatrzony w swoje bose stopy, Ash potrząsnął głową. Widać było, że próbuje zrozumieć.

– Kiedy... jak?

– Zabrałeś mnie na przyjęcie... tuż przed naszą przeprowadzką do Ohio.

Szybko zakrył twarz dłońmi, jakby ktoś go uderzył. Potem zwiesił je ciężko.

– Co takiego? – Mrugał, starając się odświeżyć wspomnienia. – Zabrałem cię na przyjęcie.

Powiedział to takim tonem, jakby właśnie sobie ten fakt uświadomił.

– Bo cię o to błagałam.

Oburzony, pokręcił głową.

– Zabrałem czternastoletnią siostrę na przyjęcie... i... i zostawiłem cię samą.

Zaczął krążyć po kuchni.

– Ot tak, zabrałem dziecko na imprezę? I zostawiłem samo z sępmi, żebym miał wolną rękę w podrywaniu dup? – Ostro zassał powietrze w płuca. – Cholera. To wszystko... to wszystko stało się przeze mnie.

Uderzony falą wyrzutów sumienia, złapał się za włosy po bokach głowy.

Moje usta zadrżały.

– To nie była twoja wina.

Prychnął.

– Zawsze traktowałem życie jak zabawę i gierki. – Zaśmiał się gorzko. – Nawet się specjalnie nad tym nie zastanowiłem, kiedy poprosiłaś, żebym cię ze sobą wziął. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co się tam, kurwa, działo tego wieczoru. Przysięgam, Edie. Nie wiedziałem.

– Oczywiście, że nie. Nigdy cię nie obwiniałam, bo to nie była twoja wina.

– Ale dlaczego mi po prostu nie powiedziałaś? Nie mogę znieść myśli, że przez ten cały czas... przez ten cały czas o niczym nie wiedziałem.

Wszystko, co przez tak długo dusiłam w sobie, wypłynęło na powierzchnię.

– Bo... bo byłam przerażona, Ash. Nie wiedziałam, co mam robić. Poszłam do Paula poprosić go o pomoc... a on dał mi pieniądze... trzysta dolarów.

– To skurwysyn – sapnął.

Mówiłam dalej, chciałam wyrzucić to z siebie, zanim stracę

odwagę.

– I po prostu uciekłam. Ukryłam się i udawałam, że nic się nie stało. Bo tak było o wiele prościej, niż gdybym miała zmierzyć się z prawdą.

Emocje rozsadzały mi pierś.

– Kiedy byłam w piątym miesiącu, mama się w końcu zorientowała. Przekonała mnie, żebym znalazła rodzinę adopcyjną. I żebym nikomu nic nie mówiła. Żeby po wszystkim mogła żyć normalnie. Zapewniała mnie i zapewniała, że tak będzie lepiej... i gdzieś w głębi... czułam, że miała rację. Wiedziałam, że ją ma. Ale to nie zmieniło tego, co czułam w środku, Ash. Nie zatrzymało zniszczeń. Ja ją tak bardzo kochałam.

Mój duży brat popatrzył na sufit, próbując okiełznać emocje. Smutek. Współczucie dla mnie.

– Ja nie... to mnie zabija, Edie. Kurwa, to niemożliwe. Jak to się mogło w ogóle wydarzyć? Tuż pod moim nosem? Ja tu sobie siedziałem, sądząc, że wszystko jest w najlepszym porządku... a ty... ty cierpiełaś w najgorszy możliwy sposób. W samotności.

Znowu zadrzały mi usta.

– Ale on mnie znalazł, Ash. Znalazł mnie w środku tego wszystkiego. I po raz pierwszy... po raz pierwszy pomyślałam, że może będzie dobrze. Austin i ja... prawdopodobnie nie jesteśmy dla siebie odpowiedni, właśnie dlatego, że tak bardzo do siebie pasujemy.

Austin był moją słabością i największą siłą.

Moim chaosem i spokojem.

Spokój.

Pragnęłam go.

Tak straszliwie pragnęłam zanurzyć się w jego ciepłe.

Na zawsze.

– Bardzo długo się obwiniałam. Brałam na siebie całą odpowiedzialność. Ale jestem gotowa sobie wybaczyć, Ash. Proszę, zrozum. Wiem, że to dla ciebie nowość, ale ja mierzyłam się z tym przez bardzo, bardzo długo. I wreszcie nadszedł czas, żebym rozprawiła się z tą sytuacją do końca. Żebym się z nią zmierzyła naprawdę. I ją zaakceptowała. A to znaczy, że tu zostanę, dlatego chciałabym, żebyś i

ty ją zaakceptował.

– I jak się domyślam, zostanie tu oznacza zostanie z nim?

Przygryzłam dolną wargę i potwierdziłam lekkim skinieniem głowy. Zdenerwowana, ale pełna nadziei.

Ash wahał się przez chwilę, ale w końcu przywołał ten swój szeroki uśmiech. Który tym razem był szczery.

– A więc, mówisz, że nie muszę skopać Austinowi tyłka?

Roześmiałam się.

– Nie, nie musisz. – Spoważniałam. – Ja go kocham, Ash. Kocham tak bardzo, że to boli. Ale to dobry rodzaj bólu. Nie chcę, żeby kiedykolwiek minął.

Ash odstawił kubek na blat.

– Chodź tu, mała siostrzyczko.

Przyciągnął mnie do siebie, głowę oparł na czubku mojej i objął mnie w pasie.

– Już nigdy więcej nie wyjeżdżaj. Nie musisz niczego przede mną ukrywać. Ani teraz. Ani nigdy. Słyszysz?

Nagle, nie wiadomo dlaczego, zachichotał.

– I jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała skopać komuś dupsko, twoim pierwszym zadaniem jest powiadomienie o tym mnie. Chyba wiesz, że po to właśnie istnieją wspaniali starsi bracia?

Zaśmiałam się.

– Jasne.

Odsunęłam się i spojrzałam na niego już zupełnie poważna.

– Naprawdę bardzo za tobą tęskniłam.

Podparł mi brodę knykciem palca.

– Ja też.

W tym momencie oboje spojrzeliśmy w bok, bo otworzyły się drzwi.

Stał w nich Austin, bez koszuli, z włosami w totalnym chaosie od tego, że przez całą noc je mierzwiłam.

Pożądanie.

Miłość.

Nadzieja.

To wszystko tam było.

Odbite w jego uśmiechu.

– Cześć wam – rzucił, głos miał ochrypły od snu.

– Hej.

Ash teatralnie westchnął.

– Ach... zdaje się, że to znak dla mnie. Facet musi wiedzieć, gdy nie jest już mile widziany. – Puściwszy do mnie oko, zabrał swój kubek i ruszył w stronę Austina. Mijając go, wystawił do niego pięść. – Opiekuj się moją siostrą, stary, chociaż wygląda, że przez ten cały czas wykonywałaś w tym względzie cholernie dobrą robotę.

Austin stuknął swoją pięścią o jego pięść.

– Nie ma sprawy, stary.

Ash przeszedł dalej, kierując się do wahadłowych drzwi, w połowie drogi zatrzymał się jednak i odwrócił głowę.

– Och... i przy okazji, żebyśmy mieli jasność... jestem oficjalnym roblem Edie od skopywanie tyłków. Jeśli moja siostra będzie miała z tobą jakiś problem, ty będziesz miał problem ze mną. Zrozumiano?

Jego zuchwały uśmieszek ociekał prowokacją.

– Możesz się o nic nie martwić – odpowiedział Austin, zerkając na mnie z ukosa.

Ash wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zakochani gówniarze. Wszyscy po kolei. – Drzwi zamknęły się za nim i przez ściany przyplęnęło echo jego głosu: – Wszyscy tutaj tracą głowy dla miłości. Najpierw moja piękna Shea, potem moja Tam Tam. A teraz znowu moja mała siostrzyczka. Naprawdę, serce się kraje – dodał na koniec głośniej.

A Austin stał tam i patrzył na mnie, a potem podbiegł, chwycił mnie w objęcia i zasypał pocałunkami. Jego uściski były obietnicą.

Koniec ze wstydem.

Koniec z ukrywaniem się.

Przed sobą mieliśmy jedynie oczekującą na nas przyszłość.

Rozdział 38

Austin

Fale z pluskiem uderzały o brzeg i odpływały, pozostawiając za sobą na piasku smugi białej piany.

Jakby ocean wyciągał do plaży swoje palce.

Przywołując mnie.

Ta obecność zawsze gdzieś blisko.

Prześladujący mnie głos.

Odległe wspomnienie.

Gdy jej ciepła dłoń zacisnęła się na mojej, poczułem, że kurczy mi się serce.

– Gotowy? – spytała drżącym głosem.

– Taak – odpowiedziałem.

To było szaleństwo, że to ona mnie za sobą ciągnęła, moja dziewczyna, zanurzająca stopy w zimnej wodzie na plaży w mojej starej okolicy. W miejscu, w którym często się bawiliśmy. I prawie go widziałem, jak śmiejąc się, rozbryzguje wodę, z mieniącymi się w słońcu niemal białymi włosami, z promiennym uśmiechem.

Miał w sobie tyle życia.

Wyrzuty sumienia przeszły mi serce i duszę. Tę samą, która popychała mnie przed siebie.

Nadpływająca fala owinęła się Edie wokół kostek. Wciąż trzymaliśmy się za ręce. Edie odwróciła się do mnie. W jej oczach malowały się zachęta i zrozumienie.

Wziąłem głęboki oddech i zanurzyłem w wodzie same palce. Sparaliżowało mnie.

Próbowałem przełknąć ślinę, opanować emocje, które wpadły w amok. Dziki wir starego bólu i smutku, poczucia winy, które nosiłem w sobie przez tak cholernie długo.

– Trzymam cię – powiedziała, a ja, kurwa, o mało się nie rozplakałem. Ta dziewczyna stała u mojego boku, tak jak ja zamierzałem

zawsze stać przy niej.

Zerwał się wiatr i z cichym jękiem uderzył w moje zmarznięte ciało.

Dałem krok głębiej.

Przyciągany.

Kiedy oboje weszliśmy do wody aż po pas, zacząłem się trząść.

Ale staliśmy tam.

Razem.

W opływających nas falach, ze splecionymi dłońmi, z połyskującym na horyzoncie słońcem, które z wolna żegnało dzień.

Edie popatrzyła na mnie tymi błękitnymi oczami, z których było ciepło. Potem puściła moją rękę i odwróciła się, żeby spojrzeć na wydawałoby się bezkresną przestrzeń głębokiego oceanu.

Podniosła łapacz snów, przytuliła go do piersi i z jej ust wypłynął szept.

Spowiedź.

Modlitwa.

– Zawsze będę cię kochała i zawsze będę miała cię w sercu. W mojej duszy zawsze będzie dla ciebie miejsce. Ale teraz pozwalam ci odejść. Pozwalam ci wieść to piękne życie, wiedząc, że jesteś kochana. Że masz opiekę. Że cię uwielbiają. Jeśli kiedykolwiek postanowisz do mnie wrócić, będę czekała.

Przycisnęła obręcz do ust, złożyła na niej żarliwy święty pocałunek i zacisnąwszy oczy, rzuciła ją z całą siłą przed siebie w objęcia fal.

Obręcz upadła niedaleko, podskoczyła, okręciła się, zawirowała i w końcu morze ją pochłonęło.

Zabrało w głębiny.

Na ten widok cały zadrzałem, przytłoczony smutkiem, poczuciem winy i wiarą.

Wiarą zbudowaną na sile tej dziewczyny.

Wiarą odnalezioną jakoś w jej obecności.

Kurczowo ją ściskając, przytuliłem starą wytartą małą do piersi. Tę, którą zabierał ze sobą wszędzie. Tę, z którą zawsze spał.

Jego pocieszycielka.

Jego przytulanka.

Przystawiłem ją do ust i też zacząłem szeptać.

Swoją spowiedź.

Swoją modlitwę.

– Kocham cię, Julianie. Mój bracie. Mój bliźniaku. Połówko mojej duszy. Proszę wybaczyć mi, że ukradłem ci wszystkie twoje następne dni. Że ograbiłem cię z szansy przeżycia dni, które miałaś przeżyć. Nie chciałem tego. Boże, proszę, uwierz. Nie chciałem.

Zadławiłem się blokującą mi gardło rozpaczą, ale przemogłem się i mówiłem dalej.

– Teraz muszę pozwolić ci odejść. Nie możesz tu zostać, a ja nie mogę dłużej próbować cię zatrzymać. Nigdy o tobie nie zapomnę. Proszę, ty też o mnie nie zapominaj. – Zamknąłem oczy, dalej mówiłem przez zaciśnięte gardło. – Spotkamy się po drugiej stronie. Wiem, że będziesz tam na mnie czekał.

Zamknąłem małąkę w objęciu palców.

Kurczowo je zacisnąłem.

A potem zamachnąłem się.

Małpka wylądowała w tym samym miejscu, w którym zatonał łapacz snów.

Unosiła się na wodzie. Machała zielonym kudłatym ramieniem, podrzucana falami w górę i w dół. Nasiąkając wodą, stawała się coraz cięższa.

Aż w końcu ocean pochłonał i ją.

Zabrał na dno.

Edie splotła swoje palce z moimi.

Tkając nową sieć.

Z miłości. Spokoju. Życia.

A w samym środku była nadzieja.

Jaśniejąca blaskiem.

Światłość.

Epilog

Kiedyś

Edie głośno płakała, wciskając głowę w poduszkę. Z jej ust wydarł się krzyk bólu. Jej mąż mocno ścisnął jej rękę.

– Już prawie koniec, Edie. Jeszcze tylko jeden raz. Jedno parcie i będzie po wszystkim.

Emocje, jakie się przez nią przetaczały, były obezwładniające.

Wszystkie zmysły tętniły.

Czoło miała złane potem. Zacisnęła zęby.

I znowu zaczęła przeć.

I wszystko ucichło.

Jej serce zatrzymało się.

Słaby przerywany płacz.

Małeńkie perfekcyjne ciało.

Jej serce znowu zerwało się do biegu.

Miłość.

Miłość.

Miłość.

Edie usiadła, wyciągnęła ręce, szukając dziecka.

– Proszę – zakwiliła.

I dostała ją. Położyli ją w jej ramionach, opatuloną białym kocykiem, w niebiesko-różowej czapeczce.

Usteczka czerwone.

Oczki spuchnięte.

Zamrugwały najbłękitniejszą szarością.

On popatrzył na nie z góry. Twarz miał mokrą od łez.

Zachwyty i miłość.

Bezgraniczne uwielbienie.

Duża dłoń objęła policzek Edie, wycisnął pocałunek na jej czole, jego wargi szeptały w jej skroń.

– Udało się, maleńka. Udało się.

I ich serca. Ich serca wirowały i tętniły. Rozrastały się,
nabrzmiwały.

Przelewało się z nich uczucie.

Dwa życia, kiedyś takie puste.

Dwa życia, teraz tak po brzegi wypełnione.

